

**BARRY  
EISLER**

**linia  
uskoku**

# Ku lepszemu

Ostatnią rzeczą, którą pomyślał Richard Hilzoy, zanim kula przeszła jego mózg, było: *Wszystko zmierza ku lepszemu.*

Był w drodze do Doliny Krzemowej, gdzie mieściło się biuro jego prawnika, Alexa Trevena. Zorganizował on spotkanie z Kleinerem Perkinsem, Midasem kapitału wysokiego ryzyka, który był w stanie zwiększyć wartość firmy stokrotnie, jedynie składając ofertę inwestycyjną. A teraz Kleiner rozważał wystawienie czeku dla niego, Richarda Hilzoya, geniusza, wynalazcy Obsidiana, najbardziej zaawansowanego algorytmu kodowania na świecie, przy którym wszystkie inne systemy zabezpieczeń sieciowych będą wydawać się przestarzałe. Alex złożył już wniosek patentowy i jeśli rozmowy z inwestorami pójdą dobrze, Hilzoy będzie mógł wynająć biuro, kupić sprzęt, zatrudnić pracowników - wszystko, czego potrzebuje, aby zakończyć komercjalizację produktu i umieścić go w sieci. Za kilka lat wprowadzi firmę na giełdę, a jej akcje będą warte fortunę. Albo też, nadal jako firma prywatna, stanie się dla systemów zabezpieczających tym, czym Dolby dla systemów nagłaśniających, i będzie zarabiać miliardy na udzielaniu licencji. Możliwe też, że wykupi go Google - oni teraz zajmują się wszystkim. Najważniejsze, że będzie bogaty.

Zasługiwał na to. Pracował za marne grosze w jednym z laboratoriów badawczych Oracle, pijąc red bulla za red bullem późno w nocy i trzęsąc się z zimna podczas przerw na papierosa na opuszczonym firmowym parkingu, znosząc

śmiechy i drwiny za plecami. W zeszłym roku żona rozwiodła się z nim i, do diabła, teraz tego pożałuje. Gdyby miała wtedy trochę rozumu, poczekałaby, aż zacznie kąpać się w forsie, i wtedy próbowała wydusić z niego, ile się da. Ale ona nigdy w niego nie wierzyła, podobnie zresztą jak inni. Z wyjątkiem Alexa.

Zszedł po popękanych schodach swojego bloku w San Jose, mrużąc oczy przed intensywnym porannym słońcem. Słyszał szum międzystanowej autostrady 280 w godzinach szczytu, oddalonej o mniej niż przecznicę - świst pojedynczych samochodów, zgrzyt zmienianych biegów w ciężarówkach zjeżdżających na Dziesiątą Południową, sporadyczny, nerwowy dźwięk klaksonu, ale tym razem mieszkanie w takim miejscu, tuż nad autostradą, wcale mu nie przeszkadzało. Nie przeszkadzały mu tanie rowery, zardzewiałe grille i poplamione worki na śmieci stłoczone przy ścianie sąsiedniego budynku, ani nawet smród z przepelnionego śmietnika, który jesienna bryza niosła z parkingu.

Ponieważ Alex miał wyrwać go z tej zapadłej dziury. Oracle była klientem firmy Alexa, a Hilzoy osobą, z którą Alex kontaktował się w sprawie patentów. Z początku Hilzoy nie był zachwycony. Po jednym spojrzeniu na jasne włosy i zielone oczy Alexa uznał go za kolejnego typowego gogusia z bogatej rodziny z dyplomami dobrych szkół. Standard. Ale szybko się przekonał, że Alex zna się na rzeczy. Był nie tylko prawnikiem, ale również absolwentem Stanford - magistrem elektrotechniki i doktorem informatyki. Wiedział o programowaniu co najmniej tyle co Hilzoy, jeśli nie więcej. Kiedy więc Hilzoy zebrał się w końcu na odwagę, żeby wziąć go na stronę i zapytać o opatentowanie Obsidiana, Alex natychmiast w to wszedł. Nie tylko odroczył płatność swego honorarium, ale przedstawił Hilzoya grupie aniołów biznesu, którzy zainwestowali wystarczającą ilość pieniędzy, aby mógł zrezygnować z dotychczasowej pracy i kupić

potrzebny sprzęt. A teraz szykował się, aby wziąć pieniądze od największych rekinów finansjery. I wszystko to w ciągu jednego roku. Niewiarygodne.

Oczywiście istniały pewne aspekty Obsidiana, które mogłyby nie spodobać się inwestorom, gdyby się o nich dowiedzieli. Mogłyby ich nawet przerazić. Ale nie dowiedzą się, ponieważ nie było powodu, żeby ich o tym informować. Obsidian miał zabezpieczać sieci i nie było firmy z listy pięciuset najbogatszych, która nie zapłaciłaby kupy forsy, żeby tylko go mieć. Tyle wiedzieli inwestorzy. A reszta... no cóż, to będzie jego mały sekret, rodzaj zabezpieczenia na wypadek gdyby standardowe przeznaczenie Obsidiana nie zapewniało wystarczających dochodów.

Spojrzał na zegarek. Denerwował się spotkaniem, ale miał jeszcze czas na papierosa - to go uspokoi. Stał na dole schodów i zapalił. Zaciągnął się głęboko, a potem schował paczkę i zapalniczkę z powrotem do kieszeni. Obok jego samochodu, buicka regency rocznik 1988, którego kupił po sprzedaży audi w czasie rozwodu, stała biała furgonetka z napisem „Humanitarna dezynsekcja i deratyzacja”. Zauważył ją tutaj trzy, może cztery razy w ciągu ostatniego tygodnia. Widział raz szczura pod śmietnikiem, no i były też karaluchy. Pewnie ktoś zrobił aferę w administracji i idioci starają się teraz pokazać, że coś robią w tej sprawie. Mniejsza z tym. Już niedługo to nie będzie jego problem.

Po drodze było kilka niepokojących spraw, takich jak istniejące wynalazki, które zdaniem Alexa mogłyby umożliwić uzyskanie patentu. I do tego kwestia rządowego rozporządzenia w sprawie poufności, które może cały proces opóźnić. Jednak do tej pory Alex zawsze znajdował jakieś wyjście. Patent nie został jeszcze wydany, ale samo zgłoszenie stanowiło gwarancję dla inwestorów.

Z początku Hilzoya niepokoiło umieszczenie kodu źródłowego w zgłoszeniu patentowym, gdyż każdy, kto miałby do

niego dostęp, otrzymałby gotowy przepis na Obsidiana. Alex zapewnił go jednak, że Urząd Patentowy trzyma wszystkie zgłoszenia w ścisłej tajemnicy przez osiemnaście miesięcy, do momentu kiedy zwykle wiadomo, czy wynalazek ujrzy wkrótce światło dzienne. A w chwili wydania patentu nie będzie już ważne, czy ludzie znają przepis czy nie, gdyż nie będą mogli go używać, nie płacąc mu grubej kasy. A gdyby nawet próbowali, Alex pozwałby ich i wycisnął, co się da. Tak jest, żeby grać, trzeba płacić.

Zatrzymał się przy buicku i wyjął kluczyki. Co za szmeln. Miał już na liczniku ponad sto sześćdziesiąt tysięcy, co było widać. To był jeden z tych samochodów, na które można nasikać i nikt nawet nie zauważy. Mercedes, pomyślał nie po raz pierwszy. Albo może bmw, czarny kabriolet. Będzie o niego dbał tak, by zawsze wyglądał na nowy. Facet od deratyzacji wysiadł z furgonetki. Miał na sobie bejsbolówkę, kombinezon i rękawiczki. Spod ciemnych okularów skinął głową w kierunku Hilzoya i przeszedł obok. Hilzoy odkłonił się zadowolony, że nie musi zarabiać na życie zabijaniem szczurów.

Zaciągnął się papierosem i rzucił go na ziemię z przyjemnym uczuciem, że może go beztrudno zmarnować. Wypuścił dym do góry i otworzył drzwi samochodu. *O, tak pomyślał. - Właśnie tak. Wszystko zdecydowanie idzie ku lepszemu.*

# Jeden strzał

Alex Treven przemierzał swoje biuro w kancelarii prawnej Sullivan, Greenwald, Priest i Savage. Za oknem rozciągało się intensywnie niebieskie niebo, a poniżej delikatne zarysy wzgórz Palo Alto, ale Alexowi widok ten był obojętny. Pięć kroków wystarczało mu, aby dotrzeć do jednej z osłonecznionych ścian, gdzie zatrzymywał się, robił zwrot i powtarzał to samo w przeciwnym kierunku. Liczył kroki, wyobrażając sobie, że wydeptuje ścieżkę w zielonym dywanie, w ten sposób próbując skupić myśli na czymś błahym.

Alex był wkurzony. Hilzoy, który zazwyczaj był nawet bardziej punktualny niż on sam, właśnie dziś postanowił się spóźnić. Mieli spotkać się z Timem Nicholsonem - tym Nicholsonem, do cholery! - który jako partner Kleinera, nie będzie zachwycony, jeśli Hilzoy nie dotrze na spotkanie na czas. A i Alexa nie postawi to w dobrym świetle.

Spojrzał na zegarek. Cóż, nadal mieli trzydzieści minut. Hilzoy miał dotrzeć do biura godzinę wcześniej, aby mogli przeciwyczyć argumentację i możliwy przebieg dyskusji, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, to obejdą się bez tego. Tak czy inaczej, gdzie on się, do diabła, podziewał?

Jego sekretarka, Alisa, otworzyła drzwi. Alex zatrzymał się i tak na nią spojrzał, że aż zadrżała.

- Dzwoniłam do niego przynajmniej dwadzieścia razy - powiedziała. - Bez przerwy włącza się poczta głosowa.

Alex miał ochotę krzyknąć, ale się powstrzymał. To nie jej wina.

- Pojedź do jego mieszkania - zdecydował. - Może tam go znajdziesz. Dziesiąta Południowa w San Jose. Nie pamiętam dokładnego adresu, ale jest w jego aktach. Próbuj dalej złapać go na komórkę i zadzwoń do mnie, jak dojedziesz. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim będę musiał odwołać spotkanie i wyjdziemy na idiotów.
- Co pan...
- Nie wiem. Po prostu zadzwoń, gdy dojedziesz. Idź już.

Alisa skinęła głową i wyszła. Alex wrócił do przemierzania pokoju.

*Boże, nie pozwól mu tego schrzanić* - pomyślał. - *Tak wiele od tego zależy.*

Alex od sześciu lat był prawnikiem w Sullivan, Greenwald i zbliżał się do delikatnego momentu w swojej karierze, który się nazywał „awansować lub odejść”. Nie chodziło o to, że ktoś miałby go zwolnić; mieszanka wiedzy z dziedziny nauki i prawa patentowego, którą posiadał, była zbyt szczególna i wartościowa dla firmy, żeby kiedykolwiek musiał martwić się bezrobociem. Problem był bardziej podstępny: wspólnikom odpowiadało to, że pracował właśnie na tym stanowisku, i chcieli go tam zatrzymać. Za rok, najwyżej dwa, zaczęliby rozmawiać z nim o korzyściach pracy w charakterze niezależnego radcy prawnego, o wynagrodzeniu, dobrej pozycji, elastycznym czasie pracy i stabilności zatrudnienia.

Dla niego to były bzdury. Nie chciał stabilności, chciał władzy. A w Sullivan, Greenwald władzę dawała jedynie własna baza klientów. Jeśli nie możesz zjeść tego, co upolowałeś, zawsze będziesz czekał tylko na resztki z czyjegoś stołu. To mogło być dobre dla innych prawników, ale jemu nigdy by nie wystarczyło.

Dłatego Hilzoy był tak piekielnie wartościowy. Alex był jednym z nielicznych, którzy naprawdę mogli ocenić potencjał Obsidiana - nie dzięki sile perswazji Hilzoya, ale

dlatego, że faktycznie zajrzał pod maskę i zbadał projekt od podstaw. Przekonanie partnerów, by odroczyli swoje honoraria i uznali Alexa za inicjującego sprawę, wymagało wielu manewrów i umiejętności politycznych, z których posiadania sam wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Pomimo swobodnego ubioru, bezpośrednich relacji z sekretarkami i asystentami ci faceci to prawdziwe rekiny. Kiedy poczuli krew, każdy z nich chciał zdobyć ofiarę dla siebie.

Mentorem Alexa był David Osborne, sprytny prawnik, jednak bez żadnego formalnego przygotowania technicznego. Przez lata strategiczna część jego praktyki związana z doradztwem w kwestii patentów zaczęła w coraz większym stopniu zależeć od technicznej przenikliwości Alexa. Osborne zawsze pilnował, aby premie przyznawane Alexowi dwa razy do roku były najwyższe, jakie firma mogła dać, jednak zawsze to on zbierał przed klientami pochwały za spostrzeżenia samego Alexa. Nosił markowe kowbojskie buty i T-shirty w kolorze fuksji i udawał pewnego siebie, ale w środku Osborne czuł się zagrożony przez ludzi, którzy jak przeczuwał, mieli większy potencjał niż on. Dlatego pomimo zapowiedzi, że „w odpowiednim czasie” poprze kandydaturę Alexa na wspólnika, Alex wiedział, że ten czas nigdy nie nadejdzie. Udział w spółce to nie coś, co dostajesz. To coś, po co sam musisz sięgnąć.

Tak więc po kilku tajnych spotkaniach z Hilzoyem, na których upewnił się, że ten naprawdę posiada technologię Obsidiana, a przynajmniej że nikt nie jest w stanie udowodnić, iż tak nie jest, Alex wziął głęboki oddech i pokonał krótki kawałek korytarza wyłożony drogim dywanem, który oddzielał jego średnich rozmiarów biuro starszego prawnika od gigantycznego biura wspólnika, należącego do Osborne'a. Oba biura mieściły się w głównym budynku, masywnym okrągłym obiekcie, który wspólnicy nazywali Rotundą, ale który wśród prawników znany był raczej jako



Gwiazda Śmierci. Biuro w Gwieździe Śmierci, a nie w jednym z sąsiednich budynków, nadawało pewien status, coś, co było niezwykle ważne dla Osborne'a i co Alex sam musiał przyznać, również dla niego. Jednocześnie umieszczało jego rezydenta w samym centrum działań firmy.

Przed drzwiami Osborne'a przystanął, aby zebrać siły, i spojrzął na olbrzymią kolekcję tablic upamiętniających pracę firmy dla klientów takich jak Cisco, eBay, Google i setek innych. Wisiały tam zdjęcia Osborne'a z zasłużonymi postaciami z Doliny, ze sławnym szefem wiodącej firmy telekomunikacyjnej, którego pozyskanie należało do ostatnich wielkich osiągnięć Osborne'a, a nawet jedno z premierem Tajlandii, gdzie Osborne jeździł trzy, cztery razy do roku, aby prowadzić swoją praktykę związaną z finansowaniem projektów. Alex starał się nie myśleć o władzy i wpływach, jakie można zdobyć dzięki tym wszystkim interesom i znajomościom. Cała sztuczka polegała na tym, aby przekonać samego siebie, że jest dokładnie odwrotnie - że osoba, z którą masz negocjować, stoi niżej i potrzebuje ciebie bardziej niż ty jej. Alex wiedział, że te wszystkie tabliczki i zdjęcia to sposób zarówno na pochwalenie się sukcesami, jak i onieśmienie potencjalnych negocjatorów.

Zebrał siły, wszedł i przedstawił swój projekt. Ważne było zachowanie równowagi: pomysł musiał brzmieć na tyle interesująco, aby Osborne zgodził się na niego, ale nie aż tak interesująco, żeby chciał go sobie przywłaszczyć. Jeśli prezentacja poszłaby dobrze, byłby to dopiero początek. Wymagałoby to również masy korporacyjnej pracy, a ta była zdecydowanie bardziej specjalnością Osborne'a niż Alexa.

Kiedy Alex skończył, Osborne oparł się na krześle i położył na stole nogi w kowbojskich butach. W zamyśleniu podrapał się w kroku. Ta zrelaksowana postawa zaniepokoiła Alexa. Wyglądała na podpuchę. Alex wiedział, że w głębi Osborne już na chłodno oceniał sytuację.

- A co na to mój klient? - zapytał Osborne po chwili swoim nosowym głosem.

Alex wzruszył ramionami.

- Cóż ma powiedzieć? Ten wynalazek nie ma nic wspólnego z główną działalnością Oracle ani z codziennymi obowiązkami Hilzoya. Sprawdziłem już jego umowę o pracę. Oracle nie będzie miał do projektu żadnych praw.

-A co z...

- Wymyślił program w domu, w swoim prywatnym czasie, używając własnego sprzętu. Pod tym względem też jesteśmy w porządku.

Osborne lekko się uśmiechnął.

- Dobrze się przygotowałeś.

- Uczyłem się od najlepszych - odpowiedział Alex i natychmiast tego pożałował. Osborne z pewnością przekreślił już w głowie jego komentarz, aby brzmiał: *Tyle mnie nauczyłeś, David. Wszystko ci zawdzięczam.*

- Powiedz mi, jak poznałeś tego człowieka? - zapytał po chwili.

- Zadzwoił do mnie i zapytał, czy mógłbym udzielić mu rady w sprawie czegoś, nad czym pracuje w domu - wyjaśnił Alex. Ćwiczył to kłamstwo tak wiele razy, że wydawało mu się, iż tak było naprawdę. - Spotkaliśmy się w Starbucks i pokazał mi swój projekt. Pomyślałem, że wygląda obiecująco, i postanowiłem się tym zająć.

To nie była odpowiedź, na którą liczył Osborne. Gdyby Alex powiedział mu prawdę, że po raz pierwszy rozmawiał z Hilzoyem o Obsidianie podczas służbowej wizyty w Oracle, Osborne mógłby użyć silnego argumentu: *Gdyby nie ja, nigdy byś nie miał takiej szansy.* Alex przewidział, że Osborne będzie chciał dyskretnie potwierdzić tę wersję wydarzeń z Hilzoyem, dlatego przygotował go na tę możliwość. Dla dobra ich obu im bardziej ich znajomość wygląda na zawartą poza układem Oracle - Sullivan, Greenwald, tym lepiej.

- Nie podoba mi się to - skrzywił się Osborne. - Klient stwierdzi, że poznałeś tego faceta przez nich. Nawet jeśli nie mają na to dowodów, wolę nie wkurzać takiego klienta jak Oracle czymś, co w porównaniu z nim wygląda niezbyt pokaźnie.
- Daj spokój, David. Wiesz dobrze, że każda firma powstała w Dolinie wcześniej czy później będzie miała kontakt z dużą korporacją będącą czyimś klientem. Tak to działa, i Oracle też o tym wie.

Osborne spojrział na niego, jak gdyby rozważał odpowiedź. Prawdopodobnie delektował się tym, że nie musi się spieszyć i może oglądać Alexa wijącego się przed nim na podłodze.

- Pozwól mi się tym zająć - przerwał ciszę Alex, sam nieco zdziwiony pewnością swojego głosu.

Osborne rozłożył ręce w przyjacielskim geście, jakby to było oczywiste, jakby nie spędził ostatnich dziesięciu minut na szukaniu sposobu splawienia Alexa.

- Hej - mrugnął porozumiewawczo - kto ci pomoże, jak nie ja?

To nie była odpowiedź, a przynajmniej niejednoznaczna.

- Czy to znaczy, że Hilzoy jest mój? Mogę wziąć tę sprawę?

- Czemu nie.

- Czy to znaczy „tak”?

Osborne westchnął. Zdjął nogi ze stołu i pochylił się, gotowy dokończyć, cokolwiek Alex przerwał.

- Tak, odpowiedź brzmi „tak”.

Alex pozwolił sobie na lekki uśmiech. Trudną część miał za sobą, teraz pora na tę najtrudniejszą.

- Jest tylko jeszcze jedna sprawa - zaczął Alex.

Osborne uniósł brwi ze zdziwieniem.

- W zeszłym roku Hilzoy miał ciężki rozwód i nie dysponuje żadnymi pieniędzmi.

- Na Boga, Alex!
- Posłuchaj, proszę. Nie stać go na nasze honorarium, ale jeśli wykupimy część jego firmy...
- Nie wiesz, jak trudno przekonać zgromadzenie wspólników do takich spekulacyjnych trików?
- Jasne, ale przecież biorą pod uwagę twoje rekomendacje?

To był ruch, którego Alex nauczył się przez lata negocjacji z klientami. Gdy druga strona tłumaczyła się, że nie do niej należy decyzja, że musi ją uzgodnić z radą, zarządem, ciocią Berthą lub kimkolwiek, należało polectać jej ego i chęć pozostania konsekwentnym.

Osborne był zbyt doświadczony, żeby się na to nabrać.

- Nie, nie zawsze - odparł.
- Cóż, tym razem powinni. Ta technologia ma potencjał. Osobiście ją zbadałem, a wiesz, że znam się na tym lepiej niż większość. Sam się wszystkim zajmę i nie zamiast dotychczasowej pracy, ale obok niej.
- Daj spokój, Alex. Jesteś na najlepszej drodze, aby przekroczyć trzy tysiące godzin w tym roku. Nie możesz...
- Właśnie że mogę, i ty dobrze o tym wiesz. Mówimy tu o procencie dla firmy, który może być całkiem spory, w zamian za minimalną inwestycję. Czy zgromadzenie wspólników nie posłucha cię, kiedy zaproponujesz im coś takiego?

Nie „jeśli”, tylko „kiedy”. Osborne milczał i Alex miał nadzieję, że nie posunął się za daleko. Osborne prawdopodobnie się zastanawiał: *Dlaczego gotów jest poświęcić tak wiele dla czegoś tak niepewnego? Czy przypadkiem nie kryje się za tym coś większego?*

- Więc zgromadzenie liczy się z twoim głosem, tak?
- Alex spróbował ponownie.

Osborne lekko się uśmiechnął, być może niechętnie przyznając, że Alex dobrze rozegrał całą sprawę.

- Czasami - odparł.

- Więc poprzysz ten projekt?

Osborne podrapał się w brodę i spojrzał na Alexa tak, jak gdyby troszczył się wyłącznie o jego dobro.

- Jeśli naprawdę chcesz. Ale pamiętaj, Alex, że to pierwsza sprawa, którą ty zainicjowałeś.

*Masz na myśli: „Pierwsza, jaką pozwoliłeś mi zainicjować”* - pomyślał Alex.

- Jeśli to nie wypali, nie będziesz dobrze wyglądał.

To

będzie oznaczało, że źle oceniłeś sytuację.

*Zła ocena sytuacji.* W kancelarii Sullivan, Greenwald była to uniwersalna krytyka, pasująca do każdej sprawy. Każde niepowodzenie, nawet jeśli nie była to wina prawnika, zawsze można przypisać złej ocenie sytuacji, ponieważ gdyby prawnik ocenił prawidłowo, byłby w stanie wszystko przewidzieć i niekorzystna sytuacja w ogóle by nie zaistniała.

Alex nie odpowiedział, więc Osborne kontynuował.

- Mówię tylko, że przy tak dużym ryzyku potrzebny jest

margines błędu, zabezpieczenie, które w razie czego zamor

tyzuje twój upadek.

Alex był zdegustowany sposobem, w jaki Osborne przedstawił sprawę, udając jego najlepszego przyjaciela. Wiedział, że powinien teraz powiedzieć: *Masz rację, David. Przedstaw pomysł jako swój. Dzięki za to, że mnie chronisz. Jesteś najlepszy.*

Zamiast tego powiedział:

- Myślałem, że to ty jesteś moim zabezpieczeniem.

Osborne zamrugał oczami.

- No tak. Jestem.

Alex wzruszył ramionami, jak gdyby sprawa była już jasna.

- Nie mógłbym prosić o lepsze zabezpieczenie.

Osborne wydał z siebie dźwięk będący czymś między śmiechem a chrząknięciem.

Alex uczynił krok w stronę drzwi.

- Wypełnię nowy formularz klienta i formularz sprawy. Sprawdzę, czy nie ma konfliktu interesów.

I po wszystkim. Gdyby Osborne chciał zmienić swoją decyzję, musiałby to zrobić teraz, w przeciwnym razie każdy kolejny dzień będzie przynosił nowe fakty, które coraz trudniej byłoby mu obejść.

- Ponieważ nie pobieramy honorarium, muszę sprawę przedstawić na zgromadzeniu - przypomniał Osborne.

- Wiem i jestem pewny, że cię posłuchają - Alex spojrział mu prosto w oczy. - To dla mnie ważne, David. Co oznaczało: *Tak ważne, że jeśli mnie wystawisz, pójde pracować do Weila i Gotshala i będziesz mógł szukać sobie kogoś innego, żeby poczuć się przy klientach tak mądry jak przy mnie.*

- Nie chcę, żebyś pracował nad tym sam - dodał Osborne po krótkiej chwili.

Tego Alex się nie spodziewał i nie wiedział, co to ma znaczyć. Czyżby Osborne właśnie wygrał? Czy jednak zmienił zdanie?

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Daj spokój, młody. Jak chcesz to wszystko ogarnąć, nie mając nikogo do pomocy? - prychnął Osborne.

O tym Alex nie pomyślał. Zwykle pracował sam, i lubił to.

- Wiesz, to dopiero początek...

- A poza tym jak wytłumaczymy wykupienie tak dużego udziału w firmie Hilzoya, jeśli nad sprawą będzie pracował tylko jeden prawnik? Chcemy, żeby czuł, że dobrze się nim zajmujemy.

Alex nie wiedział, jak ma zareagować. Osborne praktycznie mówił mu, żeby wydłużył swój czas pracy. Ale jeśli tego było trzeba, aby Osborne poczuł, że w całej tej sprawie odniósł małe zwycięstwo, to niech tak będzie.

- Rozumiem.
- Weź tę Arabkę, tę ładną. Ja ona ma na imię?

Alex poczuł, jak lekki rumieniec występuje mu na twarzy, miał jednak nadzieję, że Osborne tego nie zauważył.

- Sarah. Sarah Hosseini. Nie jest Arabką, lecz Iranką, Persjanką.
- Niech będzie.
- Dlaczego ona?
- Pracowałeś z nią wcześniej, prawda?
- Raz czy dwa. Osborne spojrział na niego.
- Dokładnie trzy.

O rany, Osborne może nie był technicznym geniuszem, ale kiedy chodziło o podział obowiązków w firmie, był nie do zagięcia.

Alex podrapał się w szyję, mając nadzieję, że gest będzie wyglądał na nonszalancki.

- Chyba tak.
- W swoim raporcie napisałeś, że jest „niezwykle pew na siebie i zdolna jak na pierwszy rok pracy”.

Tak naprawdę to taka pochwała nie była wystarczająca.

- Coś w tym guście - odparł.
- Jest bystra?

Alex wzruszył ramionami.

- Ma dyplom z informatycznych systemów zabezpieczających i medycyny sądowej Kalifornijskiego Instytutu Technologii.

Wiedział, że Osborne może wyczuć nutkę pogardy w jego głosie, ale był na tyle zirytowany, że miał to gdzieś.

- Ma teraz niewiele pracy. Weź ją i stwórzcie zespół. Czy to będzie dla ciebie jakiś problem?

Dlaczego Osborne'owi tak na tym zależało? Czy dodatkowy prawnik miał dać mu większe prawa do nadzorowania

projektu, stopniowego przejścia go albo jeszcze czegoś? Czy może tylko drażnił się z nim, zmuszając do pracy z Sarah, ponieważ wiedział, że...

- Nie - powiedział Alex stanowczo, ucinając myśl. - Nie ma żadnego problemu.

Zgodnie z obietnicą Osborne przedstawił na zgromadzeniu wspólników propozycję wzięcia sprawy Hilzoya i zyskał poparcie. Powiedział Alexowi, że pojawiły się głosy sprzeciwu, jednak ten wiedział, że to nieprawda. Prawdopodobnie Osborne nie musiał wcale przekonywać wspólników. Może zgromadzenie lubi tego typu układy: jasne, niech prawnik pracuje więcej niż zwykle, a jeśli mu się powiedzie, my zgarniemy zyski. Być może Osborne przedstawił przekonanie wspólników jako herkulesowy wysiłek tylko po to, aby Alex czuł się wobec niego zobowiązany.

Wszystko jedno. Alex nie był nikomu nic winien. Do tego co ma, doszedł sam. Jego rodzice i siostra odeszli; jedyna rodzina, jaka mu została, to cholerny starszy brat Ben, który był wszystkiemu winien i który uciekł do wojska po tym, jak ich ojciec... po tym, jak umarł. Alex nie rozmawiał z Benem od pogrzebu matki osiem lat temu. Nawet wtedy gdy zostali tylko oni dwaj, Ben nie opowiadał, gdzie jest ani co robi. Pojawił się jedynie na ceremonii i zaraz potem zniknął, zostawiając Alexa ze wszystkim, tak jak zostawił go samego, aby opiekował się matką przez ostatnie półtora roku jej życia. Po potwierdzeniu autentyczności testamentu, znowu pozostawiony sam, Alex wysłał do Bena e-mail informujący o jego części spadku, który był dosyć duży, jako że ojciec dobrze sobie radził, a spadkobierców było jedynie dwóch. Ben nawet mu nie podziękował, tylko kazał przesać papiery na adres w Fort Bragg w Karolinie Północnej, odpisując, że podpisze je, jak będzie miał czas. Z tego co Alex wiedział, Ben był teraz w Iraku lub Afganistanie. Czasem Alex zastanawiał się nawet, czy Ben jeszcze żyje, ale nie obchodziło



go to. Tak czy inaczej, nie miał zamiaru nigdy więcej z nim rozmawiać.

Cholerny Hilzoy. Alexa denerwowało to, że go potrzebował, ale tak właśnie było. Jeśli Obsidian miał się okazać choćby w połowie takim sukcesem, jak przewidywał Alex, po początkowych wpływach będą kolejne, a po przejęciu lub wprowadzeniu firmy na giełdę akcje będą warte fortunę. Hilzoy nigdy nie zapomni, komu to zawdzięcza, a cała prawnicza robota i wynagrodzenie za nią będą należały wyłącznie do Alexa. Jego imię będzie nierozzerwalnie związane z Obsidianem, to on zostanie prawnikiem reprezentującym najlepszą firmę roku, a może nawet dekady, a wtedy Osborne'owie całego świata będą błagać o resztki z jego stołu.

Zakładając, że Hilzoy jeszcze tego nie spał. Czy nie zdawał sobie sprawy, jak zajęci są ci inwestorzy, jak wielu propozycji wysłuchują każdego dnia i jak niewiele z nich decydują się zrealizować? Alex mówił mu przecież, że to jedyna szansa, aby zwrócić ich uwagę.

Jeśli Hilzoy to schrzani, Alex go zabije.

# Proste rozumowanie

Ben Treven siedział bez ruchu na brzegu drewnianego krzesła w hotelu Park Istanbul, patrząc w dół przez poszarpane firanki na ulice skąpane w popołudniowym deszczu. Pokój był mały, a warunki spartańskie, co jednak zupełnie go nie obchodziło. Okno było lekko uchylone i od czasu do czasu ciszę przerywały odgłosy miasta: bębnienie opon po bruku i plusk rozbryzgiwanej wody, gdy samochód wpadał w dziurę w jezdni, wyćwiczone okrzyki sprzedawców dywanów, przywołujących turystów do swoich straganów, i zawodzący głos muezina nawołujący wiernych do modlitwy pięć razy dziennie od świtu do zmierzchu.

Poza wpuszczaniem do środka miejskich odgłosów otwarte okno utrzymywało chłód w pokoju. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, Ben będzie musiał działać szybko, dlatego już teraz miał na sobie rękawiczki z irchy, wełnianą czapkę i przeciwdeszczową kurtkę podszytą polarem. Był naturalnym blondynem, ale sztuczną brodę miał czarną. Jednak z włosami schowanymi pod czapką różnica była niewidoczna.

Ciepłe ubranie było idealne na deszcz i grudniowy chłód, ale nie tylko. Rękawiczki zapobiegały pozostawieniu odcisków, czapka maskowała niektóre cechy wyglądu, a kurtka zasłaniała pistolet Glock 17 z tłumikiem, schowany w kaburze typu cross-draw po lewej stronie.

Na stoliku przed nim leżał plecak zawierający ubrania, dwie kanapki, butelkę wody, apteczkę, amunicję, fałszywe dokumenty podróżne i parę innych niezbędnych rzeczy.

Poza plecakiem w pokoju nie było śladu po jego mieszkańcu, i nie będzie też żadnego po jego wyjściu.

Był tam, aby zabić dwóch irańskich naukowców jądrowych, Omida Dżafariego i Alego Kazemiego. Ben dużo o nich wiedział: znał ich plan podróży, prawdziwe nazwiska oraz te, pod którymi podróżowali; wiedział też, że byli w Stambule, aby spotkać się z rosyjskim kontrahentem. Orientował się, że zamieszkali w hotelu Sultanahmet Four Seasons, dlatego wynajął pokój w hotelu Park, dokładnie po drugiej stronie ulicy. Miał kopie ich zdjęć paszportowych i rozpoznał ich, jak tylko trzy dni temu przyjechali z lotniska jedną z hotelowych limuzyn BMW. Wiedział, że dwaj nieustannie towarzyszący im mężczyźni byli z VAVAK, budzących grozę irańskich służb specjalnych. Byli nie tylko dobrze wyszkoleni, ale także niezwykle zmotywowani. Gdyby jeden z naukowców został porwany, zabity lub gdyby zbiegł, jak to niedawno uczynił irański generał i były minister obrony Ali Reza Asgari, człowiek, który do tego dopuścił, mógł spodziewać się egzekucji.

Stosunkowo niewiele wiedział natomiast o Rosjaninie, znał jedynie jego prawdziwe nazwisko - Rolan Wasiliew - którego prawdopodobnie i tak nie używał podczas podróży. Wiedział też, że przyjechał do Stambułu, aby się spotkać z Irańczykami. Waszyngton naciskał Moskwę w sprawie rosyjskiej pomocy nuklearnej dla Teheranu i prawdopodobnie Kreml uznał sprowadzenie Irańczyków do Rosji, choćby nawet pod fałszywymi nazwiskami, za zbyt ryzykowne. Stambuł był dobrym neutralnym gruntem w polowie drogi między obydwojma państwami, z dobrymi połączeniami lotniczymi i służbami bezpieczeństwa, które bardziej interesowały się etnicznymi Kurdami niż Rosjanami czy Irańczykami.

Każdego ranka od dnia przyjazdu Irańczycy i ich ochroniarze z VAVAK jechali gdzieś jedną z hotelowych limuzyn i wracali po zmierzchu. Ben domyślił się, że spotykali się wówczas z Wasiliewem, i chętnie pojechałby za nimi, jednak

potencjalne koszty takiej wyprawy przewyższały ewentualne korzyści. Sam jeden w samochodzie lub na skuterze byłby łatwy do namierzenia, a gdyby nawet pozostał niezauważony, złapanie ich w miejscu, gdzie mógłby wykonać robotę i bez trudu uciec, wymagałoby niezwykłego szczęścia. Mógłby próbować zdjąć ich w momencie, gdy przyjeżdżali do hotelu lub z niego odjeżdżali, ale zarówno wejście do Four Seasons, jak i jego wnętrze pełne było kamer, odźwiernych i ochroniarzy. Miejsce słabo nadawało się do przeprowadzenia zamachu, i między innymi dlatego wybrali ten hotel.

To go jednak nie martwiło. Miał przecucie, że okazja jeszcze się nadarzy. Przecież Irańczycy mieli być w mieście przez siedem dni, co oznaczało, że prawdopodobnie planowali skończyć pracę czwartego lub piątego dnia. Bez względu na kraj i kulturę, gdy rząd, korporacja lub ktokolwiek inny płacił rachunki, biurokraci i inne pracowite mrówki zwykle przewidywali więcej czasu na spotkania. Zwłaszcza jeśli miało ono miejsce w tak kuszącym mieście jak Stambuł i w tak luksusowym hotelu jak Four Seasons.

Wybór hotelu upewniał Bena w jego przewidywaniach. Jeśli Irańczycy byli w stanie przekonać księgowych, aby ulokowali ich w Four Seasons, najwyraźniej koszty nie miały dla nich znaczenia. Jeśli pieniądze nie miały znaczenia, mogli zatrzymać się w każdym hotelu w mieście, w Pera Palace, Ritz-Carlton, a nawet w drugim Four Seasons, otwartym niedawno nad Bosforem. Ben dowiedział się, że wszystkie miały wolne pokoje i wszystkie zapewniały porównywalne standardy luksusu i bezpieczeństwa. Pytanie, dlaczego wybrali właśnie ten hotel?

Zdaniem Bena odpowiedź brzmiała: „lokalizacja”. Wszystkie pozostałe hotele mieściły się w Beyoglu, nowszej części miasta, na północ od Złotego Rogu. Jedynie Sultana Ahmet Four Seasons położony był pięć minut drogi od największych atrakcji: Błękitnego Meczetu, Hagia Sofia, pała-

cu Topkapi i Krytego Bazaru. O ile rzeczywiście lokalizacja decydowała o wyborze hotelu, Ben był pewny, że Irańczycy zostawią sobie dzień lub więcej na zwiedzanie okolicznych zabytków. Gdy wyjdą z hotelu, Ben będzie mógł podążyć za nimi, a wtedy okazja sama się nadarzy. Musiał jedynie czekać.

A to mu nie przeszkadzało. Właściwie nawet lubił czekanie - za jego prostotę. Było najmniej skomplikowaną częścią mało skomplikowanego zadania.

Od czasu do czasu otrzymywał zlecenia. Zawsze były krótkie, konkretne i zostawiały Benowi dużo swobody co do sposobu ich wykonania. Mógł poprosić o każdy rodzaj sprzętu, jakiego potrzebował, i momentalnie pojawiał się on w ustalonym miejscu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Żadnych pytań, papierów ani nadzoru.

Jedynym ograniczeniem w tym wypadku stanowiło to, że Wasiliew był nietykalny. W pierwszych latach zimnej wojny próba usunięcia pionków przeciwnika z planszy była jedynie elementem gry. W końcu, jak w przypadku walczących ze sobą rodzin mafijnych, stało się jasne, że rozlew krwi kosztował więcej, niż był wart, i nastąpiło pewnego rodzaju mętne odprężenie. Teraz nikt nie chciał być odpowiedzialny za zerwanie rozejmu i powrót do dawnych, krwawych czasów.

Ben starał się nie przejmować ograniczeniami. W końcu Rosjanie przestrzegali ich znacznie luźniej niż Wuj Sam. Wcześniej, w Londynie, zabili polonem tego gościa, Wiktora Litwinienkę. No i ci wszyscy zamordowani dziennikarze, Anna Politkowska, Paul Klebnikow, zbyt wielu, aby wszystkich zliczyć. Ben uważał, że mógłby łatwo się wytłumaczyć, mówiąc, że Iwan zaczął być agresywny właśnie z powodu nadgorliwego przestrzegania zasad przez Wuję Sama, ale stał za nisko w hierarchii, żeby pozwolić sobie na takie pieprzenie, a poza tym i tak nikt by go nie słuchał. Gdyby jednak mógł, zapytałby, gdzie podziało się hasło: „Albo jesteś

z nami, albo z terrorystami". Podejrzewał, że był to jedynie kolejny pusty slogan któregoś z kłamliwych polityków.

Właściwie to wszyscy oni byli kłamcami. Lewica naiwnie uważała, że można zachować czyste ręczki i nadal skutecznie walczyć z fanatykami, z którymi Ameryka musiała się zmierzyć. Z kolei na prawicy siedzieli hipokryci myślący, że mogą zdjąć rękawiczki i ciągle uderzać w moralizatorski ton. Właśnie lewica nie mogła zrozumieć, o co w tej walce chodzi, a prawica nie potrafiła zaakceptować jej prawdziwych konsekwencji. Ale Ben nie dbał o czyste ręczki ani o moralność, liczyła się jedynie wygrana. A wygrywa się, będąc najtwardszym, najpodlejszym i najbardziej bezwzględny draniem, jakiego wrogowie mogliby zobaczyć jedynie w najgorszych koszmarach. Na Boga, co komuś po regułach, które sprawiają jedynie, że się przegrywa? Wszyscy ci kanapowi analitycy nie potrafią zrozumieć, że jeśli twoje plemię zostaje zaatakowane, robisz wszystko, by wygrać. Stosując wszystkie możliwe środki. Jasne, później można mówić o sprawiedliwości zwycięzcy, ale najpierw musi być zwycięstwo.

Rzecz w tym, że większość Amerykanów chciała jedynie czuć się bezpiecznie. Może nie zawsze tak było, właściwie to podejrzewał, że kiedyś było inaczej, ale teraz Amerykanie stali się narodem owiec. W Benie takie życie budziło jedynie litość, uosabiało wszystko, przed czym chciał uciec, wstępując do wojska. W każdym razie tak właśnie wyglądało teraz społeczeństwo amerykańskie, a ktoś musiał bronić owiec przed wilkami. W pewnym sensie rozumiał, że bzdurne restrykcje i podważanie decyzji związane były z terytorium, jednak znalezienie się w sytuacji, w której bardziej obawiał się CNN niż Al-Kaidy, było irytujące.

BMW 750L zatrzymało się przed wejściem do Four Seasons i portier z parasolem podszedł, aby otworzyć drzwi. Ben zastygł, ale nie, to nie byli Irańczycy, tylko para Azjatów. Zasiadł z powrotem na krześle i powrócił do czekania.

Oczywiście nikt nie poinformował go, skąd pochodziły dane dotyczące tej operacji, ale z jakości informacji na temat Irańczyków i niewielkiej ilości danych o Rosjaninie Ben wnioskował, że wtyczką był Irańczyk związany z programem nuklearnym lub, co bardziej prawdopodobne, ze służbami specjalnymi. Członek programu nuklearnego znałby nazwiska i plany podróży naukowców, a nawet wiedział o ochroniarzach z VAVAK. Z drugiej strony tylko ktoś ze służb specjalnych miałby dostęp do ich fałszywych nazwisk i dokumentów, z którymi podróżowali, jak również do ich zdjęć paszportowych. Jednocześnie członek programu nuklearnego wiedziałby, na jaki los skazuje naukowców, i byłoby mu trudniej ich wydać. Byli przecież kolegami, znali się osobiście, a łatwiej wytłumaczyć sobie zdradę kraju niż zdradę przyjaciela.

Ciekawe. Kiedyś Wuj Sam był bardziej skłonny wydawać takich jak Dżafari i Kazemi zaprzyjaźnionym państwom w rodzaju Egiptu czy Arabii Saudyjskiej, gdzie mogli być przesłuchani pod odpowiednim rygorem. Potem jednak CIA spała transfer Abu Omara z Mediolanu, pozostawiając za sobą tak oczywisty ślad w postaci dokumentów, że włoski sąd wydał nakaz aresztowania trzynastu agentów zamieszanych w akcję, a następnie „obserwatorzy samolotów” zaczęli rozpracowywać całą tajną siatkę kontaktów. Pentagon zdecydował, że lepiej było działać bardziej dyskretnie i bezpośrednio. Tak czy inaczej, nikt już nie traktował CIA poważnie, odkąd dyrektor Agencji został podwładnym nowego szefa wywiadu narodowego i CIA musiała się zająć nieistniejącą iracką bronią masowego rażenia. Gdyby szukać skutecznego, liczącego się wywiadu, jedynym prawdziwym graczem był wtedy Pentagon.

Ben wiedział to wszystko, ale niespecjalnie go to obchodziło. Nie chciał mieć nic wspólnego z polityką, ani narodową, ani organizacyjną. Politycy nie wiedzieli nawet, że tacy

jak Ben istnieją, a nawet jeśli podejrzewali, to wiedzieli, że lepiej o nich nie wypytywać. To nie wojsko wymyśliło hasło „O nic nie pytaj, niczego nie mów!”, nauczyło się go od Kongresu.

Generalnie wszystko grało. Pracy było dużo, a on był w niej dobry. Należało zrozumieć prostą zasadę. Jeśli spartaczy robotę, firma wyprze się go i zostawi na pastwę losu. Jeśli nadal będzie miał dobre wyniki, zostawi go w spokoju. Od początku wiedział, jakie są zasady i konsekwencje. Taki układ mu odpowiadał. Inaczej niż w jego rodzinie, która go oszukała po sprawie z Katie. Nie żeby to teraz miało jakieś znaczenie. Wszyscy oni odeszli, z wyjątkiem Alexa, który równie dobrze też mógłby zniknąć. Krzyżyk na drodze.

Podjechało kolejne bmw. Ben nachylił się, aby lepiej widzieć przez zasłony i - bingo! - to byli Irańczycy, pierwszy raz wracający przed zmierzchem. Teraz był pewien, że nadszedł moment, na który czekał. Poczuł przyływ adrenaliny, znajome, mile uczucie na szyi i w brzuchu, a jego serce zaczęło bić nieco szybciej.

Irańczycy weszli do hotelu, eskortowani przez jednego ochroniarza z VAVAK na przedzie i jednego z tyłu. Dziesięć do jednego, że za godzinę, najwyżej dwie znów wyjdą z hotelu.

Wstał, zgiął szyję, aż rozległ się chrzęst, i zaczął robić proste ćwiczenia rozciągające. Już długo siedział bez ruchu, jedynie z krótkimi przerwami na toaletę. Nie przeszkadzało mu to, kiedy czekał, ale teraz czekanie dobiegło końca.



# Drzwi poczekalni

Telefon Alexa zabręczał. Sprawdził ekran - dzwoniła Alisa - i odebrał.

- Znalazłaś go? - spytał.

- Nie, ale stoję przed jego blokiem i jest tu pełno policji. Mnóstwo ludzi wokół. Mówią, że kogoś zamordowano.

Alex poczuł dziwne drętwienie za uszami i usłyszał lekkie dzwonięcie, jakby dźwięk jarzeniówki.

- O cholera. Czy to...

- Nie wiem. Próbowalam porozmawiać z jednym z policjantów, ale on tylko powtarzał, że to miejsce zbrodni, co sama już wiedziałam, bo cały budynek otoczony jest pomarańczową taśmą. Nie wpuszczają nikogo do środka, a z tego miejsca nic nie widzę.

- Kto mówi, że kogoś zamordowano?

- Ludzie z tłumu, którzy tu stoją. Ale mogą się mylić. Może to tylko pogłoski.

Drętwienie się rozprzestrzeniało. Jego oddech stawał się coraz głośniejszy.

Chciał sam tam pojechać, ale wiedział, że to nieracjonalne. Nie zobaczyłby ani nie dowiedział się niczego więcej niż Alisa. A jeśli to wszystko było jedynie gigantycznym zbiegiem okoliczności? Co będzie, jeśli Hilzoy zadzwoni za chwilę lub przybiegnie, tłumacząc: *Przepraszam, złapałem gumę. Na dodatek w miejscu, gdzie nie było zasięgu. Co za pech - a jego tu nie będzie?* Mógłby zmienić całkiem nieszkodliwy incydent w katastrofę jedynie poprzez złą ocenę sytuacji.

Nie, nie mógł na to pozwolić.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Skupienie się na oddechu nieco go uspokoiło.

- Zostań tam. Zobacz, czy możesz dowiedzieć się czegoś więcej, i dzwoni do mnie natychmiast.

Rozłączył się i spojrzął na zegarek. Dwadzieścia minut. Przy szczęśliwym układzie świateł i braku policji na drodze mógł dotrzeć swoim M3 do biura Kleinera na końcu Sand Hill Road w sześć minut. Zostało mu więc czternaście minut, zanim będzie musiał wszystko anulować. I tak będzie wyglądać głupio, jeśli odwoła spotkanie w ostatniej chwili, ale lepsze to niż nie przyjść na nie w ogóle. Czy kiedykolwiek miałby jeszcze szansę na drugie spotkanie z inwestorami, gdyby schrzanił pierwsze? Pewnie nie, a na pewno nie bez użycia kontaktów Osborne'a lub innego współnika. Osborne wiedziałby, co się stało i jak bardzo Alex go potrzebuje, a za taką przysługę słono by sobie policzył.

A niech to!

Nagle poczuł, że gabinet go przytłacza. Musiał się ruszyć i pomyśleć. Wyszedł na korytarz, gdzie jego chód mógł nabrać rozmachu. Skrzył za rogiem i zobaczył zmierzającą w jego kierunku Sarah.

Cholera!

Nie chciał teraz z nią rozmawiać i nie chciał się tłumaczyć, dlatego nie zaprosił jej na spotkanie. Była czasem zbyt wygadana i choć prywatnie cenił jej odwagę, nie był pewien, czy będzie wiedziała, jak się zachować w obecności tylu inwestorów. Hilzoy był gwoździem programu i Alex nie chciał, aby ktoś inny skupił na sobie uwagę.

Tak czy inaczej, nawet jeśli Sarah była tak powściągliwa, jak przystało na prawniczkę z zaledwie rocznym stażem, i tak wprowadzałyby zamieszanie. Wszyscy patrzyliby na jej lśniące czarne włosy, karmelową cerę i pełne usta, zastanawiając się, po co Alex przyprowadził ją na spotkanie. Czy coś ich łączyło? Czy na coś liczył?

Oczywiście, że na coś liczył. Nie chodziło tylko o to, że była piękna. Szalał za nią, między innymi dlatego, że nie afiszowała się ze swoją urodą. Prawie w ogóle się nie malowała, włosy miała zwykle związane i nosiła spódnice poniżej kolan. Ale Alex widywał ją również kilka wieczorów w tygodniu w firmowej siłowni, gdzie zwykle miała na sobie strój do jogi, który podkreślał jej kształty, tak ponętnie smukłe i krągłe, że Alex musiał się odwracać w obawie, że własne ciało zdradzi jego myśli. Czasami późno w nocy, w sypialni domu, który odziedziczył po rodzicach i w którym nadal mieszkał, zamykał oczy i wyobrażał sobie siebie z nią, wszystko, co chciałby, żeby zrobiła i jak by to zrobiła. Właśnie te fantazje - i to, jak pozostawały w jego umyśle do następnego dnia - bardziej niż jej uroda sprawiały, że czuł się nieswojo w jej obecności, udawał brak zainteresowania, a nawet lekceważenie, żeby tylko nie domyśliła się jego sekretu.

Ale ona nie wydawała się w najmniejszym stopniu zainteresowana. A nawet gdyby była, co by ludzie powiedzieli, gdyby starszy prawnik, ktoś, kto przy odrobinie szczęścia może niedługo zostać współnikiem, spotykał się z początkującą prawniczką, ze stażem dziesięć lat krótszym od jego? A gdyby został współnikiem? Co wtedy? Wspólnik nie mógłby związać się z szeregową prawniczką, przynajmniej nie publicznie. Oczywiście w Sullivan, Greenwald zdarzały się randki i romanse, i to wystarczająco często, aby plotki nie cichły, ale pomiędzy współnikami, którzy mogli sobie pozwolić na odrobinę nieprzyzwoitości. Może gdy Alex dotrze na sam szczyt, będzie podrywał gorące pracownice, a nawet praktykantki, ale na Boga, nie w tej chwili. Nie potrzebował teraz żadnych komplikacji. Teraz musiał się skoncentrować.

- Alex - powiedziała z nutą zdziwienia w głosie - gdzie jest Hilzoy? Myślałam, że będziecie...
- Nie ma go. Obawiam się, że nie przyjdzie.
- A co ze spotkaniem?

Wyglądała na szczerze zaniepokojoną, bez cienia urazy, że jej nie zaprosił. Poczul wdzięczność, a jednocześnie wyrzuty sumienia. Chciał coś powiedzieć, coś znaczącego, ale...

-Alex?

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czy się zarumieni. Chciał ją przeprosić i odejść, ale zdał sobie sprawę, że wyglądałoby to dziwnie. Może powinien po prostu wtajemniczyć ją w całą sytuację i skrócić czas oczekiwania na Hilzoya.

- Pomożesz mi jakoś spędzić następne dwanaście minut?

Poszli z powrotem do jego biura i zamknęli drzwi. Opowiedział jej, co się stało i że Alisa pojechała do mieszkania Hilzoya.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Myślisz, że on...

- Nie wiem, co myśleć, ale mam złe przeczucia.

Jego własne słowa go zaskoczyły. Nigdy nie rozmawiał o swoich uczuciach ani o żadnych prywatnych sprawach z nikim w firmie, a już na pewno nie z Sarah. No cóż, był teraz pod wpływem stresu. Sprawa z Hilzoyem - *O, nie. Boże, nie, proszę* - przywoływała jedynie złe wspomnienia. To wszystko.

Rozmawiali dalej. Coś w Sarah, rodzaj empatii w ciemnych oczach, sprawiło, że poczuł się lepiej. Było coś niezwykle uspokajającego w tym, jak na niego patrzyła, dając mu do zrozumienia, że w pełni go rozumie i jest po jego stronie. Czuł, że ona wie, jak to jest wpatrywać się godzinami w drzwi poczekalni, z niecierpliwością oczekując na wieści i jednocześnie obawiając się, jakie one będą.

Odchrząknął i spojrzał na zegarek. Spotkanie miało się zacząć za pięć minut. Hilzoy mógł się teraz pojawić, a i tak byłoby za późno.

Ale się nie pojawi. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Alex czuł przyprowadzający o mdłości ucisk w żołądku. Znał to uczucie. Pamiętał je.

- Lepiej zadzwonię do inwestorów - powiedział.

# Wpadka

Ben schronił się przed deszczem pod jednym z portyków Błękitnego Meczetu, otoczony przez tłum rozgadanych turystów, obserwując z ukosa wyjście z meczetu około piętnastu metrów dalej. Irańczycy weszli do środka jakieś dziesięć minut wcześniej, po wyjściu z hotelu, dokładnie tak, jak przewidział Ben. Z wcześniejszego rozpoznania wiedział, że z meczetu było tylko jedno wyjście, dlatego nie wszedł za nimi do środka.

Ludzie wokół niego konferowali nad przewodnikami w dziesiątkach języków i nieustannie pstrykali zdjęcia strzeżonymi minaretami, masywnymi kopułami i rzędami kranów do ablucji. Ben miał czapkę naciągniętą na czoło, kurtkę zapiętą pod szyję, a jego oddech tworzył przed nim mgiełkę pary. To nie było dobre miejsce do wykonania zadania, zbyt otwarte, zbyt wielu potencjalnych świadków, zbyt blisko miejsca, gdzie się zatrzymał, ale jeśli nadarzy się okazja, skorzysta z niej, dlatego nie chciałby później zostać rozpoznany na jakimś idiotycznym zdjęciu turysty.

Podczas spaceru z hotelu do meczetu naukowcy wyglądali na zupełnie nieświadomych ochrony. Jednak ochroniarze z VAVAK byli w pełnej gotowości. Jeden siedł przed, a drugi za naukowcami, nie pozwalając, aby odległość między ich pozycjami była mniejsza niż siedem metrów. Gdyby zestrzelił jednego z nich z bliska, drugiego musiałby namierzyć z daleka, co prawdopodobnie pozwoliłoby naukowcom uciec. Gdyby najpierw zajął się naukowcami, dałby gościom

z VAVAK dodatkowe sekundy na to, aby zebrać się i zaatakować z dwóch różnych kierunków. Idealnym wyjściem byłoby zdjęcie wszystkich czterech prawie jednocześnie i zniknięcie bez śladu, co agenci VAVAK starali się uniemożliwić.

Poza tym, że byli taktycznie rozstawieni, mieli również świadomość, że mogą być obserwowani, tutaj jednak znajdowali się w niekorzystnej sytuacji. Ben był prawie pewny, jakie miejsca zamierzają odwiedzić - główne atrakcje dzielnicy Sultanahmet i cypla Seraglio - i jakimi drogami tam dotrą, dlatego mógł sobie pozwolić na spuszczenie ich z oczu od czasu do czasu. Dodatkowo miasto było pełne turystów, z których wielu przemieszczało się tą samą trasą co Irańczycy, dlatego spotkanie tej samej osoby kilkakrotnie nic nie znaczyło. Co najważniejsze, blisko połowa z setek ludzi w okolicy kuliła się pod czarnymi parasolami, pochylając głowy, by uchronić się przed deszczem i chłodem, zupełnie jak Ben, co sprawiało, że wyłuskanie z tłumu pojedynczej osoby było piekielnie trudne.

Z drugiej strony, jedna okoliczność działała na niekorzyść Bena: był sam, podczas gdy ludzie, wśród których się ukrywał, chodzili w większości parami lub grupami. Dlatego od czasu do czasu z wystudiowaną fascynacją zagłębiał się w przewodnik, robił notatki na temat meczetu, jego sześciu minaretów, narożnych kopuł z wieżyczkami i specjalnego wejścia dla sułtana, i pstrykał kilka zdjęć, aby jak najbardziej wmieszać się w otaczający go tłum turystów.

Kiedy Irańczycy się pojawili, jeden z naukowców i jeden z ochroniarzy zeszli po schodach i skręcili w lewo, a pozostali dwaj zostali pod portykiem. Ben natychmiast zrozumiał, dlaczego się rozdzielają: naukowiec chciał skorzystać z toalety. Znał łazienkę, do której się udali, i byłaby ona idealnym miejscem do wykonania zadania: mała, na uboczu, u podnóża schodów, na rogu placu otaczającego meczet. Gdyby jednak coś poszło nie tak, mogłoby się okazać, że wykonał

jedynie połowę zadania, lub nawet mniej. Nie, lepiej poczekać na moment, gdy wszyscy czterej będą razem.

Naukowiec i ochroniarz wrócili po kilku minutach. Ben poszedł za nimi do Hagia Sofia i ponownie zaczął przy wejściu, gdy byli w środku. Kolejnym punktem wycieczki okazał się pałac Topkapi. Tym razem jeden z ochroniarzy został na zewnątrz, potwierdzając to, co Ben już wcześniej podejrzewał: ochroniarze z VAVAK byli uzbrojeni. W pałacu Topkapi znajdowała się bezcenna kolekcja inkrustowanych kamieniami szlachetnymi otomańskich mieczy, koron i trónów. Przy wejściu zamontowano wykrywacz metali zapobiegający wnoszeniu sprzętu, który mógłby służyć do rabunku. Ben domyślił się, że mężczyzna pozostający na zewnątrz ma przy sobie oba zestawy broni, podczas gdy drugi towarzyszył naukowcom w zwiedzaniu pałacu. Kusiło go, żeby ukryć gdzieś swojego glocka i pójść za nimi, ale załatwienie wszystkich trzech gołymi rękami stanowiłoby nie lada wyzwanie, nie wspominając o kamerach, tylko jednym wyjściu i strażnikach z pistoletami maszynowymi. Nie, jeszcze nadejdzie lepsza okazja. Czekał więc przed masywnymi bramami, targując się z ulicznymi kupcami, robiąc zdjęcia i co jakiś czas zerkając, czy gość z VAVAK dalej stoi przy wejściu. Obserwował również ludzi wchodzących i wychodzących z pałacu, na wypadek jakiejś kontrinwigilacji. Wywiad nic o niej nie wspominał, ale ten nie zawsze wiedział wszystko, dlatego lepiej było uważać. Tymczasem nie zauważył nic, co by go zaniepokoiło.

Z pałacu Irańczycy udali się na zachód. Zapadał zmierzch. Ben przypuszczał, że wie, gdzie mogą się wybierać: na Kryty Bazar lub na Bazar Egipski. Jeśli miał rację, okazja właśnie się zbliżała.

Schodzili w dół wąskimi brukowanymi uliczkami poprzez przeplatające się plamy słońca i cienia, a ich kroki odbijały się echem od kamiennych ścian, mieszając się z od-

głosami rozmów i śmiechem mijanych przechodniów. Niebo miało kolor sinoszary. Deszcz ustał, ale nadal było wilgotno i zimno; wilgoć lśniła na łuszczących się fasadach sklepów z pamiątkami, straganów z dywanami i kramów z jedzeniem, stłoczonych obok siebie pod zapadającymi się markizami i zardzewiałymi zadaszeniami. Ben trzymał się w odpowiedniej odległości, przystając, kiedy Irańczycy przystawali, i idąc, gdy szli, spokojny i cierpliwy. Wiedział, że okazja wreszcie nadejdzie.

Odgłosy wokół nich zagłuszył nagle *adhan*, wieczorny śpiew muezina wzywający do modlitwy. Arabski Bena nie był tak dobry jak jego farsi, ale rozumiał słowa:

*Allah jest Największy.*

*Zaświadczam, iż nie ma boga poza Allanem.*

*Zaświadczam, iż Muhammad jest Wysłannikiem Allaha.*

*Śpieszcie na modlitwę.*

*Podążajcie po nagrodę.*

*Allah jest Największy.*

*Cześć należy tylko Allahowi.*

Irańczycy zatrzymali się przy małym, niepozornym budynku na rogu, rozpoznawalnym jako meczet jedynie dzięki minaretowi przy wejściu. Naukowcy zdjęli buty i weszli do środka w towarzystwie jednego z ochroniarzy. Drugi czekał na zewnątrz. Ben się uśmiechnął. Może gotowi byli powierzyć Bogu swoją wiarę, ale nie bezpieczeństwo. Przystanął z boku i czekał.

Piętnaście minut później wyszli i skierowali się na północny zachód. *No dalej* - pomyślał Ben. - *Bazar Egipski. Wiem, że tego chcecie.*

Podążali dalej Marpuccular Cad, drogą, która wyznaczała południowo-zachodnią granicę bazaru, i dalej na północny zachód Tahtakale Cad. Zatrzymywali się od czasu



do czasu, aby obejrzeć wyroby z pobliskich sklepików, nie wchodząc jednak do środka. Ochroniarze utrzymywali swoje taktyczne pozycje. *No dalej* - pogańał ich w myślach Ben. Pomimo chłodu czuł, że się poci.

Szedł za nimi aż do Uzuncarsi Cad. Jego oddech zaczął przyspieszać. Było już zupełnie ciemno. Najpierw bał się, że kierują się prosto do mostu Galata, ale teraz wyglądało na to, że będzie dobrze, że jednak idą na Bazar Egipski. Skrócił szelki plecaka i przycisnął dłoń do znajomej wypukłości, pod którą kryła się kabura z glockiem.

Trzymał się ich, aż skręcili w Hasircilar Cad, główną ulicę bazaru. Teraz. To był moment, na który czekał.

Skręcił i rzucił się biegiem wzdłuż Tahtakale Cad, równoległe do ulicy, którą szli Irańczycy. Uskakując przed samochodami i ciężarówkami, unikał chodnika pełnego pieszych. Plecak trzymał się dobrze, pistolet był na swoim miejscu.

Skręcił w lewo w Yeni Cami Cad i jeszcze raz w Cicek Pazari Sok, gdzie jego trasa przecinała się z marszrutą Irańczyków. Rozpychający się tłum przechodniów okazał się na tyle gęsty, że musiał zwolnić. Mijał stragany pełne przypraw uderzających w oczy jaskrawą żółcią, pomarańczem, czerwienią i zielenią w świetle wiszących nad nimi żarówek. Na stołach piętrzyły się stopy owoców, słodczy i ociekających miodem ciastek. Powietrze gęste było od mieszanki aromatów przypraw, kawy i dymu tytoniowego. Przekrzykując zgiełk, handlarze pokrzykiwali ostrzegawczo, manewrując swoimi wózkami pośród grup kupujących.

Na rogu Tahmis Cad i Hasircilar Cad zobaczył ich w odległości około dwunastu metrów, zmierzających w jego kierunku. Serce biło mu teraz szybko. Sprawdził teren wokół siebie i nie zauważył nic niepokojącego.

Przeszedł w lewo, zatrzymując się naprzeciw narożnego okna Kurukahveci Mehmet Efendi, jednej z najstarszych kawiarni w mieście. Ben był tu dziesiątki razy podczas rozpo-

znania i pod każdym z narożnych okien zawsze stało w kolejce ponad dziesięć osób chcących kupić porcję domowej pieczonej fasoli. To był oczywisty przystanek w wędrówce Irańczyków, a nawet gdyby nie zatrzymali się tutaj, musieliby przejść tuż obok niego. Będzie ich widział w oknie kawiarni.

Cofnął się, udając, że ogląda kolorowe naczynia na straganie przylegającym do kawiarni. Naciągnął mocno czapkę i rozpiął kurtkę. Serce waliło mu jak młotem.

Minutę później pierwszy z ochroniarzy pojawił się w narożnym oknie. Obrócił się w prawo i zatrzymał niecałe trzy metry od Bena. Naukowcy stali teraz w kolejce przed narożnym oknem razem z kilkunastoma innymi osobami, czekając na porcję sławnej fasoli od Kurukahveciego. Nie widział drugiego ochroniarza, ale miał pewność, że jest kilka kroków za nimi.

Ben zamknął na chwilę oczy, wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze. I jeszcze jeden oddech. I jeszcze jeden.

Wyciągnął przewodnik z kieszeni i czytając go, wolno przeszedł obok ochroniarza. Nie myślał o tym, co ma zamiar zrobić. Koncentrował się na książce.

Na rogu, przed kawiarnią, spojrział w lewo. Tak jak podejrzewał, był tam drugi ochroniarz, stojący za naukowcami, jakieś sześć metrów od niego.

Spojrzał przed siebie, potem w prawo, gdzie zobaczył jedynie zdezorientowanego turystę próbującego znaleźć drogę. Żadnych problemów.

Wsunął przewodnik do kieszeni i ruszył z powrotem w kierunku pierwszego ochroniarza. Przeszedł obok, nie patrząc na niego. Kątem oka widział, że facet go obserwuje. Teraz nie miało to znaczenia. Było już za późno.

Minął go po lewej stronie, jednocześnie prawą ręką sięgając pod rozpiętą kurtkę. Kiedy był trzy kroki za ochronią-

rzem, pistolet miał już na wierzchu. Odwrócił się przez lewe ramię, robiąc krok prawą nogą, i wymierzył swojego glocka z odległości półtora metra.

Ochroniarz miał jedynie czas, aby otworzyć szeroko oczy. Ben nacisnął spust. Rozległo się ciche paf i na czole ochroniarza pojawiła się równa czarna dziura. Głowa odskoczyła mu w tył, a ciałem wstrząsnął skurcz. Jego kolana ugięły się i ochroniarz osunął się na ziemię. Ben już go mijał. Skręcił za róg.

Naukowcy znajdowali się właśnie przy oknie. Drugi ochroniarz zobaczył, jak Ben zbliża się do nich z pistoletem przy boku i jednoznacznym zamiarem. Zza rogu dobiegł krzyk.

Drugi ochroniarz zareagował w tej samej sekundzie, sięgając pod kurtkę, ale sekunda, którą miał, nie wystarczyła. Ben był zbyt daleko, aby oddać celny strzał w głowę. Chwytał glocka w dwie ręce, wycelował w klatkę piersiową ochroniarza i nacisnął spust. Paf. Siła strzału odrzuciła ochroniarza w tył. Ben nadal szedł w jego kierunku. Strzelił ponownie, w środek ciała, aż ochroniarz się zachwiał. Wycelował jeszcze raz i odstrzelił mężczyźnie lewe oko.

Rozległy się kolejne krzyki i tłum zaczął się rozstępować. Naukowcy odwrócili się od okna kawiarni, zdezorientowani, szukając wzrokiem przyczyny zamieszania. Pierwszy nawet nie zobaczył Bena, idącego w jego kierunku z odległości trzech metrów. Ben strzelił mu w głowę. Drugi miał jedynie czas, by podnieść ręce do góry, chcąc się bronić lub błagać o litość. Ben wpakował mu kulę dokładnie między oczy, mijając jego ciało, zanim jeszcze dotknęło ziemi.

Idąc, rozglądał się na prawo i lewo. Ludzie krzyczeli i uciekali. Nikt nie próbował strugać bohatera, nikt nawet za nim nie patrzył. Wszyscy próbowali jedynie uciec z tego miejsca najszybciej, jak się dało. Trzymał głowę opuszczoną, ale patrzył przed siebie, ściskając glocka przy boku. ...

Nagle wyczul, że coś jest nie tak. Jedna z osób wybijała się z panikującego tłumu. Spojrzał przed siebie i zobaczył zwalistego mężczyznę o słowiańskiej urodzie, który stał bez ruchu i obserwował go. Ben gwałtownie się zatrzymał, a ich spojrzenia się spotkały. Bez wątpienia Słowianin był zawodowcem. Widać to było w jego twarzy, sylwetce i opanowanej postawie.

Stali tak przez jedną, mrozącą krew w żyłach sekundę, starając się odgadnąć zamiar przeciwnika. Wtedy Słowianinowi puściły nerwy. Ruszył w lewo, szybkim ruchem sięgając pod kurtkę. Automatycznie Ben wyciągnął glocka i chwycił go oburącz. Wystrzelił trzy razy, przybliżając się z każdym paf. Słowianin upadł na ziemię. Zdążył jeszcze wyciągnąć broń, lecz za późno. Ben przestrzelił mu głowę z odległości mniejszej niż półtora metra.

Mocno rozszoszczony ruszył wzdłuż ulicy, oglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu ewentualnych problemów. Na Boga, zupełnie gościa nie widział. Skurczybyk stał tam przez cały czas jak jakiś duch. Gdyby uciekający tłum nie zostawił go samego jak drewno na brzegu w czasie odpływu, wcale by go nie zobaczył. A gdyby facet w przeblysku świadomości wyjął broń sekundę wcześniej...

Załadował do glocka pełny magazynek i ruszył dalej. Znał te uliczki z wcześniejszego rekonesansu i pilnował, aby się trzymać tych zaciemnionych, aż znajdzie się z dala od bazaru. Po drodze zdjął sztuczną brodę i wyrzucił do przepelnionego śmietnika. Ściągnął czarną czapkę i zamienił ją na czerwoną. Kurtka była dwustronna, więc zdjął ją szybko, wywrócił na lewą stronę i zamiast niebieskiej miał już na sobie żółtą. Broni miał zamiar pozbyć się później, kiedy będzie już zupełnie bezpieczny.

Zaczął krążyć, podążając w kierunku mostu Galata, znów pośród tłumu pozostającego w błogiej nieświadomości. Planował przejść przez most, złapać taksówkę do dwór-

ca Haydarpasa, wsiąść w pociąg do Ankary, skąd przyjechał i skąd bezpiecznie mógłby wyjechać.

Słyszał syreny oddalające się w przeciwnym kierunku. Powoli wypuścił powietrze. Było dobrze. Nikt go nie śledził i nikt nie mógł powiązać z tym, co właśnie zaszło. Istambuł liczył ponad dziesięć milionów ludzi, więc był jak igła w stogu siana, jak kropla w morzu. Szedł dalej, znów jako niepozorny turysta.

Ale kim, do diabła, był ten facet? Drań prawie go przechytrzył.

Ale jednak nie. Czasem ty zjadasz niedźwiedzia, czasem on ciebie.

*Niedźwiedź.*

Ben się zatrzymał. A niech to, czy to był Rosjanin?

Wyglądał na Rosjanina. Nie był to Wasiliew, tego był pewien. Facet był bez wątpienia zawodowcem, a nie naukowcem czy innym cywilem. Może jednak ktoś skontaktował się z Wasiliewem. Kto inny podążałby za Irańczykami jak duch? I dlaczego zwlekał tak długo z wyciągnięciem broni? Być może myślał, że to nie on jest celem. Albo uważał, że jest bezpieczny, do chwili aż spojrzał Benowi w oczy. Trzeba być szalonym, żeby strzelać do rosyjskiego agenta.

Skurczybyk. Może nie zabił tego Rosjanina, ale miał przecucie, że jakiegoś Rosjanina zabił.

*No cóż, wpadka* - pomyślał. Teraz, gdy było już po wszystkim, ale wciąż czuł w sobie adrenalinę, ta myśl wydała mu się komiczna. Zakrył twarz ręką i cicho się zaśmiał.

Miał nadzieję, że szefostwo nie będzie zbytnio wkurzone.

# Nieprzejednany

Po tym jak odwołał spotkanie, Alex nieco się uspokoił. To było jak bieg do samolotu, który ma zaraz odlecieć - najbardziej stresujące jest, jak biegniesz i jeszcze masz nadzieję, że zdążysz. Kiedy wiesz, że samolot odleciał, możesz się już odprężyć, zaakceptować to, co się stało, i znaleźć jakąś alternatywę.

Tyle że dla Hilzoya nie było alternatywy. Hilzoy był jak bilet na wyprawę, która zdarza się tylko raz w życiu.

Pracował nad kilkoma innymi sprawami, ale nie mógł przestać myśleć o Hilzoyu. Chciał wiedzieć, co stałoby się ze zgłoszeniem patentowym, gdyby Hilzoy przepadł. Prawdopodobnie zostałyby potraktowane jako część majątku i przekazane jego spadkobiercom lub beneficjentom. Ale kim byliby ci ludzie? Alex nie wiedział nic o sytuacji rodzinnej Hilzoya poza tym, że był rozwiedziony i nie miał dzieci. Czy istniał jakiś sposób, żeby uratować całą sprawę bez Hilzoya, mając jedynie patent?

Usłyszał dzwonek komórki i sprawdził wyświetlacz. Numer był zastrzeżony, ale Alex był tak głodny informacji, że odebrał.

- Alex Treven.

- Panie Treven, z tej strony detektyw Gamez z komendy policji w San Jose. Nie przeszkadzam?

Serce Alexa poskoczyło.

- Nie, w porządku. Czy chodzi o Richarda Hilzoya?

Po drugiej stronie nastąpiła cisza i Alex pomyślał, że być może niepotrzebnie to powiedział.

- Popelniono przestępstwo - powiedział Gamez - i byłbym wdzięczny, gdyby przyjechał pan do komisariatu i odpowiedział na kilka pytań.
- Oczywiście - odpowiedział Alex. - Kiedy?
- Najlepiej teraz.
- Oczywiście - powtórzył Alex. - Proszę tylko podać mi adres.
- 201 West Mission. Niech pan wejdzie frontowym wejściem i spyta o detektywa Gameza.
- Powiniennem tam być za pół godziny. Czy mogę tylko zapytać...
- Porozmawiamy na miejscu. Za pół godziny, tak?
- Tak - odpowiedział Alex i połączenie zostało przerwane.

Zaczął porządkować rzeczy na biurku i zdał sobie sprawę, że zachowuje się niedorzecznie. Bał się tego, co może usłyszeć, i szukał pretekstu, aby odwlec tę chwilę. Albo może porządkując biurko, próbował przywrócić porządek wszechświata. *Bez żartów.*

Ruszył w kierunku wyjścia.

- Właśnie dzwonili do mnie z policji - rzucił Alisie, mijając jej pokój. - Muszę jechać na komendę.
- Czy chodzi o Hilzoya? - krzyknęła za nim.
- Dowieśmy się.

Wpisał adres do nawigacji w swoim M3 i ustawił ją na Mill Road 280. Przejeżdżając drogą ekspresową Foothill, przypomniał sobie, że czytał niedawno o rowerzyście, który zginął niedaleko rok temu. Dziwny wypadek, chłopak skęcił kark. To wspomnienie upewniło Alexa, że Hilzoyowi rzeczywiście coś się stało. Z własnego doświadczenia wiedział, że w życiu tak właśnie bywa. Właśnie wtedy, gdy wszystko idzie dobrze, tak że lepiej już być nie może, przeznaczenie lubi nam przypomnieć, jak wszystko jest w rzeczywistości kruche.

Zastanawiał się, dlaczego Gamez do niego dzwonił. Musiało chodzić o Hilzoya. Ale skąd policja wiedziała, że ma do niego zadzwonić? Skąd miała jego numer?

I wtedy zrozumiał. Telefon Hilzoya. Spotkanie z Alexem i inwestorami musiało być zapisane w jego elektronicznym kalendarzu, a Alex dzwonił do Hilzoya jakiś dwadzieścia razy tego ranka. Wszystkie te telefony wraz z numerem Alexa musiały widnieć w rejestrze połączeń.

Starał się domyślić, jak ich spotkanie i wszystkie te połączenia wyglądały dla policji. Zastanawiał się, czy można go uznać za podejrzanego. Jezu.

Komenda główna policji w San Jose z betonowymi budynkami, kątami prostymi w całej konstrukcji i ciemnymi odbłaskowymi oknami wyglądała jak forteca. Dwie ławki przed wejściem przyśrubowane były do betonowego chodnika i w żaden sposób nie rozjaśniały posępnej atmosfery tego miejsca. Nawet drzewa i inne rośliny wyglądały bardziej jak kamuflaż lub dekoracja.

Alex wziął głęboki oddech, wszedł na górę po betonowych schodach, a następnie do holu wewnątrz. Dalej ten sam klimat: kuloodporne szyby, kamery, ciężkie metalowe drzwi, wyglądające na szczyt techniki. Kilkanaście osób posadzono na metalowych krzesłach ustawionych w dwóch rzędach. Wszyscy mieli taki wyraz twarzy, jakiego można się spodziewać u pacjenta czekającego na miłą sesję leczenia kanałowego.

Poczekalnie. Nienawidził ich.

Kobieta, która wyglądała, jakby zajmowała się udzielaniem informacji, stała za wzmocnioną szybą. Alex podszedł do niej i powiedział do interkomu:

- Dzień dobry. Nazywam się Alex Treven. Szukam detektywa Gameza. Jestem z nim umówiony.
- Treven? - zapytała i kiedy Alex skinął potakująco głową, odpowiedziała: - Zadzwonię do niego i pow/iem, że pan czeka.



Po dwudziestu niezbyt komfortowych minutach wewnętrznymi drzwiami wszedł mężczyzna i rozejrzał się po poczekalni. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i dobrze zbudowaną sylwetkę w szarym garniturze i ciemnym krawacie. Krótko przystryżone czarne włosy, karnacja i nazwisko sugerowały, że jest Latynosem.

Alex wstał i spojrzał na niego.

- Alex Treven? - zapytał mężczyzna.

Skinął głową i podszedł bliżej.

- Witam. Detektyw Gamez?

- Tak, to ja. - Mężczyzna nie wyciągnął ręki na powitanie. - Przepraszam, że musiał pan czekać. Cały czas przychodzą do nas nowe informacje dotyczące tej sprawy i jesteśmy ciągle zajęci. Wejdźmy do środka, tam będziemy mogli porozmawiać.

Alex poszedł za mężczyzną. Chciał zapytać o sprawę, ale zdecydował, że lepiej mówić jak najmniej. Poza tym za chwilę i tak dowie się więcej.

Wjechali windą na drugie piętro i przeszli krótkim korytarzem. Alex miał wrażenie, jakby był w budynku rządowym, ale nie wiedział do końca dlaczego. Może z powodu funkcjonalnego charakteru wystroju: jarzeniówki nad głową, podwieszane sufity i gładkie kafelki na podłodze w holu. Minęli kilka pomieszczeń, gdzie przez otwarte drzwi słychać było przyciszone, poważne rozmowy, jak gdyby ludzie tam przebywający ciężko pracowali. Alexa zaskoczył rozmiar budynku, liczba pracowników i ilość środków, które rząd mógłby przydzielić do jakiejś sprawy, gdyby tylko zechciał. Miejsce sprawiało wrażenie nieprzejednanego i Alex poczuł się onieśmielony.

Skręcili w prawo i przeszli przez otwarte drzwi. Widział nad nimi napis, coś w stylu WYDZIAŁ DOCHODZENIOWY. Alex dopiero później zdał sobie sprawę z tego, co oznaczał. Była tam duża sala z podłogą wyłożoną dywanem, a w niej

kilkanaście boksów. W kilku z nich pracowali ludzie, ale nikt nie podniósł głowy, gdy weszli.

Gamez zaprowadził go do małego pomieszczenia po prawej, jakieś dwa i pół metra na dwa. Sufit zawieszony był nisko. W pokoju znajdował się stół, trzy krzesła, i ani śladu cienia w ostrym świetle jarzeniówek. Wszelkie dźwięki z zewnątrz zdawały się tu milknąć i Alex zastanawiał się, czy jest specjalnie wyciszony.

Gamez zamknął drzwi i usiedli naprzeciw siebie. Wyciągnął z kieszeni notes i utkwiał wzrok w Aleksie.

- Gdy rozmawialiśmy przez telefon, zapytał pan, czy chodzi o Richarda Hilzoya. Czemu pan o to zapytał?

Alex był lekko zaskoczony szorstkością detektywa.

- Byliśmy umówieni na ważne spotkanie dziś rano i nie pojawił się. Dzwoniłem do niego wiele razy, a potem wysłałem do jego mieszkania sekretarkę, żeby sprawdziła, czy tam go nie ma. Powiedziała, że budynek jest otoczony przez policję, i usłyszała od zebranych osób, że ktoś został zabity. Przestraszyłem się, że to Richard. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chce mi pan nic powiedzieć? Jestem jego prawnikiem i się martwię.

Gamez patrzył na niego uważnie. Po chwili się odezwał.

- Richard Hilzoy został zamordowany dziś rano na par kingu przed swoim blokiem.

Zamordowany. Alex spodziewał się najgorszego i wydawało mu się, że jest na to przygotowany, ale wiadomość nim wstrząsnęła.

- O rany. Jak... co się stało?

- Mam jeszcze kilka pytań - kontynuował Gamez. - To spotkanie dziś rano, czego dotyczyło?

Alex odpowiadał na pytania Gameza, a ten zapisywał coś w swoim notesie. Kilka razy prosił o wyjaśnienie, a czasem wracał do czegoś, co Alex powiedział wcześniej.

Potwierdził, że to właśnie spotkanie, zanotowane w kalendarzu Hilzoya, i nieodebrane połączenia w rejestrze telefonu doprowadziły policję do Alexa. Alex zdał sobie sprawę, że Gamez nie szuka jedynie ogólnych informacji, ale że on sam jest podejrzanym, i choć wiedział, że nie ma się czego obawiać, denerwował się, siedząc naprzeciw gliniarza, który myślał, że być może parę godzin wcześniej Alex kogoś zabił. W pewnym momencie Gamez zapytał, czy Hilzoy miał do czynienia z narkotykami; handlował nimi lub sam zażywał.

- Nie - odpowiedział Alex. - To znaczy, nie znałem go zbyt dobrze, ale nie widziałem, żeby... nie widziałem żadnych oznak, że mógłby coś brać. Nie wyglądał też na czło wieka, który mógłby nimi handlować. Czy mogę wiedzieć, dlaczego pan pyta?

Gamez wyduł wargi. Nabrał powietrza w policzki i wolno je wypuścił.

- W samochodzie Hilzoya znaleźliśmy pokaźną ilość heroiny.

- Heroiny? Mówi pan poważnie?

Gamez spojrział na niego, a jego twarz zdawała się mówić: *Czy wyglądam, jakbym żartował?* Alex starał się wszystko przetrwać.

- Myśli pan, że został zabity, bo handlował narkotykami?

- Możliwe.

- No tak, ale... dlaczego ten, kto go zabił, nie zabrał narkotyków?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, poczuł, że się wygłupił. Nie był gliną i nie chciał, aby Gamez pomyślał, że próbuje podważyć jego wersję wydarzeń.

Ale policjant tylko wzruszył ramionami.

- Ktoś przeszukał jego mieszkanie. Najprawdopodobniej chodziło o prochy. Ponieważ były ukryte w samocho-

dzie, mógł je przeoczyć. A co z wrogami? Czy Hilzoy miał jakichś wrogów?

- Nie sądzę. Rozwiódł się w zeszłym roku i zdaje się, że było dosyć nieprzyjemnie. Poza tym nic więcej nie wiem.

Po kolejnej godzinie pytań i odpowiedzi Gamez zamknął notes.

- Będę wdzięczny za współpracę - powiedział. - Jeszcze tylko jedno pytanie. Tak naprawdę chodzi o przysługę. Pomoże nam to wyeliminować pewne sprawy i zaoszczędzi dużo czasu. Czy mógłby pan zostawić nam przed wyjściem próbkę DNA?

Alex otworzył szeroko oczy. W pewnym momencie Gamez zapytał, czy był kiedyś w samochodzie lub mieszkaniu Hilzoya. Odpowiedź, dzięki Bogu, brzmiała „nie”, ale teraz Alex zrozumiał, skąd to pytanie.

Gamez znów mu się przyglądał. Alex zdał sobie nagle sprawę, że człowiek ten przesłuchiwał codziennie dziesiątki osób i tylko dziś rano usłyszał prawdopodobnie więcej kłamstw niż Alex przez całe swoje życie.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, jeśli to pomoże. Co miałbym zrobić?

Sprawa była prosta. Podpis na formularzu potwierdzającym wyrażenie zgody i pobranie próbki z wewnętrznej strony policzka. Gamez odprowadził go na dół do wyjścia i wręczył swoją wizytówkę.

- Jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze, proszę do mnie zadzwonić. Przykro mi z powodu pana klienta - dodał, wyciągając rękę na pożegnanie.

Z gestu i słów Gameza Alex wywnioskował, że detektyw właściwie już go wykluczył. Uścisnął mu rękę, mówiąc:

- Mam nadzieję, że złapiecie tego, kto to zrobił.

- Dorwiemy go - zapewnił Gamez i odszedł.

Hilzoy zamieszany w handel narkotykami? Na poziomie, gdzie ludzie się nawzajem o nie zabijają? Nie mógł w to uwierzyć.

No cóż, Hilzoy miał niewiele pieniędzy po rozwodzie. Może był rzeczywiście zdesperowany. Ale żeby aż tak głupi?

A może po prostu puściły mu nerwy. Tak się czasem dzieje z ludźmi, gdy są blisko spełnienia swoich marzeń.

Wsiadając do samochodu, spojrzął jeszcze raz na budynek komendy. Ze swoimi odbłaskowymi oknami wydawał się zarówno niemożliwy do zdobycia, jak i do zrozumienia.

Pomyślał o spokojnym tonie, jakim Gamez powiedział: *Dorwiemy go*. Jego opanowanie powinno było go uspokoić, zamiast tego jednak Alex poczuł na plecach zimny dreszcz.

## Byle się nas bali

Ben spędził trzy dni w Ankarze. Nie spieszył się, bo nie chciał przekraczać granicy państwa do czasu, aż ucichnie ewentualny szum po wydarzeniach ze Stambułu. A szum był na wszystkich kanałach telewizyjnych i w anglojęzycznych dziennikach. Irańczycy zostali zidentyfikowani, ale nie wspomniano nic o ich powiązaniach z obcokrajowcami. Piąty mężczyzna był całkowicie nieznany. Ben podejrzewał, że pracował sam, bez paszportu czy innych dokumentów, i jeśli nikt się o niego nie upomni, pozostanie, przynajmniej dla opinii publicznej, tureckim odpowiednikiem Jana Kowalskiego.

Ben zgłosił się natychmiast do swojego dowódcy w DPSO, wojskowym Dowództwie Połączonych Sił Operacyjnych, Afroamerykanina, który nazywał się Scott „Hort” Horton. Był on legendą w społeczności czarnoskórych należącej do sił operacyjnych, weteranem niezliczonych kampanii zarówno oficjalnych, jak i tajnych, zawadiaką, który jeździł konno z mudżahedinami w Afganistanie, walczył z *contras* w Nikaragui i osobiście prowadził tajne, ograniczone do niewielkiego oddziału polowanie na bin Ladeną w północno-zachodnich, plemiennych terenach Afganistanu. Był to człowiek o nieposzlakowanej opinii wiernego patrioty, którego rodzinna wojskowa przeszłość sięgała aż do Czwartego Czarnoskórego Dziecięcego Regimentu Stanów Zjednoczonych, który walczył z Armią Unii generała Edwarða Orda w decydującej bitwie o Appomattox Court House. Horton był pułkownikiem, podczas gdy Ben jedynie star-

szym sierżantem, ale pomimo różnicy wieku, stopnia i odbytej służby, jak również szacunku, jaki żywił do tego człowieka, Ben zwracał się do niego Hort. Członkowie oddziału mówili sobie po imieniu lub używali znaków wywoławczych, bez względu na rangę. Nie było też salutowania ani zbyt wiele innego wojskowego zachowania. Nie potrzebowali tego. Byli zbyt małym oddziałem, zbyt nieregularnym i zbyt wyspecjalizowanym na całą tę wyglancowaną dyscyplinę i jednoczące okrzyki, które cementowały zwykłe wojsko. I chociaż nie powiedzieliby tego tak opisowo, byli na to również zbyt elitarni.

Każdy z członków oddziału przeszedł ten sam morderczy system przygotowań: oddziały Airborne, formacja Rangers, Special Forces, specjalna jednostka komandosów Delta oraz odpowiednik oddziałów piechoty morskiej lub sił specjalnych marynarki amerykańskiej. Przed zaproszeniem na szkolenie kandydat potrzebował osobistej rekomendacji członka oddziału i przynajmniej trzech potwierdzonych przypadków zabicia kogoś w walce. Większość, podobnie jak Ben, który zaprawiał się w walce w Mogadysz, miała ich na koncie więcej. Wybrani kandydaci przechodzili trening operacji wojskowych CIA, a następnie poddawani byli wielu wyczerpującym testom fizycznym i psychologicznym. Wszystko kończyło się egzaminem zwanym „Finałem”, stworzonym prawdopodobnie przez samego Horta, podczas którego kandydata faszcerowano środkami odurzającymi, zakrywano mu oczy kapturem i wywożono do jednego z krajów Trzeciego Świata, w którym nigdy nie był i którego języka nie znał. Zostawiano go tam bez pieniędzy, paszportu, jedynie w ubraniu, które miał na sobie. Dostawał do wykonania tajne zadanie zagrożone karą więzienia, a następnie musiał wrócić do Stanów Zjednoczonych, pozostając nierozpoznanym. Tylko tych, którzy zdali wszystkie testy, włącznie z „Finałem”, przyjmowano do oddziału. Były tam trzy obszary

specjalizacji: wywiad radiowy, wywiad osobowy i strzelcy. Wszyscy oczywiście posiadali umiejętności również z pozostałych dziedzin, ale Ben był przede wszystkim strzelcem.

Przez lata oddział występował pod różnymi nazwami: Zagraniczna Grupa Operacyjna, Działalność na rzecz Wsparcia Wywiadu, Centra Spike, Szary Lis, i wieloma innymi. Częste zmiany nazw były częścią działań DPSO mających na celu przekonanie rządowych gryzipiórków, że elitarny oddział jest stale reformowany na podstawie najnowszych informacji pozyskanych w wyniku analizy ostatnich zamachów lub innych tajnych operacji. Ambasador protestował, że nie dostał raportu z działalności oddziału, ktoś z Senackiej Komisji Wywiadu lub z Komisji Sił Zbrojnych pytał, co się do diabła dzieje, Pentagon upominał DPSO, żeby byli grzeczni, a DPSO przeproszało i nadawało oddziałowi nową nazwę. Ego zostało połączane, twarz zachowana, a sumienie uspokojone. Jednak sam program się nie zmieniał. Prawda była taka, że im więcej restrykcji Kongres lub rządzący nakładali na „białe” oddziały do zadań specjalnych, takie jak Zielone Berety, tym większe stawało się zapotrzebowanie na „czarne” oddziały, jak te, w których służył Ben. Problem leżał po stronie popytu, a dzięki Bogu istnieli ludzie, którzy znajdowali sposób na zapewnienie podaży.

Ben zdał Hortowi raport na temat operacji w Stambule, dzwoniąc z budki telefonicznej i używając szyfratora, który założył na mikrofon słuchawki. Powiedział mu o Rosjaninie.

- Jesteś pewny, że to był Rosjanin? - zapytał Hort swoim chropowatym barytonem, z wystudiowanym akcentem z wybrzeża.
- Raczej tak - odpowiedział Ben. - Miał słowiańskie kości policzkowe, bladą cerę i ten nijaki wyraz twarzy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Na dodatek stał tam, jakby był nie do ruszenia.



- Aż ty go ruszyłeś.
- Sięgał po broń.
  - Nie martw się, synu, wierzę ci. A nie był to przypadkiem Izraelczyk? Oni by chętnie spróbowali dorwać tych dwóch, których wysłałeś na drugą stronę.

Ben pomyślał o tym. W pewnym momencie zastanawiał się nawet, czy ktoś rozpatrywał przekazanie operacji do Mossadu. Prawdopodobnie tak, ale wtedy Izraelczycy, posiadający w Iranie lepszy wywiad, mogliby odkryć, kto jest wtyczką, a tego nikt nie chciałby ryzykować, choć Izrael był jednym z najbliższych sojuszników Ameryki w budzącej grozę walce z terroryzmem. Dodatkowo w DPSO zawsze był ktoś, kto lobbował za wykorzystaniem zasobów amerykańskich. Ogromnie dużo zainwestowano w szkolenie kreuujące Bena i kilku mu podobnych, a jaki jest sens posiadania psa napastnika, jeśli nie można od czasu do czasu spuścić go ze smyczy?

- Myślę, że był z FSB - powiedział Ben.

FSB to Federalna Służba Bezpieczeństwa, następczyni sowieckiego KGB.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Hort. - Ci goście są jak mafia. A niech to, z tymi wszystkimi byłymi kagebistami, którzy siedzą teraz u władzy, to naprawdę jest mafia.
- Co chcesz zrobić?
  - Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. Ale nie martw się, nawet jeśli to rzeczywiście FSB, nie będzie jednoznaczne, kto to zrobił. Tamci dwaj mieli wielu wrogów.

Wrogami Irańczyków, o których wspominał Hort, byli Izraelczycy. Podczas pobytu w Stambule Ben jadł jedzenie przywiezione bezpośrednio z Izraela. Gdyby operacja nie wypaliła, a on by zginął lub gdyby został schwytany i zażył tabletkę z cyjankiem, którą miał przy sobie, zrobiono by sekcję zwłok i przeanalizowano zawartość jego żołądka. Był to najlepszy sposób, by skierować podejrzenie na Izrael.

DPSO przygotowało jeszcze kilka innych fałszywych wskazówek, ale nie nazbyt ewidentnego. Takich żartów nie robi się przyjaciom, ale Izraelczycy byli realistami i zrozumieliby. Tak czy inaczej, co Rosja mogłaby zrobić Izraelowi, czego dotąd nie zrobiła? Sprzedać broń do Damaszku? Dostarczyć paliwo jądrowe do Teheranu? A co mógłby zrobić Iran? Poprzec Hezbollah? Wysadzić w powietrze kolejną argentyńską synagogę? Tak, przewagą Izraelczyków była ich jasna sytuacja. Wrogowie nie mogli nienawidzić ich bardziej niż dotychczas. Ben żałował, że Stany Zjednoczone nie są równie przenikliwe. Co powiedział Kaligula? *Oderint dum metuant*. Niech nienawidzą, byleby się bali.

Powrócił do czekania w swoim pokoju. Nie wychodził często. Bywały w jego życiu okresy, kiedy spędzał całe dni bez słowa, kiedy świat wokół niego kurczył się do przestrzeni niewiele większej niż ta między ścianami pokoju. Czasami wycofywał się tak bardzo, że jedyną rzeczą, która przywracała go do życia, był dźwięk pagera.

Myślał o nienawiści. Ameryka była znienawidzona przez inne kraje, ale jednocześnie rozumiana. Właściwie uważał, że obcokrajowcy rozumieją Amerykę lepiej niż sami Amerykanie. Amerykanie mieli się za życzliwych, pokojowych ludzi, ale tacy ludzie nie przepływają mórz, aby dostać się na nowe kontynenty, nie zabijają tubylców, nie wypierają innych, obcych sił, nie podbijają suwerennych terytoriów, nie wygrywają wojen światowych i mniej niż dwa wieki od narodzin nie siedzą okrakiem na planecie Ziemi. Życzliwi, pokojowi ludzie to ci, którym to wszystko się przytrafia.

To połączenie łagodnego obrazu samych siebie i brutalnej prawdy sprawiało, że Amerykanie byli tak niebezpieczni. Jeśli atakuje się ludzi, którzy postrzegają siebie jako niewinnych, będących uosobieniem całego dobra, jakie jest na świecie, reagują oni nie tylko złością, ale starotestamentowym moralnym gniewem. Ktoś, kto był tak zdeprawowany,

że ośmielił się zaatakować podobne anioły, tracił prawo do uczciwego wyroku, kary proporcjonalnej wobec winy czy choćby elementarnego miłosierdzia.

Tak, obcokrajowcy nienawidzili amerykańskiej hipokryzji. I to było w porządku, pod warunkiem że wciąż się bali. *Oderint dum metuant.*

Co prawda strach ten miał też swoje minusy. Po tym jak Stany Zjednoczone obaliły Saddama Husajna, nawet najmniejszy wróg Ameryki zdał sobie sprawę, że potrzebuje polisy ubezpieczeniowej, ponieważ gdyby Saddam miał trochę broni jądrowej i wydawał się na tyle szalony lub przynajmniej w minimalnym stopniu zdecydowany, by jej użyć w razie ataku - a kto obstawiałby przeciwko facetowi, który gazuje własnych ludzi? - Stany Zjednoczone z pewnością by ustąpiły. Irańczycy to rozumieli i po części dlatego tak bardzo starali się o własną broń jądrową.

Uśmiechnął się. Ostatnio idzie im trochę gorzej, czyż nie?

Ale zabicie naukowców było jedynie grą na czas. Ameryka to najbogatszy, najbardziej technologicznie rozwinięty kraj, obdarzony najlepszymi systemami informatycznymi i niezrównaną potęgą militarną. Broń nuklearna mogłaby wystarczyć, żeby zaszachować takie mocarstwo, co nie znaczyło jednak, że wrogowie Ameryki nie wypatrywali okazji, by dać jej ostatecznego mata. Chińczycy eksperymentowali z technologią antysatelitarną, szukając sposobu, aby prześcignąć Amerykanów w kosmosie. Dla Rosjan liczyła się tylko wojna cybernetyczna, którą przetestowali, dokonując zmasowanego ataku DoS na systemy komputerowe w Estonii. Irańczycy i inne trzecioliigowe potęgi... kto to wie? W tysiącach garaży, bunkrów i tajnych laboratoriów na całym świecie szukają słabych punktów. Jeśli znajdą, wykorzystają je.

Na szczęście w Pentagonie zatrudniano setki ludzi, których zadaniem było rozważanie wszystkich możliwo-

ści, przewidywanie, monitorowanie i odpieranie ataków. Oczywiście wcześniej byli też ludzie wyznaczeni, aby znaleźć sposób na uchronienie Ameryki przed asymetrycznymi zagrożeniami sprzed jedenastego września. Ale teraz było ich więcej i mieli lepszą motywację. Departament Obrony sformalizował nawet część tych działań, przekształcając 8. Armię Lotniczą w coś, co nazwano cyberdowództwem. Jego zadaniem miało być wyszkolenie i wyposażenie sił do obrony, ataku i budowania przewagi w cyberprzestrzeni. Ben miał nadzieję, że robią swoje.

On w każdym razie robił swoje. Może gdyby jego rodzice nadal żyli, też byliby z niego dumni.

Choć może jednak nie. Zawsze był w rodzinie czarną owcą. Miał w sobie pewną rezerwę, głęboki spokój wewnętrzny, który powodował u rodziców nieokreślone zakłopotanie, a innym dzieciakom wydawał się rodzajem luzu. Dzięki niemu był lubiany i ta popularność, o którą wcale nie musiał zabiegać, która przychodziła bez wysiłku, razem ze znajomymi, randkami i imprezami, równoważyła nieco ten spokój i w pewnym stopniu go maskowała.

Ojciec był inżynierem w IBM i jego rodzina przeprowadzała się trzy razy, kiedy Ben był dzieckiem - najpierw do Yorktown Heights w stanie Nowy Jork, potem do Austin w Teksasie, a w końcu do Portola Valley w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej, niedaleko San Andreas Fault. Ben miał dryg do futbolu i zapasów, a sport był zawsze dobrym sposobem na szybkie zyskanie akceptacji w nowej szkole. Jego młodsza siostra Katie też nigdy nie miała problemów. Była piękną dziewczyną z promiennym uśmiechem i złotym sercem, która darzyła wszystkich całkowicie naturalną sympatią i sama była równie naturalnie lubiana przez wszystkich.

Problem stanowił Alex, najmłodszy z rodzeństwa. Był nieśmiały i spięty wszędzie z wyjątkiem szkolnej klasy, gdzie jako pupilek nauczycieli znał odpowiedź na każde pytanie

i nigdy nie popełniał błędów. Nieustająca potrzeba Alexa, aby pokazać wszystkim, jaki jest mądry, zwracała na niego uwagę szkolnych opryszków, a wtedy to na Bena spadała odpowiedzialność, aby im pokazywać, gdzie ich miejsce. Szkolny opryszek zwykle miał starszego brata, a ten swoich znajomych. Zazwyczaj potrzeba było trzech do czterech bójek, aby Ben wytłumaczył im, że chociaż jego brat był dupkiem, nie można się go czepiać. W tym czasie, gdy musiał ludziom tłumaczyć różne rzeczy, Bena często zawieszano w prawach ucznia. Rodzice byli przerażeni. Żądali wyjaśnień, ale cóż Ben mógł im powiedzieć? Alex ze swymi zdolnościami do nauki był ulubieńcem ojca i starszek nie zrozumiałby, że to właśnie przez ciągłe popisy Alexa Ben miał kłopoty. Kilka razy po tym, jak Ben siłowo interweniował w jego imieniu, Alex mu podziękował, ale Ben nie chciał jego przeprosin, chciał jedynie, aby Alex przestał prowokować ludzi, zachowując się tak, jakby był najmądrzejszy. Ben mówił mu o tym, ale Alex nigdy nie słuchał. I tak to trwało, Ben złościł się na Alexa, rodzice złościли się na Bena, w rezultacie Ben jeszcze bardziej złościł się na Alexa, a Alex, czując respekt przed starszym bratem, był zdezorientowany i rozdrażniony jego rezerwą i gniewem. Pojednawczo działała na nich jedynie Katie. Łagodziła gniew Bena, pocieszała Alexa i tłumaczyła wszystkim rodzicom i chociaż Martin i Judith Treven nigdy nie zaakceptowali upodobania Bena do rozwiązań siłowych, nikt nie mógł gniewać się długo, gdy Katie orędowną w sprawie pokoju.

Wtedy nie zdawał sobie sprawy, jak kruchą rzeczą jest rodzina. Jak domek z kart. Bez wątpienia niektóre karty mogą zostać wyjęte bez naruszania całej struktury. Gdy wyjąć inne, następuje zachwianie. Potem wypada następna karta i dwie kolejne, aż w końcu rozpada się cała konstrukcja. Tak po prostu. A wszystko przez jeden błąd, przez utratę jednej małej karty.

Ale to już nie miało znaczenia. Stało się, co się stało, i teraz, patrząc wstecz, wydaje się, że było to nieuniknione. Nie był to zbiór przypadkowych zdarzeń, ale podstępne i nieuchronne zrzędzenie losu, przeznaczenie. Zastanawiał się czasami, czy wiara w przeznaczenie było tylko trikiem, narkotykiem, który stosował umysł, aby znieczulić wyrzuty sumienia i żal. W końcu jeśli coś nie stało się o to, tak sobie, ale musiało się stać, nie mogła to być nasza wina. Przeznaczenie było jak pociąg towarowy: kto, do diabła, mógł go zatrzymać? Pociągi jadą tam, gdzie prowadzą je tory. Fakt, wtedy to wyglądało jak samochód. Ale tak nie było. W rzeczywistości to był pociąg.

# Smak jedzenia

Sarah wróciła do swojego biura, żeby Alex mógł zadzwonić do inwestorów i odwołać spotkanie. Biedny facet wyglądał na zdruzgotanego. A kto by nie wyglądał? Nigdy o tym nie wspominał, ale wiedziała, że gdyby technologia Obsidiana okazała się tak dobra, na jaką wyglądała, Hilzoy stałby się dla firmy bardzo ważnym klientem. Dla prawnika z sześcioletnim stażem, jak Alex, aspirującego do zostania współnikiem, załatwienie dla firmy takiego klienta musiało być dużą sprawą.

Spędziła dwie godziny, analizując dotychczasowy stan techniki dla jednego z prawników. Nikt jej nie przeszkadzał i cieszyła się z tego - nadal nie była przyzwyczajona do organizowania pracy w przedziałach sześciominutowych i łatwiej było jej skupić się na zadaniu, przeznaczając na nie więcej czasu. Zanotowała godzinę i pomyślała o lunchu.

Wstała i poprawiła żaluzje. W południe słońce świeciło wprost w jej okna, zbyt mocno nagrzewając pokój. Nie żeby narzekała na tę obfitość słońca.

Za oknem trwał mecz odbywający się na terenie, który do niedawna leżał odłogiem, aż w ramach rządowego programu Superfund został zmieniony w boisko. Podniosła lekko żaluzje i przyglądała się przez chwilę grze. Jej okno było niezwykle dźwiękoszczelne, więc nie słyszała meczu, ale wyobrażała sobie, że gracze się śmieją.

Nie, zupełnie nie miała na co narzekać. Biuro z widokiem, we wspaniałej lokalizacji, ładne meble i własna sekretarka. Praca była względnie interesująca, a ona dobra w tym,

co robiła. Również stanowisko nadawało jej pewien status, choć nie powiedziałaaby tego na głos. Do tego zarabiała nieprzyzwoicie duże pieniądze jak na dwudziestosześcioletką. Czasem jednak miała wrażenie, że znalazła się tam przez przypadek. Czy fakt, że jest się w czymś dobrym i zarabia na tym dużo pieniędzy, jest wystarczającym powodem, żeby to robić?

Rodzice śmialiby się z tego pytania, a właściwie często to robili, zanim się nauczyła zatrzymywać wątpliwości dla siebie. Ale oni należeli do innego pokolenia. Poznali się jako studenci w college'u w Ameryce, gdzie musieli przyjechać i studiować, aby podszkolić angielski, jak zwykli robić synowie i córki bogatych Irańczyków z tamtych czasów. Jej ojciec, Emaan, przygotowywał się wówczas do studiów medycznych i miał zamiar zostać okulistą. Jej matka, Aszraf, studiowała dziewiętnastowieczną literaturę angielską i w przyszłości sama chciała zostać wykładowcą na uniwersytecie. Pobrali się jeszcze na studiach. Byli szczęśliwą parą, a ich przyszłość wyglądała obiecująco.

Potem nadeszła rewolucja i zajęcie ambasady Stanów Zjednoczonych. W toku rozmów o wojnie prezydent Carter zamroził irańskie aktywa. Ich rodziny straciły wszystko. Musieli zapomnieć o nauce, aby w jakiś sposób zapłacić za jedzenie i czynsz. Aszraf zatrudniła się jako kelnerka, a Emaan sprzedawał okulary w sklepie optycznym. Ciężko pracowali i oszczędzali, dzieląc dwupokojowe mieszkanie z inną irańską parą, którą dotknęły podobne kłopoty. W końcu odłożyli wystarczająco pieniędzy, aby wykupić sklep optyczny. Teraz byli właścicielami pięciu sklepów w Bay Area, kilku nieruchomości i byli z tego niezmiernie dumni. Gdy kiedyś Sarah wspomniała ojcu, że chciałyby mieć pracę, która zapewniałaby korzyści psychiczne, zaśmiał się i powiedział: „Głuptasie, nie wiesz, że korzyści finansowe to właśnie korzyści psychiczne?”.



Rozumiała, o co mu chodzi. Ale miała teraz więcej możliwości niż kiedyś jej rodzice, możliwości, które oni jej dali. Czy jest coś złego w tym, że chce je wykorzystać? Czyż nie powinna budować czegoś większego na fundamentach, które jej zapewnili?

A poza tym zdaje się, że wyczuła nutę smutku w śmiechu swego ojca.

Próbowała o tym nie myśleć, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że czeka na nią coś lepszego. Gdyby tylko wiedziała co...

I w tym tkwił problem: wszystkie jej marzenia były nieokreślone. Nie wiedziała, czego chce. Kryła się w niej tęsknota, ale nie wiedziała za czym. Było to skrycie destrukcyjne uczucie, być pewnym, że coś na nią czeka, ale nie móc tego wyrazić ani określić. Zastanawiała się, co jest gorsze, sprzeniewierzenie się swoim marzeniom czy bycie zbyt płytkim, żeby je w ogóle mieć.

I wtedy mówiła sobie, że jest niemądra. Liczyła na zbyt wiele, to był jej problem. Powinna cieszyć się ze wszystkich dobrych rzeczy, które ma.

Czasem żałowała, że nie ma siostry lub brata, którym mogłaby się zwierzyć. Ale kiedy przyszła na świat, czasy nie były sprzyjające. Jej rodzice nie mogli pozwolić sobie na kolejne dziecko, a kiedy już mogli, Sarah miała dziesięć lat i nie bardzo chcieli zaczynać wszystkiego od początku.

Jedynym co ją naprawdę interesowało, była polityka. Czytała wszystko na ten temat; gazety, czasopisma, książki, a szczególnie błogi. Było w sieci kilka naprawdę świetnych, a biorąc pod uwagę ich różnorodność i spontaniczność, ufała im znacznie bardziej niż mainstreamowym mediom, które są kontrolowane przez korporacje lub napędzane jedynie chęcią dotarcia do tych u władzy, albo jedno i drugie. Jej pasja do czytania zaczęła się w szkole średniej i z czasem coraz bardziej się rozwijała. Ale co miała zrobić z tą wiedzą?

Wystarczy spojrzeć, jak przeciwnicy Obamy próbowali go oczernić, błędnie sugerując, że jest muzułmaninem. Albo jak zniszczyli w Alabamie irańsko-amerykańskiego biznesmena Alexa Latifi za pomocą złośliwych oskarżeń zapisanych w notesie. Co ludzie mogliby pomyśleć o irańsko-amerykańskiej kobiecie, która była prawdziwą muzułmanką i która uważała niektóre wersy Koranu za nieprawdopodobnie piękne. Na Boga, jej prawdziwe imię brzmiało Shaghayegh, co było nazwą jednego z perskich kwiatów; Sarah było jedynie jej przezwiskiem. Głosujcie na Shaghayegh Hosseini. Bez żartów. Prędzej wyślą ją do Guantanamo, niż wybiorą na jakiś urząd.

Była na pierwszym roku Kalifornijskiego Instytutu Technologii, gdy samoloty uderzyły w Pentagon i WTC. Kontaktowali się z nią rekrutujący ze wszystkich służb federalnych FBI, NSA, CIA i nowo utworzonego Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Wszyscy szukali ludzi, którzy posługiwali się językami muzułmańskiego świata, a nazwisko Sarah, która mówiła płynnie w farsji, wyskakiwało na wszystkich listach w ich komputerach. Intrygowała ją możliwość dostępu do ściśle tajnych dokumentów i szansa zwalczania fanatyzmu zatruwającego kulturę, w której wyrosła. Ale jej rodzice byli temu przeciwni. Przetrwawszy rewolucję i wszystko, co po niej nastąpiło, niezmiernie bali się kolejnych gwałtownych wydarzeń. Państwo Hosseini byli teraz Amerykanami i nie chcieli robić nic, co mogłoby zwrócić uwagę na ich pochodzenie. Rodzice zapewniali ją, że w Ameryce edukacja jest kluczem do sukcesu. Dawno temu pogodzili się z faktem, że Sarah nie miała zamiaru zostać lekarzem i ciągnęło ją w kierunku nauk ścisłych - uczęszczała na zaawansowane kursy w szkole średniej i jako jedna z pierwszych została przyjęta do programu z dziedziny ochrony informacji w Kalifornijskim Instytucie Technologii. Czemu więc nie miałyby pójść na prawo? Z taką mie-

szanką umiejętności mogła robić wszystko. I tak narodził się swoisty kompromis.

Kochała swoich rodziców i chciała, by byli szczęśliwi, ale równocześnie drażniła ją ich obsesja na punkcie edukacji i statusu oraz to, jak używając jej, starali się zrealizować swoje przedwcześnie pogrzebane marzenia. Ziarno goryczy przerodziło się w pierwszy akt buntu - związek z typowo amerykańskim chłopakiem o imieniu Josh Marshall, z którym zaczęła się spotykać na drugim roku studiów, kiedy on był na pierwszym, i z którym w tym samym roku straciła dziewictwo. Josh był miłym chłopakiem, z porządnej rodziny, z widokami na przyszłość, ale nie był Irańczykiem. I chociaż jej rodzice niewiele mogli zrobić, aby ją powstrzymać, wiedziała, że w głębi serca są przerażeni. I o to jej chodziło. Nareszcie robiła to, co sama wybrała.

Romans trwał do ukończenia studiów przez Josha, kiedy wyjechał do Tucson, aby projektować systemy rakietowe dla Raytheon. Tego lata spotkali się jeszcze kilka razy, ale kiedy zaczął się jesienny semestr ostatniego roku, Sarah powiedziała mu, że jest zbyt zajęta, żeby kontynuować związek. Udawała, że bardzo jej żal, ale prawda była taka, że po prostu się nim znudziła. Choć zazwyczaj był asertywny, przy Sarah Josh zawsze czuł się onieśmielony, a w rezultacie niepewny siebie. Wydawało się, że nie do końca wierzy, iż na nią zasługuje, i myślał, że spotykając się z nim, Sarah wyświadcza mu pewnego rodzaju przysługę. Zawsze czuła, że związek ten funkcjonuje na jej zasadach, że ona wszystko kontroluje, a na końcu okazało się, że miała rację.

Scenariusz powtórzył się w szkole prawniczej Berkeley Boalt Hall. Po mniej niż miesiącu związała się ze studentem drugiego roku, kolejnym białym Amerykaninem, Johnem Cole'em. Później, gdy John skończył uczelnię i wyjechał pracować w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie, Sarah, która zdążyła już znudzić się tym związkiem

tak samo jak poprzednim, znów wykorzystała sytuację, aby go zakończyć. Potem zastanawiała się nad swoimi motywami. Obydwaj byli dobrymi chłopakami, przynajmniej w tych podstawowych kwestiach, które powinny cechować dobrego chłopaka. Jednak obaj z pewnością nie zostaliby zaakceptowani przez jej rodziców i każdy z nich pojawił się z czymś w rodzaju daty przydatności do spożycia. Czy postępowwała tak wbrew sobie? I dlaczego miałyby to robić?

Czy ich kochała? Mówiła im, że tak, po tym jak sami zdyszaniem głosem wyznawali jej miłość. Choć darzyła ich dużą sympatią, szczególnie Josha, który był przecież jej pierwszym, nie wiedziała, czy może to rzeczywiście nazwać miłością. Zastanawiała się, czy tym co ją pociągało, była jedynie data przydatności do spożycia czy również mdły smak jedzenia. Może bała się spróbować czegoś, co mogłoby pobudzić jej ukryty apetyt, taki, którego obecność wyczuwała wewnątrz siebie, ale któremu z niewiadomych powodów starała się zaprzeczyć.

Seks był udany, a przynajmniej wystarczająco udany. To prawda, że z żadnym z nich nie zdołała szczytować, ale to nieważne. Sam kontakt był miły, a Sarah lubiła spać z kimś w nocy. A jeśli potrzebowała rzeczywiście odlecieć, zawsze mogła zamknąć drzwi do łazienki, wziąć ciepłą kąpiel, zamknąć oczy i dotykać się dokładnie tak, jak potrzebowała. W swoich fantazjach znajdowała się na końcu sali wykładowej, otoczona tłumem w barze lub na imprezie albo między regałami w bibliotece, późno w nocy. Zawsze pojawiał się mężczyzna, którego twarzy nie potrafiła rozpoznać, ale który ja obserwował. W jego wzroku było coś pochlebnego i jednocześnie aroganckiego. Rzuciła mu wyzwanie, żądając, aby powiedział, kim jest, i nie myślał sobie, że może tak bezkarnie się jej przyglądać. Wtedy mężczyzna uśmiechał się i mówił: *Wiem, czego chcesz*. Wobec takiej arogancji ona wybuchła śmiechem, rzucając coś w stylu: *Czyżby?* Jej śmiech

miał go zbić z tropu, ale zamiast tego on uśmiechał się coraz szerzej i Sarah czuła, że w głębi duszy kpi z niej. Mc o *mnie nie wiesz* - mówiła wtedy. Mężczyzna podchodził wówczas bliżej, oznajmiając, że przeciwnie, wiele o niej wie i może to udowodnić. Jego bezczelność wzbudzała w niej gniew, więc żądała: *Udowodnij*. Podchodził wtedy bardzo blisko, a ona próbowała się cofnąć, ale zawsze coś ją powstrzymywało, aż jego ciało przylegało do jej, a jego usta szeptały do ucha: *Wiem, jak lubisz być dotykana... tak i tak, i tak...*

Potrząsnęła głową i zasunęła żaluzje. Musiała coś zjeść. Może poprosi Alexa, żeby poszedł z nią na lunch. Była ciekawa, czy ma jakieś nowe informacje na temat Hilzoya. A poza tym wyglądał tak, jakby potrzebował towarzystwa.

Był atrakcyjnym facetem i czasem o nim myślała. Prawdopodobnie miał niedługo zostać współnikiem i gdyby wówczas byli związani, musieliby to przerwać. Stłumiła śmiech. Tak, to był facet dla niej. Kolejny przystojny rodowity Amerykanin z odpowiednim CV i konkretnym terminem przydatności. Idealny.

Tak czy inaczej, nie wydawał się zainteresowany, co jak musiała przyznać, sprawiało, że był dla niej nawet bardziej atrakcyjny. Była przyzwyczajona, że to mężczyźni jej pragną. Nie byli dobrzy w ukrywaniu uczuć, a większość z nich nawet nie próbowała. Zabawne było to, że jako dziecko nie była zbyt ładna, z szeroko rozstawionymi oczami i zbyt pełnymi ustami. Dopiero w późnych latach szkolnych jej cechy zaczęły ze sobą współgrać, za co była niezmiernie wdzięczna. Gdyby urodziła się piękna, byłoby tak, jak gdyby urodziła się bogata. Wszystko przychodziłoby jej zbyt łatwo. A w ten sposób wygląd zawsze był dla niej nieprawdopodobnym, niespodziewanym darem, czymś, co przytrafiło się jej przez przypadek, a nie czymś oczywistym.

To niedorzeczne, że interesowała się jedynym mężczyzną w firmie, który nie interesował się nią. Ale posiadał ce-

chy, które lubiła. Po pierwsze, dobrze się z nim pracowało. Zawsze jasno wszystko tłumaczył i nie onieśmiałła go jej techniczna wiedza, jak to miało miejsce w przypadku innych prawników. I z pewnością był poważny. Nawet zbyt poważny - widywała go w jego gabinecie, gdy przychodziła wcześniej lub wychodziła późno i wyglądało na to, że nie ma własnego życia poza pracą. Wydawało jej się, że wyczuwa u niego pewien rodzaj smutku pod zewnętrzną powagą, i to ją intrygowało. Wyobraziła sobie, jak by zareagowała, gdyby wykonał pierwszy krok, i roześmiała się na myśl o tym. Przecież nie był nią zainteresowany i tak pewnie było lepiej.

Ale nie zaszkodzi zaproponować mu wspólnego lunchu. I tak miała zamiar wyjść z biura, zapyta więc o Hilzoya i wspomni, że wybiera się coś zjeść, może w singapurskiej Straits Cafe, więc jeśli jest głodny...

Przeszła korytarzem do jego gabinetu, zajrzała do środka, ale Alexa tam nie było. Jego sekretarka, Alisa, zobaczyła ją i powiedziała:

- Musiał pojechać na komendę.
  - Na komendę? Czy chodzi o Hilzoya? - Sarah uniosła brwi ze zdziwienia.
- Alisa potrząsnęła głową.
- Nie powiedział.
  - Nigdy nic nie mówi, prawda?

Sarah odeszła, postanawiając, że po prostu kupi coś do jedzenia w firmowej stołówce. Tak pewnie będzie najlepiej.

## Smutek wieczności

Następnego ranka Alex przyszedł do pracy o szóstej. Nie spał dobrze, ale przynajmniej wymyślił plan działania. Najpierw skontaktuje się z Urzędem Patentowym. Dyrektorem Centrum Technologicznego 2130, grupy badawczej odpowiedzialnej za kryptografię i bezpieczeństwo komputerowe, był absolwent Uniwersytetu Stanforda Hank Shiffman, z którym Alex przyjaźnił się na studiach. Taki układ był niezwykle korzystny - Hank był na tyle inteligentny, żeby zrozumieć niezwykłość Obsidiana, a jednocześnie znał wewnętrzne procedury patentowe urzędu. Hank i Centrum 2130 nie dostali jeszcze oficjalnie zgłoszenia patentowego, ale Hank nieoficjalnie informował Alexa o postępach od momentu, gdy zgłoszenie wpłynęło do Działu Wstępnej Analizy Patentowej. Ostatnim razem Hank powiadomił Alexa, że wniosek przekazano do Departamentu Obrony w celu sprawdzenia pod kątem bezpieczeństwa narodowego. W przypadku wynalazków związanych z kryptografią takie sprawdzenie stanowiło jedynie formalność i jeśli DO nie wyda rozporządzenia w sprawie poufności, co byłoby uciążliwe, ale w tym przypadku mało prawdopodobne, zgłoszenie niedługo zda wszystkie testy i zostanie przekazane oficjalnemu inspektorowi w grupie Hanka.

W Wirginii, gdzie znajdował się Urząd Patentowy, była właśnie dziewiąta. Alex wykręcił numer Hanka, ale włączyła się automatyczna sekretarka.

A niech to. Hank zwykle bywał w biurze wcześniej. No cóż, może po prostu był w łazience albo gdzie indziej.

Głos nagrany na sekretarkę polecił mu wybrać zero, aby połączyć się z centralą. Tak też zrobił. Chwilę później damski głos zapytał:

- Z kim mam połączyć?

- Chciałbym rozmawiać z Hankiem Shiffmanem.

Nastąpiła przerwa, a później kobieta powiedziała:

- Aha, czy mógłby pan chwilę poczekać?

Alex czekał, zastanawiając się, dlaczego głos kobiety brzmiał niepewnie, skoro sprawa była całkiem zwyczajna.

Chwilę później usłyszał inny kobiecy głos, bardziej gardłowy niż poprzedni. Jej ton był bardziej rzeczowy.

- Dzień dobry. Tu dyrektor Jane Hamsher z Działu Architektury Komputerowej, Programowania i Bezpieczeństwa. Z kim mam przyjemność?

Alex zastanowił się chwilę. Informacje, które przekazywał mu Hank, były poufne i nie chciał, żeby jego przyjaciel miał z tego powodu kłopoty.

- Nazywam się Alex Treven i jestem kolegą Hanka ze Stanford.

Po krótkiej chwili milczenia kobieta powiedziała:

- Rozumiem. W takim razie przykro mi, że to ja muszę przekazać panu tę wiadomość, ale Hank zmarł wczoraj.

Przez dłuższą chwilę Alex myślał, że źle usłyszał. Odtworzył w głowie słowa kobiety jeszcze raz, próbując złapać ich sens. Na próżno.

Wreszcie wykrztusił:

- Co? Jak to się stało?

- Prawdopodobnie był to atak serca.

Alex pomyślał o Hanku, wegetarianinie i królu squasha.

- Ale przecież był całkiem zdrowy. Nie znałem nikogo tak zdrowego jak on.



- Tak, wiem. To był dla nas wszystkich szok. Zdaje się, że miał wrodzoną wadę serca; lekarze nadal próbują ustalić przyczynę zgonu. Wszystkim nam będzie go brakowało. Był dobrym i bardzo zdolnym człowiekiem.

Ton kobiety stał się łagodny. *Cóż, skoro nie żyje, nie mam go przed czym chronić.*

- Chodzi o to, że Hank doradzał mi w sprawie zgłoszenia dotyczącego kryptografii, złożonego przez mojego klienta. Czy jest ktoś inny, kto mógłby poinformować mnie, jaki jest jego aktualny stan?

Po chwili przerwy kobieta zapytała z nutą wątpliwości w głosie:

- Hank prowadził tę sprawę?

- Nie, zgłoszenie nie zostało jeszcze przydzielone do grupy. O ile mi wiadomo, nadal jest w Dziale Wstępnej Analizy Patentowej i podlega inspekcji przez Departament Obrony.

- Jak tylko zgłoszenie przejdzie pomyślnie inspekcję, zostanie przekazane grupie technologicznej, z tego co pan mówi, prawdopodobnie grupie 2130. Wtedy się z panem skontaktujemy.

A niech to. Jako pogrążony w bólu przyjaciel spodziewał się innej odpowiedzi.

- Tak, rozumiem - powiedział. - Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Czas na plan B. Problem w tym, że po śmierci Hilzoya uruchomił już plan B, a ten nie sprawdzał się najlepiej.

To niewiarygodne, najpierw Hilzoy, potem Hank. Jakby Obsidian był przeklęty.

Zastanawiał się, co robić dalej. Musiał się dowiedzieć, kto odziedziczy prawa do patentu, jeśli - a raczej kiedy - zostanie wydany. Powinien również zakasać rękawy i dogłębnie ocenić samą technologię: korzyści, ograniczenia i możliwe zastosowania na różnych potencjalnych rynkach. Do tej

pory Hilzoy był najlepszym rzecznikiem w sprawie Obsidiana, wokół którego można by stworzyć całą firmę. Teraz, gdy już go nie ma, Alex będzie musiał nauczyć się, jak samemu przekonująco o nim opowiadać.

Przeszukał dokumenty Hilzoya i nie zdziwił się, nie znalazłszy żadnych informacji na temat jego rodziny. W porządku, zleci tę sprawę Alisie. Niech skontaktuje się z jego byłą żoną i dowie się, kim są najbliżsi krewni - beneficjenci wymienieni w testamencie lub osoby mające największe szanse na spadek, jeśli Hilzoy umarł, nie pozostawiając testamentu.

W końcu sama technologia. Kiedy Hilzoy odwiedzał biuro, zawsze zostawiał Alisie płytę DVD z zapasową kopią ostatniej wersji programu. Alex wyszedł, odszukał ją i włożył do laptopa. Kiedy program się załadował, ze zdziwieniem usłyszał muzykę dochodzącą z małych głośników komputera. Nie rozpoznał melodii, jakiegoś instrumentalnego kawałka. Słuchał przez chwilę, a potem znalazł polecenie, aby ją wyłączyć.

O gęsią skórkę przyprawiała go świadomość, że Hilzoy słuchał tego, pracując nad Obsidianem.

Zabrał się za uruchamianie kolejnych aplikacji, opisując je w międzyczasie, udając, że rozmawia z inwestorami: *Widzieli państwo, jak szybko Obsidian zaszyfrował pięciogigowy plik wideo? A to nie wszystko. Testowaliśmy go do pięciu tetrabajtów i jesteśmy zdania, że pójdzie jeszcze dalej. I nie tylko w przypadku plików wideo, o nie. Mogą to być dowolne dane. Dowolna platforma. A proces deszyfrujący jest równie szybki. Proszę tylko spojrzeć...*

Pochłonięty tym był przez godzinę, stracony dla świata zewnętrznego. Musiał być w stanie to zrobić. Musiał.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak? - zawołał.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła Sarah.

- Hej - powiedziała, a ton jej głosu i wyraz twarzy sugerowały, że nie jest do końca zadowolona.

- Co się stało? - zapytał Alex. Zaskoczył go jej widok, gdyż myślami wciąż był częściowo przy Obsidianie.

Usiadła i spojrzała na niego.

- Nie przyszło ci do głowy, że inni mogą się martwić tym, co się stało z Hilzoyem?

Alex zmarszczył brwi. Dlaczego nie mogła się zachowywać tak, jak prawnik powinien? Nie mogła tu tak po prostu wpadać, siadać na krześle, jakby ten gabinet stanowił jej drugi dom, i zaczynać go przepytywać.

- Posłuchaj... - zaczął.

Nachyliła się, kładąc łokcie na biurku.

- Wczoraj wypadłeś stąd jak burza i pojechałeś na komendę. O co chodziło?

Alex zmusił się do tego, aby nie zerkać na jej kuszący dekolt. No dobrze, może jednak miała trochę racji.

- Został zamordowany - powiedział.

Nagle już nie była zagniewana.

- O mój Boże, nie mogę w to uwierzyć.

Pomyślał, że powinien jej po prostu powiedzieć, że jest zajęty. Okazać niezadowolony z powodu braku należytego szacunku względem jego osoby. Gdy on zaczynał tu pracę, zachowywał się zupełnie inaczej. Co się z nią działo?

Zamiast tego rzekł:

- W bagażniku jego auta znaleziono mnóstwo heroiny.

Uważają, że chodzi o jakiś interes narkotykowy.

- Heroina? Hilzoy? Nie ma mowy, był maniakiem komputerowym. To nie ma sensu.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Oparła się na krześle, jakby zamierzała jakiś czas tu zostać.

- Policja zadzwoniła do ciebie, bo... uznała, że możesz coś wiedzieć?

Alex najpierw się zawahał, ale szybko się poddał. Hilzoya, potem Hank... to było takie dziwaczne, że musiał z kimś porozmawiać. Opowiedział jej o komórce Hilzoya, która naprowadziła policję na jego ślad, o wizycie w komendzie głównej, nawet o teście DNA. Wcześniej nie planował wyjawiać tak wiele; właściwie to niczego nie planował mówić. Miał wrażenie, że czyniąc to, podejmuje pewne ryzyko, którego konsekwencji do końca nie rozumiał i z całą pewnością nie był w stanie kontrolować. To wrażenie sprawiło, że zakręciło mu się w głowie, a nawet zrobiło niedobrze.

- Powiedziałeś Osborne'owi? - zapytała, kiedy skończył.

- Nie. Do jutra siedzi w Bangkoku. Potem mu powiem.

- Nie będzie chciał wiedzieć od razu? Mógłbyś wysłać mu maila.

Alex wzruszył ramionami.

- Jeśli nie chodzi o jego klienta, Osborne ma coś takiego gdzieś, uwierz mi.

Pożałował tych słów w chwili, gdy je wypowiedział. Zawsze się z czymś takim pilnował - nigdy nie było wiadomo, czy coś niewinnego, po przekazywaniu z ust do ust, nie zostanie przekręcone i wyolbrzymione. Był zły, że Sarah ma na niego taki wpływ.

Ale ona uśmiechnęła się jedynie ze współczuciem.

- No i co się teraz stanie z patentem? Alex przeczesał palcami włosy i westchnął.

- Próbuję się dowiedzieć.

Zerknęła na laptop.

- Tym się właśnie teraz zajmujesz?

- Trochę tak. Funduję Obsidianowi jazdę testową. Próbuję się przekonać, jak sobie radzi bez Hilzoya za kierownicą.

Kiwnęła głową.

- Cóż, gdybyś potrzebował pilota, to powiedz.

Spojrzał na nią, próbując odczytać wyraz jej twarzy. Co konkretnie oznaczała ta propozycja? Chodziło wyłącznie o pracę czy...

Zarumienił się. Do diaska.

- Dzięki - rzekł. - Dam znać.

Uśmiechnęła się i wstała.

- Przepraszam, że tak tu wparowałam. Po prostu byłam naprawdę ciekawa, wiesz?

Alex skinął głową i zmusił się, aby pozostać na swoim fotelu. Nie miał zamiaru odprowadzać jej do drzwi, jakby była współnikiem.

Ponownie obdarzyła go tym ślicznym uśmiechem i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Alex wypuścił z płuc powietrze. Po dłuższej chwili otworzył laptop i wrócił do eksperymentowania z Obsidianem. Ale tym razem nie był w stanie się skupić. Ta cała sytuacja przywoływała bolesne wspomnienia.

Tej nocy, kiedy umarła Katie, Alex chodził do pierwszej klasy liceum Menlo Atherton. Spał. Obudził go telefon. Przez chwilę zastanawiał się w półśnie, czemu ktoś miałby dzwonić tak późno, a potem znowu zaczął odpływać, wiedząc, że ktokolwiek by to był, rodzice się tym zajmą. A potem, chwilę później, w gwałtowny sposób ze snu wyrwał go najstraszniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Nie był może głośny, za to sprawił, że Alex usiadł wyprostowany na łóżku. Trzęsły mu się ręce i nagle z jego ciała odpłynęło całe ciepło.

Dźwięk wydała jego matka. Sześć sylab wypowiedzianych drżącym, nienaturalnie wysokim głosem. Same słowa nie były tak ważne, jak towarzyszące im przerażenie.

- *O, nie. O Boże, nie.*

Alex siedział w bezruchu na łóżku, tuląc do siebie kołdrę, przestraszony jak jeszcze nigdy w życiu. Co mogło sprawić, że jego matka mówiła takim tonem? Kto do nich zadzwonił?

Chwilę później w drzwiach pojawił się ojciec. Włączył światło i cichym, władcym głosem, jakiego Alex jeszcze u niego nie słyszał, polecił:

- Alex, ubieraj się. Musimy jechać do szpitala. Pokręcił głową, nie rozumiejąc. Do szpitala? Kto zachował?

- Tato...

- Natychmiast!

Wsiadli pospiesznie do samochodu ojca, matka z przodu, skonsternowany i przestraszony Alex z tyłu. Ruszyli z podjazdu z piskiem opon. Kiedy wjechali na ulicę, tata skręcił i wcisnął hamulec, a Alexa zarzuciło do przodu. Nie zdążył jeszcze zapiąć pasów. Następnie tata dodał gwałtownie gazu i tym razem wcisnęło go w kanapę. Alex drżącymi rękami zapiął pasy, gdy tymczasem tata dojechał do końca ulicy.

Przez całą drogę prowadził jak szaleniiec, a matka, która zawsze śmiało wyrażała opinie na temat stylu jego jazdy, zwłaszcza kiedy uważała go za niebezpieczny, nie odezwała się ani słowem. Alex nagle poczuł, że musi się wysikać. Wcześniej był tak przerażony i w takim pośpiechu opuścili dom, że w ogóle o tym nie pomyślał.

- Chodzi o Katie - odezwał się ojciec, jakby dopiero te raz przypomniał sobie, że Alex w ogóle nie wie, co się dzieje. Zwolnił na widok czerwonego światła, sprawdził, czy coś nie jedzie, i przejechał dalej. - Miała wypadek.

Alex poczuł, jak w jego oczach wzbierają łzy. W jego głowie rozbrzmiało echo głosu matki i wiedział, że ten dźwięk pozostanie w nim na zawsze.

*O, nie. O Boże, nie.*

- Nie rozumiem - wyjąkała matka. Słysząc było, że płacze. - Gdzie jest Ben? Sądziłam, że mu powiesz...

- Powiedziałem. Miał odwieźć Katie do domu. Powiedziałem mu to wyraźnie.

Alex usiłował zrozumieć, o co chodzi. Wcześniej tego dnia cała rodzina wróciła z Bakersfield z dwudniowych zawodów w zapasach stanu Kalifornia, gdzie Ben wygrał w kategorii wagowej do 78 kilo. Ben był tym tak uszczęśliwiony, że zaskoczył Alexa, ściskając go na oczach całej publiczności. Wieczorem miała się odbyć impreza na cześć Bena, dla drugo- i trzecioklasistów. Alex wrócił więc do domu z rodzicami.

- Może Wally ją odwoził - odezwał się cicho, starając się jakoś pomóc.

Wally Farąhar był chłopakiem Katie. Chodził do trzeciej klasy i miał fajnego czarnego mustanga. Nigdy nie dawał po sobie poznać, że zauważa istnienie Alexa, i ten nie-szczególnie za nim przepadał. Miał wrażenie, że rodzice też nie szaleją za Wallym.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza i Alex się zastanawiał, czy powiedział coś nie tak. W końcu ojciec odezwał się ponuro:

- Wally prowadził.

Przez resztę drogi nikt nie odezwał się ani słowem. Było tak, jakby fakt, że to Wally prowadził, zdecydował o czymś zarówno straszynym, jak i nieodwracalnym.

Alex chciał dowiedzieć się więcej, bał się jednak pytać. Katie miała wypadek... ale nic jej nie będzie, prawda? I dlaczego to nie Ben ją odwoził? Miał niejasne przeczucie, że jego brat zrobił coś złego i że bez względu na to, co to takie-go było, gdyby Ben tego nie zrobił, to wszystko w ogóle nie miałyby miejsca.

Ale może jednak nie miało. Może nadal spal sobie w domu. Może ból pęcherza, szaleńcza jazda ojca, odgłos, jaki wydała matka, może to był jedynie bardzo zły sen.

Ojciec zatrzymał się z piskiem opon przed szpitalem Stanford Medical Center i zgasił silnik. Rodzice wyskoczyli z auta, trzasnęli za sobą drzwiami i do Alexa dotarło, że

nie zamierzają jechać na parking, że zostawiają samochód właśnie tutaj. Skąd miał to wiedzieć? Nikt mu niczego nie powiedział i miał wrażenie, jakby go porzucili.

Wysiadł. Noc była zimna i cicha i z jego ust wydostawała się para, wirując w świetle palących się przed budynkiem sodowych lamp. Fasada szpitala wydawała się jarzyć w otaczających ją ciemnościach i nie było widać, gdzie znajdują się krawędzie budynku. Coraz bardziej czuł się tak, jakby to był sen.

Wbiegł do środka i dogonił rodziców. Ojciec rozmawiał z ciemnoskórą kobietą w okienku, pielęgniarką albo recepcjonistką.

- Katie Treven - mówił. - Jesteśmy jej rodzicami. Gdzie ona jest?

Kobieta spojrzała na leżące przed sobą dokumenty, a potem na ojca Alexa.

- Jest na sali operacyjnej, proszę pana.

*Sala operacyjna.* Oczami wyobraźni Alex ujrzał natchmiast lekarzy w maskach i zakrwawionych fartuchach, skąpane w białym świetle pomieszczenie, tace z błyszczącymi metalowymi instrumentami i pomyślał o Katie w samym centrum tego obrazka, właśnie tu, właśnie teraz...

- Musimy ją zobaczyć - powiedziała mama Alexa. W jej głosie słychać było zarówno przerażenie, jak i stanowczość.  
- Gdzie ona jest?

Kobieta spojrzała na nią i choć jej wzrok nie był pozbawiony współczucia, Alex dostrzegł w nim pewną dozę obojętności. Z pewnością wiele razy miała okazję znaleźć się w podobnej sytuacji i była już do niej przyzwyczajona.

- Proszę pani - rzekła. - Rozumiem, że są państwo zdenerwowani, ale nie można wchodzić do sali operacyjnej. Panują tam sterylne warunki i gdyby państwo weszli, mogli by zaszkodzić córce, zamiast jej pomóc. Proszę usiąść w poczekalni. Wkrótce przyjdzie do państwa lekarz.



Alex patrzył, jak ramiona jego rodziców opadają i we troje oddalili się od okienka, potulni, przerażeni i zniechęceni.

Jakiś nieokreślony smutek wieczności wisiał w tej niewielkiej prostokątnej poczekalni z rzędami tapicerowanych krzeseł, zapachem środka odkażającego i włączonym w rogu telewizorem. Telewizor grał zbyt cicho, żeby cokolwiek usłyszeć. Alex zastanowił się, po co wobec tego jest włączony, ale po chwili już wiedział: po to, aby przypominać ludziom, że to pomieszczenie nie jest całym światem, że bez względu na to co ich tu sprowadziło, istnieje życie poza nim. Zaskoczyła go ta myśl, jej nowo odkryta dorosłość, i z jakiegoś powodu przeraził go fakt, że nagle potrafi coś takiego pojąć.

Znaleźli trzy stojące obok siebie krzesła i usiedli. Alex rozejrzał się. Było tu już kilkanaście innych osób. Nikt nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na Alexa i jego rodzinę. Latynoska tuliła do siebie małą dziewczynkę, wydając ciche, uspokajające dźwięki. O jej ramię oparty był chłopiec, zapewne syn, i spał. Starszy człowiek we flanelowej koszuli jęczał cicho, ściskając zakrwawioną ścierkę. Wszyscy wyglądali tak, jakby znajdowali się tutaj od zawsze i Alex zastanawiał się, czy jego rodzina wygląda teraz tak samo.

Chciał wziąć mamę za rękę, ale zobaczył, że ona i ojciec nie dotykają się, więc może on też nie powinien się wrywać.

- Muszę... muszę iść do ubikacji - powiedział.

Matka kiwnęła jedynie głową i Alex poczuł się natychmiast winny, że musi zrobić coś dla własnej wygod.

Kiedy wrócił, ojciec przemierzał pomieszczenie. Matka siedziała w takim bezruchu, że wyglądała jak wyrzeźbiony z marmuru posąg. Z pewnością miała wystarczająco białą twarz.

Alex usiadł i nie spuszczał z oczu drzwi wahadłowych, które jak zakładał, prowadziły w głąb szpitala. Starał się nie myśleć o Katie, o tym, jak ją teraz operują. Była w stanie narkozy, no nie? Przynajmniej nie cierpiała.

Co jakies dwadzieścia minut ojciec wychodził na korytarz do automatu i dzwonił do domu. Po czwartej takiej wycieczce wrócił i rzekł:

- Dodzwoniłem się do Bena. Już jedzie.

Matka uniosła głowę.

- Gdzie był?

Ojciec pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie chciałem się wdawać w dyskusję.

Chciałem tylko, żeby tu przyjechał.

Niecałe dziesięć minut później do poczekalni wpadł Ben i Alex poczuł się spokojniejszy na widok twardego, szerokiego w barach starszego brata. Ciężko się rozmawiało z Benem i Alex wiedział, że brat za nim nie przepada, ale zawsze go chronił. Alex czuł, że teraz także go ochroni, ochroni ich wszystkich.

- Co się stało? - zapytał Ben. - Co z Katie?

- Gdzie byłeś? - odezwała się mama. Wstała i podeszła do niego. - To ty miałeś ją odwiedzić!

- Co? - zapytał Ben.

Zbliżył się ojciec i chwycił go za ramię.

- Mówiłem ci, po imprezie miałeś odwiedzić ją do domu.

- Nie mówiłeś - odparł Ben, kręcąc głową. - Powiedziałeś, że mam dopilnować, żeby Katie była w domu przed północą.

- A myślisz, że co miałem przez to na myśli? - zapytał ojciec. Jego głos podnosił się coraz bardziej. - Miałeś ją odwiedzić!

Alex się rozejrzał. Przebywający w poczekalni ludzie nie wydawali się już tacy otępiali i przyglądali się rozgrywającemu się na ich oczach dramatowi.

- Myślałem... no wiesz, że ma wrócić do domu przed jakąś konkretną godziną - rzekł Ben. - Jest młodsza. Wally powiedział, że ją odwiedzie, więc uznałem...

Cisza.

- Gdzie jest Wally? - zapytał Ben.
  - Wally prowadził. Nie żyje - powiedział ojciec. Alexa zdjął lęk z powodu surowej nieodwracalności tych dwóch ostatnich słów. Osoba, która do nich zadzwoniła, musiała powiedzieć o tym rodzicom. Ale... jak Wally mógł nie żyć? Alex dopiero co się z nim widział, zaledwie trzy dni temu.
- Ben wyglądał, jakby otrzymał cios w brzuch.
- Katie... Katie powiedziała, że tak będzie dobrze. Głos ojca uniósł się jeszcze bardziej.
  - Uważam, że wyraziłem się najzupełniej jasno, że to ty masz zawieźć siostrę do domu, Ben! Ty!
- Ben wyrwał ramię z uścisku ojca i zrobił krok w tył. Spojrzał na ojca, potem na matkę.
- No co wy, obwiniacie mnie za to? To moja wina?
  - Nie miało jej być w samochodzie Wally'ego! - Po tych słowach matka wybuchnęła płaczem.
- Przez dłuższą chwilę stali wszyscy w bezruchu. Potem Ben odwrócił się i wyszedł.
- Ben! - zawołał ojciec, ale on w ogóle nie zareagował.
- Ben!
- Ojciec zaczął iść za nim. Alex usłyszał, jak wahadłowe drzwi otwierają się, i zobaczył mężczyznę w zielonym stroju chirurga, który zapytał:
- Rodzina Katie Treven?
- Rodzice Alexa podeszli szybko do niego. Ben zawrócił do poczekalni. Przerażony Alex zmusił się, aby wstać.
- Jesteśmy rodzicami Katie - powiedział ojciec Alexa. Głos miał cichy, ledwie poruszał ustami. - Co z nią?
  - Jest na oddziale pooperacyjnym - odparł mężczyzna w zielonym stroju i dłoń mamy Alexa pofrunęła ku ustom, zduszając szloch. Oparła się mocno o ojca, który oddychał ciężko jak lokomotywa. Po jego twarzy spływały łzy.
  - Jestem doktor Rosen - dodał mężczyzna. - Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Zaprowadził ich do niewielkiego, sąsiadującego z poczekalnią pomieszczenia. Stały tam krzesła, nikt jednak nie usiadł.

- Państwa córka doznała poważnego urazu głowy - rzekł doktor Rosen. - Pojawił się krwotok i musieliśmy operować, aby zmniejszyć ciśnienie.

Mama Alexa tak mocno przyciskała pięść do ust, że aż jej drżało ramię.

- Czy ona... - ojciec Alexa nie był w stanie dokończyć.

- Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy. Ale muszę państwa ostrzec, że na tym etapie nie jestem optymistą. Powinniście być przygotowani na najgorsze.

Z gardła mamy Alexa wydobył się wysoki dźwięk przypominający czkawkę.

Alex ponownie poczuł wzbierające w oczach łzy, i tym razem nie był ich w stanie powstrzymać. Zerknął na Bena. Usta brata tworzyły cienką bladą linię. Z ich czwórki tylko on nie płakał.

- Możemy ją zobaczyć? - wyszeptał ojciec.

Doktor Rosen skinął głową.

- Oczywiście. Jest jednak nieprzytomna. Zabandażowana i posiniaczona. Musieliśmy ją także intubować.

Alex rozumiał, że lekarz mówi im to wszystko po to, aby ich przygotować. Cieszył się z tego ostrzeżenia. Pragnął być silny. Może nie potrafił być taki silny jak Ben, ale chciał spróbować i wiedział, że przyda mu się każda pomoc.

Doktor Rosen zaprowadził ich korytarzem do jednoosobowej sali. Ben wszedł za rodzicami. Alex, przerażony i niepewny, zamykał ten mały pochód.

Przez chwilę Alex sądził, że nastąpiła pomyłka, że lekarz przyprowadził ich do niewłaściwej sali. Leżącej na łóżku osoby nie dawało się rozpoznać - głowę miała owiniętą bandażami, usta szeroko otwarte wokół plastikowej rurki, powieki fioletowe i opuchnięte.

I wtedy, pomimo bandaży, sińców i opuchlizny, rozpoznał Katie. Katie. Tym razem łzy nie wezbrały w jego oczach, lecz popłynęły po policzkach prawdziwymi strumieniami.

Jego matka opadła na kolana przy łóżku i ujęła dłoń Katie.

- Moje dziecko - wyszeptła. - Moje kochane dziecko. Moje dziecko.

Ojciec obszedł łóżko i ujął drugą dłoń Katie. Nic nie powiedział. Katie się nie poruszyła.

Alex poczuł, że się poci. Dlaczego było tu tak gorąco? Oddychał bardzo szybko. Nie potrafił się uspokoić.

Ben odwrócił się i spojrzał na niego. Objął go ramieniem i delikatnie wyprowadził z sali.

Stali na korytarzu, nie odzywając się. Alex nie potrafił opanować szybkiego głębokiego oddechu ani przestać płakać.

Oczy Bena pozostawały suche. Zmierzwił włosy młodszego brata.

- Wszystko dobrze?

Alex kiwnął głową, ale współczucie zawarte w tym braterskim geście i głosie sprawiło, że płakał jeszcze bardziej. Po kilku minutach jakoś odzyskał nad sobą kontrolę. Ważne było to, aby nie myśleć, jak Katie wygląda na tamtym łóżku. Jaka wydaje się mała, poraniona i bezbronna. Jaka... nieobecna.

Alex wytarł rękawem twarz.

- Dlaczego jej nie odwiozłeś? - zapytał. Tylko to przyszło mu do głowy.

Twierz Bena zmieniła się nie do poznania.

- Ja... nie... zrobiłem... niczego... złego! - oświadczył, każde słowo wypowiadając coraz głośniej.

Alex znowu zaczął płakać. Ben odszedł od niego.

Jakiś czas później na sali Katie rozległ się sygnał alarmowy. Zbiegi się cały zespół lekarzy i pielęgniarek i rodzice Alexa musieli wyjść. Alex zbyt był przerażony, aby pytać, co

się dzieje. Uznał, że i tak wie, i nie chciał, żeby ktoś mu powiedział, że ma rację.

Ben wrócił. Wszyscy bez słowa przemierzali korytarz.

Alex pragnął, aby ktoś dotknął go tak jak Ben, kiedy go wyprowadzał z sali, wyglądało jednak na to, że każdy jest pochłonięty samym sobą. Jego ojciec jeździł palcami po ścianie, jakby próbował się gdzieś zakotwiczyć. Matka wplotła palce we włosy i wyglądała, jakby zaraz miała je wrywać sobie całymi garściami. Czasami czyjś but zapiszczał na wyłożonej linoleum podłodze, ale poza tym panowała straszliwa cisza.

Alex stracił poczucie czasu. Po jakimś czasie na korytarz wyszedł doktor Rosen. Gdy tylko Alex zobaczył jego twarz, od razu odgadł prawdę - kolejna nowo odkryta, nieprzyjemna, dorosła cecha.

- Bardzo mi przykro - odezwał się lekarz. - Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy. Przykro mi.

Alex zobaczył, jak pod matką uginają się kolana. Ben rzucił się do niej, aby ją podtrzymać. Ojciec powtarzał: o Boże, nie. O Chryste, nie. Doktor Rosen mówił coś o oddaniu organów i że źle się czuje, naciskając, ale Katie mogłaby innym przekazać dar życia, i że decyzję muszą podjąć szybko. Alex usiłował nie myśleć, co to znaczy, że mogą zabrać organy Katie, ale nie był w stanie się powstrzymać.

Rodzice weszli do środka, aby się pożegnać. Ben wahał się przez chwilę i Alex pomyślał, że może nie chce zostawić go samego. Ale wtedy Ben odwrócił się do niego plecami i wszedł na salę za rodzicami. Alex zastanawiał się, czy to dlatego, że jest zły za jego wcześniejsze słowa. Ale dlaczego nie odwiózł Katie? To on miał to zrobić, tak powiedział tata. Dlaczego?

Alex został na korytarzu. Nie potrafił wejść tam ponownie. Po prostu nie potrafił. Nie chciał widzieć siostry martwej. Żałował, że w ogóle tam wszedł. Nie był w stanie wyrzucić z głowy jej widoku.

Resztę nocy pamiętał jak przez mgłę. Rodzice klócili się o organy Katie. Ojciec twierdził, że tego właśnie chciała-by Katie, i pytał, jak by się czuli, gdyby to jej potrzebny był przeszczep? Matka krzyczała, że nie zamierza rozcinać swojej dziewczynki. Ostatecznie nie podpisali formularza. Alex w głębi duszy poczuł ulgę.

W kolejnych dniach nastąpiły dalsze kłótnie i choć najczęściej dochodziło do nich za zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców, Alex i tak dużo słyszał. Ustalenia związane z pogrzebem. Gdzie Katie powinna zostać pochowana. I znowu kwestia organów, choć musiało być już na to za późno. Najczęściej jednak chodziło o Bena i to, że jej nie odwiózł, i czy tata kazał mu to zrobić.

Alex nigdy dotąd nie słyszał, aby rodzice tak się klócili, i to go przerażało. Zastanawiał się, czy to możliwe, aby się nawet rozwiedli. Miał znajomych, których rodzice byli rozwiedzeni, ale nigdy nie sądził, że coś takiego może przytrafić się jemu. Zawsze wyglądało na to, że rodzice się kochają.

Nabożeństwo pogrzebowe odprawiono w Kościele Wspólnotowym Ladera, a pochowano Katie na cmentarzu Alta Mesa w Palo Alto. Na pogrzebie pojawiło się ponad pięćset osób - nauczyciele, sąsiedzi, znajomi Bena, znajomi Alexa, cała druga klasa. Wszyscy kochali Katie.

*Daj spokój - pomyślaj teraz. - Porzuć temat. Skup się.*

Ale miał problem ze skupieniem się. Prawda była taka, że złe wspomnienia nigdy nie umierają. Nie, w najlepszym wypadku czekają spokojnie na odpowiednią sytuację, gdy będą mogły wyskoczyć jak diabeł z pudełka i zakrzyknąć: *Tęskniłeś za nami? Nie przejmuj się, nadal tu jesteśmy! I nigdzie się nie wybieramy. Nigdy przenigdy.*

Ciekawiło go, czy tak samo się dzieje w przypadku innych ludzi. Czy w sytuacji stresowej każdy zmaga się z czymś takim?

Przez chwilę myślał o Benie, o tym, czy jego też to czasami dręczy. Taaa, jasne. Ironia była dojmująca - człowiek, który to wszystko spowodował, włącznie z tym, co wydarzyło się później, najpewniej spał w nocy jak dziecko.



# Król świata

Ben zaczynał się nudzić w Ankarze. Czekanie na cel to j edno, do tego akurat miał cierpliwość snajpera. Ale czymś zupełnie innym było czekanie na informacje. Hortowi nadal nie udało się niczego dowiedzieć na temat tamtego Rosjanina, o ile koleś rzeczywiście był Rosjaninem, i kazał mu czekać, aż sprawa się wyjaśni. Czytał więc i dwa razy dziennie ćwiczył, no i trochę zwiedzał.

Musiał przyznać, że cytadela w Ankarze robi wrażenie. Pewnego ranka udał się tam ni z tego, ni z owego. Leżała na wzgórzu wysokim na tysiąc metrów, a położone poniżej miasto było niewidoczne, spowite mgłą. Pomyślał o ludziach, którzy ją zbudowali, a których już nie było i którym udało się postawić coś takiego na górze w czasie, jaki im wyznaczono na to zadanie.

Pomyślał o rodzicach. *Widzicie? Ukulturalniam się. Mówilem wam, że tak będzie.*

Uśmiechnął się. Jego definicja ukulturalniania się zawsze różniła się od ich. Odkąd zaczął w liceum przebąkiwać o wojsku, rodzice byli temu zdecydowanie przeciwni. Ojciec chciał, aby Ben - który w przeciwieństwie do brata nie wykazywał żadnych zdolności w naukach ścisłych - został prawnikiem. Dla Bena taka perspektywa była równie atrakcyjna jak propozycja lobotomii.

Ojciec naciskał, aby ubiegał się o przyjęcie na studia.

- Czemu nie zostawić sobie otwartej furtki? - przekonywał. - Warto mieć wybór. Jeśli się dostaniesz na dobrą

uczelnię, możesz to wykorzystać. A do wojska zawsze możesz iść później, jako oficer. Wtedy miałbyś zarówno korzyści płynące z wyższego wykształcenia, jak i wojsko.

Ben wiedział, co ojciec naprawdę myśli: *Zanim skończysz studia, wyrośniesz z tych niedorzeczności.* Próbował po prostu utrzymać Bena na „właściwej” ścieżce tak długo, aż na dobre zapuści tam korzenie.

Podczas meczów futbolu i zapasów pojawiali się reprezentanci różnych uczelni i wiedział, że interesują się nim w Stanford, Berkeley, Michigan, Penn i kilku innych miejscach. Nie miał jednak za dobrych ocen. Uznał, że może składać podanie na kilka uczelni, aby zadowolić ojca, ale że ostatecznie i tak nic z tego nie wyjdzie. Wtedy będzie mógł powiedzieć: *Hej, spróbowałem, ale się nie udało. Witaj, armio.*

Niemal mu się udało. Ale jego staruszek zasiadał w radzie powierniczej Stanford, uczelni, która jak się akurat złożyło, najbardziej interesowała się futbolowymi zdolnościami Bena, i pociągnął za kilka sznurków. Bena przyjęto. Wtedy ojciec zaczął nową śpiewkę: W Stanford będzie super. Pozwolą ci grać od razu, a gdzie indziej musiałbyś czekać do drugiego roku. Poza tym to świetna uczelnia, a wykształcenie przyda ci się, kiedy już zostaniesz oficerem.

Ben wiedział, że ojciec ma rację, ale nie bardzo miał ochotę studiować tak blisko domu. Prawdę mówiąc, miał ochotę znaleźć się daleko od domu, bardzo daleko. Nie do końca potrafił wyjaśnić dlaczego. Nie chodziło o to, że nie kocha rodziny, poza tym w Zatoce dobrze się mieszkalo, a Stanford to dobra uczelnia i owszem, mógł grać tam w futbol i uprawiać zapasy, ale... chciał po prostu czegoś więcej dla siebie, czegoś nowego, czegoś, w czym byłby dobry, a co z całą pewnością nie było przeznaczeniem ojca ani Alexa. Było w nim coś wyjątkowego, czuł to, a studiowanie na uczelni pięć kilometrów od domu, w którym się wychowywał... nie było czymś właści-

wym. Byłoby to zdradzeniem samego siebie, choć nie rozumiał do końca, na czym ta zdrada by polegała, a tym bardziej nie umiałby wyjaśnić tego ojcu. Postanowił, że chrzanić to, nie wybiera się na Stanford ani nigdzie indziej; to było jego życie i zamierzał iść do wojska. Rozmawiał z osobą zajmującą się rekrutacją i dowiedział się, że mógłby otrzymać miejsce w oddziale powietrznodesantowym, który stanowił trampolinę do Batalionu Komandosów, skąd z kolei mógłby trafić do Sił Specjalnych. O tym ostatnim zawsze marzył i wiedział, że byłby w tym najlepszy. Nauczyłby się języków, przeżywał przygody takie, których zwyczajni ludzie nie są nawet w stanie sobie wyobrazić. Postanowił, że rodzicom powie o tym zaraz po zawodach. Miał podczas nich stanąć w szranki z najlepszymi zapaśnikami z Kalifornii i nie mógł sobie pozwolić na nic, co by go rozpraszało.

Został rozstawiony z numerem ósmym, co znaczyło, że w pierwszej rundzie zmierzy się z zawodnikiem rozstawionym najwyżej, niepokonanym Musamano, który miał posturę byka. Nikt nie sądził, aby Ben doszedł choćby do półfinałów. Ale Ben dużo rozmyślał o tym, co przeciwnicy o nim wiedzą i czego się będą po nim spodziewać. Znany był jako specfacet od chwytu za nadgarstek i od nelsona, efektywny, ale bez fajerwerków. Normalny. Nieco przewidywalny.

Zaczął się zastanawiać, co by zrobił, aby pokrzyżować szyki komuś, kto walczy tak jak on. Ramiona sztywno, pomyślał. Dłonie na macie, głowa w górze. To nie daje szansy ani na chwyt za nadgarstek, ani na nelsona.

Ale taka pozycja musiała stwarzać nowe słabe punkty, no nie? Im dłużej o tym myślał, tym większą zyskiwał pewność, że mógłby zaskoczyć przeciwnika wózkami. Z dłońmi na macie i głową w górze, szykując się na spodziewanego nelsona albo chwyt za nadgarstek, byłiby bezbronni.

Nie chciał, aby ktokolwiek się dowiedział, co zamierza, więc ćwiczył nowe ruchy w domu, na ojcu i Aleksie. Ojciec

nie miał do tego zbyt dużej cierpliwości, ale się starał. Alex był zbyt mały i nie miał doświadczenia, ale Ben mógł go wykorzystywać jako worek treningowy. Mówił bratu, co zrobić i jak się ruszać, próbować uciec i opierać się w taki albo inny sposób. Alex narzekał na otarcia od dywanu, ale trzeba mu przyznać, że nigdy nie odmawiał. I kiedy nadszedł pierwszy dzień zawodów, Ben czuł, że jest gotowy.

Musamano położył go od razu w pierwszej rundzie. Ale Ben podniósł się w ułamku sekundy, Musamano zaś przygotował się na jego atak dokładnie tak, jak Ben miał nadzieję. Lewą ręką wykonał chwyt *crossface*, a prawą wsunął głęboko pod prawe ramię przeciwnika, obracając ją zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zaskakując go, obracając nim. Prawa ręka Musamano zachwiała się i stracił jedną czwartą stabilności. Ben usłyszał ryk tłumu i poczuł, jak coś w nim wzbiera: to skutkowało! Ale odsunął od siebie podeksycytowanie. Jeszcze go nie dopadł.

Wzmocnił chwyt jeszcze bardziej, napierając tak mocno, że czuł na przedramieniu policzek Musamano i odznaczające się pod nim zęby. Musamano chrząknął i wyprostował prawą nogę, aby się przygotować. Teraz albo nigdy. Ben spuścił prawą dłoń za prawe kolano przeciwnika i zmienił kierunek, przelatując nad plecami Musamano i lądując obok niego po prawej stronie. Prawą dłoń zanurzył głębiej i zacisnął ją na jego lewym nadgarstku, głowę pchał w stronę prawej stroni Musamano i próbował obrócić się w prawo. Czuł, jak Musamano ciągnie go w drugą stronę, i przez chwilę sądził, że siła nacisku jest niewystarczająca, że zaraz straci chwyt. Ale po chwili Musamano się ruszył, przeleciał nad Benem i wylądował na macie, na łopatkach. Wózek jak należy. Ben usłyszał kolejny ryk tłumu, tym razem głośniejszy, i Musamano szarpnął się i wygiął, ale Ben jeszcze mocniej nacisnął, zmuszając łopatki przeciwnika do wbicia się w matę.

Wepchnął kolano pod dolną część pleców Musamano i zacisnął zęby, dociskając i dociskając. Tłum już nie tylko krzyczał, ale i głośno tupął, Ben ledwie był tego świadomy. Nawet jeśli usłyszał gwizdek, to nic sobie z tego nie robił i dalej przyciskał ramiona Musamano do maty, dusząc go, próbując go unieruchomić albo zabić, było mu wszystko jedno. Nagle poczuł, jak jakieś silne dłonie chwytają go i odciągają, i dopiero wtedy dotarło do niego, co zrobił. Pokonał Musamano. Było po wszystkim, wygrał.

Rozluźnił chwyt i wstał. Drżały mu ramiona. Widownia szalała. Zobaczył, że nawet jego zazwyczaj powściągliwi rodzice stoją, wymachując nad głowami dłońmi zacisniętymi w pięści i krzycząc ile sił w płucach. Alex i Katie podskakiwali i również krzyczeli. Uśmiechnął się szeroko i spojrział na Musamano. Zapaśnik wstawał powoli z maty. Wyglądał na oszalonego. Wyglądał na pokonanego.

Sędzia ujął ich nadgarstki, zaprowadził na środek maty i uniósł rękę Bena. Tłum ponownie oszalał. Ben nie potrafił się przestać uśmiechać. Zrobił to. Pokonał Musamano. Czuł się jak król świata.

Po wstrząsającej pierwszej rundzie inni przeciwnicy byli skołowani. Widział to w ich oczach i postawach, gdy wkraczali na matę. Na litość boską, był facetem, który pokonał Musamano, i choć na jednych z zajęć dowiedział się, że jeśli  $A$  bije  $B$ , a  $B$  bije  $C$ ,  $A$  bije  $C$  to błędne przekonanie, wiedział, że ludzie i tak święcie wierzą, że to prawda. I tak wygrywał przez resztę zawodów. Nikt nie był w stanie go powstrzymać.

To były dwa najlepsze dni w jego życiu.

A potem. A potem. A potem.

Odgonił od siebie tę myśl. Przynajmniej jego rodzice chcieli dobrze. Jednak pieprzony Alex nigdy nie powiedział: „W porządku, Ben” ani: „To nie była twoja wina, Ben”, ani: „Wiem, że ciebie też to strasznie boli, bracie”.

Cóż, do diabła z nim. Kiedy ostatni raz rozmawiał z Alexem, brat robił studia prawnicze. A wcześniej doktorat z komputerów czy jakoś tak. Tyle tytułów i co udało mu się osiągnąć? Nigdy nigdzie nie jeździł, nigdy tak naprawdę nie opuścił domu. Teraz jest pewnie nadzianym prawnikiem, ignoranckim, niewdzięcznym japiszonem, który nigdy nie zniży się do takiego poziomu, aby spojrzeć na żołnierzy. To była jedyna dobra rzecz w odejściu rodziców i Katie. Już nigdy nie musiał mieć do czynienia z Alexem.

## Nawiedzony dom

Alex zbyt dużo czasu poświęcił Obsidianowi i musiał zostać w biurze niemal do północy, żeby nadgonić inną pracę. W domu od razu położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Przez godzinę przekręcał się z boku na bok i nie robił się ani trochę senny. W końcu uznał, że ma dość i że weźmie gorącą kąpiel. Czasami pomagała.

Przez okna zaglądał księżyc, nie zapalił więc światła. Odkręcił kran, następnie wszedł do wanny i skrzywił się, gdy gorąca woda zaczęła się wspinać po nogach do brzucha.

Zakręcił kran i w łazience zrobiło się nagle cicho. Ciszę przerwało jedynie kilka ostatnich kropli, które skapnęły z kranu do wody.

Opryskał gorącą wodą porcelanę za sobą, aby ją nieco ogrzać, po czym się oparł. Opadał w dół, aż brodą dotknął wody. Zamknął oczy, myśląc, że tak jest dobrze, że tego właśnie było mu trzeba. Po kilku chwilach kapanie ustało i zapadła idealna, niczym niezmacona cisza.

Zabawna była myśl, że to ta sama wanna, w której mama myślała ich jako dzieci. Niektórzy uznaliby za dziwaczny fakt, że nadal mieszka w domu, w którym się wychowywał, i przypuszczał, że ich rozumowanie nie byłoby pozbawione racji. Podczas studiów nigdy nie musiał wyjeżdżać z rodzinnego miasta, zmieniał tylko akademiki, co z dzisiejszej perspektywy stanowiło jedynie przerwę, wakacje od tego domu, jego jedyne prawdziwego. Czasami uważał, że powinien być więcej ryzykować, zbadać także inne możliwości. Ale tacie przytrafiło się to, co się przytrafiło, potem mama za-

chorowała, i z jakich okazji miał korzystać? A jeśli chodzi o mieszkanie w tym domu, cóż, no dobrze, można powiedzieć, że to była bezpieczna alternatywa. Z drugiej jednak strony, po wszystkim, co się tutaj wydarzyło, wymagało to także niemało odwagi.

Po pogrzebie Katie on i Ben wrócili do szkoły. Alex skupił się na nauce, Ben każdego dnia trenował. Nieobecność Katie była dojmująca - przytłaczająca, stała, niemal fizyczna siła, próżnia dotykająca ich całego życia. Kurtka Katie na wieszaku w holu, powoli pokrywająca się kurzem. Szampon Katie pod prysznicem, niezmienną się ilość bursztynowego płynu w butelce. Puste krzesło Katie wpatrujące się w nich podczas posiłków. Alex uważał, że właśnie z takich sytuacji pochodzi przekonanie o istnieniu duchów, że tak się właśnie mieszka w nawiedzonym domu.

Niektóre z kłótni, które podслуchał, dotyczyły tego, co zrobić z rzeczami Katie. Pewnego dnia wrócił do domu i okazało się, że jej pokój jest pusty - biurko, krzesło, goły materac i łóżko. Alex zamknął za sobą drzwi i zajrzał do szafy, do szuflad. Puste. Było tak, jakby Katie po prostu... zniknęła.

Rozejrzał się osłupiały po pustym pokoju. Przypomniało mu się, jak kiedyś, kiedy był mały, oderwał rękę jednej z należących do Bena figurek G.I. Joe, tej, której brat zabronił mu dotykać. Przerazony udał się do Katie. Pamiętał, jak uśmiechnęła się do niego, otarła łzy i pomogła przykleić rękę. I nie, oczywiście, że nikomu nie powie, nawet mamie i tacie, słowo honoru. A kiedy Ben i tak to zauważył i naskoczył na Alexa, Katie powiedziała, że to jej wina, że to ona zrobiła. I Ben odpuścił. Alex zastanawiał się, czy Ben wiedział - no bo co w końcu Katie robiłaby z jego G.I. Joe? - i pomyślał, że może Ben nie potrafił się gniewać, kiedy interweniowała siostra.

Opadł na kolana przed łóżkiem, skrył twarz w pozbawionym prześcieradła materacu i szlochając, wypowiadał jej imię raz po raz. Gdzie ona się podziała? Jak mogła odejść,



nie zostawiając żadnego dowodu, że w ogóle tu była? To niemożliwe. To wszystko nie mieściło mu się w głowie.

Plakał, aż rozbolewały go gardło i głowa, aż był tak wyczerpany, że nie mógł czuć niczego więcej. Wtedy wstał i jeszcze raz rozejrzał się powoli po pokoju.

Katie odeszła. A skoro coś takiego przytrafiło się Katie, która była najradośniejszą i najlepszą osobą, jaką Alex znał, która wszystkich lubiła, ze wszystkiego się śmiała i nie miała ani jednego wroga - to najłagodniejsze, co można było powiedzieć o wszechświecie, to że działał na oślep.

Ale coś takiego było jedynie możliwością logiczną. W głębi duszy Alex czuł zupełnie coś innego. Wiedział, że wszechświat nie działa na oślep, że nie jest ani obojętny, ani łagodny.

Wszechświat był wrogi. W starciu z nim nie można było liczyć na nikogo. I on, Alex, miał o tym nigdy nie zapomnieć.

Leżał w wannie przez dwadzieścia minut i akurat pomyślał, że tyle wystarczy, że teraz w końcu zaśnie, kiedy usłyszał coś na dole. Zabrzmiało jak poruszona w drzwiach szpara na listy. Obecnie nigdy nie bywał w domu, kiedy przychodziła poczta, ale pamiętał ten odgłos z dzieciństwa. Tym razem zabrzmiało to ciszej - bardziej ukradkowo? - niż zapamiętał, jednak od razu rozpoznał ten dźwięk.

Usiadł. E tam, daj spokój. Nikt o drugiej w nocy nie zagłada przez szparę na listy. Był po prostu podenerwowany i tyle, zresztą dlatego właśnie siedział teraz w wannie.

No dobrze. Zachowywał się niemądrze. Mimo to przez chwilę siedział w zupełnym bezruchu, oddychając bezgłośnie przez usta, z przechyloną głową, koncentrując się na słuchaniu.

Nic. Cisza. To rzeczywiście niemądre z jego strony.

Zamknął oczy i zsunął się do wody. Może poleży jeszcze parę minut.

Usłyszał z dołu cichy stuk.

Usiadł i znowu zaczął nasłuchiwać.

*To stary dom. Podłoga pracuje. Jak często budzisz się o drugiej w nocy i coś słyszysz? Takie właśnie dźwięki wydaje dom o tak późnej porze.*

Wypuścił długo wstrzymywany oddech. Chryste, ale się zrobił nerwowy. W tym stanie to chyba całą noc będzie musiał spędzić w wannie.

Znowu coś usłyszał. Ciche szuranie, odgłos gumowej taśmy uszczelniającej przesuwającej się po metalowym progu. *Drzwi wejściowe.*

Nagle serce waliło mu tak głośno, że odbijało się echem w jego uszach. Niemal zawołał: *Kto tam?* Ugryził się w język. *A kto by to mógł być?* pomyślał, walcząc z narastającą paniką.

Włamywacz. Nie istniało inne wyjaśnienie. Gdyby krzyknął, mógłby go spłoszyć. Ale gdyby się tak nie stało...

Nie myśląc, położył drżącą dłoń na skraju wanny i podniósł się bezgłośnie. Woda spływała z niego na podłogę i nagle zrobiło mu się zimno. Zastanawiał się gorączkowo, czego mógłby użyć jako broni. Noży z kuchni. Kijów do golfa z garażu.

*Tutaj, do diaska. Tu coś musi być.*

Serce waliło mu jak młotem. Z całych sił próbował odzyskać kontrolę nad oddechem.

W szafce pod umywalką znajdowały się środki czystości. Nie wiedział dokładnie jakie, zajmowała się tym gospośnia. Ale coś mogło się nadać. Gdyby tylko zachowywał się cicho, bardzo cicho...

Ponownie usłyszał dźwięk gumy przesuwającej się po metalu. Drzwi wejściowe, tym razem zamykane.

Zamknął drzwi do łazienki i cicho przekręcił klucz. Nawet gdy to robił, wiedział, że to bez sensu. Ale miał to gdzieś. Potrzebował bariery, jakiegokolwiek bariery. Nie śmiał zapalać światła - widać by je było przez szparę pod drzwiami.

Opadł na kolana przed szafką i otworzył ją. W środku było ciemno. Trzęsącymi się rękami zaczął macać. Papier toaletowy. Kostka mydła. Plastikowa butelka.

Wyjął butelkę i przekręcał ją, aż zobaczył etykietę. Środek do mycia toalet.

Odstawił ją, myśląc: *No dalej, no dalej...*

Jeszcze jedna butelka. Jakiś proszek do szorowania.

Ponownie sięgnął do szafki. Ręce drżały mu tak bardzo, że bał się, iż coś zrzuci i się zdradzi.

Środek usuwający pleśń. To znaczy wybielacz, no nie? Próbował odczytać etykietę, ale w ciemnościach nie było widać, co napisano małym drukiem. Odkręcił nakrętkę i powąchał. Natychmiast odrzuciło mu głowę i musiał się bardzo starać, aby nie zacząć kaszleć. Śmierdziało jak czysty wybielacz.

Wstał i rozejrzał się za czymś, w co mógłby to wlać. Nic. Nawet kubka. Tę łazienkę wykorzystywał wyłącznie do brania kąpieli.

Przez szparę w drzwiach błysnęło światło. Światło przecinającej ciemność latarki. Uświadomił sobie, że zamykanie drzwi było błędem. W ten sposób dawał poznać, gdzie się znajduje.

Był jak sparaliżowany. Nie potrafił się skupić.

*Proszę* - pomyślał. - *Proszę, no dalej.*

Ponownie padł na kolana i włożył rękę do szafki. Szczotka do szorowania. Jeszcze więcej papieru toaletowego...

Jego palce dotknęły czegoś zimnego i twardego. Wyjął to. Kubek, duży ceramiczny kubek. Gospościa musiała go tu wstawić, może do splukiwania wanny czy czegoś w tym rodzaju.

Ktoś szarpnął za gałkę.

*Boże, o Boże...*

Cofnął się, mocno drżąc, i jakoś udało mu się nalać wybielacz do kubka. Najciszej jak potrafił odstawił pustą butelkę i chwycił się ścianki oddzielającej wannę od ubikacji.

W prawej ręce na wysokości pasa trzymał kubek. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać je od szczękania.

Minęła sekunda. Dziesięć. Kolejnych dziesięć.

*Może sobie poszedł. Może kiedy dotarło do niego, że ktoś jest w domu...*

Zamek ustąpił. Drzwi otwały się i walnęły o ścianę. Do środka weszła jakaś ciemna postać. Alex zobaczył latarkę i może broń, a potem światło znalazło się na jego twarzy, oślepiając go. Z dzikim wrzaskiem chlusnął zawartością kubka w stronę głowy intruza. Mężczyzna zakrzyknął i zachwiał się. Alex rzucił się w jego stronę i walnął go ramieniem, powalając na podłogę. Przeskoczył nad nim i popędził ku schodom. Zbiegł po nich szybko, przeskakując po sześć stopni naraz. Ze stolika w holu chwycił kluczyki, otworzył szeroko drzwi i nagi, nadal ociekający wodą, pobiegł w stronę podjazdu, gdzie stał jego samochód. Jakimś cudem miał na tyle zdrowego rozsądku, aby otworzyć drzwi pilotem, gdy jeszcze biegł, i praktycznie zanurkował do auta, po czym zatrzasnął drzwi i je zablokował. Tak mocno się trząsł, że musiał użyć obu rąk, aby włożyć kluczyki do stacyjki. Przekręcił kluczyk. Silnik się zbudził. Alex wrzucił wsteczny i powoli, zmuszając się do racjonalnego myślenia, puścił sprzęgło. Wyjechał z podjazdu, wrzucił pierwszy bieg i o jego zmianie pomyślał dopiero wtedy, kiedy był już na końcu ulicy, na liczniku miał siedemdziesiąt, a silnik krzyczał tak głośno, że mało nie wyskoczył spod maski.

Zjechał na 280 i jadąc dwieście na godzinę, po piętnastu minutach znalazł się pod komendą główną policji San Jose. Nim dojechał, zdążył nieco ochłonąć i zacząć myśleć. Dziwne, ale najbardziej wdzięczny był za to, że w bagażniku ma schowany strój sportowy. W przeciwnym razie co by zrobił, wparował na komendę w środku nocy zupełnie nagi?

Parking, który za dnia zapełniał się, teraz był niemal pusty, więc udało mu się czmychnąć do bagażnika i ubrać

się, bez zwracania na siebie czyjejkolwiek uwagi. Na dworze było nie więcej jak pięć stopni i z jego ust wydobywała się para. Kiedy wszedł na komendę, szczykał zębami i cały pokryty był gęsią skórką.

Podszedł do okienka informacyjnego, pocierając energicznie dłońmi o ramiona.

- Chciałbym zgłosić włamanie - powiedział. - Ktoś właśnie się włamał do mojego domu.

Kobieta za szybą zapytała:

- Jaki jest pański adres?

Alex podał jej go.

- Proszę pana, to San Mateo - odparła kobieta. - Musi się pan zgłosić do biura szeryfa hrabstwa San Mateo.

Jeżu, gdzie on miał głowę? Pomyślał o San Jose, ponieważ był tu niedawno, w ogóle nie zastanawiając się nad jurysdykcją.

- No tak - powiedział. - Proszę posłuchać, zaskoczyłem tego kogoś w moim domu. Miał broń, a ja po prostu wybiegłem. Pomieszalo mi się wszystko. Czy może pani... Nie wiem, co zrobić. Czy może pani zadzwonić w moim imieniu na policję w San Mateo?

Kobieta kiwnęła głową i wzięła do ręki słuchawkę. Podała komuś informacje, jakie przekazał jej Alex, i rozłączyła się.

- Biuro szeryfa wysła natychmiast do pańskiego domu radiowóz. Zaczekają przed domem i wejdą razem z panem do środka. Upewnią się, czy teren jest bezpieczny, spiszą pańskie oświadczenie i poszukają dowodów.

Alex podziękował jej i wrócił do samochodu. Kiedy dotarł do domu, radiowóz już czekał. Zaparkował na podjeździe i podszedł do auta, z którego wysiadło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, jeden wysoki i chudy, drugi szeroki w barach jak lodówka.

- Alex Treven? - zapytał ten chudy.

- Tak, jestem Alex. Dziękuję, że panowie przyjechali.

- Nie ma sprawy. Jestem agent Randol, a to agent Tibaldi. Z tego co nam wiadomo, ktoś włamał się dzisiaj do pańskiego domu?
- Tak, zgadza się. Myślę, że miał broń, ale nie widziałem jej dobrze.
- Okej. Chcemy, żeby zaczekał pan tutaj, a tymczasem my wejdziemy do środka i upewnimy się, czy dom jest bezpieczny. Kiedy już to zrobimy, dołączy pan do nas i spiszemy pańskie oświadczenie.
- Tak, jasne, oczywiście.

Alex został, natomiast Randol i Tibaldi udali się w stronę drzwi wejściowych, które, co Alex zauważył dopiero teraz, były zamknięte. Zdziwił się, kiedy zobaczył, jak wyciągają broń, no ale przecież musieli zakładać, że ktoś nadal się tam znajduje, bez względu na to, jak mało to było prawdopodobne.

Tibaldi nacisnął klamkę, po czym zawołał do Alexa:

- Będzie pan musiał nam otworzyć.

Tak też zrobił. Tibaldi otworzył drzwi, zaczekał chwilę, po czym wszedł do środka, a za nim Randol.

Dom nie był duży i nie minęło pięć minut, a włączyli wszystkie światła, otworzyli wszystkie szafy, zajrzeli pod każde łóżko. Był pusty.

Alex opowiedział im, co się konkretnie wydarzyło. Zaprowadził do łazienki. Wanna nadal pełna była wody. Przyjrzeli się uważnie drzwiom i zamkowi, ale nie znaleźli dowodu na to, że został wylamany. W pomieszczeniu śmierdziało wybielaczem, a podłoga była mokra.

- Sprawdzimy drzwi wejściowe i rozejrzemy się - powiedział Randol. - A pan może przejdzie się po domu i sprawdź, czy czegoś nie brakuje?

Tak też uczynił. Nic nie zginęło ani nie leżało na nie swoim miejscu. Nawet jego portfel i komórka znajdowały się tam, gdzie je zawsze zostawiał, czyli na stoliku w holu.

Był tak przerażony, kiedy wybiegał z domu, że chwycił jedynie kluczyki od auta.

- Drzwi wejściowe są w stanie nienaruszonym - oświadczył Randol. - Brak śladów włamania.
- Ale ktoś tu wszedł - rzekł Alex, głupio się czując.
- Widzę. Czegoś brakuje?  
Pokręcił głową.
- Ma pan jakichś wrogów?
- Wrogów?
- No wie pan, zrobił pan coś, o co mógłby być zazdrosny czyjś mąż, a może zabrał pan komuś coś, czego nie powinien był zabierać.
- Nie, nic z tych rzeczy. Nic. Twierdzi pan, że ten ktoś szukał konkretnie mnie?

Randol wzruszył ramionami.

- Większość włamywaczy jest dość nieudolnych. Ci, którzy są na tyle łebscy, aby włamać się cicho i bez niszczenia niczego, są także zbyt bystrzy, by mieć przy sobie broń. To podwyższa wymiar kary, gdyby mieli zostać złapani.
- Cóż, nie jestem pewny, czy miał broń. Mówiłem wam, nie widziałem jej dobrze. Było ciemno, świecił mi po oczach latarką, no i byłem cholernie przerażony.
- W porządku. Bez broni, tak zgaduję, ktoś się tu włamał w nadziei na kradzież, a kiedy pan go zaskoczył, wyniósł się stąd w diabły.
- I zamknął za sobą drzwi?
- Jasne - odezwał się Tibaldi. - Zdziwiłby się pan, jakie dziwaczne rzeczy robią te ptaszki. Pomyślał pewnie, że jeśli zamknie drzwi, nikt nie zauważy, że był w środku.

Alexa to nie przekonało. Gdyby ten ktoś wypadł stąd w takim pośpiechu, że w drodze do wyjścia nie zauważyłby portfela, co by kazało mu tracić czas na zamykanie drzwi?

- Czemu miałyby się włamywać, skoro wiedział, że ktoś jest w domu? - zapytał Alex.

- A skąd miałby wiedzieć, że jest pan w domu? - Tibaldi odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Na podjeździe stał mój samochód.

Tibaldi kiwnął głową.

- Zauważyłem, że na końcu ścieżki leży sporo gazet. Włamywacz myśli: „Tego faceta nie ma w domu, pojechał taksówką na lotnisko”. Albo coś w tym rodzaju. Chodzi o to, że uważa, że gazety są ważniejsze niż auto. Należy się postawić w sytuacji ptaszka. On szuka tego rodzaju informacji. Gazety na podjeździe, korespondencja w skrzynce, paczki przed drzwiami.

- No a wyłamywanie zamka w drzwiach łazienki? Do tego czasu zdążył się zorientować, że ktoś jest w domu.

Tibaldi wzruszył ramionami.

- Na tym etapie jest już sprawcą. Podjął decyzję, popełnił przestępstwo. Niektórzy mają taką mentalność, że wolą zrobić więcej, niż się wycofać. Trzeba pogodzić się z tym, że w każdym przestępstwie jest jakiś element losowy. Dlatego właśnie miłośnicy teorii spiskowych tak bardzo lubią zamach na JFK i jedenasty września. Nigdy nie da się połączyć wszystkich śladów. Zawsze zostaje coś, co nie ma sensu.

- Dobrze pan mu się przyjrzał? - zapytał Randol. - Mógłby go pan opisać, rozpoznać podczas okazania?

Alex próbował opisać to, co widział.

- Było ciemno. Ja... - Co on właściwie widział? Nagle już nie był wcale taki pewny. Czuł się wykończony i bezużyteczny.

- Ciemnoskóry? Biały?

Alex pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Cóż, przynajmniej wystraszył go pan - stwierdził Tibaldi. - Niezłe posunięcie z tym wybielaczem. No i niczego pan nie stracił.



Alex spojrział na nich.

- Uważacie więc, że to było po prostu przypadkowe włamanie?

Randol nie od razu odpowiedział. Dopiero po chwili kiwnął głową i rzekł:

- Jeśli nie posiadał broni, a pan nie ma wrogów, na to właśnie wygląda. Myślę, że złodziej przeprowadzał rekonesans po okolicy, zauważył te gazety, przyjrzał się uważniej, zobaczył, że w drzwiach jest tylko jeden zamek, bez żadnej zasuwki, który wygląda na jakieś czterdzieści lat, dobrze zgaduję?
- Tak - odparł Alex. - Pewnie ma tyle lat.
- No to proszę popatrzeć - powiedział Randol.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Alex usłyszał po drugiej stronie jakies drapanie, chwilę później kliknięcie i drzwi stały otworem.

- A niech mnie. Jak pan to zrobił?

Randol podał mu cienki kawałek plastiku, twardy, ale giętki, jakieś dziesięć centymetrów na dziesięć.

- Wsuwa pan to pomiędzy drzwi a ościeżnicę, popycha mechanizm i jest pan w środku szybciej niż przy użyciu kłuczka. Założy pan sobie zasuwki, wzmocni ościeżnicę i ramy. Utrudni pan nieco życie przestępcy.

Alexowi nie podobała się obecna w tych słowach nagona, ale policjant miał rację.

Potań dłońią twarz. Był jednocześnie podenerwowany i wykończony.

- Dziękuję bardzo, że przyjechaliście tak w środku nocy, a właściwie to już nad ranem - rzekł.

- Nie ma sprawy, proszę pana - odparł Randol. - Cieszymy się, że nic panu nie jest.

Po ich wyjściu Alex wszystkie światła zostawił zapalone. Wiedział, że to niemądre, ale nie mógł wyrzucić z głowy myśli: *A jeśli ten ktoś wróci?*

Bez przesady. Włamywacz wracający tej samej nocy do tego samego domu, w którym go zaskoczono i z którego wcześniej uciekł? Mogła tu być policja, kto to wie.

Niemądre.

Jednak sposób, w jaki Randol otworzył drzwi... był niewiarygodny. Cudem nie było to, że Alexowi udało się dzisiaj uciec, ale fakt, że aż do teraz nikt nie próbował go obrabować.

Ten facet nie wróci. No ale gdyby wrócił, Alex w żaden sposób by go nie powstrzymał. W drzwiach praktycznie nie było zamka, nie miał także broni.

Przypomniał mu się dźwięk, jaki wydały drzwi, otwierając się ukradkiem. To, jak bardzo przerażony i bezbronny się poczuł, leżąc w wannie.

Do diabła z tym wszystkim. Zatrzyma się po prostu w hotelu Four Seasons w Palo Alto. Często spotykał się z klientami w ich restauracji Quattro. Równie dobrze mógł się tam dzisiaj przespać. Gdyby został tutaj, przez resztę nocy nie zmrużyłby oka, wyobrażając sobie, że każde skrzypnięcie podłogi to czyjś krok, każde stęknienie bojlera to otwierające się drzwi.

Spakował rzeczy na zmianę, przez dłuższą chwilę wyglądał przez okno wychodzące na ganek, po czym wyszedł.

# Nagły wypadek

Kiedy Alex obudził się w hotelu po kilku godzinach niespokojnego snu, biała pościel skąpana była w promieniach słońca. Potarł twarz i pomyślał o minionej nocy. Wtedy był spanikowany i skołowany. Uznał, że to po prostu włamywacz. Ale teraz dotarło do niego, że nie zwrócił uwagi na coś oczywistego.

Wynalazcę zabito, kontakt Alexa w urzędzie patentowym zmarł, a ktoś włamał się do jego domu i wszystko to wydarzyło się na przestrzeni trzydziestu sześciu godzin. Nie trzeba być miłośnikiem teorii spiskowych, aby wiedzieć, że aż takie zbiegi okoliczności nie istnieją.

Jak się nazywały te łamigłówki publikowane w „Highlights”, które lubił rozwiązywać jako dziecko? Jedna z nich nosiła tytuł *Co te rzeczy mają ze sobą wspólnego?* Zamieszczano kilka pozornie odmiennych obrazków, ale jeśli człowiek przyjrzał im się uważniej, jeśli się nad nimi zastanowił, to zauważał, że wszystkie mają kąty proste, wszystkie zaczynają się od litery A albo coś w tym rodzaju.

Tym, co łączyło Alexa, Hilzoya i Hanka, był Obsidian. Nawet jeśli zachodził zbieg okoliczności, to zdecydowanie zbyt duży. Pytanie tylko dlaczego? Co takiego miał w sobie Obsidian, że ktoś gotowy był za niego zabić?

Nie, to nie miało sensu. Firmy, które chciały zdobyć obiecujący wynalazek albo zneutralizować zagrożenie, robiły to za pomocą gotówki. To było proste i zgodne z prawem.

Ale ktokolwiek stał za tym wszystkim, skąd w ogóle wiedział o wynalazku? Zgłoszenie patentowe trzymane było w tajemnicy.

No cóż, coś mogło wyciec. Kto wie, co i komu Hilzoy mógł nagadać? Kto wie, kto co zobaczył w Urzędzie Patentowym? Także w Sullivan, Greenwald Obsidian nie był przeznaczony wyłącznie dla oczu Alexa. Był jeszcze Osborne, i oczywiście Sarah.

Pomyślał, że najprawdopodobniej zachowuje się niemądrze, ale uznał, że lepiej dmuchać na zimne. Zadzwoił na komórkę detektywa Gameza, której numer widniał na wizytówce. Powiedział mu o włamaniu. I że wie, jak to brzmi, ale... A jeśli Hank nie umarł na zawał? Jaką mieli pewność? Wynalazca i inspektor - to trochę zbyt duży zbieg okoliczności, prawda? Ku jego zdziwieniu Gamez nie potraktował go jak wariata. Powiedział, że to sprawdzi i że do niego oddzwoni.

Alex pojechał do pracy. Pierwsze, co zrobił po wejściu do swego gabinetu, to zadzwonił do ślusarza. Wystarczająco trudno będzie mu spać w tym domu po tym, co się stało. Przekształcenie go w fortecę odrobinę to ułatwi. Następnie zadzwonił do sklepu z bronią. Okazało się, że może kupić broń, ale przed jej odebraniem będzie musiał poczekać dzień na wywiad środowiskowy. Cholera, zawsze uważał te wywiady za dobry pomysł. Ale potrzebował czegoś natychmiast.

Oddzwonił Gamez.

- No dobrze, rozmawiałem z policją z Arlington. Przeprowadzono już sekcję zwłok Shiffmana. Chciała tego rodzina. Shiffman był młody i zdrowy i rodzina martwiła się, że to może jakieś uwarunkowanie genetyczne, mogące mieć wpływ także na innych jej członków.
- No i co się okazało?
- Brak jednoznacznego wyniku. Mogło być to coś, co się nazywa choroba Brugadów.

- A co to?
- To choroba genetyczna, która odpowiada za nagłą śmierć u mężczyzn, którzy poza tym są zdrowi, na ogół trzy-dziesięciokilkulatków, często we śnie. Nie do końca jest to zbadane.

Alex pomyślał, że brzmi to tak, jakby ktoś to sobie wymyślił, żeby lekarze nie musieli mówić pogrążonej w żałobie rodzinie: „Sorki, nie mamy pojęcia”.

- Nie wie pan... jakie jest prawdopodobieństwo, że uda im się znaleźć konkretny i pewny powód?
- Przeprowadzane są teraz testy genetyczne i badanie historii rodziny. Ale chce pan znać moje zdanie? Nikt się tego nigdy tak naprawdę nie dowie. Czasami ludzie się po prostu przekręcają i nie ma żadnego wyjaśnienia. Tak już bywa.
- Myśli więc pan, że to był po prostu... zawał?
- Rozmawiałem z porucznikiem z wydziału zabójstw w Arlington. Przeszukano mieszkanie Shiffmana, co w takich przypadkach jest działaniem rutynowym. Żadnych śladów włamania. Żadnych dowodów na to, że miała miejsce przepychanka. A na ciele nie było jakichkolwiek śladów. Jeśli to było zabójstwo, bardzo bym się chciał dowiedzieć, jak tego dokonano.
- Myśli więc pan, że reaguję paranoicznie.
- Tak nie myślę. To rzeczywiście paskudny zbieg okoliczności.
- Nie wiem, co zrobić.
- Czy poza włamaniem zauważył pan coś niezwykłego? Kogoś kręcącego się na parkingu wokół pańskiego samochodu, kogoś jadącego za panem, kogoś przed domem, kiedy wyjeżdża pan do pracy?
- Nie. Nic.
- Cóż, ma pan mój numer. Proszę zachowywać czujność, a jeśli coś pana zaniepokoi, proszę do mnie dzwonić.

- Dzięki.
- Nie ma sprawy.

Alex rozłączył się i przez chwilę wpatrywał się w telefon. Z jakiegoś powodu przekonanie Gameza, że Hank zmarł po prostu na zawał, ponownie go rozstroiło. Ponieważ prawda była taka, że tak naprawdę nie znano powodu.

A jeśli to wcale nie był zbieg okoliczności? Jeśli ktoś na niego polował, wiedział, gdzie mieszka. Wiedział, gdzie mieszka Hilzoy. Dotarł do Hanka. Wiedział, gdzie Alex pracuje. Wiedział, jak wygląda - kurde, jego zdjęcie i zawodowa biografia znajdowały się na stronie internetowej Sullivan, Greenwald, dostępne dla wszystkich. Co więc miał teraz zrobić? Przestać mieszkać we własnym domu? Przestać chodzić do pracy? Pomyślał, że w nocy w łazience czuł się nagi, ale teraz miał wrażenie, że jest jeszcze bardziej obnażony.

Jakaś myśl próbowała wydostać się na powierzchnię jego świadomości. Właściwie to nie myśl, a instynkt, odruch. Jedno słowo, jedna sylaba, a mianowicie...

Ben.

Nie. Katie, potem ojciec... a kiedy ich matka umierała na raka, zjechał do domu ile razy? Dwa. Na samym końcu trzy dni była w stanie śpiączki i Benowi nawet wtedy nie udało się przyjechać. Zbyt go zajmowało bawienie się w wojsko, żeby być przy matce w chwili jej śmierci. Nie mógł wziąć urlopu okolicznościowego? Jezu, to cud, że ten drań raczył się pojawić na pogrzebie.

Alex zrobił głośny wydech. Jego beznadziejny brat. Futbolowy bohater. Gwiazda zapasów. G.I. Joe. Ale kiedy robiło się naprawdę ciężko, stawał się niewidzialny. A teraz Alex miał się przed nim czołgać, błagając o pomoc?

A zresztą jaką pomoc? Co Ben mógł zrobić?

Wiedział, że przeszedł wiele szkoleń. Był w oddziale komandosów podczas bitwy w Mogadiszu i otrzymał kupę medali. Alex widział film *Helikopter w ogniu* i nie potra-

fił wyobrazić sobie Bena robiącego to wszystko, co musiał przecież robić. A potem należał do Zielonych Beretów czy czegoś w tym rodzaju. Więc, na litość boską, jeśli ktoś mógł pomóc...

Problem w tym, że nie wiedział, jak skontaktować się z bratem. Miał adres korespondencyjny w Fort Bragg, ale cztery czy pięć lat temu dokumenty dotyczące spadku, które wysyłał na ten adres, zaczęły wracać nieotworzone. Wyglądało na to, że Ben przeniósł się gdzieś indziej i nie raczył poinformować o tym brata. A Alex w żadnym razie nie zamierzał pytać.

Jezu, a czy Ben w ogóle był jeszcze w wojsku? Zawsze to kochał, trudno sobie wyobrazić, żeby odszedł z własnej woli. Ale...

Wszedł na stronę internetową armii amerykańskiej i klikając na kolejne linki, natrafił na coś, co się nazywało *militarylocator.com* i podobno umożliwiało odnalezienie każdego, kto służy w amerykańskiej armii. Najpierw należało się zalogować. Alex zaczął wstukiwać swoje dane, po czym się zawahał. Może to lekka paranoja, ale nie zawadzi zachować ostrożność. Wstukał „John Smith” i zmyślony adres mailowy. Pojawiło się okienko wyszukiwarki: imię, nazwisko, wydział służby. Wpisał: *Ben Treuen, armia* i wcisnął enter. Pojawiło się nowe okienko: *Ben Treven. Armia, służba czynna. E-8. Biogram: niedostępny. Konflikty i operacje: niedostępne. Udział: niedostępny. Przynależność jednostkowa: niedostępna.*

No cóż, dwie rzeczy były jasne. Po pierwsze, Ben nadal był wojskowym. Po drugie, bez względu na to czym się zajmował, wojsko nie zamierzało tego zdradzić.

Podano tam numer zaczynający się od 800, do czegoś, co się nazywało *Wojskowa Pomoc*. Wystukał go i czekał. Po jednym sygnale odebrała jakaś kobieta.

- Cherine Nelson, w czym mogę pomóc?

- Witam, nazywam się Alex Treven - powiedział nie pewnie. - Próbuję się skontaktować z moim bratem, Benem. Jest wojskowym, ale nie wiem, jak do niego dotrzeć. To dość nagły wypadek.

Cherine podała mu numer do wojskowego centrum personalnego. Alex zadzwonił. Jakiś mężczyzna mu oświadczył, że nie posiada konkretnych informacji dotyczących miejsca pobytu Bena, ale dopilnuje, aby otrzymał wiadomość.

- Skoro pan nie wie, gdzie on jest, to jak mu przekaże wiadomość? - zapytał Alex.

- Chce pan zostawić wiadomość? - Mężczyzna był nieugięty.

Alex rozłączył się. Zadzwoni później, jeśli będzie musiał.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Ben miał adres e-mailowy, z którego korzystała ich mama, aby być z nim w kontakcie. Alex też go używał, kiedy informował brata o pogarszającym się stanie matki, a po jej śmierci o kwestiach dotyczących spadku. Minęło sześć lat i nawet jeśli to konto nadal było aktywne, nie wiedział, czy Ben tam zagląda, a jeśli tak, to jak często. No ale warto spróbować.

Otworzył nową wiadomość i wstukał adres Bena. Przez chwilę się zastanawiał, po czym w temacie wpisał „Nagły wypadek”. A dalej:

*Ben, w nocy ktoś włamał się do naszego domu i próbował mnie zabić. Dwóch powiązanych ze mną ludzi także zostało zamordowanych. Nie popadam w paranoję i niczego nie wymyślam. Potrzebna mi Twoja pomoc. Proszę, zadzwoń do mnie tak szybko, jak się da. Alex.*

Dopisał numer swojej komórki i kliknął „Wyślij”. Czekał chwilę, po czym odświeżył pocztę. Mail nie wrócił. Okej, a więc konto było nadal aktywne. Ale czy Ben tam zajrzy? A nawet jeśli, to czy zadzwoni?



## Cholerne déjà vu

Ben siedział w hotelowym pokoju w Ankarze i oglądał CNN, kiedy zabręczczała mu komórka. Zerknął na wyświetlacz, spodziewając się wiadomości od Horta. Zamiast tego zobaczył maila. Od... Alexa?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, o co może chodzić. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz brat się do niego odzywał. Sprawy spadkowe zostały już dawno załatwione. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego mieliby się kontaktować. Mieli jakichś kuzynów, ciotkę... może ktoś zmarł?

Otworzył maila i przeczytał wiadomość. Zatrzasnął telefon i pokręcił głową.

Było dokładnie tak jak w liceum, to samo dawne cholerstwo. Alex zrobił coś, czego nie powinien, a teraz chciał, aby starszy brat go z tego wyciągnął. Niesamowite. Cholerne déjà vu.

Albo, co było bardziej prawdopodobne, w ogóle nic się nie działo. Dla Bena stwierdzenie Alexa, że nie popada w paranoję, stanowiło dowód na coś dokładnie przeciwnego.

No to pieprzyć go. Gdyby Alex naprawdę potrzebował jego pomocy, powinien był przysłać zupełnie inny mail. Napisać w nim: „Hej, Ben, przepraszam, że całe życie byłem takim zadufanym w sobie dupkiem. Nie miałem prawa winić cię za wszystko, co się przytrafiło naszej rodzinie. Ach tak, jestem także niewdzięcznikiem”.

Wstał i spojrzął na telefon.

- Słyszysz to? - powiedział głośno. - Oto życiowa lekcja dla ciebie, braciszku. Nie gryź ręki, jeśli potem chcesz, aby cię nakarmiła.

Zaczął przemierzać pokój. A tak w ogóle to za kogo się ten mądrała uważał? Przez sześć lat ani słowa, a potem mail z prośbą o pomoc? I to nawet nie: *Hej, co słychać, Ben*, ale od razu: *Potrzebuję twojej pomocy, więc zadzwoń do mnie*. Kim był Ben, służącym? Sprzątaczką wzywaną do posprzątania bałaganu, jakiego narobił jego durnowaty braciszek?

- Coś ci powiem - oświadczył. - Pomogę ci. Tyle że mi za to zapłacisz. Taaa, zapłacisz. Służącym się płaci, no nie? A może uważasz mnie za swojego niewolnika, co? - Nie przestawał chodzić od ściany do ściany. - Och, i do tego jeszcze nasz dom? - zapytał, odwracając się i spoglądając na telefon. - A więc to nadal nasz dom? Taaa, kiedy chcesz mi się podlizać, to owszem. Myślisz, że jestem głupi, Alex? Tak ci się wydaje?

Oddychał ciężko i ogarnęło go to szaleńcze, radosne pragnienie, aby komuś wpieprzyć, pragnienie, które podczas pierwszego sezonu w Stanford tyle razy wpędziło go w tarapaty, z których wyciągały go jedynie koneksje ojca w radzie powierniczej.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz się bił, i podejrzewał, że to dobrze. Bicie się stanowiło zaprzeczenie anonimowości, zwłaszcza teraz, kiedy każdy telefon komórkowy był wyposażony w aparat, a nawet kamerkę. Ważniejsze było jednak to, że już sobie nie ufał na tyle, aby się bić. Nie miał pewności, czy pamięta, jak to się robi. Do bicia dochodziło generalnie za obopólną zgodą. Istniały niewypowiedziane zasady, milczące ograniczenia. Jednak obecnie Ben był tak ukierunkowany na zabicie, że się obawiał, że nawet w amatorskiej bójce zrobiłby to, co obecnie robił zawsze, i zastanowiłby się dopiero po fakcie.

Uświadomienie sobie tego nie sprawiło mu przyjemności. Bicie się było dla niego dobrym sposobem, by się wyżyć, i bardzo je, w jakiś pokręcony sposób, lubił. Nie będąc w stanie dłużej tego robić, miał wrażenie, jakby utracił część siebie, część, która patrząc wstecz, wydawała się dziwnie niewinna. Może dlatego, że bił się głównie w liceum. Może dlatego, że liceum było przed śmiercią Katie.

Poszedł tamtego wieczoru na imprezę zorganizowaną przez dwie popularne dziewczyny z jego klasy, Robertę i Molly Jones. Jonesówny mieszkały w Atherton w domu z dużym ogrodem, a ich rodzice byli na tyle tolerancyjni, że raz w semestrze pozwalali córkom wyprawić wielką szkolną imprezę. Nikt tego nie zaplanował, ale po zawodach przyjęcie przekształciło się w nieoficjalną fetę na cześć zwycięstwa Bena.

Alkohol był naturalnie zakazany. A dzieciaki oczywiście jak zawsze znalazły sposób, żeby się napić.

Ben wypił dwa piwa i na razie na tym poprzestał. Nie pił od czterech miesięcy, czyli od początku sezonu zapaśniczego; musiał zgubić pięć kilo, żeby rywalizować w niższej kategorii wagowej. Choć czuł niesłychaną radość, był także wykończony. Przy takim połączeniu dwa piwa to wszystko, na co mógł sobie pozwolić. Poza tym zerkano na niego sporo dziewcząt. Bardziej interesował go podryw niż picie.

W pewnym momencie jedna z najbardziej gorących lasek, Larissa Lee, powiedziała Benowi, że właśnie zerwała z Dave'em Beanem, chłopakiem, z którym się spotykała, odkąd wszyscy sięgali pamięcią. To już stare dzieje, powiedziała. Cieszyła się. Pragnęła odmiany. Jedyne problem w tym, że nie miała jak wrócić do domu, ale może...

- Jasne - odparł Ben. - Powiedz mi tylko, kiedy będziesz chciała stąd wyjść.
- A co powiesz na teraz? - zapytała, patrząc mu w oczy.

*Jasne.*

Byli już w połowie drogi do samochodu, kiedy sobie przypomniał: tato mu powiedział, że Katie ma wrócić do domu przed północą.

Ale to przecież nie oznaczało, że mają odwieźć, no nie? Był starszy, mógł zostać dłużej. No i to był jego wielki wieczór, z każdą chwilą coraz większy. Musiał po prostu dopilnować, aby Katie wróciła do domu na czas i tyle.

Powiedział Larissie, że zaraz wróci, i wycofał się pospiesznie na imprezę, żeby znaleźć siostrę. Siedziała w towarzystwie koleżanek, śmiejąc się z czegoś. Ben podszedł i zapytał, czy mógłby prosić ją na słówko. Wstała i odeszła z nim na bok.

- Gdzie Wally? - zapytał, rozglądając się.

Uśmiechnęła się, może nieco porozumiewawczo.

- Nie wiem. Gdzieś się kręci. A o co chodzi?

- Tata chciał, żebyś wróciła do domu przed północą, ale pomyślałem...

Zaśmiała się.

- Pomyślałeś, że zamiast tego odwieziesz do domu Larissę.

Ben starał się, aby wyraz jego twarzy pozostał neutralny.

- Co masz na myśli?

- Wszyscy wiedzą, że właśnie rozstała się z Beanem.

I że napaliła się na ciebie.

Ben przez chwilę milczał. Prawda była taka, że Ben przespał się z wieloma dziewczynami ze swojej klasy, z kilkoma z klasy Katie także. Niektóre miały chłopaków, ale nikt się o niczym nie dowiedział, ponieważ Ben nigdy nie wspomniał na ten temat ani słowem. Nie chciał rujnować nikomu reputacji ani stracić szansy na dalsze postępowanie w taki sposób.

Wzruszył ramionami.

- Hej, myślę, że potrzebuje jedynie podwózki i tyle.  
Katie ponownie się zaśmiała.
- Taaa, jasne. Ben  
rozejrzył się.
- Nie mów nikomu, okej?  
Uśmiechnęła się.
- A czy to kiedykolwiek zrobiłam?

Ben także się uśmiechnął. Katie była bystra, możliwe, że równie bystra jak Alex. Jednak nigdy nikogo tym nie raniła, nigdy nie sprawiła, by ktoś się poczuł przy niej gorszy, nie traktowała innych protekcjonalnie. Zawsze się odnosiło wrażenie, że Katie jest po twojej stronie i zrobi wszystko, aby ci pomóc.

- No więc, eee, myślisz, że możesz wrócić do domu z Wallym?
- Pewnie.
- Fajnie.

Odwrócił się, żeby odejść, ale coś mu przyszło do głowy.

- Hej, on nie pije, no nie?
- Nie, jest trzeźwy.

Przez chwilę Ben zastanawiał się, czy nie zrobić kółka i osobiście nie sprawdzić Wally'ego. To nie był zły chłopak, tyle że lubił ostro imprezować.

Wtedy pomyślał o Larissie. Cóż, Katie powiedziała, że Wally jest trzeźwy. Wiedziałyby, gdyby było inaczej.

- No to okej. Na razie.

Udał się w stronę Larissy, a Katie patrzyła za nim, uśmiechając się znacząco, z pobłażaniem, z tym charakterystycznym dla niej ciepłem i serdecznością.

*No to okej. Na razie.*

Dziwne było to, że gdyby nie doszło do wypadku, najpewniej w ogóle by nie pamiętał tej pospiesznej rozmowy ani uśmiechu siostry. Nic by to nie znaczyło. Nikt nie kwe-

stonowałby tego, że pozwolił Wally'erau odwiedzić Katie. No bo i czemu? Nie zrobił przecież nic złego. A nawet jeśli, w najgorszym razie było to wykroczenie. Drobne niedopatrzenie.

Ale doszło do wypadku. Ta rozmowa okazała się ostatnią. A takie ostatnie czynności, kiedy człowiek patrzy wstecz, zawsze są pełne znaczenia, którego wtedy w ogóle nie miały. Jeśli się nad tym zastanowić, to tak jest najpewniej ze wszystkim. Wszystko ma znaczenie, tyle że maskuje je banalność, do czasu, aż zdarzy się coś strasznego.

Odwiózł Larissę do domu. Po drodze rozmawiali, ale nie pamiętał o czym. Pamiętał natomiast gładkość jej skóry, oszałamiający zarys piersi pod cienkim sweterkiem, lekki zapach perfum. Jednak najbardziej pamiętał spojrzenie, jakim go obdarzała za każdym razem, gdy na nią zerkał, spojrzenie, które mu mówiło, że może mieć, co tylko zechce, i że ona pragnie tego równie mocno.

- Moi rodzice powinni już spać - oświadczyła. - Ale jeśli będziesz naprawdę cicho, to możesz wejść.

Usłyszą drzwi i pomyślą, że to tylko ja. Nie wstaną.

- Potrafię być cicho - zapewnił ją Ben.

I był, prawdę mówiąc, znacznie cichszy niż Larissa, której usta musiał zakryć nie raz, a dwa razy, kiedy robili to na podłodze w jej pokoju. Tak bardzo ją to podniecało, że się zapominała, choć niecałe siedem metrów dalej spali jej nieświadomi niczego rodzice.

Potem, kiedy Ben jechał do domu, z jego twarzy nie schodził uśmiech. Dobra była, tak bardzo zaangażowana. Zastanawiał się, czy krzyczała dlatego, że chciała, aby zakrył jej usta, ponieważ to lubiła, i choć zdążył dojść dwa razy, na tę myśl znowu stwardniał. O rany, idealne zakończenie idealnego dnia.

Kiedy wjechał na podjazd, pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, były pozapalane światła w domu. Zerknął

na zegar w samochodzie. Dochodziła druga. Nie miało to sensu.

Następnie zauważył, że zniknęło auto ojca. Oho. Katie nie dotarła do domu? Tata musiał po nią jechać? Jeśli tak, to Ben będzie miał pewnie przerąbane.

Wszedł do domu i udał się po cichu na górę. Drzwi wszystkich pokoi były pootwierane. U Alexa i rodziców paliło się światło.

- Hej, co tu się dzieje? - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Zajrzał do pokoju Alexa. Pusty. Kołdra skopana. Alex zawsze miał świra na punkcie ślania łóżka, musiał więc tu dziś spać, chyba że...

- Jest tu ktoś? - ponownie zawołał, idąc do sypialni rodziców. Zobaczył to samo co w pokoju brata: włączone światło i rozrzuconą pościel.

- Co się, do diabła, dzieje? - powiedział głośno. Denerwował się i wmawiał sobie, że nie ma czym.

Przeszedł korytarzem do pokoju Katie i włączył światło. Łóżko było posłane.

Cholera, Katie nie wróciła do domu.

Nie, nie miał przecież co do tego pewności. Wiedział jedynie, że nie położyła się do łóżka, zanim...

Zanim co? Zanim wszyscy się wpakowali do samochodu ojca i pognali gdzieś w środku nocy?

Ale jeśli Katie zadzwoniła z prośbą o odebranie jej z imprezy, dlaczego mieliby jechać wszyscy?

Nagle ogarnęła go pewność, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Zszedł do kuchni. Żadnej kartki, nic. Wszystko schludne, wszystko na swoim miejscu. I ta schludność, ten porządek zaczęły mu działać na nerwy. Podkreślały, jak niedorzeczna była nieobecność wszystkich domowników.

- Kurwa - powiedział głośno. Nie miał pojęcia, co robić.

Zadzwoił telefon. Odwrócił się i przez chwilę się w niego wpatrywał. Uświadomił sobie, że boi się podnieść słuchawkę.

Drugi sygnał.

Zawahał się, mając wrażenie, że znajduje się w stanie chwijnego zawieszenia: z jednej strony jego życie i bezpieczne założenia, z drugiej strony koniec wszystkiego. Z drugiej strony linii telefonicznej.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

*No dalej, odbierz ten cholerny telefon.*

Nie zrobił tego.

Jeszcze jeden sygnał.

*A jeśli ten ktoś się rozłączy?*

Paraliż ustąpił. Ben podszedł szybko do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Halo? - W ustach miał sucho.

- Ben. - To był tato. - Dzięki Bogu. Musisz natychmiast przyjechać do szpitala Stanford. Katie miała wypadek.

Zmroziło go. Próbował przełknąć ślinę, ale nie był w stanie.

- Co? Co się stało?

- Po prostu przyjeźdź. Rozumiesz?

- Okej. Już wyjeżdżam.

- Jedź ostrożnie - dodał ojciec i Ben wyczuł w tych dwóch prostych słowach pełną goryczy naganę.

Resztę nocy pamiętał jak przez mgłę. Kolejne dni były koszmarnie. Rodzice winą obarczali jego. Milczące, oskarżycielskie spojrzenie Alexa było jeszcze gorsze.

Najgorszy ze wszystkiego okazał się dzień pogrzebu. Cierpiał, targany wyrzutami sumienia. Siedział na biurku w swoim pokoju, wpatrując się w ścianę, po raz kolejny odtworząc w myślach wydarzenia tamtego wieczoru, wyobrażając sobie tysiące innych rzeczy, które się mogły wydarzyć, tysiące innych rzeczy, które powinny się wydarzyć.



Rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak? - rzucił apatycznie.

Weszli rodzice. Od śmierci Katie minęło - ile? - czterdzieści osiem godzin? Oboje wyglądali tak, jakby od tamtej pory w ogóle nie spali. Jakby coś w nich... pękło.

Przysiedli na skraju łóżka, naprzeciwko niego.

- Ben - odezwał się ojciec. - To, co powiedzieliśmy tamtej nocy... nie było fair. Nie było... właściwe.

Ben pokręcił głową, bojąc się mówić.

- Jesteśmy... zdruzgotani, skarbie, wiesz o tym - po wiedziała mama. Zaczęła płakać, ale mówiła dalej. - Kiedy przytrafia się coś takiego, ludzie czasami winią innych, nawet tych, którzy są im najbliżsi. Ponieważ jeśli zrzuci się winę na kogoś, wtedy łatwiej jest wierzyć, że miało się kontrolę nad tym, co się wydarzyło, że można było temu zapobiec. - Jej głos zadrżał. - Ale to nie jest tak - kontynuowała coraz wyższym głosem. - Nie wszystko da się kontrolować. Wypadki... czasem po prostu się zdarzają, skarbie, i to nie twoja wina.

Płakała, a jej oczy błagały go przez łzy.

- Jeśli można mówić o czyjejkolwiek winie, to mojej - odezwał się tata. - Nie wyraziłem się jasno, kiedy ci po wiedziałem o powrocie do domu. Nie zrobiłeś niczego złego, Ben, i nie mieliśmy racji, sugerując, że stało się inaczej.

Ben spojrział na nich. Rozumiał, co właśnie robią. Był sobie nawet w stanie wyobrazić poprzedzającą to rozmowę: *Musimy go uchronić przed poczuciem winy. Nie możemy go tym obciążać, bez względu na to, jaka jest prawda. Jest zbyt młody.*

Problem w tym, że chcąc go chronić, sprawili, że poczucie winy stało się sto razy silniejsze. Wcześniejsze oskarżenia rozgniewały go, a gniew był uczuciem, który chociaż częściowo potrafił chronić. Teraz, kiedy oskarżenia zniknęły, prawda stała się jeszcze wyraźniejsza.

Dlatego że w głębi duszy Ben wiedział, czego tak naprawdę chciał ojciec. Staruszek nie ufał Wally'emu i chciał mieć pewność, że to Ben przywiezie Katie bezpiecznie do domu. Może nie wdawał się w szczegóły, ponieważ nie chciał wydać się apodyktyczny i nadopiekuńczy, ale taki właśnie był sens jego słów. Ben szukał jedynie furtki, dlatego że to był jego wieczór, został bohaterem zawodów, a Larissa Lee chciała się z nim bzykać. Wiedział, ale udawał, że jest inaczej.

Ben chciał im powiedzieć, że nie, że to nie ich wina, że tata wyraził się jasno, że Ben go zrozumiał, ale nie chciał posłuchać. Przyznanie się do tego było czymś właściwym, bez względu na to, jak trudnym.

Próbował coś powiedzieć, ale... nie zrobił tego. Może bał się odezwać, bał się, że jeśli to zrobi, straci nad sobą panowanie. Albo że powiedzą coś nie tak i jeszcze wszystko pogorszą. Zamiast tego milczał. Jego rodzice płakali. W końcu mama wstała i wyszła, a tata zaraz po niej.

Część niego rozumiała, że muszą dokończyć teraz tę rozmowę, w przeciwnym razie nigdy do niej nie wrócą. Ale inna część szeptała, że rodzice wystarczająco dużo przeszli; musiał dać im trochę spokoju. Będą inne okazje, kiedy się przyzna do winy, za jakiś czas, kiedy ból nieco osłabnie.

I posłuchał tego drugiego głosu. Tak jak wtedy, kiedy Katie mu powiedziała: *Me, jest trzeźwy*. Posłuchał tego, który podszeptnął to, co chciał usłyszeć.

Jezu, dwa punkty zwrotne w ciągu dwóch dni. I w obu przypadkach wybrał niewłaściwą drogę.

Dlaczego te punkty nie były oznaczone? ŚMIERTELNY ZAKRĘT. UWAGA. Coś w tym rodzaju. Coś, co mogłoby cię ostrzec: „Halo, myślisz, że masz do podjęcia błahą decyzję? W sumie to będzie miała wpływ na całe twoje, kurwa, życie”.

Ben westchnął i pokręcił głową. Następnie wyszedł, żeby poszukać kafejki internetowej i budki telefonicznej.

# To nie wygłupy

Rozległo się pukanie do drzwi Alexa. Chwilę potem pojawiła się w nich głowa Wandy, recepcjonistki.

- Alex, dzwoni ktoś i pyta o ciebie, ale nie chce się przedstawić i nalega, żebym przywołała cię osobiście i żebyś odebrał u mnie. Co mam zrobić?

*Co, u diabła?* pomyślał Alex, a potem odpowiedział sobie: *Ben*.

Ale dlaczego dzwonił do kancelarii? Skąd w ogóle miał ten numer?

- Jasne, pójdę odebrać - odparł, jakby to było coś najnormalniejszego pod słońcem.

Zszedł na dół. Wanda wcisnęła guzik i podała mu słuchawkę.

- Tu Alex - rzekł.

- Dostałem twoją wiadomość - był to głos Bena.

Chwila ciszy.

- Skąd...

- Podaj mi numer, pod który mogę zadzwonić, coś, co

nie jest związane z tobą. Ta kobieta, która odebrała, nie ma

przypadkiem komórki? Poproś, aby ci pożyczyła.

Alex zapytał Wandę, czy nie pożyczyłaby mu na chwilę telefonu. Podała mu numer, a on podyktował go Benowi.

- Oddzwonię - rzucił Ben i się rozłączył.

Alex uśmiechnął się do Wandy, biorąc od niej telefon.

- Klient cierpiący na paranoję. Nowy wynalazek. Robi takie rzeczy za każdym razem, kiedy chce ze mną

rozmawiać. Na chwilę pójdę do sali konferencyjnej. Zaraz wrócę.

Wanda kiwnęła powoli głową. Jej telefon już dzwonił, gdy Alex wchodził do sali. Zamknął za sobą drzwi. Odebrał połączenie.

- Skąd wiedziałeś, żeby tu zadzwonić?
- Nie jesteś w swoim gabinecie, co?
  - Nie, stoję w pustej sali konferencyjnej. Skąd wiedziałeś, żeby tu zadzwonić?
  - U ciebie jest przedpołudnie. Gdzie indziej miałbyś być?
- Chodzi mi o to, skąd wiedziałeś, gdzie pracuję?
  - Twój adres mailowy ma rozszerzenie „sullivangreenwald”. Wygooglowałem to.

Och. Powinien był się domyślić.

- Ale po co? Podałem ci numer mojej komórki. O co chodzi?
- Nie wiem, w jakiego rodzaju kłopoty się wpakowałeś ani z kim. E-mail nie jest bezpieczny. Sygnały telefonów komórkowych da się przechwycić. Twój gabinet może być na podsłuchu, a rozmowy nagrywane. Mało prawdopodobne, aby ktoś założył podsłuch na ogólnej linii do kancelarii, ponieważ to nie jest linia, przez którą normalnie rozmawiasz. Nie było to idealne, ale nie znałem lepszego sposobu na odpowiedzenie na twój e-mail. Okej?

Alex jednocześnie poczuł irytację i ulgę. Irytację, że łatwo można wytropić miejsce jego pobytu. Ulgę dlatego, że Ben ewidentnie ogarniał swoją działkę. Jednocześnie miał mu za złe ten wykład. Zdusił w sobie to uczucie i wyjaśnił, co się stało. Kiedy skończył, Ben rzekł:

- Twierdzisz więc, że zabito wynalazcę, zabito inspektora i że ty o mały włos nie zginąłeś, a powodem jest ten nowy wynalazek.
- Myślisz, że to szalone?

- To zależy.

-Od?

- Od wielu rzeczy. Ale trzy incydenty w ciągu trzydziestu sześciu godzin... to trochę za duży zbieg okoliczności.

- Też tak uznałem.

- Rozmawiałeś z policją?

- Taaa. Uważają, że te wydarzenia raczej nie mają ze sobą związku. Wygląda na to, że niewiele mogą zrobić.

- No więc? Co zamierzasz zrobić?

*A jak myślisz, po co do ciebie dzwonię?* - miał ochotę zawołać. - *Me wiem, co zrobić.*

Zżywał się w duchu przez chwilę, po czym odparł:

- Nie wiem.

Ben także chwilę milczał.

- Masz coś do pisania? - zapytał w końcu.

Alex wziął ze stołu notes i długopis.

-Tak.

- Wyłącz swoją komórkę i tak ją zostaw. Pocztę głosową możesz sprawdzić w każdej budce telefonicznej. Na kilka dni trzymaj się z dala od domu. Idź do banku, ale nie tego co zawsze, i wypłać dużo gotówki. Nie chodź do miejsc, gdzie zazwyczaj bywasz. Zamelduj się w hotelu. Za wszystkim płac gotówką, nie używaj kart kredytowych ani swojego nazwiska. Nie wybieraj się tam, gdzie nie będzie wokół ciebie innych ludzi. Przestań być grzeczny i zacznij być podejrzliwy.

Alex pisał szybko.

- Muszę chodzić do pracy...

- A gdybyś miał gripę? Co byś wtedy zrobił?

- I tak bym chodził.

- No tak, jakżeby inaczej. Wziąłeś chociaż raz zwolnienie lekarskie?

- Nie.

- To dobrze. Szef nie będzie się więc czepiał. Przez kilka dni cierp na straszliwą odmianę grypy. Powiedz, że pracujesz w domu. Pomyślą, że dużo śpisz i dlatego nie odbierasz komórki.
- A co to wszystko da? Będę po prostu musiał...
- Nie wiem, co tam się dzieje - przerwał mu Ben. - Zakładając, że rzeczywiście coś się dzieje. Ale lepiej uznać, że tak.
- Lepiej uznać, że co?
- Piszesz jeszcze?

Boże, wkurzało go to, jak Ben mu przerywał. Jakby te dwie dodatkowe sekundy słuchania miały się okazać zbyt dużym marnotrawieniem jego cennego czasu.

- Tak.
- Kiedy tylko będziesz miał okazję, wejdź na stronę internetową. Toniewyglupysamoobrona.com. Pisane jednym ciągiem. Weź ze sobą kawę, posiedzisz przy tym trochę. Musisz się dowiedzieć, jak zwracać uwagę na swoje otoczenie i myśleć jak twój przeciwnik. Ta strona to dobre miejsce, żeby zacząć się uczyć, jak nie być łatwym celem.
- W porządku, wejdę na tę stronę. I przez kilka dni będę chory. Potem co?
- Do tego czasu zjawię się ja.  
Zaskoczył tym Alexa.
- Przyjedziesz?
- Tak właśnie powiedziałem, prawda?
- Ale moja komórka będzie wyłączona, jak...
- Znajdę cię.

I się rozłączył.

Alex patrzył przez chwilę na telefon, nagle wkurzony. Dotarło do niego, że miał nadzieję, iż uda mu się nakłonić Bena do przyjazdu, ale nie musząc go o to prosić. No i udało się - tyle że Ben powiedział to w taki sposób, jakby wiedział dokładnie, w co wpakował się Alex, jednak postanowił mu ustąpić.

No i jeszcze to, jak zakończył rozmowę. Jakby ta cała sprawa była dla niego takim wrzodem na tyłku, że miał gdzieś mówienie „do widzenia”.

Albo po prostu chciał skończyć, nim Alex zdąży mu podziękować.

Cóż, do diabła z tym. Alex nie zamierzał tego robić.

## Czysto teoretycznie

Alex czuł się jak jakiś paranoik, ale ostatecznie uznał, że lepiej posłuchać Bena. Pojechał do domu, aby się spotkać ze ślusarzem, który miał się zająć drzwiami, ale potem zameldował się z powrotem w Four Seasons. Zadzwoił do Alisy, powiedział, że ma grypę i że będzie pracować w domu, prawdopodobnie przez kilka dni. Wysłał e-mail do Osborne'a, przekazując mu w skrócie wiadomość dotyczącą Hilzoya. Napisał też, że resztę opowie mu po powrocie do pracy.

Mieszkanie w luksusowym hotelu nie było złe. Jedzenie mieli dobre i podobała mu się siłownia. A co tam, nigdy nie miał prawdziwego urlopu, więc można to było uznać za namiastkę wakacji. Wszedł na stronę toniewyglupysamobrona.com i okazało się, że Ben miał rację. Znalazł tam całe mnóstwo informacji i choć tematyka była mu raczej obca, uznał, że napisano to z sensem.

Problem w tym, że wszystko, co się wydarzyło w ciągu kilku ostatnich dni, zaczynało się wydawać... dziwaczne, nieprawdopodobne, jak dziwny zapach, którego mógłby się pozbyć, gdyby po prostu wrócił do normalnego życia. Zaskoczony był tym, jak bardzo go kusi, aby jechać do kancelarii, zobaczyć spotykanych codziennie ludzi, wykonać zwyczajowe telefony, a na koniec dnia wrócić do domu. Było tak, jakby mu powiedziano, żeby nie drapał strupa, i śwędzenie doprowadzało go do szaleństwa.

Zaczął się zastanawiać, czy nadmiernie wszystkiego nie rozdmuchał. Tak trudno było uwierzyć, że Hilzoy handlu-



je narkotykami? A Hank - choć było to smutne, to jednak młodzi ludzie czasem umierali na zawał. Policja najwyraźniej uważała, że włamanie do jego domu to przypadek. Może to wszystko było jednym wielkim zbiegiem okoliczności. Jeśli dodać do tego nerwy towarzyszące całej sprawie, to nic dziwnego, że wszystko zaczęło pachnieć spiskiem.

Drugiego wieczoru jechał samotnie kolację w hotelowej restauracji. Kiedy uniósł głowę, ujrzał, że w jego stronę idzie Ben. Poznał go z daleka po chodzie. Był to chód zapaśnika, lekko koślawy, ale poza tym pewny siebie, zrelaksowany, taki, jaki się widzi u kogoś, kto nie tylko uważa, że jest właścicielem danego miejsca, ale prawdopodobnie ma rację. Alex zawsze zazdrościł bratu tego chodu. Kiedy byli nastolatkami, w tajemnicy próbował go naśladować.

Wstał i gorączkowo myślał, co powiedzieć. Lecz z jego ust wydostało się jedynie:

-Ben.

Ben miał na sobie dzinsy, ciężkie buty, ciemną koszulę, wełnianą marynarkę. Przez ramię miał przerzuconą skórzaną torbę. Jego brat nie wyglądał dużo starszej. Nadal miał atletyczną budowę i otaczała go aura gotowości pod tytułem *Nie zadzieraj ze mną*. Miał dłuższe włosy i kilkudniowy zarost; to było nowe. Rozglądał się po restauracji, jakby ją oceniał, i Alex po lekturze strony internetowej poświęconej samoobronie domyślił się, że Ben bada środowisko z punktu widzenia taktyki. A więc ludzie rzeczywiście coś takiego robili. Aż do tej chwili Alex był częściowo przekonany, że to jakaś gra.

Ben skierował wzrok na Alexa i zlustrował go całego.

- Jak leci, Alex?

Alex chciał wyciągnąć dłoń, jednak tego nie zrobił.

- W porządku. A u ciebie?

Kiwnął głową.

- Siedziałeś plecami do ściany. Wszedłeś na tę stronę internetową?

- Skąd wiedziałeś, że tu będę?
- Mówiłem, że cię znajdę.
- Ale jak?

Ben ponownie się rozejrzył.

- Ile jest dobrych hoteli w Palo Alto i Menlo Park? Trzy? A ten jest najnowszy i najlepszy. Do niego pierwszego zadzwoniłem. Zameldowałeś się pod własnym nazwiskiem. Mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

- Już wcześniej byłem tu zameldowany...
- A twój samochód stoi na ogólnodostępnym parkingu.
- No i?
- Powinieneś korzystać z usług boya. Czekanie na ciebie w samochodzie zaparkowanym w pobliżu twojego to najlepszy sposób, aby cię tu dorwać.
- Skąd w ogóle wiedziałeś, który samochód jest mój?
- Wystarczy mieć dostęp do wydziału komunikacji. Osoba, z którą masz problem, nie potrzebowałaby nawet tego, wystarczyłoby, że zaobserwowałaby, jak gdzieś wchodzisz i wychodzisz. A potem przeszła się po parkingu i sprawdziła tablice... *barn*. Fajny M3, tak przy okazji.

Wszystko to brzmiało tak pewnie. Ale skąd Alex miał o tym wiedzieć? Szkoda, że nie mógł przyłapać Bena na próbie dojścia do tego, jak przygotować zgłoszenie patentowe czy jak kodować w C++, albo na tuzinie innych czynności. On też mógłby sprawić, że zrobiłoby mu się głupio.

- Jeszcze jedno - powiedział Ben. - Zaparkowałeś da leko, na dole, na samym końcu parkingu. Jest tam zupełnie pusto. Jak bardzo próbujesz ułatwiać życie opryszkom?

Mogłeś przynajmniej zaparkować na górze, niedaleko kompleksu biurowego, gdzie ciągle ktoś się kręci.

- Parking był pełny, kiedy tu przyjechałem - odparł Alex, coraz bardziej zirytowany tymi wykładami. - Cały zapchany. To były godziny pracy. W nocy musi się robić tu pusto.

*Teraz mi powie, że powinien był o tym pomyśleć.*

Jednak Ben zamiast tego rzeki:

- Zjadłbym coś. Możemy się zamienić miejscami?

Alex wstał i Ben siadł na jego krzesło. Przesunął po stole na wpół pełny talerz.

- Chcesz menu? - zapytał Alex.

- Nie, zamówię po prostu to co ty.

Zjawił się kelner.

- Jeszcze raz ravioli z grzybami - powiedział Alex. - I jeszcze jeden kieliszek Sophie's Rows.

- Nie, wino nie - wtrącił Ben.

- Oczywiście - rzekł kelner i oddalił się.

- Nie lubisz wina? - zapytał Alex, wiedząc, że to głupie, niemniej jednak czując, że ta odmowa ma charakter osobisty.

- Nie bardzo. Zwłaszcza po długiej podróży.

- Skąd przyjechałeś?

- Z Europy.

- Nie wiedziałeś, że Europa to kontynent? - zapytał Alex, okraszając swe słowa sporą dozą sarkazmu.

Ben spojrział na niego i nic nie odpowiedział. Alex poczuł satysfakcję.

- No bo równie dobrze mogłeś powiedzieć: „Przyjechałem z jakiegoś miejsca na Ziemi”.

Ben nadal mu się przyglądał.

- Jeśli będę chciał się dowiedzieć więcej - odezwał się - to ci powiem.

- Taaa, już to widzę.

- To najmądrzejsze, co dzisiaj powiedziałeś.

Alex odwrócił się. Był wkurzony. Na Bena, za to, że taki z niego dupek. A jeszcze bardziej na siebie, że w ogóle musiał go tu ściągnąć. Boże, czy rzeczywiście był aż tak zdesperowany?

Niestety tak.

Po kolacji udali się na górę do pokoju Alexa. Alex zauważył, że jego brat chodzi w charakterystyczny sposób. Poruszał się powoli, jakby się nigdzie nie spieszył, a głowa nieustannie kręciła się na wszystkie strony. A kiedy dochodził do zakrętu, brał go łukiem, jakby dając sobie więcej czasu i miejsca na przekonanie się, co się znajduje z drugiej strony. Nie było w tym nic ostentacyjnego; prawdę mówiąc, jego zachowanie cechowała subtelność i Alex niczego by nie zauważył, gdyby Ben nie kazał mu o czymś takim poczytać.

Alex otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Ben pozostał z tyłu i przez chwilę Alex zdziwiony był tą oznaką szacunku. Ale wtedy brat wszedł do pokoju i zajrzał wszędzie - do szafy, do łazienki, pod łóżko - i do Alexa dotarło, że to czekanie było posunięciem taktycznym, sposobem na to, aby to Alex pierwszy wpadł w zasadzkę, gdyby rzeczywiście istniała. Zanim zdążył przetrwać te obserwacje, Ben wrócił do swego standardowego zachowania. Rozsiadł się na eleganckim tapicerowanym fotelu stojącym naprzeciwko okna z widokiem na autostradę 101, jakby to Alex był jego gościem, i rzekł:

- No dobra. Coś jeszcze się wydarzyło?

Alex przełknął konsternację i irytację i przyciągnął krzesło, by usiąść naprzeciwko brata. -Nie.

- Jak się czujesz?

- To znaczy?

Ben wzruszył ramionami.

- Intruz w domu w środku nocy... nawet jeśli był to przypadek, to człowiek może się zaniepokoić.

- Cóż, jestem zaniepokojony.

Przez chwilę obaj milczeli. W końcu ciszę przerwał Ben.

- Ta twoja zaimprovizowana broń była świetnym posunięciem.

Alex kiwnął głową, patrząc na niego.

- Jutro chciałbym zobaczyć dom i twoje biuro. Na razie...
- Przecież mówiłeś, abym się trzymał z dala od tych miejsc.
- Ty tak. Jutro ja będę z tobą, a to zmienia postać rzeczy. Na razie chcę, abyś opowiedział mi więcej o tym wynalazku. Obsidian, tak się nazywa?

I Alex mu opowiedział. Kiedy skończył, Ben rzekł:

- Dlaczego ktoś po prostu tego nie kupi? Czemu miałby zabijać wynalazcę, inspektora z urzędu patentowego i prawnika, który zgłosił patent?
- Ponieważ... nie chce, aby ktokolwiek w ogóle wiedział o Obsidianie?

Ben ziewnął.

- Na to wygląda, sądząc po tym, co mi powiedziałeś.
- Niemniej nie ma to sensu. To nie jest coś, co ma podwójne zastosowanie, albo związek z energią nuklearną czy coś w tym rodzaju. To algorytm zabezpieczający. Po prostu lepszy sposób na zabezpieczanie sieci. To tak, jakby ktoś próbował zabić wynalazcę, powiedzmy, lepszych zamków do drzwi.
- A kto jest przeciwny lepszym zamkom?  
Alex myślał przez chwilę, po czym rzekł:
- Włamywacze.
  - No właśnie. Może masz do czynienia z kimś, kto potrafi włamywać się do domów przy obecnym stanie rzeczy. Nie chce lepszych zamków. Albo chce być jedynym właścicielem domu, który ma zamek tak dobry jak ten, żeby włamywacze stanowili problem innych ludzi. A może jest jakieś zastosowanie, o którym nie wiesz, coś, co dostrzegł ktoś inny.
- Więc myślisz, że coś może w tym być?

Ben obrócił parę razy głową, aż mu chrupnęły kręgi.

- Może tak, może nie. Wynalazca podobno handlował heroiną. To wysoce ryzykowna profesja. Inspektor z urzędu patentowego miał wadę serca...

- Owszem, ale czy czegoś takiego nie da się upozorować? No wiesz, ktoś go zabił, ale sprawił, że wygląda to na zawał?
- Coś takiego prościej jest zrobić w filmach niż w prawdziwym świecie. Podobno był kiedyś taki facet, Japończyk albo pół-Japończyk, który potrafił dokonać czegoś takiego, ale ja uważam to za mit. Zresztą mówią, że już przeszedł na emeryturę.
- A jeśli nie? Czysto teoretycznie założmy, że inspektor został zamordowany. Powiedzmy, że ten, kto się włamał do domu, próbował mnie zabić.
- Okej, czysto teoretycznie. Facet od patentów został zamordowany. Ale koleś, który się włamał do domu, nie próbował cię zabić.
- Jak to? Czemu miałby...
  - Przychodzi mi do głowy wiele powodów, ale zabicie ciebie, przynajmniej wtedy, nie jest jednym z nich.
- To co mówisz, nie ma sensu.
  - Alex, on wie, gdzie mieszkasz. Skoro wie, gdzie mieszkasz, to wie też, gdzie pracujesz. Jeździsz do pracy wcześniej, no nie?
- Dlaczego tak uważasz?
  - Nie trzeba być twoim bratem, żeby wiedzieć, że jesteś tego typu osobą, która wcześniej zjawia się w pracy. Kiedy przyjeżdżasz, parking jest jeszcze pustawy?
- Najczęściej tak.
  - No właśnie. Czeka na ciebie na pustym parkingu, jeden strzał w głowę i odjeżdża.
- Jezu.
  - Cel taki łatwy jak ty... Gdyby ten ktoś chciał, żebyś nie żył, zdążyłby cię już uśmiercić na kilkanaście różnych sposobów. Włamywanie się do twojego domu byłoby niepotrzebnie ryzykowne i skomplikowane.
- W takim razie dlaczego?

Ben wzruszył ramionami.

- Prywatność. Żeby cię przesłuchać.
- To znaczy torturować, to masz na myśli?
  - Nazwij to, jak chcesz. Mówiłeś, że twój samochód stał na podjeździe, wiedział więc, że jesteś w domu. Chciał cię dorwać w spokojnym, prywatnym miejscu, gdzie nie musiałyby się spieszyć. Po wszystkim prawdopodobnie by cię zabił.
- Tak po prostu?

Alex chciał, żeby pytanie zabrzmiało sarkastycznie, by nonszalancja pokryła niepokój. Ale wzrok Bena przesunął się w lewo, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał.

- Nie tak po prostu. Najpewniej kazałby ci jechać w jakieś miejsce, gdzie mógłby to zrobić i pozbyć się ciała.
- Co? Dlaczego?
  - Brak ciała połączyłby ze sobą wszystkie elementy tej historii. Po wszystkim odstawiłby samochód na dworzec autobusowy albo kolejowy. Może podrzuciłby do niego trochę heroiny. Kilka innych wskazówek. I historia brzmiałaby tak: „Prawnik zamieszany w narkotyki wpada w popłoch, kiedy policja przesłuchuje go w sprawie śmierci jego klienta-ukoś-nik-dilera. Znika, ponieważ boi się zdemaskowania albo że będzie kolejnym celem, albo coś tam jeszcze”. Taaa, to by miało sens. Policja jest zajęta, nikt nie grzebałby głębiej, zwłaszcza nie mając ciała.
- Jak pozbyć się ciała?
- Nie chcesz tego wiedzieć.

Alex wyobraził sobie siebie martwego i jakiegoś anonimowego faceta pochylającego się nad nim z piłą w ręce. Albo zawiniętego w plastikowy worek i wrzuconego do studni. Albo obciążonego łańcuchami i wrzuconego do zimnej ciemnej wody...

- Skąd wiesz takie rzeczy? - zapytał. - No bo ty na prawdę to wiesz, no nie?

Ben wstał i podszedł do okna. Stał tam, przyglądając się milczącej autostradzie. Po chwili rzeki:

- Zacznijmy od tego, kto wiedział o wynalazku. Czy informacje o nim zostały upublicznione?

Alex poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

- Nie - odparł po chwili. - Zgłoszenie patentowe przez osiemnaście miesięcy utrzymywane jest w tajemnicy, a potem na ogół publikowane.

- I jeszcze nie minęło tych osiemnaście miesięcy, więc zgłoszenie trzymane było w tajemnicy.

- Zgadza się. Wniosek złożyliśmy rok temu.

- Ale jacyś ludzie o nim wiedzieli. Kto?

- Wielu ludzi. Na przykład UP.

-Kto?

- Urząd Patentowy. Także sporo osób w kancelarii. No i inwestorzy, z którymi się kontaktowałem w sprawie finansowania wynalazku. Plus... pewnie ci, którym mógł powieść dzieć Hilzoy.

Ben przeszedł na drugi koniec okna.

- Trzy cele: ty, wynalazca, inspektor. Wielu ludzi mogło wiedzieć o was i waszym związku z wynalazkiem. Ale ktoś wiedział o was trzech. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Kto mógł wiedzieć o tym gościu od patentów?

- Właściwie to nikt. Jego grupa nie była jeszcze nawet oficjalnie przypisana do tego patentu, znałem go po prostu ze studiów. Pomagał mi nieoficjalnie, mówił o raportach dotyczących statusu, tego rodzaju rzeczy.

- Więc jego nazwisko nie pojawia się w dokumentach?

- Nie, w żadnym razie. Tylko kilka telefonów i e-maili.

- Cóż, ktoś wiedział o jego zaangażowaniu.

- Ale skąd?

- Nie wiem. Mogło to być coś tak prostego jak podsłuch w twojej komórce czy gabinecie. Albo w jego.

Przez chwilę milczeli. Ben ziewnął i rzekł:



- Muszę się przespać. Rano będziemy się dalej zasta nawiać.

Alex poczuł się niezręcznie. Nie chciał, aby Ben musiał płacić za pokój. Zapłacił już przecież za bilet.

- Zameldowałeś się tutaj? Czy...

- Prześpię się po prostu na sofie, okej?

- Jak sobie życzysz - odparł Alex. - Masz za sobą długi lot, no nie? Cały długi lot nie wiadomo skąd.

# Kosmiczna karma

Alex obudził się i usłyszał, że Ben bierze prysznic. Usiadł i zerknął na budzik. Szósta trzydzieści. Wyglądało na to, że wcześniej złączą dzień. Był zaskoczony tym, że nie słyszał, jak Ben wstał. Zazwyczaj miał lekki sen.

Udał się w bieliznie do łazienki i chwycił za klamkę. Zamknięte. Cholera, musiał się wysikać. Zapukał i powiedział:

- Ben, pospiesz się.

I natychmiast pomyślał, jakie to dziwne. Kiedyś mieli wspólną łazienkę i często się o nią kłócili i oto teraz tamta sytuacja znów się powtarzała.

Odsłonił żaluzje i wyjrzał przez okno. Słońce dopiero wschodziło i po niebie mknęły długie różowe chmury. Przez chwilę stał i patrzył, pocierając nagie ramiona. Czuł się dezorientowany. Powinien być teraz w domu i szykować się do wyjścia. Odczuwał silną potrzebę powrotu do pracy, powrotu do swego życia.

Woda przestała lecieć. Alex odwrócił się i podszedł do sofy. Leżała na niej otwarta torba Bena. Alex zobaczył ubrania, jakąś książkę...

Czy to był pistolet?

Przyjrzał się uważniej. Rzeczywiście, mały czarny pistolet. Jezu Chryste, Ben miał broń? Przy sobie?

Drzwi łazienki otworzyły się i pojawił się w nich Ben z ręcznikiem wokół bioder i naręczem ubrań.

- Cała twoja - oświadczył.

- Masz broń?

Ben zbliżył się, ledwie go omiatając spojrzeniem.

- Oczywiście.
- Przy sobie?
- A gdzie indziej miałbym ją mieć?

Jezu, to tak jak ten koleś, który na pytanie *Dlaczego napadasz na banki* odpowiedział: *Bo tam właśnie są pieniądze.*

- Chodzi mi o to - zaczął Alex, po czym ugryzł się w język. Ale zaraz. - Skoro masz ją nosić przy sobie, to dlaczego nie zabrałeś jej do łazienki?

Ben upuścił na sofę trzymane ubrania i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego dłoni ukazał się inny pistolet, większy od tego, który przed chwilą zobaczył Alex.

- Ten drugi jest zapasowy - wyjaśnił. - Noszę go z tyłu, przy pasku. Do łazienki raczej nie zabieram obydwu.
- Możesz z nimi podróżować? Latać samolotem?
- Czasami. Kiedy nie mogę, czekają na mnie na miejscu.

Alex miał ochotę zadać więcej pytań - *Jak to czekają? Kto je dostarcza?* - ale uznał, że lepiej tego nie robić. Jakoś nie mogło mu się pomieścić w głowie, że jego brat nosi przy sobie pistolet. A co dopiero dwa. Generalnie miało to oczywiście sens. Ben był tajnym żołnierzem czy kimś w tym rodzaju. No ale jednak.

Skorzystał z toalety, umył zęby, wziął prysznic i ubrał się. Tuż przed otwarciem drzwi Ben zatrzymał się i rzekł:

- Powiem ci, co masz zrobić. Daj boyowi ten kwitek i niech przyprowadzi mój wynajęty samochód. Mam zamiar przejść się w stronę twojego auta i zajrzeć w miejsca, gdzie ja bym czekał, gdybym chciał się na ciebie zasadzić. Jeśli ktoś rzeczywiście czeka i on albo oni nie wyglądają ciekawie, może nakłonię jednego z nich, aby się z nami przejechał.
- Nakłonisz?
- Czy muszę ci wszystko tłumaczyć jak krowie na rowie, Alex? Po prostu przejeżdż się po parkingu moim autem. Jeśli będę sam, zabierzesz mnie, jeśli nie, otworzysz bagażnik.

Wystarczy odpowiedniej osobie zadać odpowiednie pytania w odpowiedni sposób i przekonamy się, skąd się biorą twoje problemy i dlaczego. Przecież tego chcesz, tak?

- Tak, ale...
- Ale co?
- Słuchaj, nie chcę się mieszać w...
- Już w to jesteś zamieszany. I chcesz się wymiksować.
- No ale zastanów się, co mówisz. Chcesz, żebym ci pomógł... kogoś porwać? Na parkingu przed hotelem Four Seasons w Palo Alto?
- Nie, to ty się zastanów, co mówisz. Oczekujesz, że to ja wykonam za ciebie brudną robotę? Tak?
- Ja nie... - urwał, nie mając pewności, co powiedzieć. To wszystko działo się za szybko. Ben nie mógł naprawdę proponować, żeby kogoś porwali, no nie?

Ben zaśmiał się.

- Jesteś taki sam jak politycy, Alex. Chcesz, żeby coś zrobić, ale nie pozwolisz, aby zrobiono to we właściwy sposób. Myślisz, że można sobie przy tym nie ubrudzić rąk? To tak nie działa.
- Nie o to mi...
- Właśnie o to. Mam dość liberałów, którzy nigdy nie widzieli broni, nie mówiąc o jej używaniu w sytuacji stre-sogennej, próbujących ukrzyżować policjantów za to, że nie wystrzelili noża z dłoni opryszka. Próbujących stawiać pod sąd żołnierzy, którzy wpakowali dodatkową kulkę w jakiegoś Ahmeda po tym, jak padł na ziemię, niezadających sobie nawet trudu, aby zapytać, czy to nie ta dodatkowa kulka powstrzymała skurczybyka przed zdetonowaniem kamizelki naszpikowanej materiałami wybuchowymi. Możesz sobie żyć w tym świecie iluzji, jeśli chcesz, ale może byś okazał choć odrobinę wdzięczności tym, którzy ci to umożliwiają? Którzy odwalają całą brudną robotę, tak żebyś ty mógł dalej udawać, że jesteś czysty?

- A czego chcesz? Złotego medalu? - zapytał Alex głósniej, niż zamierzał. - Sam się zgłosiłeś do swojej roboty, no nie? Jasne, cieszę się, że ludzie zaciągają się do wojska, tak że ja nie muszę tego robić, ale to samo mógłbym powiedzieć o górnikach. Czemu zasługujesz na specjalne względy?

Ben pokręcił głową.

- Ale nie mówisz górnikom, jak mają wydobywać węgiel, no nie? Nie mówisz im, aby starali się pracować tak, żeby brud nie dostał im się za paznokcie. Skąd więc u ciebie taka niewiarygodna znajomość mojej branży? Wystarczy mi, że na okrągło muszę tego wysłuchiwać na CNN, nie będę tego znosić jeszcze od ciebie.

Przez chwilę stali, wpatrując się w siebie. Alexowi przyszło do głowy kilka replik. Wszystkie jednak wydawały się dziecinne, a zresztą jaki to miało sens?

Ben zerknął na zegarek. Minę miał taką, jakby pragnął znajdować się w tej chwili gdzieś indziej.

- Przejdę się teraz do twojego samochodu - rzekł.

- Sprawdzę też hol. Daj mi minutę, zanim stąd wyjdiesz, żeby nie widziano nas razem. - Podał mu kwitek, wyrzwał przez wizjer i wyszedł.

Alex odczekał chwilę, zwalczając w sobie pragnienie chwycenia czegoś i rzucenia tym o ścianę, po czym także wyszedł. Zjechał windą do holu i rozejrzał się ostrożnie. Był pusty. Chryste, czy od teraz tak właśnie będzie? Nieustanne zastanawianie się, czy facet czytający w holu gazetę nie chce przypadkiem go zabić? Nie sądził, aby potrafił żyć w taki sposób.

Wręczył boyowi kwitek. Mężczyzna wyszedł i za dwie minuty podjechał szarym taurusem. *Nieustanny kamuflaż* - pomyślał Alex. - *Tak wygląda życie Bena.*

Wsiadł i skręcił w prawo. Ben stał niedaleko M3. Był sam. Alex zatrzymał się przy nim i Ben wsiadł.

- Jedziemy do twojej pracy - rzucił. - Jedź na południe przez Page Mili, nie trasą, którą byś jechał z domu.

Alex już-już miał spytać, skąd Ben wie, gdzie się mieści jego kancelaria, ale wtedy sobie przypomniał: sprawdził stronę internetową. No i oczywiście znał ten teren. On też się tu wychował.

Jechali w milczeniu. Kiedy dotarli do parkingu przed Sullivan, Greenwald, Ben powiedział:

- Przejeżdż obok miejsca, gdzie najczęściej parkujesz, ale się nie zatrzymuj. Sprawdźmy, co się tam dzieje.

Alex tak właśnie zrobił. Było krótko po siódmej i na parkingu stało niewiele samochodów.

- Widzisz tamto auto? - zapytał Ben. - Jaguara? Widzisz, jak maska i szyby są pokryte rosą? Stał tu przez całą noc. Nikt by w nim nie wytrzymał. Dla nas to znaczy, że jest bezpieczny.

- Brzmi sensownie.

- Szukamy natomiast samochodu, który zjawił się dziś rano. Najlepiej takiego, który ma włączony silnik, żeby grać kierowcę i nie dopuszczać do zaparowania szyb. Ale nie widzę tu takiego.

- Ale większość samochodów nie jest pokryta rosą.

- Zgadza się. Przywiozły tu dzisiaj ranne ptaszki, takie jak ty. Ważne jest to, że są puste. Jak na razie nie jest źle. Teraz objeżdż parking parę razy, żebyśmy się przyjrzał obrzeżom, a potem zaparkuj gdzieś, gdzie zazwyczaj nie parkujesz, i skorzystaj z wejścia, jakiego zazwyczaj nie używasz.

Zaparkowali i weszli do środka. Ben poruszał się ostrożnie, tak samo jak w hotelu. Ciągłe się zatrzymywał i rozglądał, jakby coś ustalał.

- Wejście na kartę magnetyczną - odezwał się i Alex nie miał pewności, czy mówi do niego czy do siebie. - To przeszkoda. Poza tym jeśli tu nie pracujesz, to gdzie masz się rozlokować? Ludzie wchodzi i wychodzą, istnieje ryzyko odkrycia nawet o wczesnej i późnej porze, nie da się obserwować otoczenia. No więc najlepsze miejsce na bazę to

parking. Jest tam co prawda kilka wejść i wyjść. Ale zwykle cel sam rozwiązuje ten problem, bo zawsze korzysta z tego samego. Taaa, ja bym był zdecydowanie za parkingiem. Weszli po schodach.

- Nie mów niczego w swoim gabinecie, dopóki ci nie powiem, że jest bezpieczny - nakazał Ben.

- Bezpieczny, żeby...

- Po prostu nic nie mów.

Szli długim, wyłożonym zieloną wykładziną korytarzem. W gabinecie Osborne'a paliło się światło i kiedy go mijali, Alex zerknął do środka. Cholera, Osborne tam był. Podniósł głowę, kiedy usłyszał kroki.

- Alex! - zawołał. - Nie spodziewałem się ciebie. Jak się czujesz?

- Eee, lepiej. A co ty tu robisz o tak wczesnej porze? Już wróciłeś z Tajlandii?

- Zawsze zjawiam się wcześniej - odparł Osborne. Spojrzał na Bena. - A to jest...

- Mój brat, Ben.

Osborne wstał i podszedł do nich powoli.

- Nie wiedziałem, że Alex ma brata.

Wyciągnął rękę. Ben odczekał chwilę, po czym ją uściśnął.

- Niezbyt często bywam w Kalifornii - powiedział.

- Nie? A gdzie mieszkasz?

- Jestem wolontariuszem Misjonarzy Afryki.

Osborne wyglądał na zaskoczonego.

- Afryka - rzekł. - Hmm.

- Tak, zapewniamy żywność, odzież, schronienie, nowe źródła czystej wody, leki, opiekę duszpasterską, edukację...

Alex jeszcze nigdy nie widział Osborne'a tak skonsterowanego.

- Ach tak - powiedział.

Ben uśmiechnął się.

- „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie; do takich bowiem należy Królestwo Niebieskie”. Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział dziewiętnasty, wers czternasty. Zgadza się pan?

- Dzieci są z całą pewnością najważniejsze - powiedział Osborne. - Cóż, nie będę was zatrzymywał. - Uśmiechnął się blade i wrócił do biurka.

Alex i Ben poszli dalej. W Aleksie wszystko się gotowało. O co w tym wszystkim chodziło, do diaska? Osborne teraz pomyśli, że jego brat to jakiś fanatyk religijny. Chciał coś powiedzieć, ale byli już prawie w jego gabinecie i miał w pamięci ostrzeżenie Bena.

Weszli do środka. Ben przyłożył palec do ust, po czym pokazał na drzwi i wykonał ruch imitujący przekręcanie klucza. No tak. Alex zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Ben postawił na biurku torbę i wyjął z niej coś, co wyglądało jak radio. Przytwierdził do niego jakiś pręt i zaczął chodzić po gabinecie, kierując pręt w różne strony. Do Alexa dotarło, co robi jego brat: *Cholera, szuka pluskiew*.

Po kilku minutach Ben zainteresował się telefonem Alexa. Sprawdził słuchawkę, przewód i sam aparat.

Odstawił wykrywacz na biurko. Przez chwilę wyglądał przez okno, po czym zasunął żaluzje.

- Gabinet jest czysty - oświadczył.

Alex zauważył, że czerwone światelko pozostało włączone.

- Nie wyłączasz go? - zapytał.

- To na wypadek pluskwy, która była wyłączona, gdy sprawdzałem, a która uruchamia się później.

- Naprawdę myślisz, że ktoś mógł zainstalować podsłuch w moim gabinecie?

Ben wzruszył ramionami.

- Robimy to czysto teoretycznie, pamiętasz?

- Zawsze nosisz ze sobą ten sprzęt?



- O co ci chodzi? Alex pokręcił głową.
- Ja nie... nie wiem, jak możesz tak żyć.
- W przeciwnym razie byłbym martwy.
- Chodzi mi o to, że to musi być wyczerpujące.
  - Wydaje ci się tak, bo nie wiesz, czego szukać. Nie masz żadnych filtrów.
- Czego szukałeś za oknem?
  - Miejsca, w którym ktoś mógłby zainstalować laser, aby odczytywać rozmowy z szyby.
  - Chyba nie mówisz poważnie. Coś takiego naprawdę jest możliwe?
  - Nie jest to proste, ale do zrobienia. Nie ma sensu ryzykować.

Alex usiadł na swoim fotelu, ciesząc się, że nie zdążył go zająć Ben. Gdyby nie bawił się swoim sprzętem, najpewniej tak właśnie by zrobił.

- Czemu wcisnąłeś Osborne'owi ten kit o misjonażach?

Ben się zaśmiał, ale był to śmiech wymuszony. Usiadł na jednym z krzeseł stojących po drugiej stronie biurka.

- Nie spodobał mi się ten koleś. Nie miałem ochoty z nim rozmawiać. To twój szef, tak?
- Jak to odgadłeś?
- Odgadłem i już.
- Taaa, cóż, lepiej by jednak było, gdyby nie uważał mojego brata za fanatyka.
- Coś takiego było najlepszym sposobem na skrócenie naszej rozmowy do minimum. Tłuste kocury, którym płaci się pięćset dolarów za godzinę za to, że przesuwiają po biurku dokumenty, nie lubią rozmawiać z ludźmi, którzy pracują charytatywnie. Przez to mają wrażenie, że ich życie jest płytkie.
- Uważasz, że moje życie jest płytkie?

Ben rozejrzał się po gabinecie.

- Nie było cię dwa dni, tak? Coś się tu przez ten czas zmieniło?

Alex nie zamierzał mu pozwolić na udawanie, że nie słyszał pytania.

- Pytałem, czy uważasz, że moje życie jest płytkie.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Ben rzekł:

- Nie ma znaczenia to, co ja uważam.

- Nie, chcę to wiedzieć.

- Nie wiem, Alex. Mieszkasz w tym samym domu, pracujesz osiem kilometrów od niego, w tej samej okolicy chodziłeś do college'u i studiowałeś, wszystko tutaj... Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek zrobiłeś coś innego? Podjąłeś jakieś ryzyko?

Alex czuł, że płoną mu uszy.

- I co z tego? Stanford było najlepszą uczelnią. A wiesz, jak wielki trzeba płacić w Kalifornii podatek, kiedy sprzeda je się dom?

Kiepsko to zabrzmiało, nawet on to usłyszał. Ale pieprzyć Bena, życie nie polega tylko na podejmowaniu ryzyka.

- Uważasz się za wielkiego ryzykanta - powiedział.

- Ale chcesz wiedzieć, co ja myślę?

Ben odwrócił wzrok, jakby był tą rozmową znudzony.

- Nieszczęśliwie.

- W szkole kiepsko ci szło, rzuciłeś studia i nie potrafiłeś zagrać miejsca w Dolinie. Zabrałeś się więc za jedyne, w czym byłeś choć trochę dobry, i od tamtej pory z konieczności się tym zajmujesz. Nie robisz tego, co robisz, dlatego, że jest to wartościowe i ważne, ale dlatego, że nie wiesz, jak robić cokolwiek innego.

Ben odwinął z papierka gumę do żucia i wsunął ją do ust. Podał paczkę Alexowi, którego ogarnęła ochota, aby wytrącić ją bratu z ręki.

- Coś się zmieniło pod twoją nieobecność?

Alex przez chwilę wpatrywał się w niego gniewnie, po czym uznał, że odpuści.

- Zaraz sprawdzę - rzekł.

Nie musiał długo szukać. Wcześniej na biurku leżało osiem stosików dokumentów. Teraz jednego brakowało. Tego dotyczącego Hilzoya.

- No co jest, do cholery! - zaczął przerzucać pozostałe dokumenty, potwierdzając to, co już wiedział. Było tak, jakby dokumenty Hilzoya zostały po prostu... wykasowane.

- Co się stało? - zapytał Ben.

- Moja dokumentacja dotycząca Hilzoya. Obsidiana. Zniknęła.

- Jesteś pewny?

- Leżała tutaj, na biurku. Tu trzymam sprawy, które są w toku. - Przejrzał jeszcze segregator. - Nie ma. - Usiadł i zadzwonił do Osborne'a. - David, nie pożyczasz z mojego gabinetu żadnych dokumentów?

- A czemu pytasz, coś ci zginęło?

- David, czy istnieje powód, dla którego nie możesz udzielić konkretnej odpowiedzi na moje pytanie?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, nie mógł uwierzyć, że to zrobił. Nawet Ben patrzył na niego ze zdziwieniem. Przez chwilę panowała cisza. Potem Osborne rzekł:

- Nie, nie pożyczałem twoich dokumentów.

Rozłączył się.

- Nie przejmowałbym się tym, że uznał mnie za fanatyka religijnego. Sam potrafisz go nieźle wkurzyć.

Alex nie odpowiedział. Fajnie tak było warknąć na Osborne'a. Spodziewał się nawet, że na Benie zrobi to wrażenie... tyle że on go krytykował, drwił sobie z niego.

- Czy ktoś inny mógł pożyczyć te dokumenty? - zapytał Ben.

- Alisa, moja sekretarka, ale nigdy nie zdarza się, żeby coś wzięła i nie odłożyła na miejsce przed wyjściem z pracy.

- A może rozejrzysz się u niej, żeby mieć pewność?  
Alex wstał i sprawdził. Nic. Wrócił i usiadł, kręcąc głowę.

- Ktoś jeszcze?

Alex przez chwilę się zastanawiał.

- Ewentualnie Sarah, prawniczka, która mi pomagała przy tej sprawie. Ale nie wzięłaby niczego z mojego gabinetu. A gdyby rzeczywiście to zrobiła, zostawiłaby kartkę albo jakąś wiadomość.

- Niemniej sprawdź to.

Zadzwoił na komórkę Sarah.

- Hej - rzekł. - Wybacz, że niepokoję cię tak wcześnie.

- Nie ma sprawy. Właśnie wjeżdżam na parking. Co się dzieje?

Niewiele osób zjawiało się w pracy przed Sarah. Alex był jedną z nich.

- Nie mogę znaleźć moich dokumentów dotyczących Hilzoya. Nie wzięłaś ich może?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałabym ci, gdybym to zrobiła.

- Tak też sobie pomyślałem. Chciałem się tylko upewnić. Dzięki.

Rozłączył się i pokręcił głową.

- Nadal robimy to czysto teoretycznie? - zapytał Ben.  
Alex przełknął ślinę. Najpierw jego dom, potem gabinet... co się, do diabła, działo?

- Nie - powiedział. - Coś jest rzeczywiście nie tak.

- Co by zyskali, zabierając twoje dokumenty?

Alex przez chwilę się zastanawiał.

- Nic. I tak mamy dokumentację chronologiczną, no i jeszcze kopię zapasową... i mnóstwo tego, co zniknęło, mógłbym prawdopodobnie skopiować z maili, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Sprawdzałeś pocztę?

Alex włączył komputer i sprawdził korespondencję.

- Jezu Chryste - rzekł. - Wszystko zniknęło. Wszystkie pliki dotyczące kodu zabezpieczającego Obsidiana.

Wyszedł i sprawdził dokumentację chronologiczną. Nie mógł jej znaleźć. Jeszcze raz sprawdził, tym razem za pomocą odnośników. Nic. Obsidian zniknął.

Wrócił do gabinetu.

- Ktoś zabrał wszystko - oświadczył. - Wszystko. Nie ma nic.

- A kopia zapasowa?

- Nie wiem, jak to sprawdzić. Będę musiał zapytać kogoś z IT.

- Uwierz mi, kopia zapasowa także zniknęła - powiedział Ben.

- Skąd wiesz?

- Ktoś się tu zjawił nocą i przeprowadził profesjonalną operację. Dobrze się wywiązał z zadania. Wiedział, że trzeba zabrać dokumenty z biurka, dokumentację chronologiczną i odpowiednią korespondencję elektroniczną. Sądzisz, że przeoczył coś tak oczywistego jak kopia zapasowa?

Alex siedział osłupiały. Nie miał pojęcia, co zrobić.

- No więc pytanie brzmi tak - odezwał się Ben, patrząc na niego. - Dlaczego ci się upiekło?

- To znaczy?

- Zabito dwóch ludzi w dwóch różnych częściach kraju. Jednego z nich w niezwykle wyrafinowany sposób, tak aby to wyglądało na zawał. Ciebie mogli zabić w każdej chwili. Dlaczego tego nie zrobili?

- Cóż, też chciałbym to wiedzieć. Ben bębnił palcami o udo.

- Uważam, że ci ludzie popełnili błąd.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Lepsze jest wrogiem dobrego. A próbowali być lepsi.

- Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Ktoś chce tego wynalazku. Nie, źle to ująłem. Ktoś **nie** chce, aby miał go ktoś inny, co znaczy, że nie chce, aby ktokolwiek się o nim dowiedział. No to postaw się teraz w jego sytuacji. Masz sprawić, że wynalazek zniknie. Co robisz?
- Cóż, nie da się, to zbyt...
- Gdybyś musiał. Co byś zrobił najpierw? Alex przez chwilę się zastanawiał.
- Wynalazca - powiedział.
- Okej. Kto zginął pierwszy?
- Wynalazca.
- Co dalej?
  - Powiedziałbym, że to loteria, albo Urząd Patentowy, albo prawnik zajmujący się tą sprawą.
  - Najpierw załatwili inspektora. Może porozmawiali z nim przed śmiercią. Z tobą także chcieli rozmawiać.
  - O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Alex.
- Ben go zignorował.
- Ale ty się wywinąłeś. Obserwowali cię, i nagle nie ma cię w pracy i nie ma cię w domu. Do jakiego doszli wniosku? Że się przyczałeś. A kiedy to sobie uświadomili, zmienili priorytety. Co byś zrobił na ich miejscu?
- Nie wiem... chyba dokumenty.
- No i proszę bardzo.
  - Ale co by im to dało? Zgłoszenia patentowe mają teraz formę elektroniczną, cała specyfikacja znajduje się w WIZP, systemie wyszukiwania informacji o zgłoszeniach patentowych. Aby się do niego dostać, trzeba mieć cyfrowy certyfikat i hasło. Chodzi mi o to, że to jest...
- Sprawdź.
- Alex otworzył stronę internetową WIZP, zalogował się i wpisał numer zgłoszenia patentowego. I co? Nic.
- A niech mnie - rzekł.
- Nie ma?

Alex spróbował ponownie, tym razem wstukując numer deklaracji, a potem numer klienta. Też nic. Spojrzał na Bena i pokręcił bez słowa głową.

- Widzisz? - powiedział Ben. - Najpierw likwidowali ludzi, potem dokumenty. Zakłóciłeś porządek ich operacji, więc zmienili priorytety. A to, że udało im się natychmiast zlikwidować całą dokumentację, oznacza, że byli do tego przygotowani i po prostu woleli najpierw skasować ciebie. Rozumiesz? To tak jak próba posprzątania bałaganu. Jeśli nie możesz osiągnąć jakiejś plamy, zabierasz się za inną i później wracasz do tej pierwszej.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym dodał:

- Ta dziewczyna, Sarah. Mówiłeś, że pomaga ci przy tej sprawie?
- Cholera, tak. Nie myślisz chyba...
- Jej nazwisko jest wymienione w zgłoszeniu patentowym? Można się dowiedzieć w inny sposób o jej zaangażowaniu?
- Tak, jest wymienione, i tak, można się dowiedzieć.
- Czy w zgłoszeniu patentowym jest podane nazwisko prawnika zgłaszającego czy coś w tym rodzaju?
- Tak, to jestem ja.
- Cóż, jeśli wiedzą, że jest niższa rangą, to jest dla nich celem trzeciorzędnym.
- Chcesz powiedzieć...
- Każdy element operacji niesie ze sobą potencjalne reperkusje, rzeczy, które mogą się nie udać i zagrozić operacji. Dlatego zaczynasz od likwidacji najważniejszych celów. Jak sam powiedziałeś, to oznacza najpierw wynalazcę, potem inspektora, potem ciebie. Dopiero po unieszkodliwieniu głównych graczy zaryzykowałbyś komplikacje wynikające z dopadnięcia niższej rangą prawniczki, która pomagała przy zgłoszeniu. Rozumiesz?
- Tak. Uważasz, że grozi jej teraz niebezpieczeństwo.

- Owszem, gdybym to ja tym dowodził.
  - Cóż, musimy ją ostrzec.
  - „My” to znaczy kto?
    - Ja się na tym nie znam. Uzna, że postradałem zmysły. Nie posłucha mnie. Jest... uparta.
  - To jej wybór.
    - Cholera, przynajmniej pomóż mi z nią porozmawiać. Jak się będziesz czuł, jeśli coś jej się stanie?
  - Nic nie będę czuł. To nie mój problem. Alex nie mógł uwierzyć własnym uszom.
  - Wow, ale się zrobiłeś zimny.
    - Dałeś ostatnio pieniądze jakiejś organizacji dobroczynnej, szefie?
  - Jaki to ma związek z...
    - No wiesz, Smile Train, dla dzieci z zajęzonymi wargami? Malaria No More? Care.org dla niedożywionych dzieci? A SaveDarfur.org? Tylko kilka dolarów dziennie, Alex, nie więcej, niż płacisz za swoją latte, a mógłbyś ratować setki istnień.
  - To nie to samo.
    - I tu masz rację. Dlatego że to, o co mnie prosisz, wiąże się dla mnie z potencjalnym zagrożeniem. To, czego ty się nie zgadzasz robić, nie przysporzyłoby ci żadnego kłopotu.
      - Skąd tyle wiesz o tych organizacjach dobroczynnych?
      - Czytam o nich, żeby wytykać hipokryzję ludziom takim jak ty.
- Alex wyczuł, że chodzi o coś więcej, i nie zamierzał odpuścić.
- Wspierasz je datkami, prawda?
  - A gdybym to robił, to co?
    - Dlaczego? Żeby odpokutować za inne rzeczy, które robisz? Próbujesz wyrównać kosmiczną karmę?
- Ben zaśmiał się.



- Jesteś jak małe dziecko próbujące zrozumieć zachowanie osoby dorosłej. Wracaj do rzucania się piórnikiemami, a problemy prawdziwego świata zostaw dorosłym.
- Taaa, bardzo bym chciał tak zrobić, Ben, tyle że jeden z dorosłych wbił sobie do głowy, aby mnie zabić. Ale masz rację, to nie twój problem. Wybacz, że zawracam ci głowę.
- Zgadza się, to nie mój problem. Jesteś po prostu jeszcze jedną z moich organizacji dobroczynnych.

Alex wpatrywał się w niego ze zdumieniem. To jednak naprawdę niesamowite, że po tylu latach bezdusność brata nadal go szokowała. No ale czemu miałyby być inaczej? Czy Bena kiedykolwiek obchodziło coś poza własnym tyłkiem?

- Chcę się upewnić, że dobrze rozumiem. Dajesz pieniądze organizacjom dobroczynnym działającym na rzecz jakichś ludzi, którzy mieszkają daleko i których nigdy nie poznasz ani nie dotkniesz. Ale kiedy ktoś pod twoim nosem potrzebuje pomocy, ty masz to gdzieś. Tak to właśnie działa?

Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę. *Do diabła z tym wszystkim* - pomyślał Alex. Wziął do ręki słuchawkę i wystukał numer wewnętrzny Sarah.

- Sarah? Możesz natychmiast zejść do mojego gabinetu?
- To dziwne. Nie mogę znaleźć...
- Po prostu zejdź. Porozmawiamy o tym u mnie. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Bena. - Już tu idzie. Skoro nie masz ochoty nawet z nią porozmawiać, lepiej teraz wyjdź. Chyba że najpierw chcesz skorzystać z mojego komputera, aby przekazać pieniądze jednej z tych swoich organizacji. No wiesz, żeby kosmiczna karma nie uległa zachwianiu. Ben nic nie powiedział. Patrzył na Alexa i żuł gumę.

# Dokładnie to, co wam powiem

Niesamowita sprawa. Po tym jak Alex zapytał o akta Hilzoya, Sarah postanowiła sprawdzić swoje. Nie znalazła ich. Właśnie miała do niego dzwonić, kiedy ją ubiegł.

Chwyciła z biurka kawę i udała się do jego gabinetu. Zapukała i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. To dziwne, zwłaszcza że Alex dopiero co kazał jej przyjść.

- Są zamknięte! - zawołała.

- Przepraszam - odrzyknął Alex.

Chwilę później otworzył drzwi. Sarah weszła do gabinetu i kiedy Alex zamykał za nią drzwi, dostrzegła opierającego się o ścianę mężczyznę.

- Och - powiedziała zaskoczona.

Mężczyzna wyglądał jak większa, bardziej nieokrzesana wersja Alexa. Takie same jasne włosy, takie same atrakcyjne zielone oczy. Żuł gumę i przyglądał się jej. Było w nim coś niepokojącego, coś, co ją wytrącało z równowagi.

- Sarah - rzekł Alex. - To mój brat, Ben. Ben, to Sarah Hosseini.

Jego brat. No jasne - od razu powinna się była domyślić. Ale dlaczego tak na nią patrzył? Jakby ją... oceniał. Ale nie w sensie seksualnym. Jego spojrzenie było zbyt beznamiętne. Pełne samokontroli.

- Hosseini? - zapytał Ben, unosząc brwi.

- Tak - odparła Sarah, patrząc mu prosto w oczy. Nie podobał jej się jego ton. Było w nim coś znaczącego... wręcz oskarżycielskiego.
- *Famileh shoma az shomaleh iran hastand? Man ye zamani yek khanevadeh hosseini mi shenakhtam ke az mashhad bodand.*

Całkowicie ją zaskoczył. Właśnie zapytał perfekcyjnym farsy, czy jej rodzina pochodzi z Meszhedu, miasta na północy. Powiedział, że kiedyś znał kogoś o nazwisku Hosseini pochodzącego z Meszhedu.

- *Mi famileh man tehrani hastand. Hamantor ke khodet midoni hosseini esmeh reyeji ast* - odparła Sarah.

- „Nie, moja rodzina pochodzi z Teheranu. Hosseini to popularne nazwisko. Co pewnie zresztą wiesz”.

- Czy ty... to farsy? - zapytał Alex.
- Tak - powiedziała Sarah, nie spuszczać wzroku z Bena.
- Kiedy się nauczyłeś farsy? - zapytał Alex, zerkając na brata.
- Kurs korespondencyjny - odparł Ben, nadal patrząc na Sarah.
- Twój brat mówi jak rodowity Irańczyk - rzekła Sarah.
- Nie sądzę, aby nauczył się tego języka na kursie korespondencyjnym. Próbuje być sprytny, choć nie wiem dlaczego. Przy tak krótkiej znajomości jest to, prawdę mówiąc, raczej niegrzeczne.

Do diabła z nim, denerwowało ją jego spojrzenie. Nie zamierzała ustąpić.

- Taaa, czasami tak już ma - powiedział Alex. - Nie na rażałbym cię na to, gdyby sprawa nie była naprawdę ważna.

Ben uśmiechnął się na te słowa i podszedł do jednego z krzeseł. Ten uśmiech mówił: *Pewnie, możesz wygrać nasz mały konkurs wpatrywania się w siebie. Moje gratulacje.* To było wkurzające.

- *Okej* - pomyślała. - *Odpuść temat.* Usiadła obok Bena.
- *Przez telefon* - powiedział Alex - zaczęłaś mówić, że coś zginęło?
- Tak, moje akta dotyczące Hilzoya. Dziwne, bo dopiero co ty mi powiedziałaś, że nie możesz znaleźć swoich. Co się dzieje?

Alex spojrzął na Bena i rzekł:

- O rany.
- Muszę się czymś martwić? - zapytała.  
Poczuła na sobie spojrzenie Bena.
- Zależy, jak jesteś bystra - odparł.  
Spojrzała na niego.
- Załóżmy, że bystrzejsza od ciebie.  
Wzruszył ramionami.
- No to powinnaś się bardzo martwić.  
- Sarah - rzekł Alex. - Myślę, że tobie i mnie może grozić niebezpieczeństwo.

Alex mówił, a Sarah słuchała, walcząc z pragnieniem przerywania i zadawania pytań. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie wątpiła w prawdziwość jego słów. Wiedziała oczywiście o Hilzoyu, a resztę mogła łatwo sprawdzić. Nie wątpiła także, że Alex naprawdę jest przekonany, że to jakiś rodzaj spisku. Ale musiało istnieć racjonalne wytłumaczenie, prawda? Ludzie nie zabijali się z powodu wynalazków w słonecznej, cywilizowanej Dolinie Krzemowej. Tu się kupowało i sprzedawało, czasami zaskarżało, ale zabijanie?

Kiedy Alex skończył, spojrzała na Bena.

- A ty co masz z tym wszystkim wspólnego?  
Ben pokręcił głową.
- Właściwie to nic.
- Ben jest wojskowym - wtrącił Alex. - Zna się na tych sprawach.
- Wojskowym? - zapytała Sarah, nie spuszczać wzroku z Bena. - Wobec tego naprawdę musisz się znać na rzeczy.

Kącik ust Bena drgnął lekko, jakby uznał jej słowa za niesłychanie zabawne i nie był w stanie tego ukryć.

- Wiem to i owo - rzekł.

- Och, to fascynujące. Opowiedz mi.

Tym razem przechylił głowę i uśmiechnął się. Jeszcze nigdy nie widziała tak protekcyjnego spojrzenia.

- Och, daj spokój - powiedziała. - Nie spróbujesz na wet uraczyć mnie opowieścią o tym, jak się kieruje czołgiem albo strzela z karabinu, albo rekwiruje zapasy? Nie zechcesz pokazać, jak bardzo „znasz się na tych sprawach”?

Ben lekko zmrużył oczy. Przyglądał się jej, spokojnie i zdecydowanie, i Sarah wyczuwała w nim olbrzymią samokontrolę. W tym człowieku było coś niebezpiecznego i zrozumiała, że pogrywanie sobie z nim nie jest rozsądne. Ale jednocześnie ta fasada kontroli i protekcyjność, które były jedynymi cechami, jakie pozwolił jej zobaczyć... nie mogła tak tego zostawić.

- Nie prowadzę czołgów - powiedział po chwili. - Sporo czasu minęło, odkąd miałem przerzucony przez ramię karabin. I nie rekwiruje wielu zapasów.

- Wobec tego musisz być naprawdę wyjątkowy. - Boże, co ona wyrabia? Dlaczego tak bardzo chciała... co? Sprowokować go? Zezłościć? Zbić z tropu? Doprowadzić do pęknięcia tej starannie skonstruowanej protekcyjnej fasady?

- Och, żaden tam wyjątkowy. Zwłaszcza w porównaniu z, powiedzmy, prawnikiem. No bo wy to dopiero jesteście wyjątkowi. Sama góra łańcucha pokarmowego. Ludzie tacy jak ja to jedynie pokorni służący.

- Hej - zaczął Alex, ale Sarah weszła mu w słowo.

- No to powiedz mi, jaką konkretnie odbywasz służbę.

- Ja jedynie zapewniam bezpieczeństwo ludziom takim jak ty. To nic ważnego, naprawdę.

Zrozumiała. Zapewnianie jej bezpieczeństwa nie było czymś ważnym.

- Ale jak? Powiedziałeś mi jedynie, czym się nie zajmujesz.

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

- Neutralizuję zagrożenia, żeby prawnicy dalej mogli zarabiać grubą kasę i popijać śmiesznie drogie kawy. To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać.

Dotarło do niej, że on nie tylko traktuje ją protekcjonalnie. Pod tą fasadą skrywał się cały światopogląd, w którym ludzie pokroju Bena to męczennicy, a ludzie pokroju Sarah to niewdzięcznicy. *Daj mu popalić* - pomyślała, wiedząc że zachowuje się niedojrzale, a może nawet niebezpiecznie niemądrze, ale zbyt mocno chciała się przekonać, co się wtedy stanie.

- Jakież to szlachetne z twojej strony. Jednak o jakich zagrożeniach mówisz? I w jaki sposób je neutralizujesz? To wszystko musi być bardzo niebezpieczne - nawet nie skrywała pogardy.

- Różnych - odparł Ben. Wyraz jego twarzy pozostawał neutralny, wręcz znudzony, ale w jego oczach pojawiło się coś - zainteresowanie? niezadowolenie? gniew? - co sprawiło, że Sarah poczuła, że jednak jej się udało. - Najczęściej są to typki z Osi Zła. Jakiś czas temu Irakijczycy. Koreańczycy z Północy. - Cisza, a potem: - Irańczycy.

- Irańczycy - powtórzyła, czując, że zaczynają ją palić policzki. - Oni to dopiero muszą być najgorsi.

- Nie można im ufać - odparł, żując gumę. - Nigdy nie wiadomo, co kombinują.

- Cieszę się, że tak się dobrze dogadujecie - wtrącił Alex. - To znacznie ułatwi nam przeżycie kolejnego dnia.

Cholera, on miał rację. Uprawiała idiotyczne gierki, a jaki to miało sens?

- Chwileczkę - powiedziała. - Czy mamy jeszcze gdzieś zapisany kod zabezpieczający Obsidiana?

Alex pokręcił głową.

- Nie sądzę. Zabrali wszystko, nawet zgłoszenie w WIZP.
- Cholera..
  - Ben spojrział na nią.
  - Dlaczego?
  - Gdybyśmy mieli kod zabezpieczający - wyjaśniła - moglibyśmy go opublikować.
  - Oczywiście - powiedział Alex. - SourceForge albo Slashdot...
  - Nie tylko na stronach technicznych. Moglibyśmy napisać do każdego blogu politycznego: Talking Points Memo, Unclaimed Territory, No Comment, Balloon Juice, HuIIa-baloo, Daily Dish, Firedoglake. Napisałibyśmy o ludziach, których zabito, o włamaniu do twojego domu...
  - Dlatego właśnie tak szybko działali, kiedy nie wyszło im z Alexem - wtrącił Ben. - Musieli wyeliminować prawdopodobieństwo, że wszystko ujawnicie. W tej całej sprawie chodzi o to, aby istnienie wynalazku utrzymać w tajemnicy.
  - Tak zachowuje się rząd - oświadczyła Sarah. - Blokuje wszystko. Informacje chcą być wolne. Rząd chce je kontrolować.

Alex westchnął.

- Taaa, cóż, bez kodu zabezpieczającego nie możemy niczego uwolnić. Zostaniemy uznani za parę świrów rozpowszechniających teorię spisku.
- Jasne - zgodził się Ben. - A potem, kiedy i tak by was zabito, nie byłoby żadnego dowodu, nawet gdyby ktoś zauważył, kiedy was sprzątnęli. Nie ma dowodu, nie ma sprawy. Najważniejsze, że wynalazek zostałby utrzymany w tajemnicy.

Przez chwilę milczeli. Ben spojrział na Alexa.

- Ty musisz coś wiedzieć - orzekł. - W przeciwnym razie by cię po prostu zabili, a zaraz potem zgarnęli dokumenty. Ale nie zrobili tego. Najpierw chcieli od ciebie jakichś informacji. Jakich?

- A skąd mam wiedzieć?
- Co wiesz? Co mogli podejrzewać, że wiesz?
- Nie mam pojęcia.
  - Zastanów się. Wiedzieli wszystko na temat systemu dokumentacji w twojej firmie, wersji elektronicznych i kopii zapasowej. Wiedzieli, którzy prawnicy pracują nad tą sprawą. Wiedzieli o WIZP i jak się do niego dostać. To wszystko kwestie łatwe do odgadnięcia, proceduralne. Sprawy formalne. Systemy. Z równowagi wytrąciłoby ich coś nieszablonowego, coś spoza systemu, coś trudnego do przewidzenia. Co takiego? Czego mogli się obawiać, że nie dostrzegą? Prywatnego laptopa? Nieoficjalnej kopii zapasowej? Masz coś takiego?
  - Tak! - wykrzyknął Alex. - Kiedy Hilzoy się tu zjawiał, zawsze zostawiał mojej sekretarce kopię zapasową aktualnej wersji. Zabezpieczenie na wypadek katastrofy. Chodziło o to, by trzymać kopię w zupełnie innym miejscu. Jest teraz w moim laptopie. Bawiłem się tym.
  - Dokładnie takiej wpadki mogli się obawiać - rzekł Ben. - Dlatego planowali cię przemaglować. W tej kopii jest kod źródłowy?
  - Nie, ona jest tylko do odczytu - wyjaśnił Alex. - Coś takiego jak program, który można kupić w sklepie. I uwagi Hilzoya.
  - A potrafisz to rozłożyć na czynniki pierwsze? - zapytał Ben.
  - Nie - wtrąciła Sarah. - To znaczy teoretycznie może i tak, ale w praktyce nie.
  - Żadnej kopii zapasowej kodu źródłowego?  
Alex pokręcił głową.
  - Zgarnęli wszystko.
    - A co by się stało, gdybyście opublikowali wersję do odczytu?  
Alex wzruszył ramionami.



- Nie sądzę, abyśmy zyskali dzięki temu wiarygodność. Na pierwszy rzut oka to jedynie zmyślny sposób na szyfrowanie danych. Od śmierci Hilzoya eksperymentuję z tym i nie potrafię znaleźć niczego, za co by warto zabić. Opublikowanie tego jako dowodu na spisek zapewniłoby nam jedyne wielkie ziewnięcia.

Przez chwilę cała trójka milczała.

- No dobrze - odezwała się Sarah. - To co mamy teraz zrobić?

- Widzę trzy możliwości - odparł Ben.

Alex i Sarah popatrzyli na niego.

- Pierwsza jest taka, że możecie nic nie robić. Niewykluczone, że ten, kto stoi za tym wszystkim, uważa, że zmienił się współczynnik ryzyka i nagrody. Zgarnęli kod źródłowy. Usunęli wynalazek z WIZP. Wyeliminowali wynalazcę i kołosa od patentów. I nie wiedzą o dysku z kopią zapasową, mimo że tego właśnie typu ewentualność próbowali wykluczyć. Możliwe, że czują się już na tyle swobodnie, że dadzą sobie spokój.
- Jak bardzo jest to prawdopodobne? - zapytał Alex.
- Nie powiedziałbym, że jakoś bardzo - odparł Ben. - Rozpoczęli tę operację od polowania na ludzi. Coś takiego wymaga potężnego zaplecza i mnóstwa ryzyka, więc można zgadywać, że zależy im także na wyeliminowaniu świadków. To co zrobiłeś w swoim domu, zmusiło ich do zmiany porządku operacji, ale wciąż zależy im na usunięciu ludzkich celów.
- A teraz mam czas, aby odkryć brakujące dokumenty - dodał Alex - i inne rzeczy. Aby poskładać wszystko do kupy. Co znaczy, że jeśli rzeczywiście pominęli jakąś kopię zapasową...

Ben kiwnął głową, po czym odwrócił się w stronę Sarah.

- Właśnie tak. Poza tym możliwe, że pozwolili jej żyć dlatego, że nie była wystarczająco ważna, aby ją zabić. Ale

teraz muszą wziąć pod uwagę to, że mogłeś ją ostrzec, że coś się dzieje. Teraz wiesz więcej niż do tej pory. No więc mogą na nowo przeanalizować poziom zagrożenia.

Sarah próbowała zdusić w sobie irytację z powodu sposobu, w jaki omawiali zagrożenie jej życia, tak jakby w ogóle nie było jej w tym gabinecie.

- Cóż, możliwość numer jeden nie brzmi zbyt obiecująco - odezwała się. - Jaka jest druga?
- Druga możliwość jest taka, że znajdziecie sensowne wyjaśnienie, dlaczego komuś opłaca się zabijać dla Obsi-diana. Wtedy znajdziecie się krok bliżej odgadnięcia, kto za tym stoi.
- Próbowałem - powiedział Alex. - Niczego nie udało mi się znaleźć.
- Kto może się czuć zagrożony? - zapytał Ben. - Albo kto może zyskać? Producenci oprogramowania zabezpieczającego?

Sarah zaśmiała się.

- Chcesz powiedzieć, że firmy komputerowe zabijają ludzi? Błagam.

Ben spojrzał na nią.

- Co „błagam”? Błagam, nie mów niczego, co może uratować ci życie za cenę przebicia twej bańki naiwności?
- Daj spokój, Ben - wtrącił Alex. - Firmy nie zabijają ludzi.
- Skąd ta pewność? Jakie masz dowody?
- A rząd? - zapytała Sarah. - Może NSA nie chce, aby sieci były lepiej zabezpieczone niż obecnie.

Ben zaśmiał się.

- Naprawdę nie sądzę, aby NSA...
- Co, nie sądzisz, aby NSA zabijała ludzi? I to niby ja żyję w bańce naiwności? Założę się, że nie uważasz, że prezydent mógłby aresztować obywatela amerykańskiego na amerykańskiej ziemi i przetrzymywać go bez prawa do ad-

wokata czy aktu bez aktu oskarżenia lub w inny sposób nie trzymać się konstytucyjnych wymogów. Założę się, że nie uważasz także, że rząd mógłby podsłuchiwać Amerykanów bez stosownego nakazu. Założę się, że nie uważasz...

- Nic, kurwa, nie wiesz o tym, co ja uważam.

- ...że rząd mógłby uknuć spisek w celu rozpoczęcia wojny. Założę się, że nie uważasz, że rząd składa się z ludzi, którzy zaszli w polityce tak daleko, bo nauczyli się usprawiedliwiać wszelkiego rodzaju korupcję w imię wyższego dobra. I może powiesz mi, że coś takiego nie dzieje się każdego dnia?

Urwała, ciężko oddychając. Nie zamierzała wygłaszać przemowy. Ale trochę go to ruszyło. Ta mała bomba na literę „k” nie stanowiła części programu samokontroli, prawda?

- Wiesz co? - rzekł. - Jeśli trzeba nagiąć jakieś prawo, aby uratować ludzkie istnienia, to się je nagina. Tak już jest na tym świecie.

- Tak? A kto określa, jakie prawo nagiąć? I jak bardzo? Skoro można łamać jakieś prawa, to dlaczego nie inne? Gdzie to się kończy? Co w ogóle znaczy prawo?

- Mam dla ciebie propozycję - powiedział, żując leniwie gumę. - Zamiast obwiniać Amerykę za wszystko, co nie daje ci spokoju, może zastanowisz się nad innymi możliwościami? Chyba że to za duży wysiłek...

- Na przykład?

- A co powiesz choćby na mullów w Teheranie? Nie uwierzyłabyś, jakie świństwa knują.

Sarah wiedziała, że Ben znowu się z nią drażni, i próbowała zachować spokój. Miała ochotę powiedzieć: *Jestem Amerykanką, ty pieprzony rasisto, i nienawidzę mullów*, wiedziała jednak, że tego właśnie chciał, że chciał ją rozgniewać. Wtedy by jej powiedział, że kierują nią emocje, a ona do listy cech, za które nim pogardzała, dodałaby seksizm.

- Oczywiście - rzekła więc, przekuwając gniew w sarkazm. - Dopilnujmy, aby na liście znalazł się Iran. W końcu każde państwo z PKB wielkości Finlandii to śmiertelne zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa narodowego. Oglądałeś wiadomości? W zeszłym tygodniu w Stambule dokonano zamachu na dwóch irańskich fizyków jądrowych.
- Naprawdę? - zapytał Ben. - Musiałem to przegapić.
- Tak, i ich ochroniarze także zginęli. Mimo że mamy prawo, dekret prezydencki 12333, które zakazuje dokonywania zamachów.

Ben wzruszył ramionami.

- Co zrobić? Iran ma wielu wrogów.
- Jasne, i może zleciliśmy wykonanie jednemu z nich, tak jak zlecaliśmy torturowanie, niezgodne z naszym prawem. Dopóki sami się tym nie zajęliśmy. Widzisz, co się dzieje, kiedy można nieco nagiąć prawo? Zaczyna się je łamać, i to bardzo często.
- Podziwiam twój idealizm - rzekł Ben z pobłażliwym uśmiechem, za który miała ochotę mu przyłożyć.
- Wspomniałeś o trzeciej możliwości - przerwał ich przepychanki Alex. - Co to takiego?

Przez chwilę Ben przyglądał się swoim paznokciom.

W końcu się odezwał:

- Nie chcecie jej znać. To ta, która nie ma szczęśliwego zakończenia. A na chwilę obecną wydaje się najbardziej prawdopodobna. Odnoszę wrażenie, że oboje zamierzacie chować głowy w piasek, aż ktoś odstrzeli wam tyłki.

Jak mógł tak mówić o własnym bracie? Jak mógł tak mało się tym przejmować? Czy to taka poza? Bądź co bądź zjawił się tutaj, a to musiało coś znaczyć.

- A policja? - zapytała.

Ben spojrzął na nią.

-Tak?

- Moglibyśmy im powiedzieć o skradzionych dokumentach.
- Jasne, że moglibyście. I spodziewacie się, że co zrobią?
- Nie wiem. Przekonają się, że coś rzeczywiście się dzieje, tak jak i my. Przeznaczą dodatkowe środki. Przydzielą nam może ochronę.

Ben wzruszył ramionami.

- Jasne, no to tak zróbcie.

Spiorunowała go wzrokiem. Miała ochotę zetrzeć z jego twarzy tę niefrasobliwość.

- Okej - rzekła po chwili. - Powiedz mi, czego nie łąpię.

Westchnął.

- Nie patrzysz na to wszystko z perspektywy drugiej strony. Tutaj drugą stroną jest policja. Alex już ją zapoznał ze swoją teorią spisku, prawda?
- Cóż, tak bym tego nie nazwał - wtrącił Alex. - A poza tym to było, zanim...
- Zanim co? Zanim się okazało, że zginęły ci dokumenty? Pomyślą, że to kawał. Pomyślą, że wymyśliłeś sposób na to, aby potraktowano cię poważnie. Zaczną ci się uważnie przyglądać w sposób, który wcale by ci się nie spodobał.
- Ale moje dokumenty także zniknęły - odezwała się Sarah.
- Zgadza się. Pomyślą, że zabrał je Alex, abyś potwierdziła jego wersję.
- Nie pomyśleliby tak - oświadczyła, uświadamiając sobie, że brzmi to dziecinnie. Po prostu nie chciała, żeby miał rację.
- Ilu policjantów znasz? - zapytał Ben. - Wiesz, jak żyją na co dzień, jak postrzegają świat? Pozwól, że ci powiem, na czym się skupia detektyw z wydziału zabójstw San Jose. Gangi. Nastolatki z ranami postrzałowymi. Świadkowie, którzy boją się współpracować. Próbuje nad tym wszyst-

kim zapanować. To jest jego świat. A bagno, w którym wy ugrzęźliście? To coś, co ogląda w kinie. A nawet gdyby rzeczywiście wam uwierzył, co wtedy? Myślisz, że otrzymacie ochronę od policji z San Jose? Do diabła, on miał rację.

Ale...

- Ktoś zabrał te dokumenty z naszych gabinetów - powiedziała. - Jak tu się dostał?

- Przychodzi mi do głowy wiele sposobów - odparł Ben. - A czemu pytasz?

Alex wyprostował się na swoim fotelu.

- No tak, karty magnetyczne. Wszystkie są indywidualnie zakodowane. Jak ktoś chce, to może się przekonać, kto wchodził i wychodził i kiedy.

Ben pokręcił głową.

- Nawet jeśli mieli jakąś pomoc na miejscu, i tak się nie dowiecie, kto to był.

- A to czemu? - chciała wiedzieć Sarah.

- Wszystko inne, co zrobili, było zbyt starannie przygotowane. Nie popełnią tak oczywistego błędu.

- Jak inaczej można nocą wejść i wyjść? - zapytała Sarah.

- Nie trzeba być Houdinim, żeby się prześlizgnąć przez recepcję w godzinach pracy i siedzieć w toalecie czy gdzieś tam do czasu, aż budynek się wyludni. Na coś takiego nie byłoby żadnego elektronicznego dowodu.

- Ale wiedzieli dokładnie, do jakich pójść gabinetów.

- Wasze nazwiska wiszą na ścianie obok drzwi. Nie żeby tego potrzebowali. Tej operacji nie zaplanowano w ciągu jednej nocy. Ci ludzie od miesięcy obserwowali system archiwizowania tej kancelarii, no i was.

- Nawet jeśli - odezwał się Alex - to uważam, że powinniśmy się skontaktować z ochroną.

-Nie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, jak już mówiłem to strata czasu. Po drugie, przedstawiłeś mnie już wystarczającej liczbie osób w swojej firmie. Nie chcę zwracać na siebie uwagi.

Wkurzona Sarah miała na końcu języka: *Wybacz, że naraziliśmy cię na niedogodności*, ale się pohamowała.

- Ufasz swojemu szefowi? - spytał Ben. - Temu kowbojowi?

Alex chciał powiedzieć: *Nikomiu nie ufam*. Zamiast tego spytał:

- Czemu? Sądzisz, że jest w to wplątany? Ben wzruszył ramionami.

- Dziś był tu wcześniej.

- Ma nieregularne godziny pracy. Zresztą czemu miałby to robić?

- A skąd mam wiedzieć? To twój szef.

- Jego roczny dochód to kwota z sześcioma zerami. Nie sądzę, aby motywem były finanse.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Ciszę przerwała Sarah:

- No dobrze. Opcja druga. O czym konkretnie mówimy?

Ben spojrzał na Alexa.

- Możesz pracować na tym pliku zapasowym?

- Oczywiście.

- No to zrób to. Weź parę dni wolnego, znajdź jakieś bezpieczne miejsce, zaszyj się w nim, zapomnij o wszystkim innym i dowiedz się, co jest takiego wyjątkowego w tym wynalazku.

- To raczej niewiele - stwierdziła Sarah.

- Owszem. Ale lepsze to niż czekanie, aż ktoś mu wpakuje kulkę w tył głowy.

Do Sarah dotarło, że kiedy Ben mówił o zaszyciu się gdzieś, miał na myśli tylko Alexa. A ona co miała robić? Dwóch ludzi nie żyło. Ktoś ukradł dokumenty z jej gabinetu. Włamał się do systemu WIZP, włamał się do domu

Alexa. Myśl, że miałoby ją opuścić dwoje jedynych ludzi na świecie, którzy rozumieją, co się dzieje, napawała ją przerażeniem.

- A co ma zrobić Sarah? - zapytał Alex.

Była mu taka wdzięczna za to pytanie, że mało brakowało, a szeroko by się do niego uśmiechnęła.

- To samo co ty - odparł Ben. - Przyczaić się. Czekać, aż się dowiesz, do czego tak naprawdę można wykorzystać ten wynalazek.

- Dowiem się tego szybciej z Sarah niż w pojedynkę. Zamrugnęła oczami. Czy te słowa wypowiedział rzeczywiście Alex Treven?

Ben pokręcił głową.

- Uważam, że byłoby bezpieczniej, gdyby...

- Gdyby co? - przerwał mu Alex. - Gdybyśmy się rozdzielili? Nie wydaje mi się. A zresztą sam powiedziałeś, że bezpieczeństwo zapewni nam wiedza, dlaczego ktoś chce Obsidiana tak bardzo, że gotów jest za niego zabić.

Ben podrapał się po policzku.

- W porządku. Jak sobie chcecie. Alex spojrzał na Sarah.

- Możesz zniknąć na kilka dni?

- Może gdybym była chora... ty byleś, prawda? Grypa?

- Do dzisiejszego ranka owszem - odparł Alex. - Kiedy wchodziłem, widział mnie Osborne.

Sarah próbowała się uśmiechnąć.

- W sumie mogłabym się od ciebie zarazić. A ty mógłbyś mieć nawrót.

Alex spojrzał na Bena.

-A ty? -Co ja?

Westchnął.

- Czy możesz poświęcić temu nieco więcej czasu? Nieco więcej czasu z Sarah i ze mną?



- Nie wydaje mi się, abyście mnie rzeczywiście potrzebowali.

Alex położył dłonie na biurku, jakby chciał się podprzeć albo próbował utrzymać równowagę.

- Tak, Ben, potrzebujemy cię. Jak zauważyłeś, jesteśmy jedynie parą prawników. Zobacz, jak szybko mnie znalazłeś, kiedy poprzednio próbowałem „się zaszyć”. Ktoś inny też mógł to zrobić. Musimy się trzymać razem.

Ben wyjrzał przez okno. Zaciśnął dłoń w pięść. Pstryknęły knykcie.

- Trzymać się razem - powiedział.

Alex spojrzął na niego.

- Zgadza się. Ben

kiwnął głową.

- W porządku. Ale wy macie swoją robotę, a ja swoją.

Do was należy rozpracowanie wynalazku. Do mnie cała reszta. To ja dowodzę. Nie kwestionujecie moich decyzji. Nie pouczacie mnie. Robicie to, co wam każe. Jesteście teraz w moim świecie, nie swoim. Zrozumiano?

- Dobrze - odparł Alex.

Ben spojrzął na Sarah. Odpowiedziała mu równie spokojnym uśmiechem, nic jednak nie powiedziała.

- Zrozumiano? - powtórzył.

- Rozumiem cię - rzekła.

- Taaa. Ja ciebie też rozumiem. Pokażcie mi swoje komórki.

*No i co teraz?* pomyślała Sarah, ale nie odezwała się ani słowem. Podała Benowi swój telefon. Alex zrobił tak samo.

Ben wyłączył oba aparaty i wrzucił je do swojej torby.

- Co ty robisz? - zapytała Sarah.

- Nie kwestionujesz moich decyzji.

- Kwestionuję, jeśli zabierasz mi telefon. A to, że nie mam niczego kwestionować, nie oznacza, że wszystko musisz robić, nie udzielając żadnych wyjaśnień.

Ben zachichotał. Miała ochotę go uderzyć.

- Wiem, że trudno jest wam to zaakceptować - rzekł - ale ktoś poważnie wdepnął w wasze życie. Wasze domy i miejsce pracy. Wasze samochody. Miejsca, w których by wacie. Rzeczy, które robicie. Rozumiesz teraz? Mogę ci za gwarantować, że gdybym to ja na was polował, siedziałbym przyklejony do sygnałów waszych komórek, aż dowiedziałbym się czegoś, co jeszcze bardziej ułatwiłoby mi zadanie. Czy któreś z was posiada jakiś pakiet assistance albo abona ment na usługę concierge w ramach samochodowego GPS?

Sarah pokiwała głową i zobaczyła, że Alex robi to samo. Słowo, którego Ben użył tak lekko - „polował” - zmroziło ją.

- No to moje gratulacje. To też bym śledził. Twierdzi cie, że jesteście gotowi na jakiś czas zniknąć, ale nie wiecie, jak to zrobić. To nie będzie łatwe. Będziecie się musieli wy rzec paru wygód. Okej? Potrzebujecie dalszych wyjaśnień czy teraz już rozumiecie?

Przez chwilę milczeli. Sarah wiedziała, że to, co mówił Ben, ma sens, niemniej miała mu za złe ton, jakiego używał.

- No to co robimy? - zapytał Alex.

Ben spojrzał na Sarah.

- Dokładnie to, co wam powiem - oświadczył.

## Więcej szczęścia następnym razem

Pojechali do Four Seasons wynajętym samochodem Bena. Alex prowadził, Sarah siedziała z przodu, Ben z tyłu. Ben był wkurzony. Ile minęło od jego powrotu? Dwanaście godzin? A już zdążył stracić kontrolę nad sytuacją.

Nie ufał tej dziewczynie. Jej zaangażowanie polityczne było oczywiste i niewykluczone, że miała wujka czy kuzyna w jakichś służbach bezpieczeństwa. Jaki problem stanowiłoby dla niej wykonanie telefonu - „Hej, wujku Ahmadzie, powinieneś się przyjrzeć temu wynalazkowi, który próbuję opatentować. To na coś takiego kazałeś mi mieć baczenie”. Taaa, może było to mało prawdopodobne, ale wiedział, że Irańczycy naprawdę przygotowują się na wypadek cyberwojny.

No i ktoś rzeczywiście zabrał te dokumenty z gabinetu Alexa. Ktoś, kto wiedział, gdzie szukać, albo otrzymał dokładne wskazówki. Musiał to być ktoś z kancelarii. Kto inny znalazłby temat? I kto inny miałby powód? Fakt, że twierdziła, że jej także zginęły dokumenty, czynił ją w jego oczach jeszcze bardziej podejrzaną.

Ogromnym ryzykiem było zabieranie jej teraz ze sobą, ale tak naprawdę nie miał wyboru. Widział, jak Alex na nią patrzy; ten idiota był w niej lekko zadurzony. Cóż, trudno go za to winić. Musiał przyznać, że jest atrakcyjna. Ale Chryste, miała strasznie niewyparzoną gębę. Niepotrzebnie wspo-

mniał w ogóle o Iranie; tylko ją to nakręciło. Zawsze go jednak wkurzało połączenie świętoszkowatości i naiwności.

I nie podobała mu się ta uwaga o zamachu w Stambule. Jasne, media o tym trąbiły. Była Iranką, była zaangażowana politycznie, więc oczywiście, że to widziała. No ale jednak.

W każdym razie miał zamiar wyciągnąć Alexa z tych tarapatów. Wprawdzie brat na to nie zasługiwał, ale Ben i tak zamierzał mu pomóc, ponieważ taki już był, nawet jeśli Alex tego nie dostrzegał. A teraz jego braciszek dał mu jasno do zrozumienia, że to umowa wiązana: musiał pomóc także dziewczynie. Chryste, powinien był coś takiego przewidzieć. To dokładnie w stylu Alexa: wciągnąć go w to, zaangażować, a potem oświadczyć: *Och, i jeszcze jeden mały drobiazg...*

Generalnie czynnik trudności tej sytuacji oceniał na 9,8, ale był w niej także mały pozytyw. Jeśli ta dziewczyna rzeczywiście pracowała na rzecz drugiej strony, mógł ją wykorzystać jako kanał fałszywych informacji - w zasadzie jako mimowolnego podwójnego agenta. Musiałby działać niezwykle ostrożnie, ponieważ znała także mnóstwo prawdziwych informacji - na przykład ich obecną lokalizację - ale gdyby udało mu się zachować kontrolę nad tym minusem, mógłby ją wykorzystać do zwabienia jej ludzi w pułapkę. Zaczął się zastanawiać jak.

Kazał Alexowi zawieźć ich do Wal-Martu na Showers Drive w Mountain View. Kupił tam dla nich wełniane czapki. Sarah chciała wiedzieć po co.

- Chcę, żebyśmy się stali nieco trudniejsi do rozpoznania i zapamiętania. Jakiś problem?
- Tylko pytam - odparła. - A może muszę się podporządkowywać bez zadawania pytań?

Ben rzucił jej czapkę.

- Musisz się po prostu podporządkowywać.

Zapłacił za czapki i za telefon na kartę. Kiedy wychodzili ze sklepu, wpisał do niego jakiś numer. Podał telefon Alexowi.

- To dla was, jeśli będziecie musieli do mnie zadzwonić,  
i dla mnie, gdybym chciał dzwonić do was. Żadnych innych telefonów. Zrozumiano?

Zrozumieli.

Gdy zjechali ze 101 w University Avenue, która miała ich zaprowadzić do hotelu, Ben powiedział:

- Nie wjeżdżaj na hotelowy parking. Skręć w następną prawą, Manhattan Avenue, i tam zaparkuj.

- Dlaczego? - zapytał Alex.

- Twój samochód i jej samochód są spalone. Nie chcę...

- Mam na imię Sarah - odezwała się, odwracając, żeby na niego spojrzeć. - Przestań mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było. To niegrzeczne.

*Chryste.*

- Cóż, za nic nie chciałbym być niegrzeczny.

- Ty najwyraźniej chcesz być niegrzeczny, w przeciwnym razie po prostu byś nie był. Dlatego właśnie mówię ci, abyś przestał.

- Tak jest, psze pani.

Pokręciła lekko głową, jakby z niesmakiem, po czym z powrotem się odwróciła. No dobrze, może był dla niej nieco zbyt ostry. Właściwie to nie miał nawet pewności dlaczego. To mu nie pomoże wykorzystać jej w celu zmylenia przeciwnika, jeżeli rzeczywiście gra w innej drużynie. Po prostu działała mu na nerwy. Miał już na głowie Alexa, nie potrzebował niańczyć jeszcze i jej.

- Samochody twój i Sarah są spalone - powiedział.

- Chcę mieć pewność, że ten pozostanie czysty.

Sarah ponownie się odwróciła.

- Myślisz, że ktoś jest w hotelu?

- Wątpię. Ale, jak sam Alex powiedział, ja go tam znalazłem. Ktoś inny mógł zrobić to samo. I najprawdopodobniej czekać przy aucie Alexa. Nie da się siedzieć bez końca w ho-

telowym lobby, nie wzbudzając podejrzeń. Na razie więc będziemy się trzymać z daleka od samochodu Alexa i do hotelu wejdziemy ostrożnie, tak na wszelki wypadek. Jasne?

Kiwnęła głową i odwróciła się.

- Co masz na myśli, mówiąc „na razie”?

Ben otworzył torbę z Wal-Martu.

- Wszystko w swoim czasie. Załóżcie czapki.

Tak też zrobili. Ben założył również rękawiczki.

Wysiedli i zaczęli iść, mrużąc oczy w promieniach porannego słońca prześlizgującego się między mijanymi przez nich budynkami. Manhattan Avenue nie było najtrafniejszą nazwą - była to spokojna, wysadzana drzewami ulica, na której mieściło się kilka niewielkich budynków mieszkalnych i samoobsługowa pralnia - wspomnienie tego, jak wyglądała kiedyś cała okolica, nim wybudowano ekskluzywny hotel i kompleks biurowy. Ben poprowadził ich do wejścia do hotelu, cały czas lustrując teren. Nie wypatrzył żadnego zagrożenia.

Stojący w recepcji siwowłosa mężczyzna w grafitowym garniturze zamachał do Alexa.

- Hej, Alex. Miło cię tu widzieć. Wpadłeś dzisiaj na śniadanie?

- Hej, Trący, nie, tym razem u was mieszkam. W domu mam mały remont.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- No to się cieszę, że zatrzymałeś się tutaj.

Szli dalej.

- Kto to, do cholery, był? - zapytał z niedowierzaniem Ben.

- Trący Mercer. Kierownik.

- Znasz kierownika?

- Często tu bywam na spotkaniach biznesowych.

Ben zastanawiał się, jak ktoś tak inteligentny może być jednocześnie tak koszmarnie głupi.

- Nie mówiłem ci, abys zatrzymał się gdzieś, gdzie nikt cię nie zna?

-No tak, ale... Ben pokręcił głową.

- Daj spokój - rzekł. Czy Alex był idiotą? Życie mu nie miłe?

Udali się do pokoju Alexa i kiedy ten zbierał swoje rzeczy, Ben wyrzwał przez okno na ulicę i wielki sklep Ikea znajdujący się po drugiej stronie. Kiedy Ben był mały, nie było tu ani hotelu, ani Ikei. W tamtych czasach człowiek nie zapuszczał się do wschodniej części Palo Alto, chyba że chciał kupić trawkę, a i wtedy nie przychodziło się tu nocą. Czasy się zmieniły. Zdumiewało go, z jaką łatwością Alex potrafi czerpać z tego korzyści. Pokój w tym hotelu musiał kosztować co najmniej czterysta dolarów za dobę, a jego brat traktował go jako zastępczy dom, nawet się nie zastanawiając nad rachunkiem. To było niemal zabawne, fakt, w jak różnych warstwach społecznych się znaleźli. Należąca do Bena połowa spadku po rodzicach nie była oczywiście wcale mała, ale on nigdy nie tknął tych pieniędzy. Dla niego wręcz nie istniały, chyba że jako polisa ubezpieczeniowa, gdyby rzeczywiście miało mu się coś stać.

Zeszli z powrotem do lobby.

- Muszę skorzystać z toalety - powiedziała Sarah.

W głowie Bena rozbrzmiał dzwonek alarmowy.

-Nie.

Spojrzała na niego.

-Nie?

- Nie teraz. Nie jesteśmy tu bezpieczni. Musimy jechać. Będziesz musiała wytrzymać.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- Jak długo?

Miał ochotę powiedzieć: *Dopóki ci, kurwa, nie powiem.* Zamiast tego rzekł:

- Dziesięć minut. Dasz radę?

Nie odpowiedziała i uznał to za tak. Chryste, niemal widział, jak z uszu idzie jej dym.

Zamierzał zrobić jeszcze jedną rundkę wokół samochodu Alexa i ostatnie, czego mu było trzeba, to żeby zniknęła w toalecie, pożyczyła telefon komórkowy i ostrzegła kogoś, co się święci.

Alex się wymeldował - tym razem nie było śladu po kierowniku - i udali się do samochodu Bena. Ben oczywiście przez całą drogę wypatrywał niebezpieczeństwa.

- Ty prowadź - powiedział do Alexa. - Na drugim końcu drogi 101 jest Starbucks. Tam Sarah może skorzystać z toalety. Potem wróć i przejedź przez hotelowy parking obok swojego auta. Chcę jeszcze raz na nie spojrzeć. - Kiedy dojadą do Starbucks, to nawet gdyby gdzieś zadzwoniła, nie robi to już żadnej różnicy.
- Jesteś pewny, że to dobry pomysł? - zapytał Alex.
- Wątpię, żeby ktoś tam był - odparł Ben. Wiedział jednak, że prędzej czy później ktoś się zjawi. Albo koło samochodu Alexa, albo w pracy, albo ponownie w domu. Albo w samochodzie tej dziewczyny. Albo w jej domu. I dlatego każde z tych miejsc nadawało się także, by zasadzić się w celu przeprowadzenia kontrataku.

Alex i Sarah odjechali. Ben naciągnął czapkę nisko na czoło i udał się na parking. Minął wejście do hotelu, obracając głową, by sprawdzić wszystkie miejsca, z jakich sam by skorzystał.

Przebiegł w poprzek parking podziemny, że wyjść bliżej samochodu Alexa. Jeśli ktoś tam był, skrót ten da mu mniej czasu na zareagowanie. Skręcił za róg i - bingo - o ścianę garażu opierał się przysadzisty facet z ogoloną głową, zaledwie trzy metry od samochodu Alexa. Facet miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, palił papierosa, ubrany był zaś w czarną skórzaną kurtkę do pasa.



Choć w takich sytuacjach umysł Bena operował skrótami, a nie świadomymi myślami, od razu do niego dotarło, co jest nie tak. To była zachodnia strona parkingu i o tak wczesnej porze padał tu cień, nie trzeba więc było okularów. Było też zbyt wcześnie, aby jakiś pracownik robił sobie przerwę na papierosa, a zresztą po co miałby przychodzić aż tutaj? Z kolei długa do pasa kurtka idealnie się nadawała do ukrycia kabury z bronią.

Ben szedł w jego stronę swobodnym krokiem. Serce zaczynało mu bić coraz szybciej. Rozejrzał się ukradkiem i nikogo więcej nie dostrzegł, ale w rzędzie stało zaparkowanych kilka samochodów i nie był w stanie zajrzeć do każdego z nich. Nie mógł mieć pewności, że facet jest sam. Nie myślał o tym, co zaraz zrobi. Na Farmie nauczył się, że nie można po prostu odgrywać roli; trzeba nią żyć, trzeba wierzyć w swoje przebranie. A więc on był po prostu kolejnym biznesmenem w podróży służbowej, zmierzającym rankiem do swego auta. A jednak podświadomie cały czas obserwował ręce łysego i wyciągnąłby broń, Glocka 17, gdyby tylko stracił je z oczu.

- Przepraszam - odezwał się, gdy zbliżył się do niego. Pstryknął kciukiem i palcem wskazującym i zwinął dłoń tak, jakby trzymał za nią papierosa. - Ma pan ogień?

Łysy spojrzął na niego, ale nie odpowiedział. Ben cieszył się z tego, że przeszedł przez parking podziemny i wyłonił się blisko miejsca, gdzie zaparkował Alex. Fakt, że ten facet nadal się opierał o ścianę, oznaczał, że został zaskoczony. Nie przyjmowało się takiej postawy w obliczu potencjalnego zagrożenia. Gdyby teraz ktoś go próbował zaatakować, musiałby najpierw oderwać się od ściany. To by długo trwało. Prawdę mówiąc, to resztę jego życia.

- Nie widziałem tu pana - powiedział Ben, zatrzymując się kilka metrów od niego. - A znam większość palaczy w tym kompleksie, ponieważ w Republice Ludowej Palo Alto nie można palić nawet w pobliżu wejścia. Da pan wiarę?

Nadal żadnej odpowiedzi. Może ten facet nie mówił po angielsku. A może mówił, ale nie chciał, żeby ktoś usłyszał czy zapamiętał akcent.

Z wielu powodów, i nie chodziło mu tylko o hałas i potencjalnych świadków, Ben nie chciał wymiany ognia. Ale gdyby zbliżył się nieco bardziej, mógłby go załatwić po cichu gołymi rękami.

- Jakiś problem? - zapytał. - Nie mówi pan po angielsku?

Przez chwilę panowała cisza, po czym mężczyzna odezwał się niskim, chropawym głosem:

- Mówię po angielsku.

Silny obcy akcent. Rosyjski.

Część umysłu Bena, ta, która odpowiedzialna była za taktykę, jęknęła głośno: *O cholera, znowu, tylko nie to.*

Patrzyli na siebie przez długą, pełną napięcia sekundę. Świat nagle zamilkł, nie istniało nic oprócz napięcia między nimi. Ben poczuł, jak się odkrywa, wyłania spod tej niewinnej fasady, pod którą się schował, aby dotrzeć tak blisko. Wiedział, że łysy to widzi. Mężczyzna pozostał w bezruchu, jednak Ben dostrzegł w nim gotowość do wykonania ruchu, czujność, jakiej nie było chwilę wcześniej.

Ben przygotował się do biegu i w tym samym momencie facet odepchnął się od ściany, prawą rękę kierując w stronę lewej poły kurtki. Ben rzucił się naprzód, jednocześnie w niego uderzając i klinując mu prawą rękę. Sięgnął do nadgarstka i walnął lewym łokciem w prawą skroń przeciwnika. Cios sprawił, że papieros poszybował w powietrze. Ben znalazł nadgarstek, zadał kolejny cios łokciem i facet się zachwiał. Próbował uwolnić nadgarstek po to, aby wyciągnąć broń albo po prostu chronić odsłoniętą prawą stronę - Ben nie znał powodu i nie zamierzał go poznawać. Obrócili się i teraz facet znajdował się pomiędzy Benem a ścianą. Ben cofnął się pół kroku i uderzył go głową w twarz, po czym

walnął prawym ramieniem w mostek, z siłą całych swoich osiemdziesięciu pięciu kilo, uderzając go tak, jak kiedyś bił wycofujących się rozgrywających, przygważdzając go do ściany, pozbawiając oddechu. Uderzał go raz jednym, raz drugim łokciem. Nagle facet zrobił się ciężki i do Bena dotarło, że w górze trzymają go tylko on i ściana. Z nosa Rosjanina tryskała krew i miał wywrócone oczy.

Ben na wszelki wypadek szarpnął za jego prawą rękę i ostrożnie się cofnął. Facet osunął się na ziemię jak jeden z tych implodujących hoteli w Las Vegas. Nadal panowała idealna cisza - Ben wiedział, że to skutek tak zwanego wyłączenia słuchowego, wywoływanego przez podwyższony poziom adrenaliny. Adrenalina powodowała jeszcze jedno wyłączenie, tym razem wzrokowe, czego powodem częściowo było intensywne skupianie się na bliskim zagrożeniu. Wyćwiczony odruch kazał się jednak rozglądać, i tak właśnie uczynił Ben. Dzięki temu zobaczył drugiego faceta w ciemnej kurtce wysiadającego z brązowego sedana zaparkowanego dwa samochody dalej od auta Alexa. Ten facet także miał na nosie okulary przeciwsłoneczne i był przynajmniej tak potężny jak pierwszy. Rękę już miał pod kurtką, już-już ją wyjmował i Ben pomyślał: *Cholera, cholera, cholera...*

Wyłonił się pistolet. Ben natychmiast się schylił i obniżył do przysiadu, sięgając jednocześnie po glocka. Pocisk przefrunął wysoko. Ben wpakował trzy kulki w klatkę piersiową przeciwnika, nim ten zdążył ponownie wystrzelić. Mężczyzna padł na ziemię. Ben wylapał jakiś ruch z prawej strony - pierwszy facet. Odwrócił się i posłał dwie kulki w jego głowę. Ponownie odwrócił się w lewo i zobaczył, że drugi przeciwnik leży na plecach, nadal się ruszając, a jego broń znajduje się na ziemi kilka centymetrów od jego dłoni. Ben wymierzył w niego z glocka i zbliżył się. A więc to by było tyle, jeśli chodzi o nierobienie hałasu. Uznał, że ma jakieś pół minuty, nim będzie musiał wziąć nogi za pas.

- *Kto wy?* - zapytał po rosyjsku. Kim jesteście?

Facet nie odpowiedział. Zdążył zgubić okulary i teraz wpatrywał się w Bena z bolesnym zdziwieniem, jakby nie do końca pojmował, jak do tego wszystkiego doszło. Ben kopnął pistolet.

- *Kto wy?* - powtórzył.

Nadal żadnej odpowiedzi. Krew rozlewała się na betonie pod tułowiem Rosjanina. Ben usłyszał dziwne siorbanie - rana ssąca klatki piersiowej.

- Powiedz mi, kim jesteś, a wezwę karetkę.

Mężczyzna zaśmiał się słabo, a po chwili zaczął kaszleć.

Taaa, no cóż. W takich sytuacjach nigdy nie był dobrym kłamcą. Rozejrzał się. Nikt nie nadchodził.

- *Do svidaniya* - szepnął Ben i strzelił Rosjaninowi w czoło.

Jego ciało raz zadrżało, jakby rażone prądem, a potem znieruchomiało.

Ben przykucnął i sprawdził kieszenie mężczyzny. Choleś jasna, portfel. Wyjął go, myśląc: *Alleluja*. Sprawdził kieszenie drugiego Rosjanina, i tam także skrywał się portfel. *No dalej, chłopie, będzie zabawa...*

Wsadził głowę do ich auta. W stacyjce nie było kluczyka i zobaczył dlaczego: zamek był rozwalony. Ukradli ten samochód i odpalili go na kable. Mądrze. Opis samochodu i tablica rejestracyjna okazałyby się bezużyteczne.

Nic więcej. Żadnych strzykawek, sznurków, nic. Nie przyjechali więc po to, aby porwać Alexa. Mieli go załatwić i odjechać. Ten, kto by ich zobaczył, opisałby dwóch facetów w ciemnych okularach, w niczym się niewyróżniającym samochodzie. Niewyjaśnione zabójstwo, które policja zapewne uznałaby za związane z narkotykami, ponieważ to samo zaledwie kilka dni temu przytrafiło się klientowi ofiary. Ben popatrzył na dwa ciała i pomyślał: *Więcej szczęścia następnym razem, dupki.*

Schował do kabury glocka i ruszył w stronę wyjścia z parkingu, prowadzącego na Manhattan Avenue. Przeskoczył przez szlaban i idąc, wyjął telefon komórkowy. Alex odebrał natychmiast.

- To ja. Nie wracajcie do hotelu. Idę teraz na północ West Bayshore, równoległą do autostrady. Wiesz gdzie?

- Oczywiście.

- To dobrze. Wróć Woodland do Euclid, Euclid do West Bayshore. Jedź normalnie.

- Czemu miałbym nie jechać normalnie? Co się dzieje?

- Wszystko w porządku, po prostu zrób to, co ci powie dziełem.

Rozłączył się. Dwie minuty później usłyszał zbliżający się z tyłu samochód. Obejrzał się, gotowy sięgnąć po glocka, ale to był Alex. Zatrzymał się przy nim i Ben wsiadł, nakazując mu jechać, nim zdążyły się zamknąć za nim drzwi.

- Co się stało? - zapytał Alex.

- Po prostu jedź. Grzecznie i spokojnie. Przez Menlo, potem skręć w 280. Po drodze powiem wam więcej.

Sarah odwróciła się i spojrzała na niego.

- Masz na twarzy krew - powiedziała.

Cholera, to pewnie po tej czołówce z Ivanem. Ben zerknął w lusterko wsteczne i za pomocą śliny starł ją.

- To nie twoja krew - dodała Sarah.

Ben się uśmiechnął, czując początek zawrotów głowy. Wiedział, że za jakieś dziesięć sekund pojawi się drzenie.

- Taka jest najlepsza - odparł.

- Co się, do diaska, stało? - ponowił pytanie Alex.

Zbliżali się do myjni samoobsługowej na Oak Grove.

- Zjedź na myjnię - polecił Ben - i otwórz bagażnik.

Muszę na chwilę wysiąść.

Alex zatrzymał się na jednym ze stanowisk. Ben wyskoczył z auta i wyjął z bagażnika prawdziwe tablice rejestracyjne.

cyjne. Włożył je na miejsce tych, które ukradł, i podmienił przed pierwszym przyjazdem do Four Seasons. Skradzione tablice schował do torby i wyjął nieużywaną broń, kolejnego glocka 17. Pierwszego glocka i tablic pozbędzie się później, kiedy nie będzie przy nim Sarah. Wsiadł do auta i Alex odjechał.

- Zmieniłeś tablice rejestracyjne? - zapytała Sarah.

- Musiałem. Ludzie w tamtej okolicy słyszeli strzały. Jestem pewny, że wielu z nich wyrzało przez okno. Kilku mogło zobaczyć, że wsiadam do tego samochodu, mimo że stało się to parę przecznic od miejsca, w którym była strzelanina. Ktoś mógł nawet zapisać numer rejestracyjny. Nie ma sensu ryzykować.

- Strzelanina? - zapytał Alex. - Jezu, Ben!

- Skąd wziąłeś tablice? - chciała wiedzieć Sarah.

- Pożyczyłem.

Alex odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Oczy miał szeroko otwarte.

- Czy ty... to znaczy... czy ty kogoś zastrześliłeś?

- Patrz na drogę, Alex. Wykonuj swoją robotę. Moją zostaw mnie.

- Nie wierzę. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

- Było ich dwóch, amigo - powiedział Ben. - Czekali w skradzionym samochodzie zaparkowanym dwa auta od twojego. Myślisz, że przyjechali do ciebie z życzeniami urodzinowymi?

- Ale ty ich ledwie zobaczyłeś, skąd mogłeś wiedzieć...

- Alex. Przestań gadać i zajmij się, kurwa, kierownicą.

To go uciszyło. Kutas. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby powiedzieć coś w rodzaju: *Wow, Ben, dziękuję, że zająłeś się dwoma facetami, którzy dawno by mnie zabili gdyby nie ty. Naprawdę to doceniam.*

- Gdzie jedziemy? - zapytała Sarah.

- Do miasta - odparł Ben. - Zatrzymamy się na jakiś czas w hotelu. Wy zajmiecie się tym wynalazkiem, a ja tym, czego się właśnie dowiedziałem.
- A czego się dowiedziałeś?

Ben się zawahał. Nadal jej nie ufał. Nie wydawało mu się, aby ci Rosjanie byli powiązani z rządem. Rządowi ludzie nie mieliby przy sobie portfeli. I lepiej by się ustawili w pobliżu samochodu Alexa. Nie pozwoliliby Benowi podejść tak blisko.

Przypuszczał, że to rosyjska mafia. To znaczyło, że mafia albo chce zdobyć wynalazek Alexa, albo, co było bardziej prawdopodobne, że mafię wykorzystuje ktoś inny. Nie byłby to pierwszy raz. Wystarczy przypomnieć sobie CIA i to, jak w latach sześćdziesiątych wykorzystywała mafię przeciwko Castro. W żadnym razie nie można było wykluczyć, że irański rząd wynajął rosyjskich gangsterów i zlecił im robotę. Te dwa kraje wystarczająco dużo potajemnie ze sobą współpracowały. Sam się o tym przekonał w Stambule.

Miał teraz jeszcze inny problem, o którym wcześniej powinien był więcej pomyśleć. Ta dziewczyna, której nawet nie znał, a do której zabrania zmusił go Alex, była teraz istotnym świadkiem podwójnego zabójstwa. Owszem, nie widziała, jak pociągał za spust, a on się pilnował, aby nie potwierdzić żadnego z histerycznych oskarżeń Alexa, niemniej informacje, jakie posiadała, były obciążające.

Ale musiał im coś powiedzieć. W przeciwnym razie będą błądzić w ciemnościach podczas szukania klucza do tego wynalazku. I chciał, aby ta dziewczyna zrozumiała, że zagrożenie, z którym przyszło jej się mierzyć, nie jest czymś, przed czym może ją ochronić policja.

- Słyszałem, jak rozmawiali - rzekł więc. - To Rosjanie. Przychodzi wam do głowy jakiś powód, dla którego Rosjanie mogliby chcieć Obsidiana?
- Rosjanie? - zapytała Sarah. - Rosjanie są wto wszystko wplątani?

Ben kiwnął głową.

- Wygląda na to, że macie kłopoty.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Alex.
  - Widzę dwie możliwości. Jedna, byli z FSB. To nowe KGB. To by znaczyło, że waszej śmierci pragnie rosyjski rząd.

Sarah obejrzała się na niego.

- A druga możliwość?
- Że to rosyjska mafia.
  - Super - powiedział Alex, kręcąc głową, ale przynajmniej patrząc na drogę. - Ludzie, którzy pragną naszej śmierci, to albo KGB, albo rosyjska mafia.
  - Wątpię, aby waszym problem była bezpośrednio rosyjska mafia - rzekł Ben. - Mam podejrzenie, że ktoś im to zlecił. Mogło to być FSB. Mógł to być ktoś inny. No więc pytam raz jeszcze, czy przychodzi wam do głowy powód, dla którego rosyjski rząd pragnąłby Obsidiana?

Przez chwilę milczeli. Odezwał się Alex:

- Żaden konkretny.
  - Cóż, miejcie to na uwadze podczas waszych poszukiwań. Ja się skontaktuję z moimi ludźmi i zobaczę, czy uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o typach, z którymi pracowali ci dwaj. Albo dla których pracowali.



# Rytuał

W milczeniu przejechali przez Menlo Park, Sand Hill Road, a potem skręcili w drogę numer 280. Ben obserwował skąpane w zieleni wzgórza i błękitne, przetykane białymi chmurami niebo. To było surrealistyczne.

Rzadko musiał się mierzyć z następstwami swojej roboty. W normalnych okolicznościach po prostu się oddalał, natychmiast odcinając się od tego, co po sobie zostawił. Ale teraz miał na głowie... wszystko. A najdziwniejsze było to, że częściowo mu się to podobało. Może przyływ euforii był następstwem niedawnych wydarzeń, ale cała sytuacja stanowiła cholernie trudne wyzwanie i jak na razie całkiem dobrze sobie radził.

Minęli zbiornik wodny Crystal Springs, pas mieniącego się błękitu. Ben wybrał drogę numer 208, a nie 101, dlatego że była nieco bardziej kręta i dawała mu więcej czasu na myślenie. Teraz jednak cieszyły go także widoki. Zdążył zapomnieć, jak piękna jest ta autostrada. Nawet kiedy był dzieckiem, droga 101 nie należała do urokliwych - niekończący się pas billboardów, ekranów dźwiękoszczelnych i budynków przemysłowych.

- Dlaczego miasto? - zapytała Sarah. - A nie jakiś hotel przy lotnisku? To byłoby anonimowe, no nie? A wzdłuż drogi 101 jest ich kilkanaście.
- Właśnie sobie odpowiedziałas - odparł Ben.
- Bo to pierwsze, o czym pomyślałam?

- Zgadza się. To pierwsze, co przyjdzie do głowy tym, którzy na was polują.

Był jeszcze drugi, ważniejszy powód, ale Ben go nie zdradził. San Francisco da mu więcej okazji na sprawdzenie dziewczyny i zaskoczenie tego, kto ewentualnie korzystałby z informacji, których zamierzał jej udzielać.

- Nie wiem jak wy - odezwał się Alex - ale ja nie jadłem śniadania. Możemy zatrzymać się gdzieś na kawę i może jakieś ciastko?

- Jeśli chcesz - odparł Ben.

- Znam fajne miejsce - rzekła Sarah. - Ritual Coffee Roasters, na Valencia, w Mission. Zjedź na San Jose Ave-nue, potem w lewo...

- Wiem, jak dojechać do Mission - przerwał jej Alex.

- Powiedz mi tylko, w którym konkretnie to jest miejscu.

- Pomiędzy Dwudziestą Pierwszą a Dwudziestą Drugą.

Benowi nie podobało się to, że jechali do miejsca wybranego przez Sarah, ale nie przychodził mu do głowy żaden taktyczny powód wniesienia sprzeciwu. Nie mogła nikogo ostrzec. O ile więc Ritual Coffee Roasters nie stanowiło przykrywki dla jakiejś diabolicznej organizacji, której Sarah była sekretnym członkiem, najpewniej nic im tam nie groziło.

Przez chwilę.

Ben najpierw dostrzegł tłum przed kafejką - kolejkę długą na jakieś siedem metrów, składającą się głównie z dwudziestoparolatków z zarostem albo kolczykami w różnych miejscach, albo jednym i drugim. U góry wisiał czerwony sztyl z białymi konturami filizanki, nad którą widniała gwiazda, co nieco mu przypominało flagę komunistycznych Chin. Dopiero po dziesięciu minutach udało im się zaparkować, ponieważ Ben zakazał Alexowi parkować niezgodnie z prawem, nawet gdyby miało ich nie być pięć minut. Wolałby zarobić kulkę, niż dopuścić do tego, aby jakiś znudzony

strażnik miejski zanotował czas i miejsce postoju jego samochodu, karząc go mandatem.

Kiedy stali w kolejce, Ben się rozglądał. Okolica była ciekawa: jedno- i dwupiętrowe budynki pomalowane na zielono, żółto i różowo; lokale o nazwach w rodzaju Lost Weekend Video, Aqarius Records i Beadissimo; egzotyczne restauracje i sklepiki spożywcze prowadzone przez Latynosów tuż obok warsztatów samochodowych, samoobsługowej pralni i pralni chemicznej „przyjaznej środowisku”, cokolwiek by to miało znaczyć.

- Cholera, mam nadzieję, że dają tu dobrą kawę - odezwał się Ben.

- Warto czekać - odparła Sarah. - Przekonasz się.

Kolejka przesuwała się szybciej, niż się spodziewał. Wewnątrz było głośno - przez zawieszzone pod sufitem głośniki leciała muzyka z dużym natężeniem basów, szumiały dziesiątki rozmów toczących się przy stolikach, na kanapach i stołkach wzdłuż baru, słychać było syk pary i stukot ręcznie ubijanej kawy. Co trzecia osoba używała laptopa, same maki, i można było dostrzec całe mnóstwo kolorów włosów, łącznie z fuksją i magentą. Generalnie miejsce było nieco zbyt trendy jak na gust Bena, ale musiał przyznać, że nie było w tym ostentacji, a zapach palonej kawy wynagradzał wszelkie uchybienia w panującej tu atmosferze.

Jeden barista, dwudziestoparolatek z brodą i w panamie, posłał im uśmiech.

- Hej, Sarah - powiedział, a Ben pomyślał: *Do diabła, to ją tu znają?*

- Hej, Gabe - odparła. - To co zwykle.

- Dwie jednego dnia? Ktoś będzie cię musiał przywołać do porządku. - Gabe zerknął na Bena i Alexa. - Dla twoich przyjaciół...?

Alex zamówił latte i muffina; Ben, powstrzymując gniew, wybrał coś, co się nazywało Gwatemalska Per-

fekcja. Alex wyjął portfel i Ben dopilnował, aby zapłacił gotówką.

Czekali na końcu baru.

- Co wam mówiłem o bywaniu w miejscach, gdzie was znają? - zapytał Ben. - Kierownik Four Seasons, teraz to... jesteście niewiarygodni.

Sarah przyłożyła dłoń do ucha i pokazała na głośniki.

- Słucham?

Zbliżył usta do jej ucha i powtórzył.

- O cholera - powiedziała. - Przepraszam, masz rację.

Chryste, pomyślał. Jak można być tak głupim?

Czekali. Barista postawił na barze ich kawy. Ben wyciągnął rękę po swoją, dotykając niechcący Sarah. Dziewczyna wzdrygnęła się. I wtedy go olśniło.

Bała się go. Podejrzewała o coś, co policja nazwałaby podwójnym zabójstwem, i obawiała się, co może zrobić teraz. Przyprowadziła go tutaj, aby mieć świadków.

Był jednocześnie pod wrażeniem jej inteligencji, ale i przerażony tym, co się za tym kryje. Kiedy zdążył stać się człowiekiem, który u najprawdopodobniej niewinnej dziewczyny budzi obawę o własne życie?

Facet z oddziałów Delta, którego poznał w Mogadiszu, powiedział mu kiedyś, że to, jakim jesteś wojownikiem, oddaje reakcja ludzi, których przyszło ci chronić. Czy twoja obecność ich uspokaja czy napawa lękiem?

Jezu.

Napił się kawy i kiwnął z uznaniem głową.

- Dobra.

-No.

Machnął ręką, właściwie bez celu.

- Mieszkasz gdzieś niedaleko?

- To moja okolica - odparła, wsypując cukier do kawy.

*No i dobrze odgadłem.*

- Nie przeszkadza ci dojeżdżanie do pracy?

Spojrzała na niego i wyczuła, że próbuje podjąć decyzję.

- Nie jest tak źle - odparła po chwili. - Prosta trasa 208. Warto mieszkać w San Francisco. Nie wychowywałeś się tutaj?
- Nie w mieście - rzekł, rozglądając się. Mało prawdopodobne, żeby ktoś znał miejsce, w którym ona kupuje kawę. Ale nie mógł tego wykluczyć. - Półwysep. Portola Valley.
- No tak, ale to jednak twoje miasto, nie?
- Dawno tu nie byłem. - Odwrócił wzrok. Prawda była taka, że przebywając w tym mieście, czuł się niekomfortowo, choć nie do końca miał pewność dlaczego. Nie chodziło o kwestie operacyjne, ale o coś jeszcze. Odsunął od siebie to uczucie, myśląc, że później mu się przyjrzy.

Usiedli tam, gdzie muzyka była nieco cichsza, na dwóch czarnych skórzanych sofach obok wielkich płóciennych worków z kawą i olbrzymiej maszyny do jej mielenia. Tylnie wejście było otwarte i Ben zajrzał tam, nim usiadł. Drzwi prowadziły na dziedziniec, gdzie stały rowery, zapewne należące do pracowników, zobaczył też kilka roślin w donicach i różne starocie, a wszystko odgrodzone było płotkiem. Szybko można było przez niego przeskoczyć, więc postanowił mieć baczenie na te drzwi.

- Gdzie się zatrzymamy? - zapytał Alex.

Ben właśnie się nad tym zastanawiał. Chciał, żeby to było coś na tyle dużego, aby zapewniało anonimowość, ale nie aż tak, żeby lobby pełne było uczestników jakiegoś zjazdu, gdzie łatwo można urządzić zasadzkę. Raczej nie powinno do tego dojść, ale na własnej skórze przekonał się, że dobra obrona polega na braniu pod uwagę każdej ewentualności.

Po drugie chciał, aby hotel znajdował się w części miasta, którą znał. To ograniczało pole manewru właściwie do North Beach, okolicy raczej niewysokich budynków pomalowanych na jasne kolory, których większość pochodziła

z roku 1906, kiedy duża część miasta została odbudowana po katastrofalnym trzęsieniu ziemi i pożarze. Dawno temu była to plaża, ale miasto nieustępliwie wcinając się coraz bliżej zatoki i teraz tylko nazwa przypominała o przeszłości tego miejsca. Kiedy chodził do liceum, to właśnie tam spędzał z przyjaciółmi weekendy, wślizgując się do barów w Little Italy, gdzie nie przykładano się zbytnio do sprawdzania dowodów osobistych, czy pałaszując późnym wieczorem dim sum w sąsiednim Chinatown, upstrzonym tandetnymi neonami, barami i księgarniami dla dorosłych. Od tamtego czasu dużo się pewnie pozmieniało, ale przynajmniej znał topografię okolicy. To zapewniałoby mu przewagę.

- No a może takie miejsce w North Beach - odezwał się. - Na rogu Broadway i Columbus. Motor Inn czy jakoś tak, o ile nadal tam jest. Niebieski budynek, dużo szkła?

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekła Sarah.

- A co ci się nie podoba?

- To samo dno. Trzeba by być naprawdę zdesperowanym.

- Nie otrzymałaś notatki służbowej? Jesteście zdesperowani.

- Ja nie aż tak.

- No a Four Seasons? - zapytał Alex.

Ben nawet nie wiedział, że w mieście jest hotel tej sieci.

Musiał być nowy.

- A gdzie? - zapytał.

- Na południe od rynku - odparła Sarah.

Pokręcił głową. Za daleko.

- Nie bardzo. Alex wcześniej mieszkał w Four Seasons. Nie chcę żadnego powtarzania.

- W porządku - rzekł Alex. - Ritz-Carlton.

- Jezu, ależ wy macie kosztowne upodobania. Powinniście napisać książkę. Kryjówki w pięciogwiazdkowych hotelach. Nie znasz tam kierownika, co?

- Nie, nigdy tam nie byłem.

Właściwie Ritz-Carlton to nie był taki głupi pomysł. Mieścił się na granicy Chinatown, niecały kilometr od centrum North Beach.

Pojechali tam. Alex i Sarah zaczekali w wyłożonym marmurem lobby, gdy tymczasem Ben za pomocą karty kredytowej, zarejestrowanej na jedno z nazwisk, pod którymi podróżował, zarezerwował dwa połączone ze sobą pokoje na czwartym piętrze. Poprosił o dwie karty magnetyczne do każdego pokoju i wręczył Sarah tylko jedną.

- Zwrócę ci pieniądze - rzekł do niego Alex.

- No pewnie, że zwrócisz.

Pokoje były luksusowe - wysokie sufity, eleganckie zasłony, wzorzyste dywany, stylowe meble. Do tego przyjemny widok na Coit Tower i zatokę.

- Zrobimy tak - oświadczył im Ben. - Alex i ja weźmiemy ten pokój. Sarah, dla ciebie będzie sąsiedni. Ja wychodzę po parę rzeczy i sprawdzić nazwiska tych Rosjan. Wy zajmiecie się Obsidianem.

- Będę potrzebować jakichś ubrań - odezwała się Sarah.

- Później się tym będziemy martwić - odparł Ben.

-Przekonajmy się, jakie dziś zrobimy postępy.

- Daj mi dziesięć minut - rzekła do Alexa i przez łączące pokoje drzwi poszła do siebie.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Ben rzekł:

-Nie ufam jej.

- Co takiego?

- Ktoś wiedział, gdzie się znajdują zaginione dokumenty.

- Tak, ale sam powiedziałeś...

- To kwestia prawdopodobieństwa. Musimy być przy niej bardzo ostrożni.

- Ben, to brzmi... paranoicznie.

- Dzięki za komplement. Posłuchaj mnie. Idę się rozejrzeć po okolicy. Kiedy mnie nie będzie, zamknij drzwi i powieś zawieszki „Nie przeszkadzać”. Jeśli ktoś zapuka, nie otwieraj.

- A jeśli ten ktoś nie odejdzie?

Ben sięgnął ręką do tyłu i wyjął z kabury pistolet. Wstał i pokazał go Alexowi.

- Używałeś kiedyś czegoś takiego?

Alex otworzył szeroko oczy.

-Nie.

- To bardzo proste. To glock 26. Dziewięćmilimetrowy, względnie mały i względnie cichy. Choć ty i tak pewnie uznałbyś, że jest głośny jak armata. Nie musisz się przejmować odbezpieczaniem. W komorze są już naboje. Wyceluj i pociągnij za spust. Trzymaj go w kieszeni i nie baw się nim. I tyle.

Alex pokiwał głową. Wyraźnie czuł się nieswojo. Smutna prawda była taka, że nim Alex zdobyłby się na użycie broni, prawdopodobnie byłoby już za późno. Szkolenie nie dotyczyło jedynie aspektu fizycznego, ale również psychicznego i emocjonalnego. Ale cóż więcej Ben mógł zrobić? Nie mógł zostawić Alexa bez niczego.

- Nie kładź palca na spuście, dopóki nie będziesz gotowy, aby strzelić - poradził mu jeszcze. -I nigdy w nikogo nie celuj, chyba że jesteś gotowy go zastrzelić. Dasz sobie radę.

- Nie wydaje mi się.

- Zaufaj mi, poczujesz się lepiej, mając przy sobie coś do obrony.

Zaciągnął zasłony, po czym podszedł do biurka i wyrwał kartkę z leżącego obok telefonu notesu. Złożył ją na cztery, następnie wyjął z portfela kawałek taśmy i przykleił kartkę nad wizjerem, tak że funkcjonowała jako klapka.

- Kiedy będziesz musiał użyć wizjera, osoba po drugiej stronie nie będzie wiedziała, że tu jesteś - powiedział



do Alexa. - Przy zasuniętych zasłonach pod drzwiami nie pojawi się cień. I pamiętaj, żeby kartkę odsunąć w ostatniej chwili.

- Ty naprawdę żyjesz w taki sposób. Nie mogę w to uwierzyć.
- Wrócę za jakąś godzinę. Dzwon na moją komórkę, gdyby się *coś* działo. - Zapisał na kartce numer, po czym wyszedł.

## Za kolejnych tysiąc lat

Ben zahaczył o recepcję i zapytał, czy z pokoju Sarah nie wykonywano żadnych telefonów. Miał gotową historyjkę o rozrzutnej kuzynce Sarah, która miała w zwyczaju nabijać rachunek dziesiątkami dodatkowych usług zamawianych przez telefon, czym wkurzała strasznie ich dziadka, sponsorującego hotel, ale recepcjonistka powiedziała mu od razu, że nie, nie wykonano żadnych telefonów.

To dobrze. Nie próbowała do nikogo dzwonić. A przynajmniej na razie.

- Okazało się, że będzie nam potrzebny jeszcze jeden pokój - rzekł do recepcjonistki. - Znajdzie się coś na tym samym piętrze?

- Zaraz sprawdzę dostępność pokoi, proszę pana.

Mieli szczęście - był trzeci pokój, naprzeciwko tych, które już zarezerwowali. Wziął dwie karty do tego dodatkowego pokoju, trzymając je wszystkie w oddzielnych kieszeniach, alfabetycznie, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Alex z przodu po lewej, Ben z przodu po prawej, Sarah z tyłu. Drobiazg, taki jak zaginanie rogu taśmy klejącej, ale w razie potrzeby oszczędzający czas.

W drodze do wyjścia omiótł spojrzeniem lobby. Niewielkie, jedynie kilka miejsc do siedzenia, wszystkie w zasięgu wzroku koncertu i recepcji. Nieszczerólnie fajne miejsce na rozlokowanie się i czekanie. Z lobby po kilku marmurowych schodkach wchodziło się do herbaciarni, widocznej

z miejsca, w którym stał. W rogu jakaś kobieta grała na harfie i jej cichy dźwięk zupełnie tu nie pasował.

Wyszedł i się rozejrzył. Przed hotelem stało zaparkowanych kilka samochodów, wszystkie puste, i wyglądało na to, że znalezienie wolnego miejsca wymagałoby cierpliwości snajpera. Nie był to teren, gdzie można zaplanować czekanie w samochodzie. Wszystkie otaczające hotel budynki były mieszkalne i nie nadawały się do urządzenia zasadzki. W sumie Alexowi udało się wybrać - choć z niewłaściwych powodów - hotel, który stanowił trudny cel.

Okrzyżł kwartał, a potem skierował się na północ, chcąc zrobić rozeznanie w terenie. W promieniach słońca błyszczwały białe podwójne iglice kościoła pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła, za nimi zaś widniała błękitna zatoka, wyspa Angel i zielone wzgórza Tiburon. Zszedł po zimnych i wilgotnych schodach do przejścia podziemnego na Stock-ton Street. Betonowe ściany pokrywało graffiti i plamy po moczu. Wisiał znak informujący o nadzorze kamer. *Taaa, dzięki za info.*

Przeciął California Street, a wibrujący dźwięk kablowych tramwajów przypomniał mu dawną wycieczkę do miasta, razem z rodzicami, Alexem i Katie. Tata wyjaśnił wszystkim, że powodem, dla którego nazywają się one kablowe, jest to, że tak naprawdę ciągną je metalowe kable. Ben i Katie udawali głupich i ciągle pytali: *Ale czemu? Czemu się nazywają tramwaje kablowe?* Alex był za mały, żeby sobie żartować, a ich ojciec, inżynier, zbyt poważny. Alex i tato wymyślali różne wariacje tego co oczywiste: *Nazywają się tramwaje kablowe dlatego, że to tramwaje, i dlatego, że są ciągnięte przez kable.* Towarzyszyła temu żywa gestykulacja, aż w końcu pozostali też wybuchali śmiechem, wołając: *Och, to dlatego te tramwaje nazywają się kablowe!* Tata wtedy także chichotał, pojawiwszy, że go z Katie wkręcali. Tylko Alex zachowywał powagę, prawdopodobnie dlatego, że

w swojej niepewności podejrzewał, że to on stanowi źródło wesołości.

Szedł dalej Stockton w stronę Chinatown. Wmieszał się w tłum wolno poruszających się przechodniów, wcisnięty pomiędzy stragany i sklepiki z pamiątkami po jednej stronie a automaty z gazetami, znaki drogowe i parkometry po drugiej. Otaczała go istna kakofonia dźwięków: handlarze zachwalali po chińsku swoje towary, klaksony trąbiły, tradycyjna muzyka dudniła monotennie z głośników kryjących się pod markizami. Powietrze przesycone było zapachem naparów ziołowych i oparami benzyny. Ulice przecinał chłodny wiatr, a zwisające z okien pranie poruszało się niczym uwiązane duchy z całych sił próbujące się uwolnić.

Skręcił w prawo w Clay, następnie w lewo w bezimienną uliczkę pełną kontenerów na śmieci i gnijących drewnianych palet. Ściany budynków pokrywały ciemne plamy farby, przykrywającej graffiti. Kilka gołębi dreptało apatycznie, szukając resztek. Powietrze było wilgotne i cuchnące. Oparł się o ścianę i odczekał trzy minuty. Uliczką szli wyłącznie Azjaci. Nikt tu za nim nie przyszedł i nikt nie zwracał na niego uwagi. Ruszył więc dalej.

Kiedy uznał, że zna już okoliczny teren, wrócił do hotelu, oglądając się za siebie, sprawdzając po drodze miejsca potencjalnych zasadzek. Ponownie zahaczył o recepcję. W żadnym z pokoi nie korzystano z telefonów. Okej.

Za pomocą karty magnetycznej spróbował otworzyć drzwi do pokoju Alexa, ale się nie udało. To dobrze, znaczy się Alex użył drugiego zamka.

- Alex! - zawołał. - To ja. Otwórz.

Drzwi otworzyły się i Ben wszedł do pokoju. Sarah stała przed telewizorem.

- Jesteś na kanale czwartym - oświadczył Alex.  
- KRON, wiadomości z regionu Zatoki.

Ben popatrzył. Podwójne zabójstwo koło hotelu Four Seasons w Palo Alto. Niezidentyfikowane ofiary. Policja bada sprawę.

- Nie wiem, dlaczego uważasz, że ma to coś wspólnego ze mną - powiedział Ben.

Sarah spojrzała na niego, ale nie odezwała się ani słowem.

Ben wziął ze stołu pilota i wyłączył telewizor.

- Macie robotę do wykonania - oświadczył z irytacją w głosie. - Oglądanie wiadomości nie poprawi waszej sytuacji. Rozpracowanie Obsidiana owszem.

Sarah znowu na niego spojrzała i Ben pomyślał, że zaraz powie coś ciętego. A tu nic. Podeszła jedynie do biurka i usiadła przed dwoma włączonymi laptopami. Cholera, tak bardzo się skupił na tym, że Sarah może próbować zadzwonić, że nawet nie pomyślał, aby sprawdzić, czy w jej torbie nie ma laptopa. Zamknął drzwi na klucz i otworzył szeroko okna.

- Tak będziecie pracować? - zapytał Ben, podchodząc i zerkając na jej laptop. Nie miała otwartej żadnej aplikacji e-mailowej ani komunikatora, ale to nic nie znaczyło. Na wysłanie wiadomości potrzebowałaby zaledwie trzydziestu sekund i nie miał pojęcia, czy już tego nie zrobiła.

- Dopiero zaczynamy - odparła Sarah. - Połączyliśmy ze sobą oba laptopy w ramach lokalnej sieci. Będziemy używać LAN, żeby szyfrować pliki za pomocą Obsidiana i wzajemnie je sobie przysyłać.

- Co to za muzyka? - zapytał Ben. Coś słyszeć było z jednego z laptopów.

- *Dirge* i zespół Death in Vegas - wyjaśniła Sarah. - Hilzoy wbudował w Obsidiana plik MP3 i polecenie odtwarzania, kiedy otwiera się program. Słuchaliśmy tego, żeby się przekonać, czy to coś więcej niż lubiana przez Hil-zoya piosenka.

-No i?

- Raczej nie.

- Cóż, wybrał odpowiedni tytuł\*. Wracajmy do pracy, okej?
- Okej - odparła Sarah bez ani odrobiny zadziorności, której nauczył się od niej oczekiwać. Jej beznamiętny ton sprawił, że po raz kolejny skrzywił się w duchu, tak jak w tamtej kafejce. Ale z drugiej strony to może wcale nie tak źle, że się go trochę bała, bała się tego, co może się wydarzyć, jeśli zrobi coś głupiego, na przykład spróbuje się skontaktować z policją, żeby przekazać informacje na temat tego, co dziś raniem wydarzyło się przed hotelem Four Seasons.
- Muszę znowu wyjść - powiedział. - Nie wiem na jak długo. Dzwoncie, jeśli pojawi się problem.

Po wyjściu z hotelu udał się w kierunku północnym, następnie złapał taksówkę i pojechał do Baker Beach, na północne obrzeże miasta, gdzie kończył się Pacyfik, a zaczynała Zatoka San Francisco. Zdjął buty i szedł po miękkim piasku, przyjemnie ciepłym od słońca. Wiała chłodna morska bryza i gdzieś w zatoce rozległa się syrena jakiegoś statku, przeciągła i zawodząca. Brzegiem morza biegł mężczyzna z golden retrieverem, ale poza tym plaża była pusta.

Ben zbliżył się do wody. Po prawej stronie widział w oddali most Golden Gate, po lewej zaś strome klify, na których zbudowano domy z widokiem wartym miliony dolarów. Przez chwilę spoglądał na Pacyfik, poddając się niezmiennemu rytmowi rozbijających się o skały i mokry piasek fal, rykowi przyływu i szemraniu cofającej się wody. Zastanawiał się, jak tu musiało być, w tym dokładnie miejscu, tysiąc lat temu. Jeśli zabrać domy i most, to pewnie tak samo jak teraz. Niebo i woda; odgłosy wiatru i fal; ocean noszący inną nazwę, dawno już zapomnianą. Uśmiechnął się, myśląc, że za kolejnych tysiąc lat też tu tak będzie.

Często tu bywał, kiedy chodził do liceum. To było dobre miejsce na palenie jointów, a jeszcze lepsze na uprawianie

seksu. U podnóża klifów znajdowała się formacja skalna, na którą można się było wdrapać. W czasie odpływu można było zsunąć się do środka i w ukryciu przed światem robić to, na co się miało ochotę. Ben wszedł tam teraz, zaskoczony natychmiastowym przypomnieniem sobie, gdzie należy stawić stopy, ale jeszcze bardziej smutkiem, jakie w nim wywołały te skały. Poziom wody był zbyt wysoki i nie mógł się zsunąć do środka skał, ale nie to stanowiło jego cel. Stał na szczycie, sięgnął do torby i wyjął glocka, którego rankiem użył pod hotelem. Przez chwilę przyglądał się broni, po czym rozłożył ją i cisnął poszczególne fragmenty daleko do wody. Chwilę później to samo zrobił z tablicami rejestracyjnymi. Nie sądził, aby kiedykolwiek je odnaleziono. A nawet jeśli, broń ta była nie do wyśledzenia, zaś słona woda skutecznie zmyje z niej wszelkie ślady DNA.

Udał się w stronę ulicy, skąd taksówką wrócił do North Beach. Okolica była taka sama, ale dotąd bywał tu tylko nocą, a w ciągu dnia wyglądało to nieco inaczej. To tak, jakby się zobaczyło dziewczynę, która tak bardzo cię kręciła wczorajszego wieczoru, rankiem i bez makijażu. Lokale o nazwach Ryczące Dwudziestki, Ogród Edenu, Bar Topless Kondor i Głodomór tłoczyły się obok siebie niczym pijaczkowie przesypiający razem kaca, ich neonowe szyldy były wyblakłe w blasku słońca, a jedyny dowód obecności niestrudzonych tłumów ludzi, jakie to miejsce przyciągało nocą, stanowiły niezliczone szare gumy do żucia wdeptane w chodnik. Bezdomny w płaszczu przeciwdeszczowym koloru porostów zatrzymał się przed koszem na śmieci i zaczął w nim grzebać, nie zważając na obecność Bena. Ben wyjął z portfela dwadzieścia dolarów i kiedy mężczyzna uniósł głowę, podał mu banknot. Bezdomny spojrzał na niego, a potem uśmiechnął się, odsłaniając ciemne owrzodziałe dziąsła. Ben patrzył, jak odchodzi, powłócząc nogami, i pomyślał: *A jaką to robi różnicę?*

Znalazł kafejkę internetową i wyjął z torby portfele nieżyjących Rosjan. W prawach jazdy wyczytał, że nazywają się Grigory Solovyov i Yegor Gorsky. Nic mu to nie mówiło. Cóż, może w którejś z agencji ktoś zna te nazwiska.

Przyszła mu do głowy pewna myśl - sposób na sprawdzenie dziewczyny. Jak się nazywał tamten klub naprzeciwko Vesuvio... Pearl's, jakoś tak? Wstukał w wyszukiwarkę „Pearl's San Francisco” i udało mu się za pierwszym razem: Jazz at Pearl's. Dziś o dwudziestej piosenki o miłości będzie śpiewała niejaka Kim Nalley. *Okej, Kim* - pomyślał. - *Zaśpiewaj jedną dla mnie.*

Wyszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do Horta, używając jak zawsze szyfratora.

- Coś już wiecie o tamtym Rosjaninie w Stambule?
- zapytał.
- Nic. Nikt się do niego nie przyznał. Dałbym ci znać, gdyby było inaczej.
- Tak, wiem. Dzwonię głównie dlatego, że właśnie zobaczyłem coś w wiadomościach i pomyślałem, że a nuż ma to z tym jakiś związek.
- Co takiego?
- Dziś rano w Palo Alto zastrzelono dwóch Rosjan. Cóż, tego, że byli Rosjanami, nie powiedzieli w wiadomościach. Dowiedziałem się w inny sposób. Na drugim końcu linii przez chwilę panowała cisza.
- Nie mogę nie zauważyć, że dzwonisz z San Francisco
- odezwał się w końcu Hort.
- Jestem tu przejazdem. Parę spraw osobistych do załatwienia.
- Nie zamierzam cię pytać, czy miałeś coś wspólnego z tymi martwymi Rosjanami.
- Świetnie, wobec tego ja nie będę musiał ci tego mówić.
- Zasadzili się na ciebie?
- Nie. Nie na mnie.



- No to czemu uważasz, że to może mieć jakiś związek?
- Nie uważam. Po prostu... sporo spotykam ostatnio Rosjan. Chcesz nazwiska? Mam nadzieję, że powiesz mi nieco więcej na ich temat. Myślę, że to rosyjska mafia, ale oficjalnie nic nie wiadomo i pewnie minie sporo czasu, nim policji uda się ich zidentyfikować.
- No to mów.  
Ben podał nazwiska.
- No dobrze, zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem. To może trochę potrwać. Cholernie ciężko namówić FBI i CIA do podzielenia się informacjami.
- Taaa, wiem.  
- A tak przy okazji: dobra robota w tym Stambule. Dowiedziałem się nieoficjalnie, że Irańczycy gotują się ze złości. Uważają, że to Izrael.
- No i świetnie.  
- Taaa. Odezwę się, jak się czegoś dowiem o tych Rosjanach.

Ben odwiesił słuchawkę i ruszył przed siebie. Przez chwilę miał dojmujące poczucie bezcelowości i przekonał się, że zmierza w górę Kearny, jednej ze słynnych stromych ulic tego miasta. Nadal coś nie dawało mu spokoju, nie był jednak w stanie określić co. Zatrzymał się obok Filbert, tuż poniżej Coit Tower, i popatrzył na rozciągające się na zachód miasto. To było kolejne miejsce, które lubili jako dzieci. W przeciwieństwie do centralnych okolic North Beach w rejonie Columbus i Broadway, pełnych restauracji, klubów, neonów i ludzi, wyżej położone partie dzielnicy były spokojniejsze, znajdowały się tam niemal wyłącznie budynki mieszkalne. Pamiętał, jak stawał tu wieczorami, mając za sobą Coit Tower, słuchając odgłosów położonych niżej ulic i patrząc, jak rzeka światła wędruje mostem Golden Gate, i miał uczucie, jakby mógł mieć to wszystko, nie tylko to miasto, ale i setki innych, które wtedy ledwie był sobie w stanie wyobrazić,

miasta i miejsca, które obiecywały mu te migające światła poniżej i niekończąca się czern Pacyfiku.

I wtedy Ben zrozumiał, czemu się czuje nieswojo, przebywając w San Francisco. Kiedy przyjeżdżał tu jako dziecko, te wizyty zawsze były wesołe i ekscytujące, pełne entuzjazmu, niewinności i głupiego optymizmu. Wychowywał się na dole, na półwyspie, gdzie Alex nadal mieszkał, i powrót w tamto miejsce nie poruszył żadnych sprzecznych emocjonalnie strun, może dlatego, że jakoś się na to uodpornił. Z San Francisco sprawa wyglądała inaczej. Ben wiedział, że się zmienił od czasów, kiedy wyjechał z Zatoki. Minęło niemal dwadzieścia lat, kto by się nie zmienił przez taki szmat czasu. A wiedział, że przez całe to gówno, które widział i którym się zajmował, zmienił się bardziej niż większość ludzi. Powrót w to miejsce uświadomił mu, że osoba, którą kiedyś był, nie tylko się zmieniła, ale zniknęła, i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy jej zniknięcie można uznać za powód do smutku, a może nawet rozpacz.

Odkaslnął i splunął. Głupotą było wracać tutaj. Cóż, Alex nie dał mu wielkiego wyboru, prawda?

Zszedł w dół ulicą Kearny, a potem wszedł do Molinari-'s, włoskiego baru na rogu Columbus i Vallejo, który kiedyś bardzo lubił. Kupił kanapki i ruszył z powrotem do hotelu, zachodząc po drodze do recepcji. Nadal żadnych telefonów. Ale to o niczym nie świadczyło. Dziewczyna była bystra, widział to, i może nawet się domyśliła, że będzie ją sprawdzał w recepcji. Gdyby chciała się z kimś skontaktować, użyłaby w tym celu komputera.

Alex wpuścił go do pokoju. Zobaczył torbę i powiedział:

- Pachnie super. Właśnie rozmawialiśmy o lunchu, trudno uwierzyć, że już prawie trzecia.

Ben rozdał kanapki.

- Molinari's? - zapytała Sarah. A kiedy Ben kiwnął głową, dodała: - Świetne miejsce.

Nie podobało mu się, że Sarah zna to miasto. Miała dzięki temu przewagę.

- Jakież postępy? - zapytał.

- Jeszcze nie - odparł Alex.

Zjedli, siedząc na podłodze. Kiedy skończyli, Ben zapytał:

- Sarah, nie będzie ci przeszkadzać, jeśli położę się w twoim pokoju? Muszę się trochę zdrzemnąć, a wy będziecie tutaj rozmawiać.

- Jasne, nie krępuj się.

Zabrał swoją torbę i przeszedł przez dzielące ich pokoje drzwi. Zamknął je za sobą na klucz. Niemal miał nadzieję, że Sarah zaprotestuje albo powie, że pierwsza musi tu przyjść, albo zrobi coś innego, co wzbudzi jego podejrzenia. Ale nic nie zrobiła. Niemniej wykorzystał sposobność i szybko i cicho przeszukał pokój. Także nic.

Myślał, że zdrzemnie się jakieś dwadzieścia minut, kiedy się jednak obudził, w pokoju nie było już tak jasno i zrozumiał, że spał znacznie dłużej. Zerknął na zegarek. Do diaska, była już prawie szósta. Spał niemal trzy godziny. Pewnie się jeszcze nie przestawił z czasu tureckiego. Cieszył się jednak, że spał tak długo. Sen był mu potrzebny.

Otworzył wspólne drzwi i zajrzał do drugiego pokoju. Alex i Sarah nadal siedzieli przed komputerami. Wszedł, pocierając twarz.

-No i?

Alex pokręcił głową.

- Na razie nic.

Ben udał się do łazienki. Wziął prysznic i przebrał się w czystą koszulę. Przed wyjściem schował pod szufladą kartę do dodatkowego pokoju. Później zadzwoni do Alexa i powie mu o nim, kiedy dziewczyna nie będzie tego słyszeć.

Wrócił do pokoju. Ciągle pracowali. To dobrze.

- O ósmej jest koncert w Jazz at Pearl's na Columbus  
- oświadczył. - Wybieram się tam i wrócę, jak się skończy.

- Od kiedy słuchasz jazzu? - zapytał Alex. Ben spojrział na niego.
- A kiedy ostatni raz rozmawialiśmy o muzyce?

Osiemset metrów dzielące hotel od rogu Columbus i Broadway pokonał pieszo w piętnaście minut. Nie poszedł jednak do klubu. Prawda była taka, że nie wiedział absolutnie nic na temat jazzu, Kim Nalley ani nikogo innego i gdyby Sarah, którą uznał za bystrego obserwatora, choć trochę próbowała go wybadać, odkryłaby podejrzaną braki w jego muzycznej edukacji. Nie zrobiła tego jednak. I bardzo dobrze.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do Vesuvio, sędziwego baru pokolenia beatników, mieszczącego się obok równie znanego miejsca beatników, księgarni City Lights. Vesuvio był jednym z barów, do których Benowi i jego kolegom czasem udało się wślizgnąć w czasach liceum. Rozejrzał się i ogarnęło go dziwne uczucie, że cofnął się w czasie. Lokal w ogóle się nie zmienił - długi drewniany bar i upchane ciasno stoliki; przygaszone światło, dzięki czemu odnosiło się wrażenie, że się wkroczyło do sekretnej jaskini; na ścianach koloru papierosowego dymu wisiały pamiątki z epoki. Unosił się tu słaby zapach piwa i kawy. Ben miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie o dwadzieścia lat, i przez chwilę kontrast z rzeczywistością był niemal paralizujący.

W jednym z boksów siedział siwowłosy staruszek w szarym tweedowym płaszczu, pijąc piwo i czytając gazetę. Wyglądał na stały element wystroju tego miejsca, tak jak wyłożona płytkami podłoga i butelki za barem. W tle puszczano jakiś jazzowy kawałek, pianino i saksofon, mieszający się z cichymi rozmowami ludzi siedzących przy barze i pobliskich stolikach. Ben minął ich, po czym udał się wąskimi schodami na górę, na słabo oświetlone piętro.

Miał szczęście. Jedno z miejsc przy oknie wychodzącym na Kerouac Alley i Columbus było wolne. Usiadł, mając doskonały widok na podwójne drzwi i czerwoną markizę

oznaczającą wejście do Pearl's. Zerknął na zegarek. Siódma. Gdyby coś miało się wydarzyć, to w ciągu następnej godziny, maksymalnie dwóch. Podeszła do niego kelnerka i Ben zamówił kawę.

Gdyby dziewczyna była w to zamieszana, dałaby komuś znać, gdzie można znaleźć Bena. O ile wszystkich nie zabił, ale szczerze w to wątpił; spodziewał się, że nadal mają ludzi na miejscu. Jeśli miał rację, to w Pearl's pojawi się jakiś człowiek, może dwóch. Jeśli przyjdą we dwóch, jeden zaczeka na zewnątrz, chcąc mieć pewność, że cel wypatrzy najwyżej jednego z nich. Jeśli zjawi się tylko jeden, to oczywiście wejdzie do środka sam, a kiedy się przekona, że Bena tam nie ma, wyjdzie z klubu. Tak czy inaczej Ben pójdzie wtedy za nim czy za nimi, a dalej będzie improwizować.

Trudno było określić, czego wypatrywał, ale -jak to powiedział Sąd Najwyższy o nieprzyzwoitości? - kiedy zobaczy, będzie wiedział, że to jest to. Ci ludzie byliby czujni i bacznie zwracaliby uwagę na otoczenie. Zachowywaliby się z ostentacyjną swobodą, ale żaden ich ruch nie byłby przypadkowy. Ubrania mieliby ciemne, nijakie i bez żadnych logo. W ich oczach byłoby coś, co dostrzegłby nawet z przeciwnej strony ulicy. W jego oczach było to samo.

Pił kawę, patrzył na przejeżdżające samochody, obserwował przechodniów. Niebo z indygowego zrobiło się czarne; ulicę rozświetlały teraz kolorowe neony. Około wpół do ósmej do Pearl's zaczęli się schodzić ludzie, głównie ubrane ze swobodną elegancją pary, które go w ogóle nie interesowały. Minęła ósma, a on nie dostrzegł tego, czego szukał. Cóż, zaczeka do końca koncertu. Jeśli nic się nie stanie, i tak nie będzie to dowód na nic. Dziewczyna tak czy inaczej mogła pracować dla przeciwników, może jej ludzie nie byli po prostu w stanie tak szybko się zmobilizować. W końcu rano stracili dwóch graczy. Możliwe, że mieli teraz problemy ze skompletowaniem nowej ekipy.

Tuż przed ósmą trzydzieści zobaczył atrakcyjną, ciemnowłosą kobietę w czarnej, sięgającej pasa skórzanej kurtce. Przyjrzał się uważniej. A niech to, Sarah.

Patrzył, jak wchodzi do Pearl's, nie wiedząc, co o tym myśleć. To nie miało sensu. Potrafił sobie wyobrazić, że jest wtyczką w operacji, w jaką wplątał się Alex, ale nie, że bierze w niej czynny udział. Zlustrował ulicę, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego.

Nie miał dużo czasu na myślenie. Będzie musiał rzeczywiście improwizować.

Wyjął telefon i zadzwonił do Alexa.

- Tylko sprawdzam. Wszystko w porządku?
- Tak - odparł Alex. - Nic nowego. Daliśmy sobie na dzisiaj spokój. Sarah wyszła, żeby kupić jakieś ciuchy.

Nie powiedziała Alexowi, że wybiera się do Pearl's. Nie miał pewności, co to oznacza.

- Chcę, żebyś coś zrobił - powiedział Ben, przyglądając się podwójnym drzwiom klubu. - W łazience, pod najniższą szufladą, leży karta magnetyczna. Jest od dodatkowego pokoju, który wynająłem, 758, po drugiej stronie korytarza. Idź tam. Nie zostawaj tu, gdzie jesteś.
- Czemu? Coś się stało?
- Nie, wszystko gra. Zachowuję się po prostu rozsądnie albo paranoicznie, jeśli tak to wolisz nazwać. Po prostu nie chcę, abyś był tam, gdzie ona wie, że będziesz przebywał do mojego powrotu.
- Ben, pracuję z nią. Znam ją. Nie jest w to zamieszana.
- Taaa, każdy myśli, że wszystkich zna. Ale wiesz co, przeleciałem pół świata, żeby ci pomóc. Więc może spróbujesz sprawić, aby ta podróż nie okazała się marnotrawieniem czasu, co?

Cisza. Ben oczami wyobraźni widział, jak Alex gotuje się ze złości. Taaa, no cóż, tak to już bywa, jak się nie lubi słyszeć prawdy.

- Okej - powiedział w końcu Alex.
- Jeszcze jedno. Zamknij na klucz drzwi łączące nasze pokoje i zostaw zapalone wszystkie światła. A drzwi do łazienki i ubikacji otwarte.
- Coś jeszcze? - zapytał Alex.

Ben usłyszał w jego głosie sarkazm i starał się, aby go to nie zirykowało. Czy naprawdę tak trudno zrozumieć, że Ben nie chciał wracać do pokoju, którego nie mógł z łatwością sprawdzić?

- Może po prostu powiesz, że tak zrobisz, co? - zapytał.
- Taa, zrobię to.
- Dobrze. Zadzwoń, jak wrócę. - Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

Chwilę później z Pearl's wyszła Sarah i ruszyła w stronę, z której wcześniej przyszła.

Ben otworzył jedno skrzydło okna.

- Sarah! - zawołał.

Zatrzymała się i rozejrzała. Przejechał autobus i na chwilę wszystko zagłuszył.

- Sarah! - zawołał ponownie. - Po drugiej stronie ulicy. W oknie.

Podniosła głowę i go zobaczyła. Machnęła ręką.

Ponownie się rozejrzała i nie dopatrywał się żadnych zagrożeń. Co ona kombinowała? Miała przetrzymać go w Pearl's, gdy tymczasem ktoś inny składał wizytę Alexowi? Całkiem możliwe. Cóż, na razie Alex był bezpieczny.

To niemożliwe, aby zjawiała się tutaj, żeby osobiście go załatwić. O, nie. Potrafił wyobrazić ją sobie jako agentkę informującą, łączniczkę, coś w tym rodzaju, ale nie jako osobę, która pociąga za spust.

No ale gdyby się mylił, kara za to byłaby dotkliwa.

- Chodź tutaj - powiedział.

# Brak podstaw

Alex ziewnął trzy razy w ciągu godziny i ostatnie dwa ziewnięcia okazały się zaraźliwe. Sarah spojrzała na niego i rzekła:

- Kręcimy się w kółko. Dajmy sobie na dzisiaj spokój.

Obrzucił ją tym swoim nieprzeniknionym spojrzeniem, po czym coś w jego twarzy złagodniało.

- Masz rację - powiedział. - Musimy przyjrzeć się temu z innej strony, żeby zobaczyć, czego nie dostrzegamy teraz, a tak się nie stanie, jeśli nie zrobimy sobie przerwy. Jesteś głodna?

Była przygotowana na to pytanie.

- Nie. Chcę tylko wyjść i kupić jakieś rzeczy na zmianę.

No to chyba zobaczymy się rano?

Kiwnął głową.

- Siódma to nie będzie dla ciebie za wcześnie?

- Nie, może być. I tak wątpię, żebym dobrze spała. To wszystko jest zbyt szalone.

Poszła do siebie przez łączące ich pokoje drzwi, rozebrała się i weszła pod prysznic. Przez cały dzień coś w niej wzbierało i jeśli się z tym nie rozprawi, to chyba wybuchnie.

Dzień zaczął się dziwacznie, a potem zrobiło się wręcz przerażająco. Zaginione dokumenty. Dziwny telefon od Alexa. Potem ten facet w jego gabinecie, którego uznała za niebezpiecznego, a który okazał się bratem Alexa. Kiedy jej powiedzieli, co się dzieje, zaniepokoiło ją to, ale nie przeraziło. Patrząc wstecz, rozumiała, że zachowała wtedy względnie zimną krew, bo nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji.



Nie wierzyła, że rzeczywiście grozi jej niebezpieczeństwo. Owszem, rozumiała, że policja prawdopodobnie nie jest w stanie pomóc, ale zgodziła się jechać z Alexem i Benem i spróbować odkryć, co w Obsidianie jest takiego cennego i niebezpiecznego niemal dla heczy, traktując to jako przygodę, odskocznię od codziennej rutyny. A potem Ben wrócił do samochodu przed Four Seasons z krwią na twarzy, z wiadomości dowiedziała się, co się stało, i dotarło do niej, że brat Alexa to ktoś, kto jest w stanie zabić dwóch ludzi - wyglądało na to, że gangsterów - z taką samą łatwością, jaką dla innych ludzi stanowi nalanie filiżanki kawy. Jest w stanie zabić? On ich naprawdę zabił. Nie istniało inne wyjaśnienie.

A co ona teraz robiła? Uczynił ją, czy też sama uczyniła siebie, współwinną? Na drugim roku studiów przerabiała prawo karne, ale zaraz po egzaminie wyrzuciła wszystko z pamięci. Nie wiedziała, co jej może za coś takiego grozić.

Wiedziała, że Ben jej nie ufa. A to, jak na nią patrzył, jak od niechcenia podszedł do biurka, żeby zerknąć, co widnieje na ekranie jej laptopa... Bał się, że pójdzie na policję? I co by zrobił, gdyby rzeczywiście do tego doszło?

Mogła to załatwić na dwa sposoby. Trzymać buzię na kłódkę i mieć nadzieję, że jakoś się wszystko ułoży. Albo mogła otwarcie zmierzyć się z problemem.

Wyszła z hotelu i skierowała się na północ. Wieczór był chłodny, na niebie wisiał półksiężyc. W Chinatown panował spokój, większość sklepików była już pozamykana, ukryta za metalowymi kratami. Część drzwi pozostawała otwarta i można było przez nie dojrzeć rodziny jedzące kolację i grających w karty przyjaciół, poczuć zapach gotowanego ryżu i słodkich ciastek i usłyszeć śmiech oraz rozmowy w śpiewnym języku, którego żałowała, że nie rozumie. Niektóre drzwi ukazywały wąskie schody prowadzące gdzieś, gdzie nie sięgał jej wzrok. Sarah zastanawiała się, do jakich po-

mieszkań prowadzą, kto codziennie je pokonuje, jak żyją ludzie zamieszkujący te sekretne miejsca na górze.

Minęła malowidło ścienne, oddające hołd chińskim robotnikom kolejowym. Papierowe lampiony drżały na wietrze. Skręciła w prawo w Pacific i jej oczom ukazały się stare drewniane budynki z zielonymi i czerwonymi balkonami i okapami podwiniętymi do góry na modłę azjatycką. Jakiś staruszek zamykał właśnie swój sklepik z ziołami, na którego wystawie stały szklane słoje z różnościami z całego świata. Gdy go mijala, pozdrowił ją bezzębnym uśmiechem, a ona skinęła głową i także się uśmiechnęła.

Dotarła do ulicy Columbus, gdzie spokojne i senne Chinatown ustąpiło ruchowi ulicznemu i neonom North Beach. No i proszę, oto Jazz at Pearl's, parterowy klub z wychodzącymi na ulicę oknami i wejściem osłoniętym czerwona markizą. Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do środka, wyjaśniając bramkarzowi, że nie ma rezerwacji, ale że miała się tu spotkać ze znajomym... i czy mogłaby się tylko szybko rozejrzeć?

To nie był duży lokal, znajdowało się w nim jakieś trzydzieści osób siedzących przy małych okrągłych stolikach przykrytych białymi obrusami. Murzynka o bujnych kształtach śpiewała właśnie *Need My Sugar*, towarzyszyło jej pianino i kontrabas, a widownia z zapalem wystukiwała czubkami palców rytm. Bena nie było. Może poszedł do łazienki? Zaczekała pięć minut, po czym poddała się, zaskoczona tym, jak wielkie czuje rozczarowanie. Jeśli się z nim dziś nie spotka, jeśli się z tym nie zmierzy, to nie miała pojęcia, jak u licha uda jej się zasnąć.

Skrecała właśnie w lewo, myśląc, że może coś przekąsi w Cafe Prague, a potem poszuka Walgreens albo czegoś innego, otwartego do późna, gdzie uda jej się kupić bieliznę na zmianę i kilka innych drobiazgów, kiedy ktoś krzyknął jej imię. Rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Przejechał

autobus. Wyobraziła to sobie? I wtedy ponownie to usłyszała. Uniosła głowę i zobaczyła Bena wyglądającego przez okno na piętrze Vesuvio.

- Chodź tutaj - zawołał.

Ogarnęło ją dziwne przyjemne uczucie, które nie do końca potrafiła określić - podekscytowanie? Ulga? - i przeszła na drugą stronę ulicy.

Weszła do środka i od razu jej się spodobało. W sumie to dziwne, że mieszkała w San Francisco, a nigdy nie była w Vesuvio, no ale w Alcatraz też nie była. To było jedno z tych miejsc dobrze znanych turystom, o których się myślało, że zawsze będzie i że się w końcu tam trafi. Co nie znaczy, aby się jakoś specjalnie spieszyła. Żywiła przekonanie, że Vesuvio to bardziej muzyczne muzeum niż prawdziwy bar, do którego ma się ochotę iść napić. Autentyczna atmosfera tego miejsca natychmiast przypadła jej do gustu i Sarah się ucieszyła, że nie miała racji.

Weszła na piętro i przeszła wzdłuż balkonu, z którego widać było parter. Sufit znajdował się nisko nad głową, może dwa metry, i pomalowano go na ciemnobrązowo albo czarno. Z ulicy wpadało nieco światła, ale poza tym było tu tak ciemno, że wzrok najpierw się musiał przyzwyczaić. Kilka niedużych grup siedziało w boksach wokół stolików, śmiejąc się i rozmawiając. Wypatrzyła sylwetkę Bena na tle okna, lekko podświetloną neonowym szyldem Tosca Cafe mieszczącej się po drugiej stronie ulicy. Siedział odsunięty od stolika, z obiema nogami na podłodze. Było w nim coś, dzięki czemu zawsze wyglądał... na gotowego. Na co - tego nie była pewna.

- Co tu robisz? - zapytał, gdy do niego podeszła.

Zatrzymała się przy stoliku, ale nie usiadła.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

Kiwnął głową i wyrztał na ulicę, a potem przesunął spojrzenie z powrotem na nią.

- Będzie to dla ciebie problem, jeśli cię podotykam?  
- zapytał cicho.

Pokręciła głową, sądząc, że nie dosłyszała.

- Słucham?

- Nie będę się czuł swobodnie, siedząc z tobą tutaj, jeśli cię nie obszukam. Sorry, ale tak już mam.

Nie wiedziała, jak ma zrozumieć jego słowa. Mówił poważnie?

Gdy tak stała, próbując podjąć decyzję, Ben wstał i zbliżył się. Nachylił się ku niej i uświadomiła sobie, że to na wypadek, gdyby ktoś na nich patrzył, aby zasłonić to, co naprawdę robi. Poczwała zapach hotelowego mydła i czegoś jeszcze, czegoś męskiego, czego nie potrafiła sprecyzować. Poczwała, jak jego lewa ręka wsuwa się pod jej kurtkę i przeslizguje po prawym boku, pewnym gestem wyczuwając nerkę, żebra i zarys piersi. Po chwili prawa ręka zrobiła to samo po drugiej stronie. Przyciągnął ją do siebie i przesunął lekko dłońmi po dolnej części pleców i biodrach. Jej serce szybko biło i powiedziała sobie, że to dlatego, że jest zła.

Ben zrobił krok w tył i rozejrzał się po barze, po czym przykłęknął i szybko przesunął dłońmi po jej nogach, od kostek aż do krocza. Sarah usłyszała swój głośny oddech.

Wstał i spojrzał na nią. Spiorunowała go wzrokiem.

- Zadowolony? - zapytała.

Kiwnął głową i usiadł, w żaden sposób nie dając do zrozumienia, że też to powinna zrobić.

Ta bezczelność tak bardzo ją rozzłościła, że oczami wyobraźni zobaczyła, jak bierze krzesło i zamachuje się nim niczym kijem do baseballa.

- Wstań - powiedziała.

-Co?

- Wstań - powtórzyła.

Wstał.

Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy.

- Oboje powinniśmy być ostrożni, prawda?

Wsunęła dłonie pod jego marynarkę i przesunęła je powoli wzdłuż boków. Przez cienki materiał koszuli czuła ciepło jego ciała i twardość mięśni. Przez cały czas patrzyła mu w oczy. Chciał bezczelności? Proszę bardzo, ona też tak potrafiła.

Klęknęła przed nim i dotykała go z takim samym chłodnym spokojem, jak przed chwilą on jej. Następnie wstała i położyła dłoń na jego brzuchu. Był twardy i płaski i czuła, jak lekko unosi się podczas oddychania.

- Chyba jesteś bez broni - powiedziała, nadal patrząc mu w oczy.

Położył rękę na jej dłoni i zaczął przesuwając niżej. Nie mogła w to uwierzyć... co on robił, próbował być lepszy? Ale ona nie zamierzała pierwsza mrugnąć powieką.

Niżej. Serce waliło jej jak młotem, ale nie odwróciła wzroku.

Jego dłoń zatrzymała się na twardej wypukłości tuż nad kroczeniem. Sarah zrozumiała, co to takiego - pistolet, w jakiejś specjalnie ukrytej kaburze.

- Może jednak mogę ci ufać - odezwał się.

-Jak to?

- Dlatego, że nikt, nawet po najbardziej podstawowym szkoleniu, nie wykonałby tak kiepskiego przeszukania.

Może jesteś tylko prawniczką.

- A ty może jesteś tylko dupkiem.

- Och, jestem zdecydowanie kimś więcej.

Jego ręka nadal przykrywała jej dłoń. Sarah wyrwała ją i usiadła. Po chwili do niej dołączył.

- No i? O czym chciałaś porozmawiać? - zapytał. Ton głosu i mina sugerowały, że tak naprawdę mało go to interesuje.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę i wzbierała w niej gniew.

- Zapomnij o tym - powiedziała i wstała, aby odejść. Zerwał się z miejsca ze zdumiewającą wręcz prędkością. Złapał ją za ramię.

- Dlaczego? - zapytał. - Wkurzasz się, bo cię przeszkodziłem? Bo się nie podnieciłem, kiedy ty zrobiłaś to samo?

- Podniecanie się to cecha ludzka. W tobie tego nie widzę.

- Posłuchaj. Nie znam cię, więc ci nie ufam. To nic osobistego.

- Akurat. Ufałeś mi od razu, do czasu, kiedy usłyszałeś moje nazwisko. Więc nie mów, że to nic osobistego.

- Usiądź, to kupię ci drinka.

- Sama mogę sobie kupić. Ben obejrzał się przez ramię.

- No dobrze, to mi też kup.

Sarah zobaczyła, że za nią stoi kelnerka.

- Martini Bombay Sapphire - rzekł Ben. - Bez oliwki, bez wermutu.

*A co tam.* Kiwnęła głową do kelnerki.

- Niech będą dwa.

Usiedli.

- Powiesz mi, po co tu przyszedłeś? - zapytał Ben.

Serce znowu zaczęło jej walić. Złościło ją, że tak się denerwuje w jego towarzystwie, i przerażało ją to, co zamierzała powiedzieć.

Odkasznęła.

- Chodzi... chodzi o **Four Seasons**. Myślę o tym, co ty sobie myślisz, stawiając się w sytuacji drugiej osoby, tak jak mówiłeś. I gdybym była na twoim miejscu, bałabym się, że ja mogę... iść na policję czy zrobić coś w tym rodzaju. Boję się tego, co możesz zrobić, aby temu zapobiec.

Przyglądał jej się przez długą chwilę i wydawało jej się, że coś się pojawiło w jego oczach. Współczucie? Żal? Potem odwrócił wzrok.

- Kiedy to się skończy, spojrzysz wstecz i będzie ci się wydawać, że to w ogóle nie miało miejsca.

Nie bardzo rozumiała. Czy dawał jej do zrozumienia, żeby się nie martwiła? Że nie... zrobi jej krzywdy?

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Po prostu wiem. To wszystko jest dla ciebie strasznie dziwaczne. Jak coś, co się przytrafia komuś innemu. Po wszystkim, kiedy wrócisz do swojego życia, poczujesz się, jakbyś się obudziła ze złego snu.

Spojrzała na niego, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

- Masz rację - rzekła. - Rzeczywiście tak się czuję. Ale... skąd to wiesz?

Pokręcił głową i odwrócił wzrok, a ona pomyślała: *Ponieważ ty się nigdy nie obudziłeś.*

Kelnerka przyniosła ich drinki i Sarah zapłaciła. Przez kilka minut sęczyli je w milczeniu.

- Jak to możliwe, że tak dobrze znasz farsi? - zapytała Sarah, przechodząc na ten język.

- Znasz już powód - odparł Ben, także w farsi.

- Nie podoba mi się to, co robisz - rzekła, wracając do angielskiego.

Ben zaśmiał się.

- Nie szkodzi. Mnie się podoba.

- Lubisz przemoc?

Wzruszył ramionami.

- To narzędzie pracy.

- Rzemieślnik nie lubi swoich narzędzi?

- Dlaczego zostałeś prawnikiem? Ponieważ lubisz prawnikować?

Spojrzała na niego zaskoczona tym, jak to pytanie trafiło w samo sedno jej wątpliwości.

- Tak naprawdę nie wiem dlaczego. Może po prostu byłam w tym dobra. A ty dlaczego wykonujesz taką, a nie inną pracę?

Przez chwilę miał twarz dziwnie pozbawioną wyrazu, po czym odwrócił wzrok.

- To długa historia.

Znowu milczeli. Ciszę przerwała Sarah.

- Powiedz mi coś o sobie.

- Na przykład co?

Prawdę mówiąc, nie wiedziała. Te słowa jej się wymknęły. Nie planowała tego i nie wiedziała, o co konkretnie pyta.

- Nie wiem. Po prostu... coś, co możesz mi powiedzieć. Niezwiązanego z pracą. Coś osobistego. Żebym choć troszkę mogła cię poznać.

Wzruszył ramionami.

- Lubię wrywać muchom skrzydła. To tylko hobby, ale się zastanawiam, czy nie zająć się tym zawodowo.

Pokręciła głową. Traciła tylko czas. Głupio się czuła, że w ogóle próbowała.

- Jesteś żonaty? - zapytała. - Masz rodzinę?

Milczał przez chwilę i sądziła, że nie odpowie.

- Już nie - odparł jednak.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Była Filipinką. Poznałem ją w Manili. Kiedy wróciliśmy do Stanów, przekonałem się, że nie jest osobą, za którą ją uważałem.

- Może ona się przekonała, że z tobą jest identycznie.

- Jestem tego pewny.

- Dzieci? Znowu cisza.

- Cóрка. Mieszkają w Manili.

Zaintrygowała ją ta oczywista niechęć i to, że jednak odpowiada na jej pytania.

- Nie widzisz się z nimi?

Wzruszył ramionami.

- To daleko stąd.

- Ale nie dlatego się z nimi nie widzisz.



Pociągnął spory łyk ginu.

- A ty? Masz chłopaka?

Pokręciła głową.

- Był ktoś na studiach. Ale teraz nie.

- Dlaczego? Na pewno szaleją za tobą w tej waszej kancelarii.

- Czemu tak mówisz?

Spojrzał na nią.

- Polujesz na komplementy czy rzeczywiście jesteś aż tak ślepa?

Poczuła, że się rumieni, częściowo z gniewu, częściowo z zakłopotania.

- Po prostu nikogo nie spotkałam.

- To nie o to chodzi.

- Jak to nie o to? A skąd możesz wiedzieć? Nic o mnie nie wiesz.

- Wiem bardzo dużo. To moja praca.

- Tak? A co takiego wiesz?

- Wiem, że kiedy kobieta tak piękna jak ty nie ma nikogo, to nie dlatego, że nikogo nie spotkała, ale dlatego, że nie chce.

- A dlaczego miałabym nie chcieć? - zapytała, walcząc z ochotą wstania od stolika.

- Istnieje całe mnóstwo powodów. O której dziś rano przyjechałaś do kancelarii? O siódmej? Chcesz się więc wykazać jako prawnik. Chłopak by cię rozpraszał. A gdyby faceci w kancelarii wiedzieli, że masz chłopaka, nie mieliby aż takiej nadziei. A gdyby nie mieli aż takiej nadziei, nie mogłabyś nimi aż tak subtelnie manipulować.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- Sama zapytałaś.

- Co jeszcze?

Pociągnął kolejny łyk ginu.

- Wiesz, że każdy facet, z którym się zwiążesz, zmieni punkt widzenia. Prawdopodobnie od razu będzie się chciał żenić, żeby cię do siebie przywiązać, dopóki jeszcze może. Nie możesz tak postąpić, dlatego że chcesz mieć możliwość wyboru. Nie mówię o mężczyznach, ale o twoim życiu. Nie wiesz, czym tak naprawdę chcesz się zajmować. Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz.
- Tak? - zapytała, ignorując prowokację. - A kim chcę zostać?

- Nie wiem. Ale nie prawnikiem.

- Skąd to wiesz?

- Bo gdybyś chciała być prawnikiem, nie zareagowałaśbyś tak szybko.

Pokręciła bez słowa głową. Jego tupet i pewność siebie doprowadzały ją do szału... ale jednocześnie musiała przyznać, że to co mówił, wcale nie było pozbawione sensu.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie widzisz się z rodziną?
- Jestem pewien, że mi to powiesz.
- Dlatego, że nie znosisz przywiązania. Nie możesz wytrzymać tego, że ktoś na ciebie liczy. Czemu tak jest? Rozczarowałeś kogoś w swoim życiu, zawiodłeś?
- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.
- Ależ mam. Gdybym nie miała, nie zaprzeczałbyś tak szybko. To było odstępstwo od twego zwykłego, zadowolonego z siebie milczenia.

Uśmiechnął się. Sarah nie miała pewności, czy to uśmiech protekcyjalny, czy mówiący: *punkt dla ciebie*.

- O co chodzi? Uważasz, że twojej córce lepiej bez ojca niż z takim, na którym nie można polegać? Co to, rodzaj szczeniaka? Blokującego rozczarowanie?

Pociągnął łyk alkoholu.

- Daj już spokój.

- Dlaczego? Fajniej jest zaglądać komuś do głowy, niż pozwalać, aby on zaglądał tobie?

- Nie jesteś w mojej głowie.
- Powiedz to jeszcze raz. Może dzięki temu w to uwierzysz.

Spojrzał na nią złowrogo, a ona ponownie pomyślała o jego niesamowitym opanowaniu. Co w nim było takiego, że pragnęła się dowiedzieć, co się kryje za tą samokontrolą, że pragnęła naciskać tak długo, aż ta blokada pęknie? Dlaczego tak bardzo zależało jej, aby coś w nim poruszyć? Dlatego, że ją lekceważył? Że wygłosił kilka uwag, które można było uznać za rasistowskie? Czepiał się różnych drobiazgow i sprawiał, że ona też się tak zachowywała.

Wiedziała, że to prawda. A jednak pozostawało to bez wpływu na jej odczucia.

Ben dopił drinka.

- Jeszcze po jednym?

Ona też dokończyła swojego, próbując się nie krzywić.

- Tym razem ty płacisz.

Zamówił dwa następne. Zastanawiała się, czy to dobry pomysł. Już po pierwszym była wystarczająco wstawiona. Jednak w jego głosie słychać było wyzwanie i nie zamierzała się poddać.

*Widzisz, jaka jesteś głupia* - pomyślała. Ale ponownie nic to nie dało.

Przez parę minut siedzieli w milczeniu. Kelnerka przyniosła ich drinki i odeszła. Sarah pociągnęła łyk i wyjrzała przez okno. Podobał jej się ten bar. Podobało jej się siedzenie w półmroku i obserwowanie ulicy, jakby się znajdowała w jakimś sekretnym orlim gnieździe. Po drugiej stronie drogi mieścił się Pearl's; ze swego miejsca miała dobry widok na wejście.

I wtedy ją olśniło. Cholerny Ben.

- Ty w ogóle nie poszedłeś do Pearl's - oświadczyła.
- Powiedziałeś, że tam idziesz, ponieważ sądziłeś, że mogę cię śledzić. Przyszedłeś tutaj, żeby się przekonać, czy to zrobię.

Wzruszył ramionami.

- Coś w tym rodzaju.
- Coś w tym rodzaju... Rozumiem, to nie mnie się spodziewałeś, tylko pozostałych negatywnych bohaterów, tak? Irańskich terrorystów, dla których pracuję?
- Jestem z natury podejrzliwy, pamiętasz?
- Wiesz co? Gówno prawda. Nikt nie podejrzewa wszystkich, nawet ktoś taki jak ty.
- Musisz częściej wychodzić.
- Dużo wychodzę. Bywałeś tu jako dziecko, prawda? Dlatego chciałeś zatrzymać się w mieście, a nie w hotelu koło lotniska. I chciałeś także być blisko North Beach, prawda? Ponieważ znasz ten teren, wiedziałeś, że uda ci się wykombinować coś takiego jak teraz. Mam ci uwierzyć, że to zachowanie rutynowe? Że robisz tak zawsze?
- Robię, kiedy muszę.
- Robiłbyś, gdybym nie była Iranką?
- Jak już mówiłem, robię to, kiedy muszę.
- Dlaczego nie przyznasz, że to dlatego, że jestem Iranką, że masz z tym problem?
- Niczego nie muszę przyznawać.
- Oczywiście, że nie musisz. Nie musisz tego przyznać nawet przed samym sobą. Do tego trzeba mieć jaja. Położył dłonie na stole i pochylił się.
- Słuchaj, kochanie. Nie żyjesz w prawdziwym świecie. Żyjesz w świecie fantazji. A jeśli coś zakłóca twoją iluzję, je śli dostrzeżesz kogoś z klasy niewolniczej, dzięki której możesz żyć tak, jak żyjesz, jeśli dowiesz się choćby o drobnej części tego, co trzeba robić w twoim imieniu, żebyś mogła żyć w sposób, na jaki uważasz, że zasługujesz... to ty się wtedy świętoszkowato obruszasz i wpadasz w szał. Wybacz, ale trudno jest mi traktować cię poważnie.

Oparł się o siedzenie i jednym haustem dokończył gin.

- Masz rację - rzekła Sarah. - Tak naprawdę to powinienam włączyć się po świecie wolna i samotna, zabijając po

drodze tych, których trzeba, rozkoszując się tragiczną szlachetnością swego poświęcenia. Och, i będę musiała porzucić rodzinę, rzecz jasna. To oczywista część oświecenia.

Oparła się i dopiła gin w taki sam sposób jak przed chwilą Ben. Alkohol palił jej gardło i wlewał się płonącym strumieniem do żołądka. Zaciśnęła mocno powieki i wzdrygnęła się, powstrzymując z całych sił, aby nie zacząć kaszleć.

Kiedy otworzyła oczy, przekonała się, że Ben na nią patrzy. Siedział w zupełnym bezruchu i nie miała pojęcia, o czym myśli. Zraniła go? Próbowwała tak zrobić, i nagle tego pozależowała. To, co jej powiedział, było nieprzyjemne, zgoła, ale czy przypadkiem jej odpowiedź nie była po prostu okrutna? Jedno nie usprawiedliwiało drugiego. Chciała go przeprosić, ale wyczuła, że tylko by tym wszystko pogorszyła. Zachowywanie się, jakby wiedziała, że go zraniła, a teraz próbowała poprawić mu samopoczucie, byłaby obracaniem noża w ranie.

- Chyba za dużo wypiałam - odezwała się, mając nadzieję, że odbierze to jako zawołane przeprosiny.

- Odprowadzę cię do hotelu - powiedział.

Spodziewała się jakiejś obraźliwej uwagi i to, że Ben zdawał się stracić cały entuzjazm, ponownie kazało jej się zastanowić, czy nie posunęła się przypadkiem za daleko.

Poszli wzdłuż Columbus, a potem przez Chinatown. Księżyc znajdował się już wyżej na niebie, wiatr był chłodniejszy niż wcześniej. W kiepskim, żółtawym świetle latarni samochodu, znaki drogowe i wystawy sklepowe zlewały się w jedno - mroczne elementy w szponach ciemności.

Dostrzegła, że głowa Bena ciągle się porusza, raz w prawo, raz w lewo, a nawet do tyłu, kiedy przechodzili przez ulicę czy skręcali za róg. *Me da się do niego podkraść* - pomyślała. Uświadomiła sobie, że jest wstawiona.

W hotelu było przyjemnie ciepło, a odgłos ich kroków na korytarzu brzmiał jak stłumione bicie serca. W windzie

nie odzywali się do siebie ani słowem i Sarah była bardzo świadoma jego bliskości. Odprowadził ją do drzwi pokoju i czekał, gdy wyciągała kartę z kieszeni džinsów. Otworzyła drzwi i odwróciła się do niego.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała.

-Tak?

- Czy Alex w ogóle wie?

- Wie o czym?

- Że ma siostrzenicę.

Ben nie od razu odpowiedział.

- Nie wiem, dlaczego miałby wiedzieć.

- Wobec tego nie powiedziałaś mu.

- Nie rozmawiamy ze sobą.

- Dlaczego?

- Masz rodzeństwo?

Pokręciła głową.

- Cóż, no to trudno by to było wytłumaczyć.

- Spróbuj.

- To długa historia.

- Nie mamy czasu?

- Nie mamy. Musisz się porządnie wyspać, żebyś jutro mogła pracować nad Obsidianem. A ja muszę coś zrobić dzisiejszej nocy.

- Co takiego?

- Powiem ci rano.

Chciała powiedzieć coś jeszcze. I nie tylko - chciała, żeby do niej wszedł. Naprawdę tego chciała. Ale bała się go o to prosić.

Stali tak przez chwilę. W końcu Ben odwrócił wzrok i rzekł:

- Wiesz, że Alex jest w tobie zakochany. Czegoś takiego z pewnością się nie spodziewała.

- Słucham? Wcale nie.

- Ależ tak.

- Tak ci powiedział?
- Nie. Nigdy by tego nie powiedział.
- No to skąd wiesz?

Westchnął.

- To mój brat.

Po co jej to mówił? Mówił... że pragnie wejść, ale nie chce zranić Alexa? Mieli ze sobą tak słaby kontakt, że Alex nie wiedział nawet o dziecku Bena. Czemu miałyby się tym przejmować? A poza tym Alex nie był w niej zakochany, to absurd.

- Nie mam pojęcia, co ci na to powiedzieć - rzekła.

Uśmiechnął się, ale oczy miał smutne.

- Powiedz dobranoc.

Spojrzała na niego, czekając. A potem powiedziała:

- Dobranoc.

Wtedy się oddalił. Poruszył rękami i nagle w jednej trzymał kartę magnetyczną, a w drugiej pistolet. Otworzył drzwi i jednym płynnym ruchem znalazł się w środku, a odgłos przekręcanego w zamku klucza stanowił jedyny dowód na to, że jeszcze przed chwilą tu był.

Stała przez chwilę. Czuła się wstawiona, skonsternowana i dziwnie opuszczona. Do wejścia do hotelowego pokoju potrzebny był mu pistolet? Był szalony. Z pewnością był szalony.

Poczekala jeszcze chwilę, ale nie wyszedł.

Weszła do siebie. Nic się nie wydarzyło. Powiedziała sobie, że to dobrze.

# Pętla nieskończoności

Alex opuścił ich pokój, tak jak Ben mu kazał, więc teraz Ben potrzebował zaledwie chwili, aby się upewnić, że jest sam. Każdy miał jakiś rytuał odprawiany przed snem. Niektórzy potrzebowali kąpieli, inni filiżanki herbaty. Niektórzy lubili czytać w łóżku, inni słuchać muzyki. Ben preferował rundkę po pomieszczeniach z glockiem w obu dłoniach na wysokości klatki piersiowej.

Usiadł na skraju łóżka i zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić. Do diaska, co on sobie w ogóle myślał? On prawie... Chryste, sam nie wiedział, co prawie zrobił.

*To ta presja, stary. Ta poranna jatka przed Four Seasons... Spóźniona reakcja bojowa i tyle. No i jeszcze dwa martini z samym ginem.*

Taaa, może. Ale to nie zmieniało faktu, że zaledwie nanosekunda dzieliła go od pocałowania Sarah. Pocałowania jej. Cholera, gdyby nie udało mu się jakoś odejść, pewnie znajdowałby się teraz w jej pokoju i zajmował nie tylko całowaniem.

Zerknął na drzwi łączące oba pokoje. Ona tam była, po drugiej stronie, i prawdopodobnie także wpatrywała się w drzwi. Gdyby zapukał, otworzyłaby. Sposób, w jaki na niego patrzyła...

Potarł dłońią twarz. Zachowywał się karygodnie głupio. Słyszał o facetach, którzy dali się złapać w tego typu pułapkę. Zawsze uważał ich za głupców, a teraz mało brakowało, a sam by dołączył do ich grona.



Jej słowa na niego podziały. Te wszystkie świństwa, które mówiła o jego rodzinie... miał ochotę zarówno pieprzyć się z nią, jak i uderzyć na odlew w twarz. Co ona tam mogła wiedzieć? Nie widywał swojej córki - *No co ty, boisz się wypowiedzieć jej imię? Ami. Twoja córka ma na imię Ami* - nie widywał Ami, bo jakim mógł być dla niej ojcem? Jego zawód można wykonywać jedynie w milczeniu i samotności. Co miał robić, zmywać z dłoni krew, a potem wracać do domu? *Cześć, kochanie, jak ci minął dzień? Dobrze, skarbie, zabiłem dwóch terrorystów w Algierze i wyszedłem z tego bez szwanku. Miałem szczęście, dlatego że jeśli kiedyś coś spieprzę, amerykański rząd wyprze się jakichkolwiek powiązań ze mną i jeżeli nie zdąży połknąć kapsułki z cyjankiem, jak nic będą mnie więzić i torturować, aż wyzionę ducha. Co dziś na obiad?*

Litości. To było dla nich najlepsze. Nie nadawał się na męża ani na ojca. Nie mogło być tak, że ktoś na nim polega. Po prostu musiał być sam.

Dlaczego więc tak bardzo zabolalo go to, że Sarah się go boi? Powinien się cieszyć; strach to najlepszy sposób na utrzymanie jej w ryzach, na to, aby nie puściła pary z ust na temat tego, co rankiem wydarzyło się przed hotelem. *Oderint dum metuant*. I dlaczego tak bardzo poruszył go sposób, w jaki przyznała się do swego strachu? Powinien był zrobić coś, aby go wzmocnić, a on zamiast tego zaczął coś bąkać o tym, jak by to było, gdyby to wszystko w ogóle nie miało miejsca. Uspokajając ją. Na litość boską, on... on rzeczywiście próbował ją pocieszyć. Chyba postradał zmysły.

Kwestią zasadniczą było to, że nic o niej nie wiedział. W stosunku do niej powinien być sceptyczny i podejrzliwy. A teraz musiał zwalić konia, iść spać i zapomnieć o tym, do czego niemal doszło.

Niemal. To słowo klucz. Okej, odczuwał pokusę, a zresztą kto by jej nie odczuwał na jego miejscu? Sarah była pięk-

na, nie ma sensu zaprzeczać. I było w niej coś, co... na niego działało - to znaczy w jednej chwili miał ochotę ją chronić, a w drugiej oprzeć o ścianę, dotykać i powstrzymać od mówienia, zakrywając jej usta swoimi.

Dotykać. Wcale nie to miał na myśli, kiedy obszukał ją w barze - za bardzo się skupiał na ewentualności, że może mieć broń. Ale kiedy tylko przekonał się, że nie ma, odprężył się i najwyraźniej jego czujność nieco osłabła, dlatego że kiedy Sarah popatrzyła mu w oczy, przesuwając dłońmi wzdłuż jego nóg...

Wypuścił głośno powietrze. No ale przecież nic z tym nie zrobił. Nic się nie stało.

A na domiar złego czuł się winny. Ale dlaczego? Przecież między Alexem a Sarah nic nie było, a nawet gdyby, to nic nie był winien swemu bratu.

Czemu więc powiedział jej o Aleksie? Może próbował odwrócić jej uwagę. Może próbował wytłumaczyć, dlaczego nie może, choćby nawet chciał.

Zadzwonił telefon w pokoju. Ben podniósł słuchawkę.

- Tak? - zapytał, myśląc: *Sarah*?
- Byłem ciekawy, czy już wróciłeś. - Alex.
- Przed chwilą.
- Widziałeś Sarah? Wyszła już jakiś czas temu.

Zawahał się.

- Tak, widziałem. Jest u siebie. Słuchaj, muszę jeszcze raz wyjść. Zaraz do ciebie przyjdę, okej?

Rozłączył się, sprawdził przez wizjer korytarz, po czym udał się do trzeciego pokoju.

- Jak było w Pearl's? - zapytał Alex.

Przez chwilę Ben w ogóle nie pamiętał, że przecież rzekomo tam był.

- W porządku - odparł. - Udało się coś?

- Nie bardzo. Eksperymentowaliśmy z Obsidianem w różnych środowiskach. Żadnego przełomu. I żadnej po-

mocy w notatkach Hilzoya. A przynajmniej nie, co mogli-  
byśmy wykorzystać. Zamierzam pobawić się jeszcze trochę  
w pojedynkę.

- Dobrze. Muszę wyjść załatwić parę spraw.

Alex uniósł pytająco brwi.

- Jakich?

Ben pokręcił głową.

- To i owo. Sprawy zawodowe. - Nie chodziło o to, że nie  
ufa bratu, ale Alex nie musiał wszystkiego wiedzieć,  
a bezpieczeństwo operacyjne to bezpieczeństwo  
operacyjne.

- Nieważne - powiedział Alex. - Wiesz, coś sobie po-  
myślałem. Kiedy już będzie po wszystkim, to może ty  
i ja... może wybierzemy się na cmentarz.

Ben zmarszczył brwi.

- Po co?

- Z szacunku. Dawno cię tu nie było. Kiedy ostatni raz  
odwiedzałeś groby mamy i taty? Albo Katie?

- Nigdy.

- No właśnie.

*No i znowu się zaczyna - pomyślał Ben. - Będzie mnie  
oceniać. Tym razem za to, że nie dzielam jego zabobo-  
nów w kwestii klękania na grudzie ziemi.*

- Ja nie chodzę na groby - powiedział z wymuszonym  
spokojem. - Ale jeśli ty tak, to się nie krępuj.

- Wiesz, nie wydaje mi się, żebym prosił o zbyt wiele...

- Prosisz o zbyt wiele. Jak zawsze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Ben poczuł, że zaczyna tracić panowanie nad sobą.

- Chcę powiedzieć, że dzisiaj niemal wpakowano we  
mnie kulkę, która była przeznaczona dla ciebie, i nie mam  
teraz ochoty na wykład o tym, że jestem złym synem i bra-  
tem, ponieważ nie wybiorę się tam, gdzie ciała moich rodzi-  
ców i siostry służą robakom za pokarm.

Alex zacisnął zęby.

- Nie mów tak.
- Jak? Oni nie żyją, Alex. Odeszli. Nie istnieją.
  - Tak? A co robiłeś, kiedy istnieli? Byłeś zbyt zajęty, aby zobaczyć się z mamą, nawet kiedy umierała!

Bena ogarnęło coś w rodzaju gniewnego zdumienia i potrzęsnał głową. Czy to naprawdę się dzieje? Minęło tyle lat, a oni najwyraźniej tkwili w pętli nieskończoności.

- Co ty powiedziałeś?

Alex zaczął robić krok w tył, ale się powstrzymał.

- Słyszałeś.

Ben zawahał się, tłumiąc w sobie gniew.

- Mogła na mnie liczyć - odezwał się po chwili. - I wiedziała o tym.
- Nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że zbyt jesteś zajęty bawieniem się w G.I. Joe, żeby być przy niej nawet w czasie choroby.
- Dzwoniłem do niej każdego cholernego dnia, Alex, i ona rozumiała, dlaczego nie mogę przyjechać. Powiedziała mi, żebym tego nie robił.
- I nabrałeś się na tą uprzejmą gadkę szmatkę? Co miała zrobić, błagać cię, abyś przyjechał? Błagać cię, kurwa? A ty i tak byś tego nie zrobił, nawet gdyby rzeczywiście cię błagała.
- Och, a ty się nią zająłeś? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, abyś wziął wolne na studiach prawniczych.
- Nie musiałem brać wolnego! Byłem tam prawie codziennie!
- Alex, pieprzysz jak potłuczony. Byłeś tam dlatego, że mogłeś, dlatego, że udawało ci się czytać te twoje prawnicze książki, siedząc w szpitalu przy jej łóżku. Jeśli przy niej byłeś, to tylko dlatego, że nie kolidowało to z twoimi arcy-ważnymi planami kariery. Nie zostałeś w domu po to, żeby się nią opiekować, ale dlatego, że obawiałeś się zrobić cokolwiek innego.

- Byłem przy niej, kiedy umarła - głos Alexa stał się nieco wyższy. - Trzymałem ją za rękę, a nie spokojnie spałem w innej strefie czasowej.
- Przed śmiercią przez miesiąc była nieprzytomna i nikt nie wiedział, kiedy odejdzie - oświadczył Ben. Wzbierał w nim coraz większy gniew. - Nawet gdybym tam był, w ogóle by tego nie zauważyła.
- Zauważyła - szepnął Alex, kiwając głową. - Czują to.
- Niczego nie czuła! - krzyknął Ben. - Jej mózg był pełen guzów i była tak nafaszerowana morfiną, że szpital mógłby spłonąć, a ona i tak by niczego nie zauważyła! Dlaczego po prostu nie przyznasz, że byłeś tam dla siebie, nie dla niej, i że w ogóle by cię tam nie było, gdybyś miał jaja, żeby zrobić coś innego? Choroba mamy to najlepsza wymówka dla pozostania w domu!
- Owszem, byłbym przy niej! Miałem szczęście, że nie musiałem się zwalniać ze studiów, ale zrobiłbym to, gdybym musiał, czego się nie da powiedzieć o tobie.
- Tak sobie mów, jeśli to ci poprawia samopoczucie.
- Posłuchaj tylko, w jaki sposób o niej mówisz. Tobie jej w ogóle nie brakuje, ty złamasie.
- Brakuje - odparł automatycznie Ben, ale prawda była taka, że nie. Nigdy o niej nie myślał. O żadnym z nich. Jaki to niosło ze sobą pożytek?
- Tak? Brakuje ci taty?
- Nie brnij w to, Alex. Nie spodoba ci się to, co się stanie, jeśli nie przestaniesz.
- Zastanawiasz się czasem, czemu to zrobił?
- Ostrzegam cię, Alex. - Kurde, co się z nim działo? Nie pamiętał, kiedy ostatni raz kogoś przed czymś ostrzegł. Nie znosił ostrzeżeń, ani prawdziwych, ani blefowanych. Kiedy masz coś zrobić, robisz to. Nie powiadamiasz drugiej strony, żeby mogła się przygotować. Czemu w towarzystwie brata myślał i zachowywał się, jakby był znowu nastolatkiem?

- Chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie? - zapytał Alex.
- Nie. Ani trochę. Po prostu się, kurwa, zamknij.
- Uważam, że kiedy ty dałeś za wygraną, on także to zrobił.

Ben poczuł, jak z jego twarzy odpływa cała krew. Oczy mi wyobraźni widział, jak chwyta Alexa za szyję i raz po raz wali jego głową w ścianę. Aż go świerzbily ręce. *Zrób to, żeby pozbawić gnoja tego samozadowolenia i żeby raz na zawsze zapamiętał, jak się kończy zadzieranie z niewłaściwymi osobami* - ale coś go powstrzymało.

Musiał stąd wyjść. Gdyby został, zrobiłby Alexowi krzywdę.

*A to by nie było dobre, ponieważ...?*

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Możliwe, że Alex coś za nim zawołał, nie miał co do tego pewności. Cały korytarz wydawał się czerwony i dzwoniło mu w uszach.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął kogoś zabić jak w tamtej chwili. Cóż, noc była jeszcze młoda.

# Przechytrzony

Ben pojechał drogą 280 na południe, ustawivszy ogranicznik prędkości na sto dziesięć, dlatego że w takim stanie sobie nie ufał. O tak późnej porze ruch nie był duży. W bladym świetle księżycy widać było zarys wzgórz.

Już wcześniej postanowił, że zrobi dzisiejszej nocy jeszcze jedną rzecz. Najprawdopodobniej i tak nic z tego nie wyjdzie, ale zamierzał trzymać się planu bez względu na to, jak bardzo ten gnojek załaził mu za skórę.

Zmusił się, aby wyrzucić te wszystkie bzdety z głowy i skupić się na rozmyślaniach taktycznych. Od razu lepiej się poczuł. To był prawdziwy Ben. W tym właśnie był dobry.

Wysłali do hotelu ludzi, żeby się zacaili na Alexa. Czyli wiedzieli, że się przeprowadził. Czyli najpewniej nie będą już sobie zawracać głowy robieniem wycieczek do jego domu. Mogli to jednak zrobić, zależnie od tego, ilu zostało im ludzi po stracie tych dwóch pod Four Seasons. Gdyby nie mieli innych tropów, mogliby trzymać się jedynych posiadanych informacji: kancelaria w ciągu dnia, dom nocą. Spróbował postawić się w ich sytuacji, kimkolwiek by „oni” byli. Wiedziałby, że ponowne pojawienie się celu jest mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Alex był cywilem. Trudno by mu było wyłamać się z rutyny codziennych czynności. Poza tym zaczęłyby sam siebie przekonywać, że sytuacja nie jest niebezpieczna, a jedno w połączeniu z drugim doprowadziłoby w końcu do tego, że kiedy uznałby, że potrzebuje cze-

goś, co zostało w domu, mógłby tam wrócić. Ben miał już z czymś takim do czynienia.

Pod hotelem przekonał się, że cel operacji uległ zmianie. Nie chodziło już o to, aby Alexa najpierw przepytać, ale od razu wyeliminować. Pojawiło się więc pytanie: Gdzie, przy swoim obecnym stanie wiedzy na temat Alexa, przeciwnik urządziłby zasadzkę w jego domu? Odpowiedź była prosta. Dom i dobudowany garaż tworzyły literę L na końcu podjazdu, a oddzielał je drewniany płotek, ciągnący się aż do ogrodu za domem. Wystarczyło zaczekać za płotem. Miałyby się doskonałą kryjówkę i widok na cały podjazd. Kiedy Alex przyjeżdża do domu, nie ma znaczenia to, czy zaparkuje na podjeździe czy w garażu. Wystarczy wyjść z ukrycia, rozwalić mu łeb za pomocą pistoletu z tłumikiem i wrócić tam, gdzie się zostawiło auto. Dziękujemy za udział w grze, następny przeciwnik.

Gdyby ktoś tam czekał, jego uwaga skupiona by była na podjeździe i w mniejszym stopniu na ulicy. Nie myślałby o ogrodzie za domem. Nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś może znać teren i wykorzystać ten fakt. Ktoś, kto, powiedzmy, każdego dnia w drodze do szkoły i z powrotem chodził na skróty przez ogród Alexa i jego sąsiada.

Zjechał z drogi 280 zjazdem Portola Valley - Alpine Road - i udał się na południe wzdłuż Alpine, mijając niskie drewniane budynki centrum handlowego Ladera, gdzie jego mama robiła zakupy, a tato tankował samochód i dbał o to, aby opony były dobrze napompowane. Dom jego rodziców - dom Alexa - mieścił się przy ślepej uliczce zwanej Corona Way, jednej z wielu małych uliczek w tej okolicy, z mnóstwem dużych niskich domów i pagórkowatych ogrodów. Skręcił w lewo w La Mesa Drive, następnie w lewo w Erica Way i poczuł się nieswojo, widząc, jak znajome są te zakręty i cała okolica. Wzdłuż wysadzanych drzewami ulic stało kilka samochodów, lexusów, mercedesów i volvo, które bardzo



tu pasowały. Minął je powoli, zaglądając do środka. Wszystkie były puste, a przednie szyby i dachy pokrywała warstwa wieczornej rosy.

Zatrzymał się i wyłączył światła, po czym otworzył torbę i wyjął noktowizor. Night Optics USA D-321G-A, jakieś sześć tysiaków za sztukę, jeśli udało się go znaleźć poza wojskiem. Był mały i lekki. Włożył go na nos, włączył i nagle świat stał się wyraźny, zielonkawy.

Skręcił w lewo w Escanyo Way, ślepą uliczkę mniej więcej równoległą do Corona Way, którą oddzielały od niej dwa kręte rzędy domów i zarośla. Na ulicy nie stały żadne samochody i nie było latarni. Zaparkował wzdłuż rzędu sekwoi pomiędzy dwoma domami - państwa Levin i Andrews, o ile nadal tu mieszkali. Alex bawił się tu w chowanego z ich dziećmi. Upewnił się, czy wewnętrzne światło w samochodzie jest wyłączone, i wysiadł, zamykając cicho drzwi.

Powietrze było zimne, wilgotne i pachniało iglakami i torfowcem. Zamknął oczy i przez chwilę stał z przechyloną głową, nasłuchując. Wiatr poruszał lekko koronami drzew, przynosząc ze sobą odległe odgłosy samochodów poruszających się po drodze numer 280. Ileż to razy wymykał się nocami, które pachniały i brzmiały dokładnie tak jak ta? Pamiętał, jak stał w tym właśnie miejscu, sikając po pijaku między drzewami, mając nadzieję, że rodzice dawno śpią, i wymyślając jakieś wymówki na wypadek, gdyby jednak było inaczej. A potem nastał czas...

*Wystarczy. Skup się.*

No tak. Wyjął glocka i udał się trawnikiem na sam koniec ogrodu przed domem Levinów. Szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy na wilgotnej trawie, zatrzymując się po każdym kroku, rozglądając się i nasłuchując.

Cztery minuty zabrało mu pokonanie piętnastu metrów dzielących go od drewnianego płotu, odgradzającego ogród z tyłu domu Alexa. To nie był wysoki płot, zaledwie metr

osiemdziesiąt, zbudowany nie tyle w celu zapewnienia prywatności, co z powodu psa, Ario, lekko neurotycznego pudła, na którego punkcie ich matka miała bzika, a którego Ben zaledwie tolerował, i który już dawno temu opuścił ten pałac. Stał na palcach w cieniu kilku dębów i zajął za płot. Widział miejsce na rogu domu i garażu tak wyraźnie, jakby ktoś je oświetlił. Było puste. Rozejrzył się po ogrodzie. Był dokładnie taki, jakim go zapamiętał. Drewniana przebieralnia, którą zbudował ojciec, kiedy byli mali. Okrągła wanna, której nikt nigdy nie używał. Było tak, jakby Alex mieszkał w rodzinnym muzeum. Żalodne.

Przejechał spojrzeniem ogród, a kiedy nikogo nie dostrzegł, schował glocka do kabury i wspiął się ostrożnie na płot. Rozejrzył się na boki, przełożył prawą nogę, następnie lewą i powoli opuścił się na ziemię. Ponownie wyjął glocka i czekał, rozglądając się i nasłuchując. Nic.

Większą część ogrodu pokrywały trociny albo żwir. Unikał tych miejsc, trzymając się trawy, pozostając w cieniu. Krok. Stop. Patrzenie i słuchanie. Krok. Stop. Patrzenie i słuchanie.

To miejsce obok garażu tak idealnie nadawało się na pułapkę, że kiedy Ben się upewnił, iż jest puste, zwątpił, by ktokolwiek tu był. Prawdopodobnie zostało im mało ludzi. Albo uznali, że Alex dzisiejszej nocy nie wróci. Albo jedno i drugie.

Niemniej lepiej mieć pewność. Jedynym innym miejscem, jakie nadawałoby się na urządzenie zasadzki, był przeciwny róg domu, od strony ulicy, zaraz obok płotu. Można było stać tam w ciemnościach i mieć widok na ulicę oraz cofnąć się w stronę garażu, gdyby się zobaczyło skręcający samochód.

Przeszedł ostrożnie w stronę domu, zatrzymując się na drewnianym tarasie, z którego wchodziło się do kuchni. Krok. Stop. Patrzenie i słuchanie. Przykucnął, wykorzystu-

jąc schronienie, jakie zapewniał taras, i zaczął przesuwać się w bok.

Znajdował się już niemal przy lewej ścianie domu i szykował się do szybkiego zajrzenia za róg, kiedy usłyszał za sobą głos, cichy, ale przecinający nocne powietrze ze śmiertelnym zamiarem.

- Nie odwracaj się. Ja też mam noktowizor. A w twoje plecy wycelowany jest laser.

Ben miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji, czy się natychmiast odwrócić, czy być posłusznym. Spokojna pewność siebie w głosie i to, co Ben właśnie usłyszał, przekonało go, że druga opcja będzie lepsza. Na razie.

Pozostał w bezruchu. Gdzie był ten koles? Sądząc po tym, skąd dochodził głos, to chyba za wanną.

- Rzuć broń i noktowizor - ponownie odezwał się głos.  
- Wykonuj bardzo powolne ruchy. Laser jest przytwierdzony do taurusa judge.

Ben znał ten model - rewolwer z amunicją kalibru 410, gwintowany, aby rozpraszać strzał i z siedmiu metrów robić dziurę wielkości pięści.

Jego umysł dokonywał błyskawicznych kalkulacji, przetwarzając dostępne informacje. Akcent był amerykański. Ten ktoś wiedział, że Ben zna się na broni palnej, w przeciwnym razie nie mógłby liczyć na to, że wzmianka o taurusie wywrze spodziewany efekt. Nie chciał zabijać Bena - na razie - w przeciwnym razie już by to zrobił.

Chcieli więc coś od niego. Niedługo się dowie czego. A tymczasem miał niewielką przewagę. Bardzo niewielką, zważywszy na okoliczności, ale lepsze to niż nic. Zamknął oczy.

- Rzuć broń i zdejmij noktowizor - powtórzył głos.

Czekał, uznając, że otrzyma jeszcze jedno ostrzeżenie, wykorzystując tych kilka dodatkowych sekund na myślenie i na to, aby jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, z jaką będzie się musiał zmierzyć bez noktowizora.

Zrozumiał swój błąd. Założył, że będą się czaić na Alexa, cywila. Zamiast tego byli gotowi na zawodowca, na niego, i odpowiednio zmodyfikowali swoją taktykę. Wściekły był na siebie, że tego nie przewidział. Po tym jak rankiem stracili pod Four Seasons dwóch ludzi, wiedzieli, że mają poważnego przeciwnika. Przechytrzyli go. I ograli.

Wtedy go olśniło. Dziewczyna. Do diabła z nią. Do diabła z nim, że pozwolił sobie na mniejszą czujność. Ależ była bystra, że odgadła, jakie ma plany na dzisiejszą noc. Po ich krótkiej rozmowie na korytarzu wykonała telefon. I to kiepskie przeszukanie w barze... doskonale zagrała idiotkę.

- Ostatnia szansa na rzucenie broni i noktowizora, jak tego nie zrobisz, to cię zdejmę.

Nie odwracając się, Ben odsunął glocka od swego ciała, poruszając się bardzo powoli, jak gdyby chciał przekonać właściciela głosu o swojej uległości, a w rzeczywistości zapewniając zamkniętym oczom kolejne cenne sekundy. Glock z głuchym odgłosem upadł na mokrą trawę.

- Teraz noktowizor. Powoli.

Z pustą kaburą czuł się, jakby miał w brzuchu dziurę. Na myśl, że Alex ma jego zapasowy pistolet, robiło mu się niedobrze. Powoli, powoli poluzował pasek i zdjął noktowizor. Otworzył oczy. Trochę widział. Ale niewystarczająco. Jeszcze nie. Wyciągnął w bok rękę i rzucił noktowizor.

- Gdzie jest ten, co tu mieszka? - zapytał głos.

Dzięki Bogu za to, że umieścił Alexa w dodatkowym pokoju. Musieli sprawdzić ten, w którym miał spać według danych, które przekazała im dziewczyna. Dobre i to, ale nie na długo. Za kilka godzin Alex obudzi się i prawdopodobnie zapuka do drzwi Sarah. Jeśli Ben go nie ostrzeże, będzie po nim.

Nie odpowiedział. Ten facet trzy razy kazał mu rzucić broń i noktowizor. Teraz, kiedy Ben był nieuzbrojony i na wpół ślepy, można oczekiwać co najmniej takiej samej cierpliwości.

- Gdzie on jest? - zapytał ponownie głos.
- Nie wiem - odparł Ben.
  - Nie chcemy zrobić mu krzywdy. Ma coś, czego potrzebujemy. Jeśli nam to odda, może odejść. Proste.

Gdyby Bena nie dzielił włos od bycia wypatroszonym grubym śrutem, chyba by się roześmiał. Wiedział, co robi ten koleś: pomagał Benowi usprawiedliwić wydanie Alexa. *Nie pomożesz nam, to zginiesz* - takie było ukryte znaczenie jego słów. *Pomożesz, to bratu nic się nie stanie*. Łatwe, no nie?

- Naprawdę nie wiem - powiedział Ben. Spojrzał w lewo, potem w prawo. W słabym świetle księżyca zaczął powoli coś widzieć. No a poza tym ten teren znał na pamięć.

- Pozwól, że ci powiem, jak to będzie wyglądać - rzekł głos. - Ty mi mówisz, gdzie on jest. Ja wykonuję telefon. Ktoś idzie z nim porozmawiać. Ty i ja czekamy tutaj, w jego miłym, ciepłym domu. Kiedy otrzymuję wiadomość, że ten ktoś dostał to, czego chciał, wszyscy się rozchodzimy i żyjemy długo i szczęśliwie. Dobrze brzmi?

Tym razem Ben rzeczywiście się roześmiał.

- Taaa. Jak bajka.

Znajdował się półtora metra od rogu budynku, niewielkiego przejścia, które w jego obecnej sytuacji wydawało się szerokie niczym Wielki Kanion. Po drugiej stronie znajdowało się coś, co mógł wykorzystać. Zakładając oczywiście, że nadal tam było. Jeśli nie, to po nim, nawet gdyby udało mu się skrócić za róg. Ale Alex niczego innego nie zmienił. Zresztą to i tak była jego jedyna szansa.

- Posłuchaj, kolego, znalazłeś się w kiepskim położeniu, wiem. Ale sprawa wygląda tak. Może wciskam ci kit. Może nie. Ale uwierz temu, co teraz powiem, okej? Kiedy zapytam ponownie, kiedy jeszcze raz zadam ci pytanie, to jeśli nie powiesz mi niczego konkretnego, tym, co zobaczysz chwi-

lę później, tym, co zobaczysz jako ostatnie, będzie krwawa mgła, którą wcześniej były twoje wnętrzności.

Nie dając nic po sobie poznać, Ben szykował się do najszybszego biegu w swoim życiu. Zaśmiał się głośno, z pewnością siebie, której absolutnie nie czuł. Ten śmiech był niestosowny i absurdalny i bez względu na to, jak dobry był ten facet, jego przetworzenie zajmie mu natychmiast kilka cennych neuronów.

- Coś zabawnego? - zapytał głos.

- Dla mnie owszem. Jest na drzewie tuż nad tobą.

W chwili gdy ostatnie słowo wydostało się z jego ust, Ben zanurkował w stronę rogu domu tak, jakby go wystrzelono z armaty. I udało się: śmiech, chwilowe rozproszenie uwagi przeciwnika i stara dobra akcja bijąca na głowę reakcję - to wystarczyło. Uderzył w taras brzuchem, jakby się prześlizgiwał do trzeciej bazy, i usłyszał za sobą strzały z taurusa. Ołów przeciął powietrze tuż nad jego głową. Przeturlał się bliżej domu, zrobił przysiad i ponownie dał nura.

Stos drewna opałowego. Z boku domu zawsze stał przykryty plandeką sąg albo pół saga drewna na opał ułożonego równoległe do ściany w odległości pół metra, ponieważ tato nie chciał, aby termity mogły bez trudu przeskakiwać z drewna na dom. I drewno nadal tam się znajdowało, dzięki Bogu, może nie tak dużo, jak zapamiętał, ale i tak stos sięgał mu do piersi. Zerwał się z ziemi i skręcił, plecami trzymając się ściany domu. Ugiął nogi w kolanach, chowając się za drewnem. Oparł o nie dłonie, łokcie i czoło.

Wtedy jego przeciwnik popełnił błąd. Bojąc się, że Ben może przeskoczyć przez płot i uciec, i mając pewność, że Ben mało co widzi, zbyt szybko za nim pobiegł. Ben cały się spiął, zmuszając się, aby zaczekać tę dodatkową sekundę, aby pozwolić przeciwnikowi zmniejszyć dzielącą ich odległość, a potem rzucił się całym ciałem na stos drewna. Półmetrowe kawałki twardego dębu wystrzeliły w powietrze, a Ben za nimi.

Usłyszał głuchy odgłos, krzyk mężczyzny, a potem znalazł się na nim, zaciskając lewą dłoń na lufie pistoletu i przekręcając ją mocno w lewo, drugą zaś ręką uderzył przeciwnika w szyję, popychając go, aż uderzył plecami w płot. Broń znowu wystrzeliła, ale lufa nie była skierowana na niego, a ułamek sekundy później Ben poczuł, jak znajdujący się na spuście palec łamie się, uwalniając taurusa. Natychmiast go odwrócił, zacisnął mocno dłoń na rękojeści i uderzył lufą w skroń mężczyzny, jakby wbijał gwóźdź. Jego przeciwnik obrócił się i zgiął wpół. Nagle nie było widać jego rąk - najpewniej sięgał po zapasową broń. Ben przerzucił taurusa do prawej dłoni, wycelował w plecy mężczyzny i nacisnął spust. Z lufy wydobył się błysk i broń zadrżała w jego dłoni. Mężczyzna wzdrgnął się, jakby próbował coś z siebie strząsnąć, po czym padł na kolana. Ben nadal w niego celował, mając ochotę strzelić raz jeszcze, ale bojąc się hałasu czwartego wystrzału.

Nie było takiej potrzeby. Amunicja kalibru 410 poszatkowała mężczyznę i w bladym świetle księżyca Ben widział, jak z jego pleców tryska krew. Mężczyzna sięgnął ręką do tyłu i dotknął pokrwawionych pleców, po czym uniósł ją przed sobą.

- O kurwa - szepnął z lekkim zdziwieniem i padł twarzą na ziemię.

Ben podszedł do niego, trzymając go cały czas na muszce. Odwrócił go nogą i sprawdził puls. Nic. Było po nim.

Podniósł noktowizor, który wcześniej rzucił na trawę, i założył go, po czym podniósł glocka. Wrócił do mężczyzny i ściągnął mu z twarzy noktowizor. Biały, krótko ostrzyżone włosy, koło trzydziestki, może nieco młodszy. Nic mu to nie powiedziało. Jednak taktykę miał dobrą, dopóki nie udał się za Benem za róg domu. Ale to można było usprawiedliwić - nie miał pojęcia, jak dobrze Ben zna ten teren. No i sprzęt miał świetny. Taurus, rzecz jasna, i noktowizor identyczny jak u Bena.

Przez chwilę siedział w kucki obok zwłok, głęboko oddychając i zastanawiając się, co dalej. W jego głowie pojawiały się i znikwały obrazy: Gra w baseball z ojcem. Rzucanie frisbee do Ario. Katie, śmiejąca się, rzucająca w niego tubą z sosem pomidorowym, ponieważ oblał ją wodą. Ben spojrzał na leżące na ziemi ciało i na chwilę sparaliżowała go świadomość, jak bardzo przeszłość różni się od terażniejszości.

*No dalej* - pomyślał. - *Skup się*. Trzy strzały. Cholernie głośne. Jednak działki w Laderze były duże i w większości odgradzały je od siebie płoty i drzewa, które nieco tłumiliły odgłosy. Mogło być tak, że ludzie przespali strzały albo wmówili sobie, że to coś innego, albo uznali, że to może i strzały, ale że ktoś inny coś z tym zrobi. Mogło być tak, że ktoś podniósł słuchawkę i zadzwonił na policję. Ben nie mógł pozwolić sobie na to, aby czekać i się przekonać.

Szybko przeszukał kieszenie mężczyzny, nie spodziewając się niczego znaleźć. Ten był lepszy od Rosjan. Był profesjonalistą. Trudno oczekiwać, aby nosił przy sobie wizytówki.

Garść zapasowych naboji do taurusa. Nieprzydatnych. Minilatarka SureFire E1E. Tak samo. I...

Kluczyki do samochodu. Bez breloczka z firmy wynajmującej, po prostu kluczyki do volvo. Gdy tu jechał, widział po drodze kilka volvo. Najpewniej jeden z nich należał do jego nowego nieżyjącego przyjaciela. A jeśli nie, to jakiś inny w promieniu, powiedzmy, półtora kilometra od domu. Przecież ten facet nie został tu zrzucony ze spadochronem.

Zaciągnął zwłoki za wannę. Podniósł noktowizor mężczyzny i taurusa - im mniej dowodów zostawionych na miejscu, tym lepiej - i udał się do samochodu taką samą drogą, jaką tu przyszedł. Odjechał ze zgaszonymi światłami, włączając je dopiero wtedy, kiedy się znalazł na Erica Way. Zatrzymał się na samym końcu parkingu przed centrum handlowym. W pobliżu znajdowały się tylko dwie ulice



i Ben miał widok na obie. Gdyby zjawiała się policja, on by po cichu odjechał.

Czekał, patrząc i myśląc. Zostawić ciało czy zabrać je ze sobą? Obie opcje niosły ze sobą ryzyko. Gdyby zostawił, dość szybko by je znaleziono. A zwłoki w ogrodzie jego brata miałyby zbyt duży z nim związek. Okej. Facet odbędzie ostatnią przejażdżkę i zostanie znaleziony gdzieś indziej, o ile w ogóle.

Kiedy minęło pół godziny i nie zjawił się żaden radiowóz, Ben pojechał z powrotem na Escanyo i zaparkował tam, gdzie poprzednio. Przeskoczył przez płot i podszedł do rozrzuconego drewna. Zabrał plandekę, ułożył na niej ciało i zaciągnął w stronę płotu. Plandeka była plastikowa i łatwo się przesuwiała po mokrej trawie. Pod płotem owinął nią mężczyznę. Jakoś udało mu się go podnieść, oprzeć na ramieniu i za pomocą rąk i głowy przerzucić na drugą stronę. Zaciągnięcie go stamtąd do samochodu nie stanowiło już żadnego problemu.

Gdy Ben przejeżdżał przez ulicę, minął dwa zaparkowane volvo. Naciskał wtedy przycisk otwierania na kluczykach zabranych nieżyjącemu mężczyźnie, mając nadzieję, że mu się poszczęści. Nic z tego. No dobra, trzeba tu będzie wrócić później. Szukanie samochodu, gdy w bagażniku stygły zwłoki, było zbyt ryzykowne.

Dwie minuty później znalazł się ponownie na drodze numer 280 i skierował się na północ. Po drodze zrobił dwa przystanki. Po raz pierwszy zatrzymał się nad jeziorem San Andreas, gdzie ponakłował zwłoki, aby nie unosiły się na wodzie, po czym wrzucił je do jeziora razem z pistoletem mężczyzny, noktowizorem i nożem, jakiego użył do kalectwa ciała. Drugi raz stanął koło śmietnika w Mission, gdzie wyrzucił pokrwawioną plandekę. Następnie udał się do hotelu, uśmiechając się ponuro na myśl o dziewczynie. Ależ będzie zaskoczona jego widokiem.

# Wirus

Po wyjściu Bena Alex ponownie uruchomił laptop i dalej pracował z Obsidianem i notatkami Hilzoya. Miał jednak problem ze skupieniem się.

Może nie powinien był wspominać o cmentarzu. Ale to nie jego wina, że Ben sobie z tym nie radził. Zwykła sugestia, prośba o wspólne pójście na cmentarz, a Pan Twardziel wpadł w szal. Co Alex miał robić, chodzić na paluszkach ze strachu, że jego brat może wybuchnąć przy najmniejszej prowokacji? Absurd.

Było mu niedobrze, a jednocześnie czuł radość. Niedobrze, ponieważ powiedział parę ostrych słów na temat rzeczy, o których od dawna nie myślał i których nigdy nie ośmielił się wypowiedzieć na głos. A radość z powodu tego, że czas był najwyższy, aby Ben to usłyszał. Przede wszystkim czuł jednak gniew - właściwie to wściekłość - że Ben, który zapadł się pod ziemię, kiedy ich matka była chora i umierająca, teraz oskarżał Alexa o to, że opiekował się nią tylko dlatego, że to mu było na rękę, że dzięki temu mógł nigdzie nie wyjeżdżać ani nie robić niczego innego.

*Na rękę? Szkoda, że nie było cię tutaj, aby przytrzymać jej głowę, kiedy wymiotowała po chemioterapii. Aby patrzeć, jak marnieje w oczach, aż w końcu wyglądała jak więzień wojenny. Uciekać się do każdego możliwego podstępku, byle tylko zjadła jeszcze jeden kęs. No dalej, mamo, to jest pyszne, jeszcze jedna łyżka, dobrze? Nie? Chcesz coś*

*innego? Żaden problem. Mogę ci coś zrobić. Albo pojedę do delikatesów. Powiedz tylko słowo, mamo. I zjedz coś. Chociaż jeden kęs. Proszę. Proszę, mamo.*

Wynajęli pielęgniarkę, ale nie było jej przecież dwadzieścia cztery godziny na dobę i nieraz Alex sprzątał po tym, jak jego matka straciła kontrolę nad wypróżnianiem się, a potem musiał się starać ją pocieszać, musiał się starać znaleźć jakiś sposób, aby złagodzić jej wstyd i wesprzeć upadające poczucie własnej godności.

Pamiętał jej nieprzekonujący śmiech z jego nieprzekonujących żartów. *Daj spokój, mamo, o co ci chodzi? Ty robiłaś to samo dla mnie, pamiętasz?* Pamiętał swoją rozpacz, kiedy uświadomił sobie, że mama tylko udaje, że poprawił jej nastrój, po to, aby on poczuł się lepiej, pamiętał, co czuł, kiedy w końcu dotarło do niego, że ona naprawdę umrze.

Na ogół była dzielna, jednak czasami fasada nagle pękała i mama ni z tego, ni z owego zaczynała płakać. - *Strasznie się boję, skarbie. Tak się boję.* - *No, już dobrze. Duża mama, dzielna mama.*

Alex zamknął oczy i potarł skronie. Niesamowita była ta jasność obrazów obecnych w jego głowie. Mijały miesiące, lata, i żadne wspomnienia z tego straszego okresu nie wydostawały się na powierzchnię, a tu pstryk i nagle się pojawiły, wyraźne i bolesne, jakby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj.

*Taaa, szkoda, że nie spróbowałeś patrzeć jej w oczy, kiedy płakała, a ty kłamałeś, że wszystko będzie dobrze. Szkoda, że to nie ty płakałeś potem do poduszki, ponieważ umierała osoba, którą kochasz, i nie potrafiłeś po raz kolejny dać sobie z tym rady. Tyle że musiałeś. Musiałeś. Bo byłeś sam. To także okazało się wygodne, dupku.*

Włączył się wygaszacz ekranu, obraz galaktyki czy czegoś w tym rodzaju, nieskończona czerń, odległe gwiazdy i wirujące fioletowe mgławice.

Pieprzyć to. Nie szło mu dzisiaj z Obsidianem. Alex wstał i zaczął przemierzać pokój.

Nie chodziło jedynie o to, że Ben, pomimo tych wszystkich medali za odwagę, był cykorem. Nie chodziło nawet o jego hipokryzję zawartą w słowach, że Alex opiekował się matką tylko dlatego, że mógł, gdy tymczasem on sam nie zrobił nic. Alexowi nie dawał spokoju fakt, że jego brat nie potrafił przyznać, że to przez niego wydarzyło się sporo złych rzeczy. Gdyby Ben to przyznał, możliwe, że Alex by mu odpuścił. Ale jego brat zachowywał się tak, jakby nie zrobił nic złego... a to tylko wszystko pogarszało.

Rodzice byli zdruzgotani śmiercią Katie. Było tak, jakby jej obecność, jej życie utrzymywało oboje w stanie nienaruszonym, natomiast bez niej linie uskoku w ich charakterach zaczęły się poszerzać, minimalne pęknięcia, wcześniej niewidoczne i nic nieznaczące, teraz zmieniały się w coraz bardziej widoczny rozłam, aż cała konstrukcja stała się chwiejna.

Na początku zmianę wyraźniej widać było u matki. Rzuciła się w wir pracy społecznej: szkolne zbiórki pieniędzy, pozyskiwanie głosów wyborców, akcje kościelne, choć wcześniej rzadko bywała na niedzielnej mszy. Zaczęła także dużo mówić i zawsze potrzebowała towarzystwa telewizora czy radia. Zdawała się być w ciągłym ruchu. Było tak, jakby nie umiała już stać nieruchomo, jakby za nic nie chciała dopuścić do tego, aby mieć wolną chwilę na snucie wspomnień.

Reakcja ojca była odwrotna: nigdy nie można go było nazwać gadułą, ale teraz jego małomówność jeszcze przybrała na sile. Pod jego oczami pojawiły się worki i odnosiło się wrażenie, jakby fizycznie się kurczył, a pewny siebie i energiczny chód stał się zmęczony i posuwisty. Dużo czasu spędzał w pracy, a kiedy był w domu, zawsze zajmował się czymś w pojedynkę: woskowaniem samochodu, naprawia-

niem czegoś w garażu, krótkofalarstwem, któremu oddawał się za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu. Komunikował się głównie za pomocą słów: „tak”, „nie”, „jasne” i „okej”. W tamtym okresie Ben dużo czasu spędzał w domu i jedyne, co potrafiło ożywić ojca, to kłótnie z Benem o pozostanie w Stanford i ukończenie studiów przed wstąpieniem do wojska. Poza tym był tak apatyczny, tak wytrącony z równowagi, że wystarczyłby jeden niewłaściwy ruch, a wpadłby w to ciemne miejsce we własnej głowie, które już do połowy miał wykopane. Alexa najbardziej przerażało poczucie, że jego ojciec nie miałby nic przeciwko, gdyby rzeczywiście do tego doszło.

A potem, choć nie minął nawet rok od śmierci Katie, ten głupi egoista Ben oświadczył, że rzuca studia i idzie do wojska. Miesiąc później ojciec połknął w pracy garść tabletek. Alex nigdy nie poznał wszystkich szczegółów, wiedział jedynie, że ojciec tak to starannie zaplanował, żeby znalazł go współpracownik i by rodzinie została oszczędzona ta trauma. Tak jakby zrobiło to jakąś różnicę.

Zostawił napisany odręcznie list. Matka pokazała go Benowi i Alexowi, a potem spaliła. Wtedy Alex uznał to za dziwne, ale co się powinno zrobić z listem pożegnalnym samobójcy?

Ojciec napisał, że przeprasza. Że bardzo przeprasza, ale uważa, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Nie mógł już dłużej znieść bólu. Nie mógł znieść myśli, że może Katie go potrzebuje, a jego tam nie ma. Pozostali mieli siebie nawzajem. Nie mógł zostawić Katie samej.

Alex był wtedy dopiero w drugiej klasie liceum, ale utrata Katie sprawiła, że bardziej świadomy był tego, co ludzie mówią, a co naprawdę myślą. Wyczytał więc to, co zostało napisane między wierszami. Dlaczego ich ojciec miałby żywić przekonanie, że nieżyjąca córka potrzebuje go bardziej niż żyjący żona i synowie? Mogło tak być, że wydarzyło się

coś, że ktoś zrobił coś, co sprawiło, że poczuł się bezużyteczny? Może ktoś kopnął w tę jedną nogę, na której się jeszcze utrzymywał - pragnienie, aby starszy syn ukończył studia, a dopiero potem ruszył na poszukiwanie wielkiej wojskowej przygody? Czy to naprawdę było tak wiele? Odlóż na ciut później swoje wielkie plany, Ben. Twój ojciec jest kruchy, twoje narcystyczne, egoistyczne zachowanie zachwieje tym, co w nim zostało.

Po wszystkim Ben spędził w domu jeszcze kilka miesięcy, ale Alex wiedział, że zrobił to tylko dla zachowania pozorów. Pewnego wieczoru, kiedy we trójkę jedli „rodzinny” obiad, tak żałobny, że nie pomagał nawet nieustanny trajkot matki, Ben oświadczył, że nie może się dłużej wstrzymać z zaciągnięciem do wojska. Coś tam mówił o terminach szkoleń, wolnych miejscach w oddziale powietrznodesantowym i tym podobnych. Alex wiedział, że to bzdury.

A potem jego jedyny kontakt z Benem ograniczał się do kilku niezręcznych słów wypowiedzianych przez telefon, kiedy Alex popełnił błąd i podniósł słuchawkę. No i mama z udawaną wesołością przekazywała mu wieści po rozmowie ze starszym synem, a Alex stwarzał pozory, że chętnie ich słucha. Po zaciągnięciu się do wojska Ben odwiedził ich ile, może z sześć razy? Alex posłusznie pojawiał się na tych krępujących spotkaniach, bo gdyby tego nie zrobił, matkę by to dobiło. Jego uśmiechy były tak wymuszone, że czasami następnego dnia bolały go mięśnie twarzy. A potem mama i tak umarła, a Ben straszliwie się poświęcił i pojawił na pogrzebie, a potem zniknął na dobre.

A teraz, po tylu latach milczenia, po tylu powodach do odczuwania urazy, Alex daje gnojkwowi szansę na okazanie odrobiny wyrzutów sumienia, szacunku wobec zmarłych, a gnojek co robi? Każe się pocałować w tyłek.

Alex zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na rozciągające się poniżej światła miasta i zatoki, a potem wrócił do prze-

mierzania pokoju. Cóż, a czego się spodziewał? Jego brat był zarazą, cholernym wirusem, a chorobą, którą przeniósł, było nieszczęście innych. Udawał wobec Osborne'a, że jest jakimś misjonarzem, choć wiedział, że to przełożony Alexa. Obrażał Alexa przy każdej nadarzającej się okazji. Sarah obrażał także, sugerując, że jest zamieszana w całą tę niezrozumiałą historię. Wszystko, co robił, innym sprawiało ból.

Cieszył się, kiedy wieczorem Ben wyszedł do klubu jazzowego. Głupio się czuł, przyznając to, nawet przed samym sobą, ale... podekscytowany był tym, że trochę czasu spędzi sam na sam z Sarah. Nie do końca potrafił powiedzieć dlaczego. Przecież i tak nic się nie wydarzy. Nic nie mogło się wydarzyć. Niemniej...

Poza tym była bystra. W ciągu dnia przyszło jej do głowy wiele możliwych zastosowań Obsidiana i choć żadne z nich nie okazało się przełomem, którego szukali, wskazywało to na dużą kreatywność. Dostrzegła parę opcji w notatkach Hilzoya, sugestie, aby wykorzystać Obsidiana nie tylko do szyfrowania sieci, ale i wiadomości wysyłanych między sieciami, no i wykombinowała, w jaki sposób to zrobić. Ale na rynku dostępnych było wiele komercyjnych programów, na przykład PGP, które już to robiły. Nie potrafili znaleźć przezwagi, jaką zapewniał Obsidian, a która warta byłaby ekscytowania się, nie mówiąc o zabijaniu z jego powodu.

Żałował, nie po raz pierwszy tego dnia, że nie ma dostępu do kodu źródłowego. Bardzo by to pomogło. No i gdyby mieli kod źródłowy, mogliby go opublikować, tak jak proponowała Sarah, a to z miejsca rozwiązałoby ich problemy.

Wrócił do laptopa. Jeśli jakaś tajemnicza organizacja odkryła w Obsidianie cenny albo niebezpieczny potencjał, to w jaki sposób Hilzoy, człowiek, który go wymyślił, mógłby to przeoczyć? Musiało być coś w jego notatkach. Po prostu musiało.

# Czyste szaleństwo

Ben zaparkował na California Street i do hotelu udał się pieszo. Była prawie trzecia nad ranem i na ulicach było pusto. Nie spodziewał się żadnych problemów przed hotelem. Gdyby ktoś miał na niego czekać, to w środku.

Rano Rosjanie, w nocy Amerykanin. Nie miał pewności, co to oznacza. Różne grupy zainteresowane Obsidianem? Niewykluczone. Mogło być też tak, że ten, kto za tym stał, stracił rosyjskich najemników i robotę zlecił komuś innemu.

Jeśli w hotelu ktoś na niego czekał, Ben miał dobrą okazję, aby go zaskoczyć. Mężczyzna, którego zabił w ogrodzie Alexa, nie miał przy sobie komórki ani radia. To znaczyło, że nie musiał się meldować, a przynajmniej nie od razu.

Po Vesuvio dał się zwieść, uważając, że dziewczyna jest w porządku, przez co jego taktyka nie okazała się wystarczająca. Miał szczęście. I nie zamierzał polegać na nim po raz drugi.

W hotelu panował taki bezruch, że niemal słychać było ciszę. W recepcji siedziała jedna pracownica, ale poza tym lobby, bar... wszystko było puste.

Udał się windą na szóste piętro, a stamtąd zszedł po schodach na czwarte. W dłoni trzymał broń. Zamiary każdego, kogo o tej porze spotka, a kto nie będzie miał w ręce mopa, raczej nie okażą się przyjazne.

Gdy zbliżał się do drzwi pokoju Sarah, trzymał się blisko ściany, a kiedy je mijał, schylił się, na wypadek gdyby ktoś tam był i wyglądał przez wizjer. Nałożył na głowę nok-



towizor, ale jeszcze nie na oczy. Musiał się teraz liczyć z każdą ewentualnością. Każdą. Nie tylko z zasadzką w postaci człowieka, ale także czymś zdalnym.

Otworzenie drzwi od jego pokoju było bardzo stresujące. Odpieranie ataku ze strony improwizowanych urządzeń wybuchowych wymagało zupełnie innej taktyki niż odpieranie ataku ze strony ludzi. Kiedy stanął przed drzwiami, aby zbadać, czy nie widnieją na nich ślady tego pierwszego, tylną część ciała miał zupełnie nieosłoniętą i bezbronną wobec drugiego. Co prawda drzwi były grube i było raczej mało prawdopodobne, aby ktoś ryzykował strzał przez któreś z nich. No ale jednak.

Nie znalazł żadnych przewodów ani innych śladów czegokolwiek, co w chwili otwarcia drzwi mogłoby zamknąć obwód. Magnetyczny zamek nie sprawiał wrażenia, jakby ktoś przy nim majstrował. Wsunął kartę lewą dłonią, w prawej na poziomie klatki piersiowej trzymając glocka. Uchylił minimalnie drzwi i opuścił glocka. Nic. Żadnych przewodów ani nic niepokojącego w okolicach gałki. Wsunął do środka rękę i zgasił główne światło. W pokoju zapanowała ciemność.

Zamknął drzwi i cofnął się na koniec korytarza. Ktoś mógł prowadzić obserwację z zewnątrz. Oczywiście, że nim wszedł do środka, okrążył cały hotel, ale mógł przecież kogoś przeoczyć. Nie chciał, aby ten ktoś zobaczył, że na krawędziach zasłon w pokoju 767 zgasło światło, odczekał minutę i zdalnie zdetonował ładunek wybuchowy. A już na pewno nie chciał znajdować się wtedy w pokoju.

Odczekał dwie minuty. Okej, gdyby miało do tego dojść, to już by doszło. Wrócił do pokoju, nasunął na oczy noktowizor i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi na zasuwkę.

Po trzech minutach miał pewność, że jest sam. Po kolejnych dwudziestu, że nikt nie zostawił mu listu miłego w postaci ładunku wybuchowego.

Usiadł na podłodze, opierając się plecami o łóżko, i zdjął noktowizor. Odetchnął głęboko. Chryste, co za dzień.

No dobra. Jeszcze jedna sprawa, a potem będzie mógł odpocząć.

Dziewczyna.

Mógł do niej wejść na trzy sposoby. Pierwszy sposób: przez drzwi łączące ich pokoje, jeśli nie zamknęła ich od swojej strony. Drugi: mógł posłużyć się kartą magnetyczną do głównych drzwi, jeśli ona nie użyła zasuwki. Nie sądził, aby którykolwiek z tych sposobów okazał się skuteczny. Pozostawała trzecia opcja: kopniakiem otworzyć drzwi łączące pokoje. Były zrobione z ciężkiego drewna, ale otwierały się w jej stronę, a metalowa gałka wystarczająco się odkształci, żeby udało się wejść.

Otworzył drzwi od swojej strony, powoli, ostrożnie, chcąc mieć pewność, że pomiędzy nimi a drzwiami po jej stronie nie umieszczono niczego, co by zamknęło obwód. Ze zdziwieniem przekonał się, że drzwi po jej stronie są szeroko otwarte. Cieszył się, że światło w jego pokoju było zgaszone i że miał założony noktowizor. W przeciwnym razie natychmiast by go było widać.

Wszedł ostrożnie do środka. Nie podobało mu się, że drzwi są otwarte. Wyczuwał jakąś pułapkę. W zielonkawej poświacie zobaczył, że Sarah znajduje się w łóżku. Leżała na plecach, zakryta kołdrą aż po samą szyję, a długie czarne włosy rozrzucone były na białej lnianej poduszce. Prawą rękę miała wsuniętą pod głowę. Lewa znajdowała się pod kołdrą. W ciągu dnia miał się okazję przekonać, że jest pracowitą, więc lekko pocieszające było to, że jej prawa dłoń pozostaje pusta. Wyglądała, jakby spała, no ale w Vesuvio grała także bardzo przekonująco. Zerkał na nią co chwila, po cichu sprawdzając pokój. Pusty.

Ben zbliżył się do łóżka i przez chwilę jej się przyglądał. Oddech kobiety był wolny i miarowy. Nie ruszała się.

Trzymając ją na muszce, uniósł koldrę, odsłaniając lewą rękę. Pusta.

Zdjął noktowizor, odłożył na bok i zapalił nocną lampkę. Sarah natychmiast otworzyła oczy i usiadła wyprostowana na łóżku. Mrużyła oczy i przyciskała do siebie koldrę.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

- Nie wydajesz się uszczęśliwiona moim widokiem - powiedział, wbrew sobie ciesząc się tą chwilą.

- I masz, kurwa, rację. Nie możesz tu tak wchodzić. Co ty robisz? Czego chcesz?

- Nie zgrywaj idiotki, skarbie. Wiem, że jesteś w tym dobra, ale już mi to spowszedniało.

Spojrzała na glocka tak, jakby dopiero teraz go dostrzegła, co zresztą pewnie było prawdą.

- Czemu celujesz do mnie z pistoletu? Oszalałeś?

Nie opuścił glocka. A ponieważ sam miał w zwyczaju sypiać z pistoletem w zasięgu ręki, powiedział:

- Wstań z łóżka.

- Do jasnej cholery, wynoś się z mojego pokoju.

Chwycił za koniec koldry i jednym silnym pociągnięciem ściągnął ją z niej. Pofrunęła na przeciwległą ścianę i opadła na podłogę.

Sarah skuliła się na końcu łóżka.

- Wynoś się stąd! - zawołała.

Miała na sobie jedynie białe figi i białą krótką koszulkę i na chwilę ogarnęło go zwątpienie. Ale ilu żołnierzy popełniło taki sam fatalny w skutkach błąd w odniesieniu do słodko wyglądającej kobiety na chwilę przed tym, jak zdetonowała ładunek wybuchowy?

Okrażył łóżko, przez cały czas trzymając ją na muszce.

- Zamknij się - powiedział. -I trzymaj ręce na widoku, bo dostaniesz kulkę.

Wpatrywała się w niego, ciężko oddychając.

- Ty oszalałeś. Naprawdę oszalałeś.

- Masz rację - znajdował się teraz po jej stronie łóżka i podchodził coraz bliżej. - Jestem wystarczająco wkurzony, żeby zrobić coś szalonego, zapewniam cię. Trzech ludzi próbujących cię zabić w ciągu jednego dnia? Każdy by się wkurzył.

Nie odpowiedziała. No pewnie, że nie.

- Przez jakiś czas rzeczywiście dawałem się nabrać. Muszę ci to przyznać. Ale koniec tego. Facet, który czekał na mnie przed domem Alexa, wszystko mi wyśpiewał przed śmiercią. Musiałem nad nim trochę popracować, ale w końcu zaczął mówić.

- Nie chcę o tym wiedzieć - oświadczyła.

Jeszcze bardziej się przysunął.

- Wobec tego nie powinnaś się była w to angażować. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Zadam ci jedno pytanie. Udziel satysfakcjonującej mnie odpowiedzi, a nic ci się nie stanie.

- Jakie pytanie?

- Dla kogo pracujesz?

- To co mówisz, jest pozbawione sensu!

- Wiesz, ta odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje.

Nagle natarła na niego.

- Przestanieś patrzeć na mnie jak na wroga? - wrzasnęła, dźgając go palcem wkłatkę piersiową. - Jestem Iranką, i to jedyne, co widzisz! Wszystko, co się dzieje, przeinaczasz w taki sposób, żeby mieć dowód na to, w co chcesz wierzyć! Dlaczego? Dlaczego musisz uważać, że jestem wrogiem? Co ci to daje?

Tak go zaskoczyła, że niemal się cofnął o krok. Zatrzymał się jednak. Kiedy tu wszedł, taki był pewny siebie, że oczekiwał, iż Sarah od razu się przyzna. Albo najpierw nieprzekonująco zaprzeczy, a potem się przyzna. Nie spodziewał się natomiast kontrataku. Zwłaszcza tak głośnego, co mogło przyciągnąć uwagę. Musiał zachować spokój.

- Ktoś wykonał telefon - rzekł. Trzymanie jej na muszce nagle wydało się głupie. Zresztą Sarah była w takim stanie, że łatwo było o wypadek. Schował glocka do kabury. - Ktoś, kto wiedział, że jadę do domu Alexa. Tylko ty mogłaś to zrobić.
- O czym ty mówisz? Nie wiedziałam, że jedziesz do domu Alexa. Nie wiedziałam, gdzie ty, do cholery, jedziesz. Powiedziałaś tylko, że musisz coś załatwić.
- Mogłaś się tego domyślić.

Słabo to zabrzmiało. Chryste, czy to wszystko, na co go było stać? Nie, ten facet zapytał przecież, gdzie jest Alex... Ale... czy dlatego, że dziewczyna ich nie obchodzi? Alex stanowią ich główny cel, to było oczywiste. Prawdę mówiąc, to mogli nawet nie wiedzieć, że dziewczyna także się ukrywa. Kimkolwiek by byli, ich środki nie były niewyczerpane. Możliwe, że Sarah zostawili sobie na później, o ile w ogóle miała dla nich znaczenie.

- Więc ten ktoś, co go podobno torturowałeś... Co on ci powiedział? Nic, prawda? Wszystko sobie wymyśliłeś. Wy myśliłeś, żeby mnie nastraszyć.

Nie powiedział, że kogoś torturował, nie wprost, choć miał nadzieję, że ją tym wystraszy. W każdym razie coś tu było nie tak. A raczej coś tu nie było nie tak. Sarah była w pokoju sama, nieuzbrojona, spała albo przynajmniej doskonale udawała. To nie miało sensu.

- Dlaczego zostawiłaś otwarte drzwi? - zapytał.
- Bo taki miałam kaprys. Jasne, wiedział, że coś knuła.
- Dlaczego?
- A co cię to, kurwa, obchodzi? - odparła. Podeszła, aby ponownie dziabnąć go w klatkę piersiową, a on szybko chwycił jej palec.
- Zadałem ci pytanie - powiedział, mocno go ściskając i napierając na nią, każąc jej cofnąć się pod ścianę.

- Śmiało - odparła, krzywiąc się. - Złam go. Złam mi palce. Podtop mnie. Tym się zajmujesz, tak? Torturujesz ludzi, aż w końcu mówią ci to, co chcesz usłyszeć?

Dlaczego zostawiła otwarte drzwi? Na pewno dlatego, że chciała, aby miał łatwy dostęp do jej pokoju. Wobec tego dlaczego nikt się tu na niego nie zaczął, dlaczego nie była uzbrojona? O co w tym wszystkim chodziło? Czemu miałaby chcieć, aby on mógł...

*Ty idioto.*

Wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Było to zawstydzająco proste i trzeba było być ślepym, albo, spójrzmy prawdzie w oczy, sfiksowanym, żeby tego nie dostrzec.

Opuścił wzrok, po raz pierwszy świadomy tego, jak mało Sarah ma na sobie, jak bardzo odkryte jest jej ciało. Zarys piersi pod przezroczystym materiałem koszulki, gładka, karmelowa skóra nad linią fig...

Puścił jej palec i oparł dłoń o ścianę, tuż obok jej głowy.

- Dlaczego zostawiłaś otwarte drzwi? - zapytał.

- Mówiłam ci, kurwa, że cię to nie powinno obchodzić.

Boże, ależ była piękna. Myślał, że już to dostrzegł, ale nie. Nie tak wyraźnie.

- Dlaczego? - powtórzył. Jego głos stał się niższy.

- Nie powiem - Sarah próbowała go wyminąć, ale położył na ścianie drugą dłoń, blokując ją z obu stron.

- Chcę, żebyś mi powiedziała.

-Nie.

Czy jej oddech nie stał się szybszy? Jego owszem. Widział twarde sutki napierające na cienki materiał koszulki.

Podszedł jeszcze bliżej i pochylił głowę, tak że jego usta zaledwie kilka centymetrów dzieliło od jej policzka.

- Może już to wiem - rzekł.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Coś wiem - jeszcze bardziej się przybliżył.

Spojrzała na niego. W jej oczach widać było gniew i wyzwanie, usta miała rozchylone, oddech przyspieszony. Ben czuł w uszach, jak mocno wali mu serce.

Jeszcze bardziej się nachylił, a Sarah gwałtownie odwróciła głowę. Ich policzki stykały się teraz i słyszał wyraźny jej oddech. Czuł zapach jej włosów i skóry. Przycisnął ją do ściany i dotyk miękkich pełnych piersi okazał się czystym szaleństwem.

Zabrał jedną dłoń ze ściany i położył na biodrze Sarah, a potem przesunął ją do góry, gładząc żebra, krągłość piersi, szyję, policzek. Obrócił jej głowę. Przez chwilę się opierała, po czym wydała dziwny odgłos, ni to warknięcie, ni to krzyk, i ich usta się złączyły.

Ben ujął obiema dłońmi jej głowę i całował mocno, słysząc w uszach dudniące bicie swego serca. Miał wrażenie, jakby stracił przyczepność i spadał gdzieś w ciemność. Podniecenie, jakie czuł, było wręcz bolesne.

Już nie myślał, pragnął jedynie zobaczyć ją nagą, potrzebował tego. Nic innego się nie liczyło, nic innego nie było prawdziwe. Chwycił obiema dłońmi za górę jej koszulki i mocno pociągnął w przeciwnych kierunkach. Rozległ się dźwięk rozdzieranego materiału, a chwilę później Ben trzymał w dłoniach jej piersi. Piękne piersi. Cała była piękna.

Sarah wsunęła palce pomiędzy guziki przy jego koszuli i pociągnęła mocno. Guziki odpadły jeden po drugim, jak pociski z broni maszynowej. Pomyślał, że nie powinno go to dziwić, zważywszy tamto przeszukanie w Vesuvio. Wet za wet. A potem jej usta znalazły się na jego szyi, palce na sprzączce przy pasku. Odpiął kaburę, gdy tymczasem ona zajmowała się paskiem. Kiedy rozpięła zamek w dzinsach, Ben zrzucił z siebie marynarkę i koszulę, a potem nie był już w stanie stać, nie był w stanie czekać, sam rozpiął spodnie i pozbył się ich. Kopnął je na bok i ponownie wziął ją w ramiona. Zaciśnęła na nim dłoń, a jego przeszedł dreszcz.

Wsunął ręce pod jej pośladki i unióśł ją. Krzyknęła zaskoczona i opłotła go nogami w pasie. Ben obrócił się, zrobił dwa kroki i opuścił ją na podłogę. Ponownie ją pocałował, szyję, piersi, a potem się odsunął. Wsunął palce pod materiał majteczek i pociągnął mocno, robiąc to samo, co z koszulką. Przez czas patrzył na nią, patrzył jej w oczy, widząc w nich głód i pragnienie. Sekundę później dotykał jej, słuchając, jak jęczy. Była taka wilgotna, że to musiało być naprawdę, po prostu musiało, nikt nie potrafił aż tak dobrze grać. Rozsunął jej nogi, a potem położył się między nimi, tak bardzo pragnąc się z nią pieprzyć, że przesłoniło mu to wszystko inne.

A potem znalazł się w niej i nie liczyło się nic więcej, miał wrażenie, że jest jak tonący człowiek, do którego płuc w końcu dostaje się życiodajne powietrze. Sarah dyszała i wiała się pod nim, oplatając mocno nogami, przyciągając go do siebie, całując. Poruszali się tak przez chwilę i Ben próbował zwolnić, okazać więcej delikatności, ale nie był w stanie. Wsunął obie dłonie pod jej pośladki i unióśł je, wchodząc w nią jeszcze głębiej, raz za razem. Zamknął oczy i widział wirujące kolory, czerń, fiolet i zieleń, słyszał jej jęki i czuł jej dłonie we włosach i na policzkach. Jeszcze mocniej opłotła go nogami i poruszała się coraz szybciej. Czuł, że Sarah dochodzi, a chwilę potem on także, a całe niebezpieczeństwo, niepewność i szaleństwo minionego dnia, zaciskające się wokół niego niczym imadło, nagle puściły i wszystko w cudowny sposób zniknęło.

Powoli, ostrożnie puścił jej pośladki i wsparł się na łokciach.

- Nie, chcę cię czuć - odezwała się Sarah.

Odrężył się nieco. Obejmowała ramionami jego szyję, a nogami pas. Ich mieszające się oddechy przypominały mruczenie. Leżeli tak, aż jego serce przestało bić jak szalone, a oddech się uspokoił.



Zsunął się z niej i położył na plecach. Odwrócił głowę, aby spojrzeć jej w oczy. Chciał powiedzieć, że jest piękna, nie zrobił tego jednak. Zamiast tego rzekł:

- Przykro mi.  
Roześmiała się.
- Mnie nie.
- Nie, chodziło mi o to...
- Wiem, o co ci chodziło.  
Westchnął.
- Miałem kiepski tydzień.

Przekręciła się na bok przodem do niego i wsparła na łokciu.

- Odnoszę wrażenie, że to trwa już dłużej niż tydzień  
- powiedziała łagodnie.
- To znaczy?  
Przez chwilę się wahała.
- Masz córkę, była żoną i brata i w ogóle się z nimi nie widujesz, nawet z nimi nie rozmawiasz. To więcej niż kiepski tydzień.
- To skomplikowane.  
- Znasz takie powiedzenie: „Wspólnym mianownikiem wszystkich twoich dysfunkcyjnych związków...”
- „Jesteś ty”. Taaa, słyszałem.

Chryste, ostra była. Już sobie wyobrażał, jak to by było być z nią w związku. Na pewno nie wygrałby wielu kłótni.

- Posłuchaj - rzeki. - W barze miałaś rację. Nie mogę... nie mogę pozwolić, aby na mnie polegały. No bo co jest gorsze, zagładanie córki kilka razy w roku czy zupełne zniknięcie z jej życia? Pierwsza opcja czyniłaby ją bardziej świadomą mojej nieobecności, miałyby większe poczucie straty. W przypadku drugiej nie ma za kim tęsknić. Nie ma więc straty.
- Ja tego nie rozumiem. Jeśli nikt na tobie nie polega, to nie możesz nikogo zawieść, tak?
- Nie to mam na myśli.

- Chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie?
- Alex zawsze mnie o to pyta. A ja mu zawsze odpowiadam, że nie.
- A mówi ci mimo to?
- Oczywiście.
- No to ja też powiem. Wiesz, co opisujesz? Kradzież. Kradzież spadku osobie, która w ogóle nie wie, że go ma. Czy będzie jej brakować tych pieniędzy? Czy w ogóle się dowie, że je straciła? Nie. Ale to, że ta osoba nie jest świadoma kradzieży, nie sprawia, że ty nie jesteś złodziejem.
- Tego was uczą na studiach prawniczych?
- A tak w ogóle to co się stało z tobą i Alexem?
- Oddaliliśmy się od siebie.
- Daj spokój, nikt aż tak się nie oddala. On nawet nie wie, że byłeś żonaty ani że ma bratanicę.

Na chwilę odwrócił wzrok, próbując zdecydować, co jej powiedzieć i czy w ogóle coś mówić. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Mieliśmy siostrę. - I tak to poszło. Nie zamierzał mówić zbyt dużo. Ale kiedy już zaczął, trudno mu było przestać.
  - Biedna ta wasza rodzina - powiedziała Sarah, kiedy skończył. - A ja sądziłam, że to moja miała problemy.
- Ben zaśmiał się ponuro.
- Jaka rodzina? Nic z niej nie zostało.
  - Jesteś ty i Alex.
  - Alex obwinia mnie o wszystko.
  - Tak ci powiedział?
  - Nie wprost. Ale wiem, że tak jest.

Przez chwilę oboje milczeli. Pierwsza odezwała się Sarah:

- Zaciągnąłeś się do wojska, żeby uciec od tego, co się przytrafiło waszej siostrze?
- Nie. Decyzję podjąłem jeszcze przed wypadkiem. Rodzice byli przeciwni. Wywierali na mnie presję, ale ja tego właśnie pragnąłem. Od dziecka.

- Myślę, że to dobrze, że poszedłeś do wojska.
- Spojrzał na nią zdziwiony.
- Mówisz poważnie? Sądziłem, że uważasz mnie za sadystycznego zabójcę dzieci, który lubi tortury.
  - Wcale tak nie uważam. Próbowалам ci po prostu dopiec. Zresztą nie o to mi teraz chodziło. Uważam, że dobrze, że poszedłeś do wojska, dlatego że tego pragnąłeś. Szkoda, że ja nie potrafiłam się tak postawić swoim rodzicom. Ale... ty także w barze miałeś rację. Sama nie wiem, czego chcę.

Nic nie odpowiedział.

- Dlaczego pomagasz Alexowi?

Spojrzał na nią.

- To uważasz za pomoc?

Zaśmiała się.

- O tym akurat nie musi wiedzieć.

- Taaa, myślę, że tak będzie najlepiej.

- No ale dlaczego? Przecież nie utrzymujecie ze sobą kontaktu i w ogóle. A jednak tu jesteś.

Przez chwilę się zastanawiał. Prawda była taka, że sam nie miał co do tego pewności.

- Potrzebuje mojej pomocy - tylko to mu przyszło do głowy.

Chciał, żeby zadała mu więcej pytań. Może to by mu pomogło znaleźć odpowiedź.

Zamiast tego Sarah zapytała:

- Naprawdę uważasz, że on jest... mną zainteresowany?

- Daj spokój, spójrz tylko na siebie.

- Tylko na tym się opierasz?

- Uwierz mi, że to dużo. Ale nie tylko na tym. Jak już mówiłem, widzę to. No a ty? Nigdy się nim nie interesowałaś?

Przez chwilę milczała. W końcu odparła:

- To przystojny mężczyzna, naprawdę może się podo bać. Ale... nie wiem, przypomina mi facetów, z którymi spo-

tykałam się w czasie studiów. Nie chcę już czegoś takiego powtarzać.

- A ja kogo ci przypominam?

Spojrzała na niego.

- Ty mi nie przypominasz nikogo. Ale jednocześnie tak.

Pokręcił głową.

- Zgubiłem się.

Uśmiechnęła się.

- Nie szkodzi.

- Tak, ale...

- Ćśś. Co ty na to, żeby raz jeszcze mnie przeprosić?

- Przepraszam.

Zarzuciła na niego nogę, a potem usiadła na nim okra-  
kiem, kładąc dłonie na podłodze po obu stronach jego głó-  
wy. Nachyliła się, pozwalając, aby jej włosy opadały na jego  
twarz, i spojrzała mu w oczy.

- To kiepskie przeprosiny - powiedziała. Ben  
położył dłonie na jej talii.

- No więc ujmę to inaczej - rzekł.

# Tylko sen

Kiedy skończyli się kochać po raz drugi, Ben powiedział, że musi się trochę przespać, inaczej jutro nie będzie z niego żadnego pożytku. Położyli się razem na łóżku i niemal natychmiast odpłynął. A teraz ona przyglądała mu się, wyczerpana, ale zbyt podekscytowana, żeby zasnąć.

Nigdy dotąd nie przeżyła orgazmu. Nigdy. A teraz dwa razy w ciągu jednej nocy. W swoich dwóch poprzednich związkach traktowała stosunek jako coś przyjemnego, ale nie niezbędnego. Teraz w końcu zrozumiała, o co ten cały szum. Cała była obolała w taki rozkoszny sposób i na myśl o tym, jak to jest czuć Bena w sobie, miała ochotę go obudzić i spróbować raz jeszcze. Nie użyli żadnego zabezpieczenia i Sarah wiedziała, że było to niesamowicie głupie. Zdawała sobie sprawę, że powinna się tym martwić, tak jednak nie było. Może później zacznie się przejmować, ale na razie po prostu nie potrafiła.

Zastanawiała się, co się z nimi stanie, kiedy to wszystko się skończy. Do tej pory uprawiała seks tylko z dwoma poprzednimi chłopakami. Znała ich, nim do czegokolwiek doszło, i wszystko, co wydarzyło się później, osadzone było w jakimś kontekście. Mężczyzna, który leżał teraz obok niej... w ogóle go nie znała, a znikome informacje, jakie miała na jego temat, były co najmniej niepokojące. Był zabójcą. Opowiadał się za tym - a właściwie uosabiał to - do czego ona czuła odrazę. Miał wypaczoną psychikę, był brutalny,

stanowił antytezę wszystkiego, co do tej pory uważała za odpowiednie. Więc dlaczego? O co w tym chodziło?

Uśmiechnęła się. Po co tyle myśleć? Kiedy Ben się obudzi, ona go znowu uwiedzie. Na razie to wystarczy, a potem się zobaczy, jak się sytuacja rozwine.

Pragnęła dowiedzieć się więcej na temat jego relacji z Alexem. Ben był jednak powściągliwy, a ona nie chciała naciskać.

Nie mogła jednak przestać się zastanawiać. Nie rozumiała, jak Alex mógł obarczać winą Bena. Po pierwsze to, co się wydarzyło, nie było zależne od Bena, nie do końca. A nawet jeśli było w tym coś, co prawnicy nazywają „możliwą przyczynowością”, z całą pewnością nie stanowiło to „najbliższego powodu”. A nawet gdyby, jak można żywić z tego powodu urazę? W stosunku do własnego brata? No ale ona знаła tylko wersję jednej strony. A Ben także nie okazywał zbyt wielkiej braterskiej miłości wobec Alexa.

No to dlaczego się tutaj znalazł? Jeśli Alex winił go za to, co się przytrafiło ich rodzinie, to czy obecność Bena stanowiła swoiste... przeprosiny? Ekspiację? A jeśli tak, to dlaczego Alex nie potrafił ich przyjąć?

Sarah patrzyła, jak przy każdym oddechu jego klatka piersiowa unosi się i opada. Na początku uznała, że jest zwykłym neandertalczykiem, teraz jednak dotarło do niej, że on celowo przedstawiał jej siebie w taki sposób, a ona nazbyt ochoczo to zaakceptowała. Prawdę powiedziawszy, Ben był niezwykle inteligentny. To wszystko co powiedział w barze na jej temat... owszem, próbował ją zranić, ale sporo potrafił dostrzec.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ocenia zbyt wysoko jego przenikliwości. Przecież gdyby ktoś niezbyt bystry tak ją przejrzał na wylot, oznaczałoby to, że jest płytka. Lepiej chwalić jego przenikliwość, niż zrzucać winę na swoją wyraźną powierzchowność.

A może chciała uwierzyć, że Ben jest inteligentny, ponieważ jeśli tak było, znaczyło to, że wcześniej tak bardzo się w stosunku do niego myliła?

Zaśmiała się cicho. Ależ z niej idiotka: przesadnie wszystko analizowała, gdy tymczasem potrzebowała tylko trochę snu. Za kilka godzin wszędzie słońce. Ona i Alex mieli naprawdę dużo pracy, jeśli zamierzali się dowiedzieć, czemu Obsidian okazał się dla nich aż tak niebezpieczny.

Alex. Czy to możliwe, że rzeczywiście był w niej zakochany? Dotąd nie dostrzegała żadnych tego oznak. Z drugiej jednak strony kontrolował swoje uczucia równie mocno jak brat. Wystarczy spojrzeć na historię jego rodziny, coś, czego nigdy nie dostrzegła ani nie wyczuła w najmniejszym nawet stopniu. Kto by powiedział, że pod tak spokojną powierzchnią kłębią się tak gwałtowne wiry? Może widziała tylko to, co powierzchowne. No ale cóż innego mogła zrobić, skoro tak mało jej pokazywał?

Na myśl o nim ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jeśli Ben miał rację i jeśli Alex wyczuje, co się dzisiejszej nocy wydarzyło, jeszcze bardziej skomplikuje to ich sytuację.

Cóż, ale on się przecież nie dowie. Z całą pewnością nie mieli zamiaru mu o tym mówić.

Położyła głowę na poduszce i westchnęła. Ostatnie co przyszło jej do głowy przed zaśnięciem, to wypowiedziane przez Bena słowa w barze, że to wszystko będzie wydawać się tylko snem.

## Z nami koniec

Alex siedział pochylony nad biurkiem, błędząc wzrokiem po ekranie laptopa, po raz chyba tysięczny czytając notatki Hilzoya. W ogóle nie kładł się spać i czytał je od początku do końca, od końca do początku, a potem na wrywki. Sądził, że jeśli przejrzy notatki Hilzoya w inny sposób, być może dostrzeże coś, co wcześniej on i Sarah przegapili. A tu nic.

Pasek narzędzi Obsidiana wyglądał jak typowa aplikacja komercyjnego oprogramowania, w której funkcje ułożone są poziomo, a po kliknięciu ukazuje się rozwijane menu opcji związanych z funkcją głównego menu. Można było przerabiać menu, dodając albo ukrywając funkcje, ale żadna z nich nie pozwalała mu na nic poza oczywistymi wariacjami szyfrowania. Wypróbował każdą wersję menu, jaka mu przyszła do głowy. Przerabiał je. Ukrywał funkcje, po czym je przywracał.

Ukryte funkcje. Tego właśnie szukał. Ale gdzie się podziały? Na pewno nie w notatkach Hilzoya. Alex znał je już praktycznie na pamięć. Niczego w nich nie było.

A może istniała inna wersja? Coś, czego Hilzoy nie chciał powierzyć nawet swojemu prawnikowi?

Może. Ale jeśli rzeczywiście istniał podwójny, sekretny komplet notatek, Hilzoy i tak musiałby mieć kopię zapasową. Czemu Alex posiadałby kopię zapasową jednej wersji, ale nie drugiej? To było pozbawione sensu. Nie istniała inna wersja. To musiało kryć się tutaj.

*Inna wersja - pomyślał, trąc oczy. - Inna wersja.*



Najechał kursorem na menu. Plik. Edycja. Narzędzia. Wybrał „Narzędzia”, następnie pojechał w dół. Makra, Dopasuj... Śledź zmiany.

Śledź zmiany.

Śledź zmiany... z poprzednich wersji.

Do diaska. Czy to mogło być aż tak proste?

Wybrał „Pokaż poprzednie wersje”. Nic.

*Cholera.*

Przejrzał ponownie notatki Hilzoya. Gdzieś w połowie pojawiły się zaznaczone na niebiesko liczby od jednego do dziesięciu, umiejscowione wzdłuż listy funkcji, które miały związek ze stworzeniem makra. Liczby nie były ułożone w kolejności. Alex wpatrywał się w nie, nic nie rozumiejąc. Przejrzał resztę notatek, ale nie dostrzegł żadnych innych zmian.

Wrócił do liczb. Wyglądało na to, że w poprzedniej wersji notatek Hilzoy ponumerował te funkcje. Ale dlaczego? I czemu te liczby nie były poustawiane w kolejności?

To musiało mieć jakieś znaczenie. Jeśli istniały wcześniejsze wersje, Hilzoy zatwierdził wszystkie zmiany, skutecznie wszystkie usuwając. Z wyjątkiem tych liczb. Chciał je mieć zapisane. Ale w ukryciu. To nie mógł być przypadek. To musiało coś znaczyć.

No dobrze, a gdyby po prostu skorzystał z tych funkcji w kolejności, jaką nadawały ukryte liczby? Warto spróbować.

Tak też zrobił, od jednego do dziesięciu, i kliknął enter.

Nic się nie wydarzyło.

Jasna cholera. A już miał naprawdę nadzieję.

Ponownie przejechał kursorem po pasku menu, sprawdzając każdą funkcję. Plik, nic nowego. Edycja, to samo. Narzędzia...

Zamrugał oczami. W menu narzędzi pojawiły się trzy nowe opcje: Tworzenie. Ukrywanie. Dostarczanie.

- O kurwa - powiedział na głos. - To jest to. To musi być to.

Hilzoy umieścił w Obsidianie wielkanocne jajo. Ale nie taki zwykły psikus, jaki można znaleźć na wielu płytach DVD i w oprogramowaniu komercyjnym. Nie, to wyglądało na zupełnie nową aplikację.

Ale do czego miała ona służyć?

Z mocno walącym sercem zaczął stukać w klawiaturę. Tak go to pochłonęło, że stracił poczucie czasu, aż w końcu niebo za oknem zaczęło się robić coraz jaśniejsze. To co odkrył, było elektryzujące.

O szóstej trzydzięci wziął prysznic i ubrał się. Do kieszeni włożył pistolet od Bena, dojmująco świadomy jego ciężaru i wielkości. Nie wyobrażał sobie, jakby to było przez cały czas nosić przy sobie pistolet, a tym bardziej dwa.

Przeszedł przez korytarz do drugiego pokoju, aby powiedzieć o wszystkim Benowi. Pan Twardziel wyszedł wieczorem, kiedy zrobiło się gorąco, ale co tam. Alex nie żałował tego, co powiedział. Trochę nawet żałował, że nie powiedział więcej. Może w tym właśnie tkwił problem. Ben był tępy. Nie można było po nim oczekiwać, że coś zrozumie - zwłaszcza coś, czego nie miał ochoty rozumieć - chyba że poda mu się to na tacy.

Spróbował otworzyć drzwi kartą, ale się nie udało. Kurde, Ben musiał zamknąć je na drugi zamek. Możliwe, że jeszcze śpi. A co tam, to było warte tego, żeby go obudzić.

Alex zapukał i czekał. Cisza. Zapukał ponownie, tym razem głośniejsze. Po dłuższej chwili usłyszał głos Bena.

- Daj mi sekundkę. Muszę coś na siebie narzucić.

Minęło pół minuty. Ben w końcu otworzył drzwi, owi nięty jedynie ręcznikiem.

- Wcześniej wstałeś - powiedział.

- Udało się - rzekł Alex, wchodząc do pokoju. - Rozgryzłem to. Wiem, do czego naprawdę służy Obsidian.

Ben zamknął drzwi.

- Chwileczkę. Muszę się dobudzić.

Na minutę zniknął w łazience. Alex rozejrzał się po pokoju. Jedno z łóżek miało rozrzuconą pościel. Na podłodze leżał stosik ubrań. Chyba marynarka i koszula, jakie Ben miał wczoraj na sobie.

Ben wyszedł z łazienki, odziany w hotelowy szlafrok. Usiadł na łóżku.

- No to mów.

- Musimy zawołać Sarah. Ona też musi to usłyszeć.

- Pewnie jeszcze śpi, nie sądzisz?

Ta troska nieco Alexa zaskoczyła. Zaledwie wczoraj nie chciał jej pozwolić skorzystać z toalety. Teraz przejmował się tym, że ją obudzą?

- Będzie chciała to usłyszeć, uwierz mi - oświadczył Alex. Podszedł do łączących ich pokoje drzwi, otworzył je, po czym zapukał do drzwi po drugiej stronie. - Sarah, tu Alex. Nie śpisz? Znalazłem to, czego szukaliśmy.

- Zaraz przyjdę.

Chwilę później pojawiła się, ubrana w hotelowy szlafrok. Włosy miała związane, była nieumalowana i pocierała zaspiane oczy... i nawet teraz wyglądała ślicznie.

To zabawne, że i ona, i Ben mieli na sobie szlafroki.

- Czy tylko ja robiłem cokolwiek tej nocy? - zapytał Alex. Ta uwaga miała być zabawna, ale żadne z nich się nie roześmiało ani nic nie powiedziało. Właściwie to wyglądali niemal na skrępowanych. No ale w końcu dopiero co ich obudził.

- No i co? - zapytała Sarah, opierając się o ścianę obok drzwi.

- Znalazłem wielkanocne jajo - oświadczył Alex.

- W Obsidianie.

- Wielkanocne jajo? - zapytał Ben.

Alex pokiwał głową.

- Ukryty zestaw opcji. Coś, co programista wbudowuje w aplikację, ale czego nie dokumentuje, i co jest dostępne jedynie poprzez dziwną sekwencję poleceń. Hilzoy wbudował coś takiego w Obsidiana. Udokumentował sekwencję w swoich notatkach i ukrył w taki sposób, że można ją znaleźć tylko wtedy, jeśli porówna się aktualną wersję notatek z wcześniejszą.
- Nie nadążam - stwierdził Ben. - Co to są sekretne funkcje? I po co je dokumentować, skoro mają być sekretne?
- Sekwencja była złożona. Musiała taka być, w przeciwnym razie ktoś mógłby natrafić na nią przez przypadek. Hilzoy się bał, że może ją zapomnieć. Wpisał ją więc do swych notatek przy użyciu takiego jakby niewidzialnego atramentu.
- Nie martwił się, że ktoś to znajdzie?
- Oczywiście, że nie. Nikt inny nie miał tych notatek, stanowiły jedynie część kopii zapasowej programu, którą trzymał u swego prawnika, a czemu prawnik miałby zawracać sobie głowę czytaniem notatek dotyczących programowania? A nawet gdybym ja czy ktoś inny je przeczytał, to czemu miałoby się szukać wcześniejszej wersji? A gdyby się nawet poszukało, pozostawione przez niego wskazówki pozabawione by były znaczenia. Trzeba by było wiedzieć, że coś zostało ukryte, i głowić się, co to takiego, tak jak to robiliśmy Sarah i ja. A nawet wtedy łatwo to można przeoczyć.
- No więc co to takiego? - zapytał Ben.

Alex zastanawiał się, dlaczego Sarah jest taka cicha. Normalnie niecierpliwili ją wyjaśnienia innych ludzi i ohocho dodawała własne.

- Ten cały program to koń trojański - wyjaśnił Alex.
- Pozornie doskonały, wydajny program służący do kodowania danych. Jednak tak naprawdę idealnie nadaje się do kodowania wirusa.

- Kryptowirusologia - odezwała się Sarah, patrząc na niego.

Alex kiwnął głową zadowolony, że od razu zrozumiała.

- Dokładnie tak. Złośliwa kryptografia.
- Sorry, ale nie nadążam za wami - wtrącił Ben.
- Okej - powiedział Alex. - Wiesz, co to takiego wirus komputerowy, tak?
- Pewnie. Kod, który ktoś wprowadza do systemu, aby w nim namieszać.
- Mniej więcej. No dobrze, generalnie istnieją dwa sposoby wykrywania i blokowania wirusów: sygnatury i heurystyka. Sygnatury oznaczają, że oprogramowanie antywirusowe posiada listę znanych wirusów z instrukcją, aby je blokować lub izolować. To tak jak nazwisko osoby podejrzewanej o terroryzm. Umieszcza się je na liście tych, którym nie wolno latać, i kiedy facet się pojawia, nie wpuszczasz go do samolotu. Skupiasz się na nazwisku, a w przypadku wirusa na czymś w rodzaju cyfrowego odcisku palca.
- Okej...
- Druga metoda to heurystyka. W tym przypadku wirusa się nie zna i próbuje się go wykryć w drodze analizy typowego zachowania wirusów. Pozostając przy terminologii samolotowej, byłoby to jak tworzenie charakterystyki pasażerów. Nazwisko gościa nie uruchamia alarmu, ale patrzymy, czy robi to, co utożsamia się z zachowaniem terrorysty. Jeśli tak, nie może wsiąść do samolotu.
- Okej, rozumiem.
- No więc największym problemem dla twórcy wirusa jest uniknięcie wykrycia. Jeśli to nowy wirus, nie trzeba się przejmować wykryciem sygnatury, a jedynie zachowań charakterystycznych dla wirusów. Ale jeśli wyeliminuje się wszystkie zachowania wirusowe, wtedy ma się coś, co nie posiada już funkcji wirusa. Może i nie da się tego wykryć, ale jest bezużyteczne.

- Mówimy więc o ukrywaniu - wtrącił Ben.
  - W rzeczy samej. Tu właśnie wkracza kodowanie. Używa się go, aby stworzyć wirus polimorficzny.
- Ben uniósł brwi. Alex zastanawiał się przez chwilę, jak wyjaśnić to tak, aby jego brat zrozumiał.
- „Polimorficzny” oznacza „nieustannie się zmieniający” - odezwała się Sarah. - Mówimy o kodzie, który ulega mutacji, zachowując jednocześnie oryginalny algorytm. Ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie działa kodowanie. Jeśli zakoduje się wirusa, zachowanie charakterystyczne skrywa się pod nieustannie zmieniającą się peleryną. Programy antywirusowe nie wiedzą, czego szukać.
  - Dlaczego nikt tego wcześniej nie zrobił? - zapytał Ben.
  - Zrobił - odparł Alex. - Bułgarski twórca wirusów, ukrywający się pod pseudonimem Mroczny Mściciel, kilka lat temu stworzył taki wirus polimorficzny. A dwóch gości, Adam Young i Moti Yung, napisało na ten temat całą książkę. Ale zawsze pojawiało się wbudowane ograniczenie.
  - Nie da się zakodować całego wirusa - wtrąciła Sarah.
  - Jeśli się to zrobi, jest bezużyteczny. Trzeba zostawić nie-zakodowaną część, która odkoduje i uaktywni część zakodowaną. I właśnie w ten niezakodowany ogon celują programy antywirusowe.
- Alex uśmiechnął się, ciesząc się z tego wtrącenia. Dotąd zachowywała się wyjątkowo cicho. Zupełnie jak nie ona.
- Obsidian koduje całość? - zapytał Ben. - Ale jak?
  - Może to się nie sprawdzi w przypadku każdego złośliwego oprogramowania - odparł Alex. - Nie miałem czasu, aby to przetestować. Ale na pewno potrafi stworzyć wirus, który przenosi złośliwe kodowanie.
  - Nie kumam - rzekł Ben. - Zakodowany wirus do kodowania? Po co komuś coś takiego? Czy to nie rzekomy cel kodowania za pomocą Obsidiana?

Dla Alexa było to tak oczywiste, że przez chwilę nie wiedział, jak odpowiedzieć.

- Tak - odparł - ale rzekomy cel to dobrowolne kodowanie danych i posiadanie własnego klucza do ich odkodowania. Popatrz na to w taki sposób. Wyobraź sobie, że nie mogłeś się dostać do własnych danych. To tak, jakbyś przyszedł pewnego dnia do domu, a ktoś w międzyczasie zainstalowałby dodatkowe zamki w drzwiach, zamki, do których nie masz kluczy. Nawet gdyby sprawcy nie udało się sforsować twoich zamków i skraść twoich rzeczy, uniemożliwiłby ci dostanie się do własnego domu. A to właściwie oznacza, że skradziono ci cały dom. Jesteś bezdomny.
- Więc można by tego użyć do czegoś w rodzaju wymuszenia? - zapytał Ben.
- To jedna możliwość - odparła Sarah. - Może też chodzić o czystą destrukcję. Wyobraź sobie, że zamknąłeś wszystkie dane w jakimś dużym banku. Albo na nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Albo w Departamencie Obrony. Albo...
- Czy tego rodzaju instytucje nie posiadają kopii zapasowych swoich danych?
- Jasne - powiedział Alex. - Ale można stworzyć wirus, który pozostaje w stanie uśpienia wystarczająco długo, aby zainfekować także te kopie zapasowe. A nawet jeśli ktoś miał takie kopie, pomyśl o zamęcie, jaki by wywołało zamrożenie głównej wersji danych.
- Okej, już kumam. Cholera. Są jeszcze inne aplikacje?
- Próbuję się dowiedzieć. Wystarczająco fatalne jest zamknięcie sieci komputerowej, ale gdyby było możliwe zainstalowanie wirusa z Obsidianem i rozkazanie mu, aby potajemnie przekazywał dane w sposób niewykrywalny przez systemy antywłamaniowe? O rany.

Przez chwilę milczeli.

- Więc jaki z tego wniosek? - zapytał Alex. - Chodzi mi o to, kto stoi za tym wszystkim.
- Na pewno ktoś, kto posiada duży zasięg - odparł Ben.
  - Ktoś, kto ma sieć zdolną do wykrycia Obsidiana, prawidłowej oceny jego ukrytego potencjału i działania na dużą geograficznie skalę w celu jego zdobycia. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Chińczycy.
- Dlaczego? - zapytała Sarah.
  - Bo pomijając wszystko inne, są bardzo aktywni, jeśli chodzi o inicjatywy w cyberwojnie. Na komputerze niemieckiego kanclerza udało im się zainstalować oprogramowanie szpiegowskie, które wysysało dziennie jakieś sto sześćdziesiąt gigabajtów informacji, nim ktokolwiek to zdążył zauważyć. A wcale nie tak dawno temu ktoś spenetrował służbowy komputer sekretarza obrony. Pentagon jest zdania, że to Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Prowadzi działania wojenne w celu zaatakowania amerykańskich komputerów i uzyskania przewagi elektromagnetycznej: to oznaczałoby paraliż naszych wojskowych operacji i zakłócenie życia cywili.
  - Daj spokój, Ben - odezwała się Sarah. - Mówisz tak, jakbyś dokonywał prezentacji podczas briefingu w Pentagonie.
  - Uwierz mi, taka jest prawda. Komputery Departamentu Stanu są atakowane dwa miliony razy dziennie. Dwa miliony. W przypadku Pentagonu jest jeszcze gorzej.

O rany, oni naprawdę byli wobec siebie mili. Jeszcze wczoraj podczas podobnych sporów praktycznie pojedynkowali się na śmierć i życie.

- Mówię tylko, że nie powinniśmy wykluczać Stanów Zjednoczonych - powiedziała Sarah. - Nasz rząd także się czymś takim interesuje.

- Jaki jest nasz kolejny krok? - zapytał Alex.  
Sarah wzruszyła ramionami.



- A może to opublikujemy? Notatki Hilzoya, twoje wnioski.
- Zwariowałaś? - zapytał Ben. - Sama dopiero co powiedziałaś, że ktoś, kto wie, jak wykorzystać coś takiego, może dokonać olbrzymich zniszczeń.
- Do końca tego nie wiemy. Alex odkrył złośliwe aplikacje, owszem, ale z tego co nam wiadomo, nigdy nie zostały przetestowane w warunkach polowych.

Ben pokręcił głową.

- W żadnym razie. Wiemy, że Obsidian może się okazać niszczycielski, ale nie wiemy, jak bardzo.

- Informacje chcą być wolne - oświadczyła Sarah.

Ben się zaśmiał.

- Daj spokój, to tak jak mówienie, że krzesło chce być wolne. Informacje niczego nie chcą.
- Chodzi mi o to, że...
- Wiem, o co ci chodzi - wtrącił Alex. - Ale wirusy także chcą być wolne. I to nie jest powód, aby ich nie powstrzymywać. Nie możemy tego opublikować. Wyobraź sobie tylko, jakich mogłoby to narobić szkód. Nie możemy ryzykować.
- W porządku - odparła Sarah. - Ale nie ma mowy, aby ludzie, którym na tym zależy, tak po prostu dali sobie spokój, jeśli uważają, że wiemy o Obsidianie albo że mamy kopię zapasową. Nie ma mowy.

Ben spojrzał na Alexa.

- Nie, nie dadzą sobie spokoju. W nocy pojechałem do domu. Ktoś tam czekał.

Alex poczuł bolesne ściskanie w żołądku na wspomnienie tamtej nocy w wannie.

- Co się stało?
- Pomyślałem, że ktoś może próbować zastawić tam na ciebie pułapkę, więc ja zastawiłem pułapkę na tego kogoś. Problem w tym, że była pułapka, ale nie na ciebie, lecz na

mnie. Albo kogoś podobnego do mnie. Powinienem był to przewidzieć. Po tym co się stało pod Four Seasons, wiedzieli, że masz profesjonalną pomoc, ochroniarza czy kogoś w tym rodzaju. Przechytrzyli mnie. Miałem dużo szczęścia, że udało mi się wyjść z tego cało.

- A co się stało z tym, który tam czekał?

- On nie miał tyle szczęścia.

Alex spojrział na niego. Wcale nie miał ochoty zrozumieć znaczenia ostatniego zdania. Ale brak ochoty nie wystarczył.

- Zabiłeś kogoś? W naszym domu? - wyksztusił.

- Nic tam już nie ma, jeśli tym się właśnie zajmujesz.

- Cóż... tak, tym się właśnie zajmuję.

- Super. No to możesz przestać.

- Ale... cholera, Ben, jeśli to była samoobrona, a jestem pewny, że była, mogliśmy zadzwonić na policję! Uwierzyliby nam. Byłoby... no wiesz, byłoby ciało. Potraktowaliby nas poważnie, musieliby.

- Alex, samoobrona jest właśnie tym: obroną. Nie mam zamiaru dać się oskarżyć o zabójstwo, a potem mieć nadzieję, że jakiś dobry prawnik przekona ławę przysięgłych, że nie miałem wyjścia. Chyba śnisz.

- Do diabła, Ben, właśnie spaprałeś naszą ostatnią szansę!

Ben wstał z łóżka.

- Spaprałem? Zdejmuję trzech ludzi w ciągu dwóch dni, którzy próbują cię zabić, i to nazywasz spapraniami? Nie

podoba ci się moje postępowanie, tak, Alex? Chcesz, żebym co, poszedł dla ciebie do więzienia? Powiedz mi, czego ty, kurwa, chcesz?

Stali, wpatrując się w siebie.

- Słuchajcie - wtrąciła Sarah. - Pytanie jest takie: co teraz robimy?

Alex usłyszał ją tylko jednym uchem. Był taki wkurwiony, że nie wiedział, co zrobić. Jego pewny siebie, wszechwiedzący brat, robiący to, na co ma tylko ochotę, nigdy się z nikim niekonsultujący, nigdy niezważający na konsekwencje.

- Mam sposób na dowiedzenie się czegoś więcej na temat faceta, którym Alex tak się przejął - odparł Ben. - To znaczy: jeśli Alex się zgodzi.

Alex poczuł, że zaraz wrzaśnie: *Pieprz się, po prostu się pieprz!*, a potem wyjdzie i sam stawi czoło temu, co miało się wydarzyć. Żadnej więcej pomocy od tego kutasa.

- Idę do siebie, żebyście mogli porozmawiać - po tych słowach Sarah udała się do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Alex spojrzał na Bena.

- Dlaczego musisz być takim chujem? Ben

pokręcił z odrazą głową.

- Jesteś niewiarygodny.

Alex podszedł do ściany. Dlaczego nie potrafił do niego dotrzeć? Dlaczego Ben nigdy go nie słuchał?

Spojrzał na leżące na podłodze ubrania. W tej koszuli było coś dziwnego. Tylko nie bardzo wiedział co.

Nachylił się. Chodziło o guziki. Wszystkie zniknęły.

Co, u licha? Dlaczego guziki przy koszuli Bena miałyby...

I wtedy go olśniło.

Szlafroki. To dziwne uczucie, kiedy do pokoju weszła Sarah. Jej milczenie. I fakt, że ona i Ben przestali drzeć ze sobą koty.

Spojrzał na łóżko. W poduszce brakowało wgłębienia. Prześcieradło nie było pomarszczone. Ktoś odrzucił tylko w pośpiechu kołdrę, próbując stworzyć pozory, że tu spał.

Że spał sam.

Spojrzał na Bena.

- Wy... wy nie... - usłyszał własne słowa.

Ben przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok.

- O mój Boże. A więc jednak.

Ben obliznął wargi.

- Słuchaj, po tym jak wpadłem w zasadzkę w twoim domu...

- A co to, do diabła, ma z tym wspólnego?

- To taki stan po walce, robi się różne szalone rzeczy.

- Co ty mi chcesz powiedzieć, że po tym jak kogoś zabiłeś, musiałeś uprawiać seks z Sarah? Że nie miałeś wyboru? Że to - nic nie mów - że to taka żołnierska przypadłość, której ja nie mogę pojąć? O to chodzi? Dobrze to rozumiem?

Ben westchnął.

- Alex, przykro mi.

Słyszając te puste słowa, Alex poczuł, że go nienawidzi. Nienawidzi tak bardzo, jak jeszcze nigdy. Nienawidzi za wszystko, co spowodował, za to, że Alex go potrzebuje, za wykorzystanie sposobności, żeby...

- Nie jest ci przykro! - wrzasnął Alex, dziabiąc go palcem. - Tobie nigdy nie jest przykro. Nieważne, co zrobisz, nieważne, co spowodujesz, nigdy nie jest ci przykro!

- O czym ty mówisz? Właśnie ci powiedziałem, że jest mi przykro.

- Gówno prawda.

- No to czego ode mnie chcesz, Alex? Powiedz mi, czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

- Niczego. Niczego od ciebie nie chcę.

- Taaa, cóż, to dobrze. Ponieważ ja niczego nie jestem ci winien. Zresztą i tak nigdy nie byłeś mi wdzięczny. Umiesz jedynie narzekać, zakładając, że w ogóle zauważasz, co dla ciebie robię.

- Co robisz dla mnie? Chryste, jak można być aż tak ślepym?

- Ślepym? - zapyta! Ben. - Ja jestem ślepy? Jedyne co robię, to ratuję ci tylek, kiedy wpadasz w tarapaty. Jest tak jak w szkole, tyle że ludzie, którzy chcą cię dopaść, nie zamierzają cię zbić, ale zabić, a ty uważasz, że masz prawo do mojej ochrony, takie prawo, że nawet nie przyjdzie ci do głowy, aby mi podziękować. Mam tego dość. Jest tak jak w szkole, i mam tego dość.
- Chcesz, żebym był ci wdzięczny za to, że poradziłeś sobie z paroma szkolnymi dręczycielami, Ben? Zabiłeś Ka-tie. Zabiłeś ją. Dlaczego po prostu nie...

Ben poruszył się tak szybko, że Alex nie miał czasu zareagować. Uderzył go obiema dłońmi w klatkę piersiową i Alex poleciał do tyłu na ścianę. Jego głowa odbiła się od tynku i ujrzał gwiazdy. Ben chwycił za materiał jego koszuli i docisnął go do ściany, wbijając mu knykcie w szyję. Alex złapał go za nadgarstki i próbował je odsunąć, jednak bez rezultatu. Nie mógł mówić. Nie mógł oddychać. Ben ryczał coś niezrozumiałego, a jego gorący oddech omiatał mu twarz. Alex uniósł ramię, żeby go walnąć, ale zaraz za sobą miał ścianę i nie mógł się zamachnąć. Uderzył Bena w szczękę, ale nic to nie dało. Poczul, jak jego płuca spazmatycznie walczą o powietrze, i pomyślał: *O Boże, on próbuje mnie zabić, naprawdę próbuje mnie zabić.* Wpadł w panikę. Uniósł kolano, ale biodra Bena były odwrócone, jego krocze poza zasięgiem. Chwycił za dłonie Bena, a potem zaczął odpychać jego twarz. Nacisk knykci na jego szyję jeszcze się zwiększył.

Jakaś odległa część jego umysłu wyszeptwała: *Broń. Broń. Broń.*

Sięgnął na oślep do kieszeni. Kontury pokoju zdawały się rozmywać za twarzą Bena, a wszystko zaczęły pokrywać szare plamy.

*Broń. Broń. Broń...*

Ben kopnął go w jądra. W jego podbrzuszu nastąpiła eksplozja bólu, przed oczami rozbłysło światło. Ben zrobił

krok do tyłu i Alex upadł na podłogę, krztusząc się i kasz-  
ląc.

Ben przykucnął i wyjął mu z kieszeni pistolet, po czym odsunął się.

- Co zamierzasz zrobić, Alex, zastrzelić mnie? Tak? Chcesz mnie zastrzelić?!

Alexowi udało się klęknąć. Jedną ręką trzymał się za gardło, drugą za brzuch. Z trudem zaczerpnął powietrza.

- Chcesz mnie zastrzelić? - powtórzył Ben. - Uważasz, że zabiłem Katie? I tatę? I mamę? Uważasz, że to wszystko moja wina? Cóż, masz okazję ich pomścić. Śmiało.

Alex usłyszał głuchy odgłos. To Ben rzucił na dywan pi-  
stolet, który mu wyjął z kieszeni.

Dyszał i walczył z mdłościami. *Zabiję cię* - pomyślał.

- No dalej, twardzielu - powiedział Ben. - Brak ci od wagi?

Alex podniósł pistolet i wycelował w twarz Bena. Wy-  
obraził sobie, jak naciska na spust, wyobraził sobie, jak Ben  
leci do tyłu.

- Właśnie tak. Właśnie tak. Śmiało, Alex. To ja jestem  
osobą, która zabiła całą twoją rodzinę, no nie? Ja to zrobi-  
łem, to wszystko przeze mnie. Śmiało.

*Po prostu naciśnij spust. Naciśnij spust. Niech z jego gęby  
w końcu zniknie ten uśmiezek.* Ben pokręcił z niesmakiem  
głową.

- Nie będę czekał bez końca, dupku. To twoja szansa.  
Jeśli chcesz strzelić, to strzelaj.

Alex wstał z podłogi, nadal ciężko dysząc. Nienawidził  
Bena za to, że w ogóle się nie boi. Najbardziej nienawidził  
go właśnie za to.

*No to spraw, żeby się bał. Zrób to. Próbowal cię zabić.  
Zrób to. Katie. Mama. Tata. Zrób to zrób to zrób to ZRÓB TO.*

Otworzyły się łączące pokoje drzwi. Zerknął w lewo. Sa-  
rah.

- Przestańcie! - zawołała.

Ben spojrzał na nią, a potem na Alexa.

- Ostatnia szansa - powiedział.

- Alex, zwariowałeś? - zapytała Sarah. - Odłóż ten pistolet. Odłóż go!

Boże, pragnął to zrobić. A myśl o podziurawieniu ciała swego zadowolonego z siebie pyszałkowego brata przyniosła kolejną falę mdłości.

Ale nie potrafił. Wiedział to. A świadomość, że Ben także to wie, że przez cały czas wiedział, doprowadzała go do szału.

Nie myśląc, rzucił pistolet w głowę Bena. Trafił go w czoło i Ben się przewrócił.

- Alex! - zawołała Sarah.

- Okej - powiedział Alex. - Teraz twoja kolej. Śmiało.

Ben usiadł. Z rozcięcia na głowie sączyła się strużka krwi. Wziął do ręki pistolet.

- Chcesz mnie zabić? - zapytał Alex. - Zabiłeś wszystkich innych. Śmiało. Mnie też zabij.

Ben przejechał palcami po czole. Spojrzał na krew, po czym wytarł ją w szlafrok.

- Gdybyś mnie obchodził - rzekł - tobym to zrobił. Ale tak nie jest. Z nami koniec. Radź sobie sam.

Podszedł do leżących na podłodze ubrań, zdjął szlafrok, jakby Alexa i Sarah tu nie było, założył spodnie, potem buty, następnie pozbawioną guzików koszulę i marynarkę. Wziął torbę i wyjął z niej komórki Alexa i Sarah. Cisnął je na łóżko i przerzucił torbę przez ramię.

- Ben - odezwała się Sarah.

Minął ją, wszedł do łazienki, jakby w ogóle jej tam nie było. Po kilku sekundach wyszedł z myjką przyciśniętą do czoła.

- Ben - powtórzyła Sarah.

Przystanął i spojrzał na nią.

- To był błąd - powiedział. - Zapomnij o tym.  
Następnie otworzył drzwi i wyszedł. Zamknęły się za nim z kliknięciem.

Przez chwilę w pokoju panowała dziwna cisza.

- Co tu się, do diabła, stało? - zapytała w końcu Sarah.

- Nic - odparł Alex, nagle czując do niej niechęć. Zabrał ją ze sobą tylko dlatego, aby jej pomóc, ponieważ mogło jej grozić niebezpieczeństwo. A ona mu odpłaciła, pieprząc się z jego bratem. Alex przez całą noc siedział nad Obsidianem, gdy tymczasem oni parzyli się jak króliki. Do diabła z tym wszystkim. Nie potrzebował jej. Nikogo nie potrzebował.

- Jadę do domu - oświadczył. - Zobaczymy się w pracy.

- Jak możesz jechać do domu? - zapytała. - Ben przecież mówił...

- Nie chcę tego słuchać! - przerwał jej ostrzej, niż zamierzał. - Po prostu... jak powiedział, zapomnij o tym. Po prostu zapomnij.

Udał się korytarzem do trzeciego pokoju, skąd zabrał swoje rzeczy. Miał gdzieś to, że ktoś nadal mógł na niego czyhać. Wszystko miał gdzieś. Jeśli ktoś go zabije, winę i tak będzie ponosić Ben. Tak jak we wszystkich pozostałych przypadkach.



## Wycofać się

Ben pieszo pokonał kilka przecznic do Szpitala Chińskiego na Jackson Street. Poranne słońce wisiało nisko na niebie, na tyle ostre, by musiał mrużyć oczy. W głowie czuł pulsowanie, tam, gdzie trafił go rzucony glock, i cały był podminowany z powodu tego, co się dopiero co wydarzyło. Mimo to zachowywał po drodze środki ostrożności.

Rzut Alexa go zaskoczył. Stanowił przypomnienie, jak niebezpieczny potrafi być amator. Żadnemu zawodowcowi na świecie nie przysłoby do głowy cisnąć bronią, a już na pewno nie naładowaną i gotową do użycia. To było po prostu... wbrew zasadom.

Ta oczywiście nie była naładowana, choć Alex o tym nie wiedział. Kiedy leżał na podłodze, walcząc o tlen, Ben wyjął magazynek i opróżnił komory. Wiedział, że jego brat nie dostrzeże różnicy. I choć jedynie próbował zawstydzić i upokorzyć tego małego gnojka i miał pewność, że Alex nie odważy się pociągnąć za spust, wołał wspomóc tę pewność.

Skrzywił się z bólu. W torbie miał parę bandaży Quik-Clot i mógłby ich użyć do oczyszczenia rany i zatamowania krwawienia, ale był tak blisko szpitala... równie dobrze mógł dać tę ranę porządnie zdezynfekować i opatrzyć, a bandażę zachować na inną okazję.

Tak, miał raczej co do odwagi Alexa, a raczej jej braku. Nie żałował jednak, że wyjął z pistoletu naboje. Jak to szło? Najgłupsze ostatnie słowa to: „Nie odważysz się”. Nie ma sensu aż tak ryzykować.

Prawdziwe ryzyko pojawiło się, gdy wziął Alexa za frak, bo kiedy Ben czuł aż tak wielki gniew, o niebo łatwiej było mu zacząć, niż przestać. Nawet już wszystkiego nie pamiętał. Alex oskarżył go o zabicie Katie, w końcu wypowiedział głośno swoje myśli, o których Ben wiedział przez te wszystkie lata. Usłyszał te słowa i wtedy... co on zrobił? Pojawiła się czerwona mgła, a potem go dusił, no nie? Tak, dusił.

*Dusił? Powiedz to. Zabijałeś go. Wiedziałeś o tym. Czuleś. Pragnąłeś tego.*

Ben powstrzymał się. Nie wiedział jak, ale się powstrzymał. To musiało coś znaczyć.

W szpitalu udał się na oddział pomocy doraźnej i wypełnił formularz, korzystając z fałszywego nazwiska i dokumentów. Miał szczęście, gdyż był jedynym pacjentem. Od razu zabrano się za jego czoło.

Niewiarygodne. Brał udział w dwóch strzelaninach w ciągu dwóch dni - i jeszcze Stambuł parę dni wcześniej, czemu tego też nie liczyć? - i wyszedł z nich wszystkich bez szwanku. Zranił go dopiero jego brat, który, kurwa, nie odróżniłby glocka 26 od kamienia.

Niemal się zaśmiał na tę myśl. Choć był nieźle wkurzony, musiał przyznać, że Alex miał jednak trochę odwagi. Przynajmniej odpowiedział na atak. I próbował użyć broni, choć Ben od razu to wyczuł i bez problemu mu to uniemożliwił.

Pięć szwów i dwa ibuprofeny później wyszedł ze szpitala i udał się w miejsce, gdzie w nocy zostawił samochód. Zastanawiał się, co teraz zrobić. Nie miał nowych rozkazów i po Stambule spodziewał się, że tak będzie jeszcze co najmniej dwa tygodnie. Może pojedzie do fortu Bragg, trochę potrenuje. Albo poleci na kilka dni do Cabo. Taaa, Cabo, trochę ponurkuje, poleniuchuje na plaży, zobaczy, co się będzie działo. Dobry pomysł.

Po drodze skręci kawałek na południe. Żeby się przekonać, czy znajdzie tamto volvo. Nie dla Alexa - pieprzyć go. Chciał po prostu zaspokoić własną ciekawość i tyle.

Czterdzieści minut później krążył po spokojnych uliczkach Ladery. Długo trwało, nim znalazł samochód tego faceta - srebrne S80. Sprytnie zaparkował, na Dos Loma Vista Drive, zaledwie osiemset metrów od domu Alexa w linii prostej, ale kilka kilometrów dalej autem. Widać było, że przestudiował mapę topograficzną i wywnioskował z niej, że za pomocą noktowizora bez trudu może się udać do domu Alexa na skróty, przez podwórka i ogrody, a samochód zostawić w miejscu, gdzie nawet ktoś, kto będzie go szukać, nie trafi na niego tak od razu.

Kiedy Ben zobaczył, że światła volvo mrugają w odpowiedzi na wciśnięcie guzika w pilocie, zatrzymał samochód i wysiadł. Dos Loma Vista było wysadzane drzewami ślepą uliczką. Na ulicy nikogo nie było. Nikt go nie zobaczy.

Zajrzał pod samochód, szukając materiałów wybuchowych. Czysto. Następnie przyjrzał się uważnie tylnym drzwiom. Gdyby ktoś podłożył bombę, najprawdopodobniej przewody podłączyłby do drzwi od strony kierowcy, ale już raz go przechytrzone i nie zamierzał dopuścić do powtórki z rozrywki. Tyłne drzwi były w porządku. Wsiadł do samochodu i szybko go przeszukał. Pusto. Żadnego dowodu rejestracyjnego ani nawet materiałów wypożyczalni samochodowej. W schowku znajdował się tylko jeden przedmiot. Telefon komórkowy.

*Mam cię.*

Ben schował telefon do kieszeni i zapisał numer identyfikacyjny pojazdu. Mało prawdopodobne, aby coś mu to dało, ale nigdy nie wiadomo.

Odjechał swoim autem i zatrzymał się na parkingu centrum handlowego Ladera. Telefon to samsung T219, model dla początkujących, najpewniej jednorazowego użyt-

ku. Sprawdził wyświetlacz. Jedno połączenie przychodzące - z numerem kierunkowym 650. To stąd. Ktoś dzwonił za ledwie piętnaście minut temu. Nic więcej. Przed wyjściem z samochodu ten facet najwyraźniej wyczyścił pamięć telefonu. Sprytnie. Ale nie mógł powstrzymać kogoś przed dzwonieniem do niego później.

Ben wcisnął przycisk „Oddzwoń” i przyłożył aparat do ucha. Po dwóch sygnałach usłyszał męski głos:

- Dzwoniłem, tak jak kazałeś. Nadal go nie widziałem.

Serce Bena szybciej zabiło. Jasny gwint, ten głos był znajomy. Ale nie potrafił go umiejscowić.

- Wiem, że dzwoniłeś - odparł niemal szeptem, aby zakamufłować swój głos.

- Gdzie jesteś? Dlaczego tak cicho mówisz?

- W miejscu publicznym. Nie chcę, żeby ktoś słyszał. A ty gdzie jesteś?

- W kancelarii, a gdzie mam być? Nie ma go tutaj.

Sukinsyn. Kancelaria. Stamtąd właśnie znał ten głos.

To był Osborne.

Szybko myśląc i improwizując, Ben rzekł:

- Pojawił się mały problem. Muszę się z tobą spotkać.

- Teraz?

- Tak. Wyjdź na parking i stań przy swoim samochodzie. Będę tam za pięć minut.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- To chyba nie jest dobry pomysł - rzekł w końcu Osborne.

- Zmienisz zdanie, kiedy się ze mną spotkasz i dowiesz, co się stało. Pięć minut. Szybko to załatwimy, a potem będziesz wolny.

Rozłączył się, nie dając Osborne'owi szansy na odpowiedź. Improwizacja Bena najpewniej zawierała mnóstwo nieścisłości. W tej właśnie chwili podświadomość Osborne'a szepotała mu, że coś tu nieładnie pachnie. Myk polegał na

tym, aby czuł, że wywiera się na niego presję, i nie miał czasu na wysłuchanie tego cichego głosiku szepczącego, że coś jest nie w porządku. Ani na wezwanie posiłków. Pięć minut było idealne.

Do Page Mill pojechał drogą 280 i wjechał na parking przed Sullivan, Greenwald. Gdyby Osborne nie czekał, dorwałby go w jakiś inny sposób, to nie stanowiło problemu.

Ale czekał. Stał obok błyszczącego czarnego mercedesa, rozglądając się nerwowo. Absurdalnie wyglądał w T-shircie i kowbojkach. Ben wjechał na miejsce obok niego. Osborne przyglądał mu się z oszołomieniem. Nim zdążył przetrwać to, co widzi, Ben wysiadł z auta z glockiem w dłoni. Osborne zobaczył broń i wybałuszył oczy.

- Nic nie mów - rzekł Ben. - Po prostu otwórz swój samochód i siądź za kierownicą. Zrobisz to, a ja uznam, że chcesz ze mną rozmawiać. Nie zrobisz, a uznam, że chcesz być martwy.

- Ja... ja... - wyjąkał Osborne.

Ben wycelował glocka w jego krocze.

- Zamknij się i otwórz samochód.

Osborne wyjął kluczyki i wcisnął przycisk. Rozległo się piknięcie i błysnęły światła. Ben wsiadł do tyłu, od strony pasażera. Przecisnął się obok fotelika dziecięcego i usiadł za Osborne'em.

- Teraz jedź - nakazał mu Ben. - Jak będziesz grzeczny, to tylko sobie pogadamy. Zacznieš kombinować, to cię zabiję. Rozumiemy się?

- Gdzie mam jechać?

- Na Page Mill w prawo i w stronę drogi 280.

Wyjechali z parkingu i skręcili w prawo.

- O co chodzi? - zapytał Osborne.

- To ja zadaję pytania. Ty tylko prowadzisz. Skręć w lewo w Coyote Hill Road.

- Coyote... czemu chcesz jechać tam, gdzie nie ma ludzi? Dlaczego nie możemy porozmawiać podczas jazdy?

Dobry odruch, pomyślał Ben. I sprytne pytanie.

- Rób, co ci każę, inaczej wpakuję ci w podstawę czaszki dziewięciomilimetrową kulkę. Ekspłduje ci mózg i będzie przy tym mało krwi. Przenieś cię na miejsce dla pasażera i odwiozę twoje zwłoki do kancelarii. Podoba ci się taki pomysł?

- Dobrze, dobrze, Coyote Hill Road.

Minutę później Osborne skręcił tam, gdzie polecił mu Ben.

- Tam jest droga gruntowa - Ben pokazał na wysadzaną drzewami drogę, prowadzącą przez zielone wzgórza do Deer Creek Road i jakichś kompleksów biurowych. - Skręć w nią.

Zjechali kawałek w dół tej drogi, a kiedy nie było już ich widać z Coyote Hill, Ben powiedział:

- Zatrzymaj się. Wyłącz silnik.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał Osborne.

Ben zepchnął fotelik dziecięcy na podłogę i przesunął się na drugą stronę, żeby widzieć twarz Osborne'a.

- Chcę poznać twoje korzyści z Obsidiana.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- O wynalazek, który Alex patentował.

- Wiem, o co chodzi, ale nie rozumiem, o czym mówisz.

Ben przez chwilę się zastanawiał. Istniały dwie możliwości. Jedna: Osborne zarządzał tym wszystkim z pomocą imponujących najemników. Druga: ktoś z zewnątrz nim dowodził. Która była prawdziwa? Osborne musiał poczuć, że Ben wie więcej niż w rzeczywistości - wtedy zacznie mówić. Aby stworzyć to złudzenie, Ben musiał zacząć od spraw ogólnych. Opierając się na odpowiedziach i reakcjach Osborne'a, będzie mógł przechodzić od ogółu do szczegółu.

Osborne się bał, to było oczywiste. Zgoda, znajdował się na celowniku Bena, ale w tym strachu chodziło chyba o coś jeszcze.

- Jak cię dorwali? - zapytał Ben.

- Nikt mnie nie dorwał. Mówiłem że, nie wiem, o co ci chodzi.

Ben się uśmiechnął. Po nagłych kropelkach potu na czole Osborne'a i po wyrazie jego oczu widział, że to pytanie go przeraziło. Okej, a więc ktoś miał na niego haka. Ale jakiego?

Zerknął na leżący na podłodze fotelik. Zagrozili jego rodzinie? Nie. Chodziło o coś innego. Strach Osborne'a wydawał mu się przesycony... wstydem.

Co Ben o nim wiedział? Poznał go tylko przelotnie. Za ledwie kilka minut spędził w jego gabinecie. Alex mówił coś o Tajlandii, no nie? I wisiało tam zdjęcie. Osborne z jakimś tajskim dygnitarzem.

- Chodziło o Tajlandię, prawda? - zapytał Ben. Ryzykował, ponieważ gdyby się mylił, Osborne by się przekonał, że błądzi po omacku, i trudno byłoby wrócić do wcześniejszych relacji.

Ale się nie mylił. Osborne zamrugał szybko oczami i odparł:

- To w ogóle nie ma sensu.

*Ależ ma* - pomyślał Ben. - *To nerwowe mruganie jest lepsze od wykrywacza kłamstw.*

- Zdjęcia? - zapytał. - Film? Co to było?

Osborne pokręcił głową, nic nie mówiąc. Powieki tak szybko mu drgały, że aż trudno to było obserwować. W samochodzie unosił się cierpki zapach strachu.

*Fotelik samochodowy* - pomyślał Ben. - *Mężczyzna posiadający rodzinę. Reputację. Pozycję społeczną.*

I upodobanie do czegoś w Tajlandii. prostytutki? Możliwe. Chłopcy przebrani za kobiety? Dzieci? W Bangkoku można było znaleźć wszystko, na co się miało ochotę.

Cóż, tak naprawdę nie miało to znaczenia. Wiedział już wystarczająco dużo, aby go przycisnąć.

- Musisz coś zrozumieć - rzekł Ben. - Ludzie, którzy cię szantażują, są także moimi wrogami. Zdążyłeś się już domyślić, co robię swoim wrogom? - Osborne nic nie powiedział, więc Ben kontynuował.

- Powiedz mi więc, co muszę wiedzieć, a ludzie, którzy się władowali do twojego życia, znikną. Definitywnie. Nie powiesz mi, a uznam, że nadal próbujesz doprowadzić do śmierci mojego brata. Czyli że jesteś... moim wrogiem.

- To nieprawda! - oświadczył Osborne. - Nie chcę, żeby Alex zginął. Nikogo nie chcę skrzywdzić.

- No to mi powiedz. Przekonaj mnie.

Osborne spuścił wzrok. Po chwili rzekł:

- Kilka miesięcy temu...

- Nie odwracaj wzroku. Chcę widzieć twoje oczy.

Osborne spojrział na niego, krzywiąc się ze strachu

i gniewu.

*Zgadza się, dupku. Czujesz to? Trafiliś na żywy wykrywacz kłamstw.*

- Kilka miesięcy temu wychodziłem wieczorem z kancelarii. Koło mojego samochodu czekał mężczyzna. Zwrócił się do mnie po imieniu. „David, dobrze cię widzieć” - tak powiedział. Ale ja nie miałem pojęcia, kim jest. On... wręczył mi szarą kopertę. Powiedział, że ma coś, o czym nie chce, żeby ktokolwiek wiedział. Że może dopilnować, aby nikt się nie dowiedział.

- Co było w kopercie?

Cisza. Osborne oblizwał wargi i rzekł:

- Zdjęcia.

- Jakie zdjęcia?

- Zdjęcia z Tajlandii.

Okej, wystarczy. Ben zaczynał coraz więcej rozumieć.

Ktoś dowiaduje się o Obsidianie. Na razie odłóżmy na bok, w jaki sposób; po rozmowie z Alexem wiedział, że istnieje



wiele możliwości. Ten ktoś chce wyeliminować wynalazek. Gdzie trzeba uderzyć? Wynalazca, prawnik, gość od patentów. Urząd Patentowy. Jego system księgowania. Kancelaria prawna.

- Czego od ciebie chcieli? - zapytał Ben.
- Chcieli wiedzieć, jak się pozbyć Obsidiana. Powiedziałem im, że to niemożliwe, że przecież, na litość boską, znajduje się już w rządowym systemie WIZP, ale oni kazali się tym nie przejmować. Pytali, jak się go pozbyć z Sullivan, Greenwald. Chcieli wiedzieć, jak działa nasz system katalogowania, hasła, kopie zapasowe, wszystko.
- A ty im powiedziałaś.
- Ja... musiałem.

To miało sens. Dzięki formularzowi zgłoszeniowemu wiedzieli, że to Alex zajmuje się patentem. Ale musieli mieć pewność, że wynalazek zniknie, i dlatego potrzebna im była wtyczka.

Skąd więc wiedzieli, że mogą wykorzystać akurat Osborne'a? Można zacząć od strony internetowej kancelarii. Otrzymuje się listę partnerów i prawników i ich notki biograficzne. Określa się prawdopodobne możliwości na podstawie publicznie dostępnych informacji. Szuka się osoby pozostającej w związku małżeńskim, osoby posiadającej rodzinę, osoby, na którą można wyrzucić presję. Wystarczy kilka listów wystawionych przez organy bezpieczeństwa narodowego i można zajrzeć do ich życia: założyć podsłuch w telefonie, przejrzeć wyciągi z kart kredytowych, śledzić e-maile. Kto oszukuje fiskusa? Kto ma kochankę? Kto ukrywa swój homoseksualizm? Kto ma pracę wymagającą częstych wizyt w jednym z najbardziej rozwiązłych miast świata?

Następnie pora na Sabre albo jakiś inny system rezerwacji on-line, aby się dowiedzieć, kiedy ten ktoś podróżuje. Jaki hotel? Ten facet jest współnikiem w dużej kancelarii prawnej, na pewno zatrzymuje się w którymś z trzech lub

czterech najlepszych hoteli w mieście. Przeszukanie jego pokoju. Aparat fotograficzny. Ukryta kamera. Można też go śledzić, gdy udaje się w jakieś inne miejsce. Zdobyć dowody. Pokazać mu je. Sprawić, aby poczuł, jak to będzie, jeśli te zdjęcia zobaczy jego żona. Albo jeśli filmik pojawi się na YouTube, a wszyscy w jego książce adresowej otrzymają do niego link. Ma się wtedy w garści jego życie, jego reputację, wszystko. Jest się jego właścicielem.

- Kim był człowiek, do którego rano zadzwoniłeś?
- To on. Ten, który tamtego wieczoru czekał na mnie na parkingu.
- Ma jakieś imię?
- Kazał mi mówić na siebie Atrios.
- Okej. Dlaczego rano dzwoniłeś do Atriosa?
- Wczoraj do mnie zadzwonił. Szukał Alexa.
- Co mu powiedziałeś?
- Że Alex rano pojawił się w pracy, ale że później go już nie widziałem. Kazał mi zadzwonić, gdyby to się zmieniło, i tak czy inaczej regularnie się meldować.

To się zgadzało z tym, co wcześniej mówił przez telefon, no i z tym, na co Ben natrafił w ogrodzie Alexa. Ale kim był Atrios? Dla kogo pracował?

- A ten Atrios - powiedział Ben. - Jak się z nim kontaktowałeś?
- Mam numer jego komórki. I tyle.

Ben przez chwilę się zastanawiał. Atrios był z całą pewnością profesjonalistą i szansa na to, że kupił telefon albo wynajął samochód na swoje nazwisko, była praktycznie zerowa. Cholera, najwyraźniej zabijając go, pozbawił się jedyne go źródła informacji. Co nie znaczy, by wtedy miał jakiś wybór.

Zabrzączał mu telefon w kieszeni. Wyjął go i zerknął na wyświetlacz. Nie świecił się. *Co, u licha?* pomyślał. Znowu zabrzączało w kieszeni.

*A to sukinsyn. Komórka Atriosa.* Wyjął telefon zabrany z volvo i spojrzął na wyświetlacz. Numer kierunkowy 202. Dystrykt Kolumbii.

- Odbiorę ten telefon - powiedział do Osborne'a. - Ręce połóż na kierownicy, patrz przed siebie, nic się nie odzywaj.

Osborne usłuchał. Ben wcisnął zielony guzik i przyłożył telefon do ucha.

- Załatwione - powiedział równie cicho jak podczas wcześniejszej rozmowy z Osborne'em.

- Czemu się, do diabła, nie zameldowałeś? - odezwał się głos po drugiej stronie.

Ben gotowy był improwizować na kilkanaście różnych sposobów. Nie był jednak przygotowany na to. Zamarł, nagle nie mając pojęcia, co zrobić czy powiedzieć.

Ten chropawy baryton... silny akcent z wybrzeża Georgii...

- Hort - rzucił Ben. - Co się dzieje?

Cisza. Po chwili:

- Kto to? -Ben.

Znowu cisza.

- Ben? Co ty, do diabła, robisz, synu?

- Hort, co tu się wyrabia? Kim był Atrios? Czy mój brat jest celem jakiejś operacji? I ja też?

- Twój brat... kim jest twój brat? O Jezu Chryste, chodzi ci o tego prawnika?

Ben desperacko próbował zrozumieć, co się dzieje. Czy Hort udawał głupiego? Jakie było prawdopodobieństwo...

- Co się stało z Atriosem? - zapytał Hort. - Skąd masz jego telefon?

- Atriosa już nie ma.

- Jasny gwint. Ty... cholera, Ben, nie masz pojęcia, ile namieszałeś.

- Ja namieszałem? Wdepnąłem w niezłe bagno. Próbuję je choć trochę posprzątać.
- Posłuchaj mnie. Masz się wycofać. Natychmiast. Rozumiesz? Wycofać się.
- Wycofać się z czego?
- Nadal jesteś w San Francisco?  
W głowie Bena rozbrzmiał dzwonek alarmowy.
- Tak.
- Ja też. Musimy się spotkać.
- Co tu robisz?
- Dowodzę operacją, w której ty mieszasz.
- Celem twojej operacji jest mój brat.
  - Teraz to rozumiem. Wcześniej nie. Musimy to wyjaśnić. Jezu Chryste.
- Czego ode mnie chcesz?
  - Jestem w Grand Hyatt na Stockton. Spotkajmy się za piętnaście minut w lobby.

Ben miał mieszane uczucia. Z jednej strony, piętnaście minut to dla Horta za mało na wymyślenie czegoś. Z drugiej, nigdy nie lubił spotykać się w miejscu proponowanym przez drugą stronę.

Nie. Potrzebował czasu na zastanowienie się.

- Jestem teraz na południe od ciebie - odparł. - Droga do hotelu zabierze mi godzinę. Umówmy się za półtorej.

To powinno spodobać się Hortowi. Skoro Ben zgodził się na proponowane miejsce i nie przeszkadzała mu późniejsza godzina, to by znaczyło, że mu ufa. Podczas gdy tak naprawdę nie ufał ani trochę.

- W porządku. Za półtorej godziny.

Ben się rozłączył. Spojrzał na Osborne'a. Mężczyzna trzymał ręce na kierownicy.

- Wiedziałeś o wynalazcy, prawda? - zapytał Ben. Znowu zaczął czuć pulsowanie w głowie. - O Hilzoyu. Wiedziałeś, co się z nim stało.

Osborne patrzył przed siebie. Kiedy się odezwał, głos miał o oktawę wyższy niż normalnie.

- Policja twierdzi, że został zabity podczas porachunków dilerów narkotyków.
- Owszem, tak uznała policja, tak właśnie miała uznać, ale zapytałem, co ty, kurwa, wiedziałeś.

Osborne nie odpowiedział. Taka odpowiedź była wystarczająca.

Pulsowanie przybrało na sile. Ten gnojek wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedział, że zamierzają zabić Alexa. A to było równoznaczne z osobistą próbą zabicia jego.

Bena zdumiała własna niekonsekwencja. Za ledwie parę godzin temu sam chciał zabić Alexa, właściwie nawet pragnął to zrobić. Ale to było coś innego. Alex był jego bratem. Może to paradoks, może kompletnie popieprzona sytuacja, ale tak właśnie było.

Zastanawiał się, czy Osborne jeszcze coś ujawnił. Gdyby usunięcie go miało poprawić stan rzeczy, zrobiłby to. Ale nie był pewien. Nie wiedział, jak postąpić. Z jednej strony miał ochotę go sprzątnąć i prawdę powiedziawszy, właśnie z myślą o tym przywiózł go na to odludzie. Ale patrząc, jak ściska kierownicę, widząc, a nawet czując strach tego człowieka, nagle zaczął o tym myśleć z niechęcią. Zabił wielu ludzi - w walce, w samoobronie, z zimną krwią. Ale nigdy nie zabijał, jeśli nie było to usankcjonowane czy konieczne. W życiu przekroczył wiele granic i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że tej przekraczać już nie chce.

Spojrzał na Osborne'a.

- Wsiadaj. Drzwi zostaw otwarte.
- Osborne obejrzał się na niego. Miał błagalne spojrzenie.
- Nie rób tego. Błagam, nie rób.
- Gdybym miał taki zamiar, już bym to zrobił, dupku.

I to tak, że ty byś się niczego nie spodziewał.

Obaj wysiedli.

- Połóż na siedzeniu kluczyki i telefon - nakazał Ben.  
Osborne usłuchał polecenia.

- A teraz odsuń się od samochodu. Znajdziesz go na waszym parkingu. Miłego spaceru.

Wrócił do Sullivan, Greenwald, zaparkował i przesiadł się do swojego auta. Chciał ufać Hortowi. Zawsze chciał. Było mu teraz niedobrze z tymi wszystkimi wątpliwościami.

Ale może istniało jakieś wyjście z tej sytuacji. Może dałoby się to wszystko naprostować. Jeśli usiądzie razem z Hortem, wysłucha, co ten ma do powiedzenia... Może istniało jakieś wytłumaczenie. Może da się wszystko odwołać. Może.

Ale najpierw musiał mieć pewność, że Alexowi nic nie grozi.

# Uklucie

Sarah wsiadła przed hotelem do taksówki, która miała ją zawieźć do jej mieszkania w Mission. Była wykończona i czuła się dziwnie odrętwiała. Wczorajsza noc, z Benem... była niesamowita. Nie wiedziała, czy wyniknie z tego coś więcej, czy w ogóle chce, aby wynikło coś więcej, ale coś się między nimi wydarzyło i nawet w samym środku tego szaleństwa miało to na nią olbrzymi wpływ. A rankiem on sobie poszedł, traktując ją tak, jakby była wygodnym krzesłem, na którym fajnie mu się siedziało. Dlatego że co, że pokłócił się z bratem? I przez to tak ją po prostu odrzucił?

A może kłótnia z Alexem była jedynie pretekstem. Od samego początku wiedziała, że ten mężczyzna jest poplątany i że powinna się trzymać od niego z daleka. Była wściekła zarówno na siebie i swoją absurdalną zmianę zdania, jak i na Bena za to, że potraktował ją jak przedmiot jednorazowego użytku.

Alex. Nie chciała go zranić. Nie wiedziała nawet, że jest w stanie. I jak teraz będzie w kancelarii? Nadal będzie chciał z nią pracować? Czy też postara się odsunąć ją na boczny tor?

Uświadomiła sobie, że jej zmartwienia natury zawodowej czy nawet sentymentalnej to małe piwo i że najpewniej jej umysł zajął się nimi, aby zignorować prawdziwe kłopoty. Ludzie, którzy chcieli położyć łapy na Obsidianie, wcale nie zniknęli. Jeśli wcześniej groziło jej niebezpieczeństwo, teraz najpewniej także. Nie wiedziała jednak, co w związku

z tym zrobić, przejmowała się więc sprawami, których konsekwencje były znacznie mniej poważne.

Taksówka zatrzymała się na Lexington Street przed jej mieszkaniem, mieszczącym się w suterenie jednego z wąskich, wolno stojących, otoczonych drzewami domów. Podała jej się tutaj z powodu niewielkiego natężenia ruchu. Na chodnikach było tu więcej rowerków należących do okolicznych dzieci niż samochodów na ulicy.

Zapłaciła kierowcy i wysiadła. Nie było jej, ile, zaledwie dwadzieścia cztery godziny? A mimo to spokój i swojskość okolicy wydawały jej się surrealistyczne.

Zacząła iść wyłożoną płytami ścieżką prowadzącą do drzwi wejściowych. Z prawej strony usłyszała wołanie jakiegoś mężczyzny:

- Proszę pani!

Odwróciła się zaskoczona, bo po wyjściu z taksówki nikogo nie dostrzegła. Od razu włączył jej się dzwonek alarmowy. A jeśli się dowiedzieli, gdzie mieszka? Ben mówił, że to nic trudnego. Może czekali tu na nią.

Ale mężczyzna, szczupły Azjata w okularach przeciwsłonecznych i zielonym polarze, zachowywał stosowną odległość.

- Jeśli chcę się dostać do San Jose - powiedział - to lepiej jechać drogą numer 101 czy 280?

Odruchowo zaczęła się nad tym zastanawiać, wyobrażając sobie obie możliwości.

- Cóż - odparła - to zależy od tego, dokąd w San Jose się pan wybiera.

Nagle poczuła niepokój. Dlaczego przechodzień miałby pytać o coś takiego?

*Ponieważ tym sposobem na chwilę by cię zajął. Nie zwróciłabyś wtedy uwagi na...*

Coś ukuło ją w kark. Uderzyła w to miejsce dłonią i krzyknęła. Coś tkwiło w jej szyi. Próbowwała się odwrócić,



ale silne ręce chwyciły ją za ramiona. Wrywała się, ale świat zdawał się kołysać. Gdzieś usłyszała otwierające się drzwi - van? - i ostatnim, co zobaczyła, nim osunęła się w nicość, był mężczyzna w polarze idący szybko w jej stronę.

# Zawsze to robięś

Alex leżał w łóżku, w swoim domu, ale oczy miał szeroko otwarte. Nie miał w zwyczaju drzemać w ciągu dnia, ale nie spał całą noc i kilka godzin snu naprawdę by mu się przydało.

Obszedł cały dom, szukając śladów tego, co tu się wydarzyło w nocy. Znalazł je na zapleczu: rozrzucony stos drewna, a kawałek dalej zdeptana trawa, śliska od czegoś ciemnego i lepkiego. Od razu wiedział, że to krew. Pas przygniecionej trawy prowadził do płotu i Alex wyobraził sobie, jak Ben ciągnie ciało. To się rzeczywiście wydarzyło. Ben naprawdę zabił kogoś w ich ogrodzie. Było po wszystkim, ale ślady przemocy go przerażały. Poukładał z powrotem drewno i wodą z węża zlał tę cholerną trawę, wyobrażając sobie, jak by to wyjaśnił Gamezowi, gdyby ten znowu go zaprosił do pozbawionego okien pomieszczenia na przesłuchanie: „Krew? Nie widziałem żadnej krwi. Trawę trzeba było po prostu podlać. Owszem, są zraszacze, ale czasami podlewam ręcznie”.

W końcu zmęczenie zaczęło brać górę nad wyobraźnią. Powieki opadły. Znowu znajdował się w ogrodzie, ale teraz był dzieckiem patrzącym, jak tata podlewa ogród. Katie rzucała Arlo frisbee. Gdzieś dzwonił telefon...

Gwałtownie się obudził. Telefon. To nie był sen. Cholera, powinien był go wyłączyć. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Alex, to ja.

*Ben.* Ponownie poczuł mdlący przyływ adrenaliny. Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

- Daj mi spokój.

- Alex...

Odłożył słuchawkę na widelki i wrócił do łóżka. Chwilę później telefon znowu zadzwonił. Zignorował go. Po trzech sygnałach zamilkł.

Alex uznał, że cały myk polega na tym, aby traktować Bena jak zmarłego. Nie żywić do niego nienawiści ani urazy, ale umieścić go w tej samej części świadomości, gdzie trzymał wspomnienia związane z mamą, tatą i Katie. Może mógłby nawet odbyć po nim żałobę. Wtedy pogodziłby się w końcu ze stratą i żyłby dalej. Tak właśnie musiał zrobić. Ben nie żył. Tak było dobrze.

Ożywienie ustąpiło. Powróciło wyczerpanie. Znowu zaczęła drzemać.

Ktoś zapukał do drzwi.

Alex usiadł wyprostowany, a głowę nagle miał pełną myśl o tamtej nocy w wannie.

- Alex! - usłyszał głos Bena. - Alex!

Pomyślał o pistolecie, który dał mu Ben. Gdyby nadal go miał, mógłby strzelić przez drzwi.

Naciągnął poduszkę na głowę. *On nie żyje. To tylko złysen. On nie żyje.*

Walenie w drzwi stało się głośniejsze.

- Alex, otwórz te cholerne drzwi albo przestrzelę za mek! - zawołał Ben. - Chcesz wyjaśniać to sąsiadom? Levinom? Andrewsom? Pani Selwyn?

*Chryste.* Alex wstał z łóżka i narzucił szlafrok. Zszedł po schodach i stanął pod drzwiami.

- Odejdź! - zawołał głośno.

- Otwórz drzwi.

- Nie! Nie chcę niczego od ciebie. Po prostu odejdź!

- Alex, policzę do trzech, a potem przestrzelę zamek. Raz.

Dobry Boże, to tak, jakby znowu byli dziećmi. Tyle że z bronią.

- Dwa.

- Okej, okej! Nie strzelaj, ty idioto.

Otworzył drzwi. Ben oczywiście trzymał w ręce pistolet. Głowę miał zabandażowaną i Alexa ogarnęło uczucie satysfakcji. Ben schował broń do kabury i wszedł do środka. Alex zamknął za nim drzwi.

Ben się rozejrzył. Do Alexa dotarło, że jego brat nie był w tym domu już ile, osiem lat? Coś koło tego.

- Wygląda tak samo - stwierdził Ben. Pociągnął nosem. - Pachnie tak samo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ładnie pachnie. Jak...

- Jak co?

Ben wzruszył ramionami.

- Jak dom.

Alex niemal powiedział: *Cóż, to nie jest twój dom*. Zamiast tego zapytał:

- Czego chcesz?

Ben spojrzał na niego.

- Twój szef jest w to zamieszany.

Alex niemal się roześmiał.

- Osborne?

- Szantażowali go. Był ich wtyczką.

- No i świetnie, Columbo. Ale za późno. Mam to gdzieś.

A teraz idź sobie.

- Alex...

- Z nami koniec, pamiętasz? Poważnie. Idź.

- Ty nie rozumiesz.

- Rozumiem. Zostałem sam, i ty także. Idź stąd. Idź sobie, Ben. Wynoś się z mojego domu.

Celowo nazwał go swoim domem, ale Ben zdawał się tego nie słyszeć.

- Alex, potrzebujesz mojej pomocy - oświadczył.  
- Nie potrzebuję i nie chcę.  
- A właśnie, że tak! - krzyknął Ben, zapluwając się.  
- Tak, Alex, i przyjmiesz ją! Wysłuchasz mnie i jeśli nie będziesz chciał mojej pomocy, w porządku. Nie zamierzam ponosić odpowiedzialności za kolejną śmierć. Wysłuchasz, co mam do powiedzenia, zrobisz to, co ci każę, a jeśli nie, to będzie to, kurwa, twoja wina, sam się zabiłeś, popełniłeś samobójstwo i nie ma w tym mojej winy! Ani trochę!

Stali, wpatrując się w siebie. Ben ciężko oddychał.

- Myślisz, że ja nie cierpię? - zapytał. - Myślisz, że nie żałuję, że to nie ja odwiozłem Katie tamtej nocy? Dlaczego chcesz mnie tym dręczyć? Nie sądzisz, że wystarczająco sam się zadreczam? Czego ode mnie chcesz, żebym przeprosił? Błagał o wybaczenie? Posypał głowę popiołem? Czego ty, kurwa, chcesz?

Głos mu się załamał i Ben zamilkł. Następnie odwrócił się i walnął pięścią w ścianę. Alex usłyszał głośny trzask. W ścianie pojawiła się dziura, z której leniwie opadał tynk.

Ben stał z opuszczonymi ramionami, nadal ciężko oddychając. Potem otarł rękawem twarz, odwrócił się i spojrział na Alexa. Oczy miał czerwone.

- Czego chcesz? - zapytał.

Alex spojrział na niego. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czy Ben... czy on płakał?

- Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś? - zapytał.

- Dlaczego ty nigdy... niczego nie powiedziałaś?

- Ponieważ mnie obwiniałaś. Zawsze to robiłaś.

Alex nie mógł temu zaprzeczyć. Nagle poczuł się jak największy dureń na świecie. Wcale nie chciał, aby Ben przeprosił. A w każdym razie nie tylko to. Nie, on chciał... chciał wydobyć coś z niego. Ukarać go. Widząc łzy Bena, widząc niezaprzeczalny dowód cierpienia brata, uświadomił sobie, że chodziło mu nie tylko o niego, ale i o siebie.

- Mama i tata... powiedzieli mi, że to nie twoja wina.

Ben zaśmiał się.

- Taaa, mnie też tak powiedzieli. Ale wcale tak nie uważali. I mieli rację. I ty też.

- Nie uważam, żebym miał rację - powiedział Alex zdumiony swoimi słowami. - Myślę... nie wiem.

Niemal powiedział: *Myślę, że musiałem kogoś obwinić*. Czy rzeczywiście? Musiał to przemyśleć.

- I ta historia z tatą - rzekł Ben. - Żałuję, że nie rozegrałem tego inaczej. Wtedy miałem uczucie, że całe moje życie idzie na zmarowanie, że jeśli się nie zaciągnę do wojska, to zamkną się przede mną wszystkie drzwi lub coś w tym rodzaju. Patrząc wstecz, widzę, że to głównie prawda. Mogłem spokojnie poczekać. Powinienem być czekać.

Alex nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nie miał takiego mętliku w głowie.

- To... mogłoby niczego nie zmienić - wyjąkał po chwili. - Myślę, że tata... to co zrobił, może zamierzał to zrobić bez względu na wszystko.

Ben potarł skronie.

- Chryste, najchętniej przespałbym cały tydzień. Alex uśmiechnął się.

- Jak głowa?

- Boli. Nie spodziewałem się, że rzucisz we mnie pistoletem. Że strzelisz, może, ale nie, że nim rzucisz.

- Wtedy wyglądało to na dobry kompromis.

- No i chyba było.

Przez chwilę milczeli.

- Osborne naprawdę jest w to zamieszany? - zapytał Alex.

- Tak. Siądźmy, to wszystko ci powiem.

Alex usiadł przy kuchennym stole. Ben podszedł do szafki, wyjął szklanekę i nalał do niej wody z kranu.

- Chcesz też? - zapytał.

Alex pokręcił głową, zadziwiony swojskością tej czynności. Zwykłym nalewaniem wody.

Ben usiadł obok niego i zdał mu relację. Szantażowali Osborne'a. Jednostka Bena była w to wplątana. Jeden z ludzi stojących za tym wszystkim to jego dowódca.

- Zamierzasz się z nim spotkać? - zapytał Alex. - Jak możesz mu ufać? Przecież próbował mnie zabić.
  - Mógł nie wiedzieć, że jesteś moim bratem.
  - Wierzysz w to?
  - Próbuję się dowiedzieć.
  - Gdyby wiedział, robiłoby to jakąś różnicę?
- Ben westchnął.
- Nie wiem. To jedna z rzeczy, których się chcę dowiedzieć. Ale na pewno nie zamierzam się z nim spotkać tam, gdzie on chce.
  - No to gdzie?
  - Coś wymyślę. Zrób coś dla mnie, udaj się na kilka godzin w jakieś inne miejsce.
  - Ben, nie mogę żyć w taki sposób.
  - Staramy się temu zaradzić, o to przecież chodzi. Żebyś mógł wrócić do swojego życia i nie przejmować się, że ktoś na ciebie poluje.
  - Nie wiem, dlaczego uważasz, że możesz zaufać temu człowiekowi. Myślę, że spotkanie się z nim jest błędem.
  - Nie ufam mu. Zachowuję się bardzo ostrożnie, uwierz mi. Ale coś ci powiem. Nadal masz w swoim laptopie Obsi-diana i notatki Hilzoya, tak?
  - Tak.
  - Jedź gdzieś i zabierz ze sobą laptop. To będzie dla mnie jakieś zabezpieczenie, gdyby coś miało pójść nie tak.
  - Ben, mówię poważnie, to nie jest dobry pomysł. Jesteś równie wykończony jak ja, możliwe, że nie myślisz rozsądnie.
  - Zaufaj mi, okej?

- Co z Sarah?

Przez chwilę Ben miał autentycznie przepraszający wyraz twarzy.

- Chodzi ci o...

- Nie, nie o to. O tym zapomnij. Grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie bardziej niż tobie, a prawdopodobnie mniej. Ale wątpię, aby mnie teraz posłuchała.

Alex westchnął.

- Mnie pewnie też nie.

Po chwili milczenia Ben rzekł:

- Przepraszam, Alex.

Alex pokręcił głową. W hotelu zachował się jak dureń. Przecież Sarah nie była jego dziewczyną. Nigdy nie miał odwagi, aby uczynić względem niej pierwszy krok, i wiedział, że nigdy tej odwagi nie nabierze. Był po prostu zazdrosny i tyle. Ale teraz nie czuł już zazdrości.

- Jesteś pewny, że to dobry pomysł? - zapytał.

- Nie. Ale nie przychodzi mi do głowy nic lepszego. Jedź gdzieś. Odpocznij. Niedługo do ciebie zadzwonię.

Ben wyszedł, a Alex zaczął się ubierać. Zastanawiał się, gdzie powinien jechać. Do kolejnego hotelu? Miał po dziurki w nosie hoteli. Kurde, był taki zmęczony, że na kilka godzin mógłby po prostu pójść przespać się w bibliotece.

Chciał wierzyć, że Benowi uda się wszystko naprawić, ale nie potrafił. Dla Obsidiana zabili dwie osoby. Jego przełożony był tego częścią. Dostali się do bazy danych Urzędu Patentowego i systemu archiwizacyjnego kancelarii. To nie byli ludzie, których można by nakłonić, aby przestali coś robić. Dlaczego Ben uważał, że to, iż Alex jest jego bratem, uczyni jakąś różnicę? Bardziej prawdopodobne było, że ich pokrewieństwo pograży Bena, zamiast ocalić Alexa. Dlaczego Ben tego nie dostrzegał? I dlaczego Alex nie potrafił go przekonać?



Założył koszulę i zaczął chodzić po pokoju. Do diaska, Ben robił błąd. Już-już chciał do niego zadzwonić, ale pomyślał, że to na nic. Gdy jego brat wbił sobie coś do głowy, nic go nie było w stanie powstrzymać.

Uświadomił sobie, że myśli tylko o tym, co może przytrafić się Benowi. I wtedy zrozumiał coś jeszcze: że tego właśnie chciał Ben. Nie chciał, aby Alex bał się o siebie. Przypomniało mu się, jak przed laty wyprowadził go delikatnie ze szpitalnej sali, na której leżała Katie, i zastanawiał się, jak to możliwe, że tak wszystko spaprali.

Przemierzał dalej pokój. Co miał robić, siedzieć i mieć nadzieję, że się myli, że Ben jakimś sposobem wszystkich uratuje?

To było szalone. Musiał coś zrobić. Musiał podjąć ryzyko. Chwycił komórkę i zadzwonił do Sarah.

Włączyła się poczta głosowa.

- Sarah - rzekł. - Tu Alex. Przepraszam za dzisiaj rano. Słuchaj, właśnie widziałem się z Benem i powiedział mi, co się dzieje, i ty też musisz to wiedzieć. Ben zamierza zrobić coś naprawdę głupiego i muszę... muszę wykombinować, jak mu pomóc. Zadzwoń do mnie.

Chwytał laptop i szybko wyszedł z domu.

# Dociskanie

Ben pojechał do Palo Alto, aby przeprowadzić rozpoznanie. Nie był tam od niemal dekady i nawet jeśli nic się nie zmieniło, nie ufał temu, co zapamiętał. Kiedy tu mieszkał, postrzegał świat inaczej i dostrzegał inne rzeczy.

Przeszedł się ulicami centrum, obserwując bez wzruszenia to, co się zmieniło, i to, co pozostało w stanie niezmienionym. Szczególną uwagę zwracał na przejścia, na to, które ulice są jednokierunkowe, na lokalizację banków, sklepów jubilerskich i innych miejsc pod nadzorem kamer. Kiedy uznał, że zna już taktyczny plan okolicy, zaczął się rozglądać za miejscem odpowiednim na spotkanie. Znalazł je w restauracji Coupa Cafe. Od frontu miała taras z portykiem podtrzymywanym przez grube kolumny. Stał przed jednym z ustawionych tam stolików i przekonał się, że ma dobry widok na wejście do Citibanku po drugiej stronie ulicy i że jedna z tych kolumn zapewniłaby mu schronienie przed spojrzeciami idących chodnikiem ludzi. Wszystkie stoliki były zajęte, ale coś się zwolni. A jeśli nie, to on w tym pomoże.

Wszedł do środka. Restauracja miała kształt długiego prostokąta. Jeden z krótszych boków posiadał wychodzące na ulicę okno, wzdłuż długiego stał bar. Stoliki ustawiono blisko siebie i choć robiło się późne popołudnie, pełno tu było ludzi. Na końcu restauracji znajdowało się pomieszczenie, do którego wchodziło się przez duże otwarte drzwi, tylko częściowo widoczne z przodu. Wszedł tam i znalazł to,

czego szukał: wyjście ewakuacyjne, bez alarmu, zamknięte od środka. Wychodziło na przejście łączące się z innymi przejściami, rozchodzącymi się w trzech kierunkach. Gdyby z przodu zrobiło się gorąco, mógłby wycofać się tutaj i zniknąć w przejściach.

Staął w kolejce, aby zamówić kawę, i zadzwonił do Horta.

- Nie mogę tam przyjechać - powiedział. - Musisz się zjawić tutaj.
- Jak to? Gdzie jest „tutaj”?
- Palo Alto.
- Co się stało? Denerwujesz się?
- Zawsze się denerwuję, tak jak ty. Będę w Citibanku na Ramona Street w Palo Alto, pomiędzy University a Hamilton.
- Rozumiem. Mnóstwo kamer i świadków.
- Coś w tym rodzaju. Wygodnie nam tu będzie rozwiązać ten problem. Przyjedziesz tylko ty?
- Tylko ja i kierowca.
- W porządku. Zależnie od natężenia ruchu powinno ci to zająć koło czterdziestu pięciu minut. Będę czekać.

Rozłączył się i schował telefon. Stał przy barze, pił kawę i czekał. Kiedy ludzie za kolumną zaczęli się zbierać, wyszedł i zajął zwolniony stolik. To było dobre miejsce. Siedział plecami do ściany, miał widok na całą ulicę, otaczający go ludzie stanowili doskonały kamuflaż i dobrze widział wejście do Citibanku.

Pił, czekał i obserwował ulicę. Wszyscy przechodnie wyglądali na miejscowych: pewni siebie, zamożni, nie rozglądali się dookoła. Czuł, że nie ma z nimi absolutnie nic wspólnego. Był jak emigrant wracający z jakiegoś dalekiego miejsca do kraju swej młodości, aby się przekonać, że zdążył zapomnieć język, styl ubierania się, zwyczaje. Nie czuł się tu już jak u siebie. To miejsce było mu obce.

Na krawężniku przed Citibankiem zatrzymał się zielony hyundai. Otworzyły się drzwi od strony pasażera. Wysiadł z nich ciemnoskóry mężczyzna i udał się do banku. Nawet gdyby nie widział jego twarzy, Ben i tak rozpoznałby tę dużą ogoloną głowę, szerokie ramiona, dumny krok. Hort.

Ben przyjrzał się kierowcy. Był Azjata, mniej więcej w wieku Bena, miał krótko ostrzyżone włosy i oczy zakryte okularami przeciwsłonecznymi. Po minimalnych ruchach jego głowy Ben odgadł, że sprawdza lusterka. Nie był to ktoś, do kogo można się było podkraść. Nie był to jedynie kierowca. Tylna kanapa wyglądała na pustą, ale nietrudno byłoby umieścić jednego czy dwóch mężczyzn na tyle nisko, aby nie widać ich było przez szybę. Niemniej Ben wątpił, aby znajdował się tam ktoś jeszcze. Atrios działał w pojedynkę. Nie sądził, aby od razu znaleźli odpowiednie posiłki.

Odczekał minutę, po czym zadzwonił na komórkę Horta.

Natychmiast odebrał.

- Gdzie jesteś?
- W restauracji. Coupa Cafe. Po drugiej stronie ulicy.
- Mam nadzieję, że w nic ze mną nie pogrywasz, Ben.
- Zachowuję jedynie ostrożność, proszę pana. Tak jak mnie pan nauczył.

Połączenie zostało przerwane. Ben patrzył, jak Hort wyłania się z Citibanku i przechodzi przez ulicę, jego głowa porusza się, a wzrok sprawdza te same newralgiczne miejsca, które by sprawdził Ben. Zobaczył Bena, skinął lekko głową i zbliżył się. Przesunął krzesło, tak by siedzieli pod odpowiednim kątem, ale to Ben miał lepszy widok na ulicę. Obecność tego mężczyzny - aura władczości - była niemal przytłaczająca. Ben zwalczył w sobie chęć odezwania się, wytłumaczenia się, poproszenia o zrozumienie.

- Co mam ci powiedzieć? - odezwał się niskim głosem Hort. - Spieprzyło się i tyle. Pytanie jest takie, co muszę zrobić, żeby cię uspokoić?

- Po prostu powiedz mi wszystko - odparł Ben, zdumiony własną śmiałością. - Zawsze byłeś ze mną szczerzy.

Hort kiwnął głową.

- Pierwsze, co musisz zrozumieć, to że nikt nie wiedział, że to twój brat.

- Daj spokój, Hort. Ilu znasz Trevenów?

- Wcześniej tylko ciebie. Musisz jednak zrozumieć, że to nie ja dowodziłem listą celów. Tym zajmował się Atrios. Wiedziałem jedynie, że ma misję, która wymaga pozbycia się wynalazcy, prawnika i inspektora patentowego. Więcej wiedzieć nie musiałem.

- Nie chciałeś wiedzieć. Hort zasznurował usta.

- Może.

- Opowiedz mi resztę.

Hort rozejrzał się, po czym nachylił się ku niemu.

- Jest specjalny program dostępu - powiedział - zarządzany bezpośrednio przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Skupia się na cyberwojnie.

- Jak się nazywa ten program?

- Nie musisz znać jego nazwy. Nie powinieneś wiedzieć, że w ogóle istnieje. To informacje ściśle poufne i dużo ryzykuję, mówiąc ci o nim bez upoważnienia.

- Jak on się nazywa, Hort?

Westchnął.

- Każesz mi zapłacić za moje grzechy, co?

- Po prostu nie chcę czuć, że coś przede mną ukrywasz.

- Program nazywa się Dżin.

- W porządku. Co robi Dżin?

- Nie znam wszystkich szczegółów. Dowiedziałem się o tym programie tylko z powodu wynalazku, który twój brat próbował opatentować.

- No to powiedz mi, co wiesz.

- Wygląda na to, że wszystkie zgłoszenia patentowe mające związek z kryptografią podlegają inspekcji ze strony Departamentu Obrony. Zgłoszenie twojego brata trafiło do rutynowej kontroli. Ale coś w tym wynalazku sprawiło, że przyjrano mu się uważniej. Krótko mówiąc, zgłoszenie trafiło aż na samą górę, do Białego Domu. A ludziom od Dżina w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego nie spodobało się to, co zobaczyli.
- A to czemu?
- Nie wiem czemu. Wiem tylko, że gdyby Obsidian wpadł w niewłaściwe ręce, mógłby zagrozić całej infrastrukturze internetowej Stanów Zjednoczonych.
- Okej, co dalej?
- Ktoś w Białym Domu podjął decyzję. Bezpieczeństwo narodowe wymagało tego, aby Obsidian zniknął. Definitywnie. Operacja odbywa się na dwóch poziomach: w świecie elektronicznym i rzeczywistym. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego miała się zająć elektroniką. My resztą.
- Więc wynalazca, facet od patentów... byli waszymi celami?
- Takie otrzymałem polecenia.
- Ale Hort, to byli... ci ludzie byli Amerykanami.
- Wiesz, jak jest, Ben. To nie ja ustalam zasady. Ben bębnił palcami o stół.
- Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle istnieją jakieś zasady. Nie dla wroga. Dla nas.
- Ja też nie jestem z tego powodu szczęśliwy. Kwestią zasadniczą jest jednak ratowanie życia. A czasami oznacza to zniszczenia uboczne, wiesz o tym. Podjęcie takiej decyzji jest koszmarnie trudne, ale ktoś ją podjął. I nie ma znaczenia to, że ty albo ja się z nią nie zgadzamy. My wykonujemy rozkazy i tyle.
- Słuchaj, Hort, wiem, jak to jest. Ale trzymanie ludzi w odosobnieniu jako jeńców wojennych, izolowanie ich,

niepozwalanie z nikim rozmawiać to jedno. Ale... likwidowanie ich? Amerykanów? Kiedy zaczęliśmy robić coś takiego? Hort wypuścił powietrze z płuc.

- Zgadzam się, to paskudna sytuacja. Nikt nie chciałby się w niej znaleźć. Ale my to robimy nie dlatego, że to jest proste, ale dlatego, że ktoś to musi zrobić.
- Tak, ale...
- Co zrobimy, kiedy któryś z naszych wrogów znajdzie się w posiadaniu czegoś takiego jak Obsidian i użyje tego przeciwko nam? Kiedy zaatakuje sieć energetyczną albo kontrolę ruchu powietrznego? Przeprosimy rodziny ludzi, którzy zginęli w wypadkach samolotów, ponieważ mogliśmy nie dopuścić do tego, aby te narzędzia znalazły się w rękach wroga, ale byliśmy zbyt delikatni?

Przez chwilę milczeli. Ben wiedział, że Hort ma rację, do pewnego stopnia, ale...

Pomyślał o Sarah, o tym, co powiedziała o naginaniu i łamaniu prawa. Odsunął od siebie tę myśl.

- No a ci Rosjanie? - zapytał. - Jak się w to wpasowują?
- Nie wpasowują. To był jedynie fatalny zbieg okoliczności.
- Jak to?
- Mamy przeciek z ich ambasady w Ankarze. Mają cię na oku za tę operację w Stambule. Próbujemy się dowiedzieć, ile wiedzą.
- Że co? Skąd ktoś mógłby wiedzieć, kto załatwił tego gościa w Stambule? Nic po sobie nie zostawiłem, Hort. Wpadłem i wypadłem jak duch.
- Cóż, zostawiłeś po sobie pięć ciał. Duchy tego nie robią.
- Cztery ciała i tak miały być.
- Irańskie ciała. Martwy Rosjanin z FSB to zupełnie inny problem.
- To i tak nie wyjaśnia, jak ktoś mógł mnie połączyć z tym facetem.

- Jak już mówiłem, próbujemy się tego dowiedzieć.
- Więc skąd się wzięli ci ludzie pod Four Seasons? Nie z FSB. Nie byli aż tak dobrzy.
- To rosyjska mafia dowodzona z Brooklynu. Wykonuje różne zlecenia dla FSB.

Ben przez chwilę się zastanawiał. To co mówił Hort, nie było niemożliwe. Ale...

- Słuchaj - odezwał się Hort. - Mogę załatwić, żeby twojego brata zostawiono w spokoju. Ale to ty będziesz po nosić odpowiedzialność: potrzebuję gwarancji, że nie ma żadnych kopii Obsidiana, że nikt nie może go wykorzystać, że twój brat zapomni o wszystkim, co się wydarzyło, i nigdy nie piśnie na ten temat nikomu ani słowa. Zagwarantuj mi to, a ja zadzwonię do NSC\* z prośbą o przysługę i dopilnuję, aby twój brat na dobre zniknął z ich radaru.

Ben się zastanawiał. Prawda była taka, że właśnie na coś takiego liczył. I coś takiego sam chciał zaproponować. To mogło wszystko rozwiązać. Dać Hortowi kopię zapasową, kazać Alexowi milczeć. Pomijając wszystko inne, nie było już tak, że Alex był dla nich kimś zupełnie nieznanym. On, jego brat, mógł za niego poręczyć.

Pomyślał, co by na to wszystko powiedziała Sarah. Prawdopodobnie coś o tym, że wygodnie nie być jednym z maluczkich i mieć krewnego w partii albo w politbiurze.

A co z Sarah? Czy ją także nadal chcieli dorwać? To też Hort mógł załatwić?

- Co z dziewczyną? - zapytał. - Sarah Hosseini, prawniczką. Jest częścią operacji?
- Ona też pracowała przy tym patencie - odparł Hort.
  - W porównaniu z twoim bratem miała niższy priorytet, ale owszem, stanowi prawdziwy problem.
- Nie możesz jej z tego wyłączyć?

\* National Security Council - Rada Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. tłum.).



Hort się zaśmiał.

- Masz mnie za czarodzieja? Sarah to nawet nie jest jej prawdziwe imię. Shaghayegh. Shaghayegh Hosseini. Chcesz, żebym udał się do NSC i kazał im nie przejmować się kobietą, która nazywa się Shaghayegh Hosseini i wie o Obsidianie?
- Chcesz powiedzieć, że zamierzacie ją zabić z powodu jej nazwiska?
- Była zagrożeniem dla bezpieczeństwa, Ben.  
Ben poczuł ściskanie w klatce piersiowej.  
-Jak to „była”?
- Rano zabraliśmy ją spod jej mieszkania.

Ben spojrział na stół, tak aby Hort nie widział jego oczu. Próbował myśleć. *Zabraliśmy ją.* To znaczyło, że nadal żyje, tak? Gdyby ją zdjęto, gdyby już nie żyła, Hort nie ująłby to tego w taki sposób. Powiedziałyby po prostu: *Me ma jej.*

Chryste, co oni jej robili, żeby nakłonić do mówienia? Potrafił to sobie wyobrazić. I wiedział, co zrobią, kiedy z nią skończą.

Przez jego głowę przebiegały fragmenty pourywanymy myśli.

*Nie, jest trzeźwy.*

*Okej, no to na razie.*

**NIE ON NIE BYŁ TRZEŻWY I POWINIENIEŚ MIEĆ WIĘCEJ ROZUMU.**

Przyłożył pięści do skroni. *Myśl. Myśl.*

Ale jedyne, o czym był w stanie myśleć, to że przyjechał tutaj, aby pomóc Alexowi, a zamiast tego on, on...

Me. Coś takiego się nie powtórzy. Nie pozwoli, aby się powtórzyło.

Spojrział na Horta.

- Co zamierzacie z nią zrobić? Hart machnął lekceważąco ręką.
- Zapomnij o tym.

- Zadałem ci pytanie - warknął Ben.
  - A ja odpowiedziałem. Tak jak potrafię.
  - Gdzie ją trzymacie?
  - Odpuść sobie, synu. I tak stąpasz po cienkim lodzie.  
Ben pokręcił głową.
  - Nie. - Mówił coraz głośniejsz. - Nie. Nie. Nie.
    - Ben, szkolilem cię. Taplamy się w tym samym błocie. Obaj ponosimy koszty tego, co robimy. Ludzie tacy jak my...
    - Powiedz mi, gdzie ją przetrzymujecie, Hort. Powiedz mi, że zamierzacie puścić ją wolno.
- Przez długą chwilę panowała cisza. Przerwał ją Hort:
- Ostatnia szansa. Poręczysz za brata? Mogę ci zaufać?
- Ben rozłożył dłoń. Pstryknęły knykcie. Jeszcze nigdy nie czuł się tak przyblokowany. To uczucie presji, dociskania, było niemal namacalne.

Zerknął w lewo. Zza jednej z kolumn wychylał się potężny mężczyzna w ciemnych okularach. Dłoń miał wsuniętą pod ciemną marynarkę i obserwował Bena i Horta.

Cholera. Zerknął w prawo. Kolejny mężczyzna stał na chodniku i wpatrywał się w nich z równym natężeniem.

W restauracji albo tuż za drzwiami prowadzącymi do wyjścia ewakuacyjnego z pewnością znajduje się trzeci człowiek. Nie docenił stanu liczebnego ekipy Horta. Okrążyli go, kierowani instynktem albo wcześniejszym planem, dokładnie w chwili, kiedy nie mógł zebrać myśli.

Z jednej strony był wściekły z powodu swojej naiwności. Powinien był to przewidzieć, ale w głębi duszy ufał Hortowi. Głupi. Hort zawsze go uczył, że misja jest ważniejsza od człowieka. Z drugiej strony miał ochotę się roześmiać. Pięciu uzbrojonych mężczyzn na granicy strzelaniny, a otaczające ich japiszony piły spokojnie latte i rozmyślały o najnowszych ćwiczeniach pilatesu.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytał cicho Hort.

W głowie Bena rozgrywało się kilka scenariuszy. W każdym miał nie więcej jak dziesięć procent szans na przeżycie. Może by i zaryzykował, gdyby chodziło wyłącznie o niego. Ale co by się stało z Sarah? I z Alexem?

- Jakie mam opcje? - zapytał, zerkając to na prawo, to na lewo.

- Dwie. Możesz udać się ze mną i jakoś to rozwiążemy albo możemy zostawić cię tutaj. Naprawdę nie chciałem, żeby do tego doszło, Ben.

Ben bębnił palcami w stół. Udanie się razem z nimi było równoznacznie z założeniem sobie sznura na szyję. Ileż razy przysięgał sobie, że nigdy do czegoś takiego nie dopuści?

Wiedział, że mógłby zdjąć Horta, nim ktoś zdążyłby go powstrzymać. Ale sekundę później sam byłby martwy.

*Te kroki zostawimy na następny raz - pomyślał - kiedy na parkiecie będziemy tylko ty i ja.*

Część niego wiedziała, że ta myśl to tylko przechwałki. Ale na chwilę obecną miał tylko ją, a to wystarczało, aby jakoś wziąć się w garść.

- W porządku - powiedział. - Pojadę z tobą.

# Twarzą w twarz

Alex jeździł bez celu swoim samochodem, próbując wykombinować, co zrobić. W końcu się zламаł i zadzwonił do Bena, on jednak nie odbierał. Wiedział, że powinien trzymać się z dala od miejsc, w których zwykle bywał, i rozumiał to, chciał jednak włączyć swoją komórkę, bo może Ben albo Sarah będą chcieli się do niego dodzwonić. Uznał, że w takim razie powinien być w ciągłym ruchu na wypadek, gdyby ktoś śledził sygnał. Ale Boże, był taki zmęczony. Marzył o tym, aby pójść gdzieś, na ławkę w parku, dokądkolwiek, i na parę minut po prostu zamknąć oczy.

Zastanawiał się, jak to będzie z Osborne'em, kiedy to wszystko się wyjaśni. Jak mógł ponownie spojrzeć na tego człowieka po tym wszystkim, co on zrobił?

Myślał o tym, co powiedział mu Ben, że w Tajlandii zrobiono Osborne'owi kompromitujące zdjęcia. Ben najwyraźniej był przekonany, że sprawa jest rzeczywiście tak mało skomplikowana, ale... czy oni naprawdę byli w stanie wybrać Osborne'a ze wszystkich prawników w Sullivan, Greenwald, a potem wykorzystać jego słabość? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się to wydawało naciągane.

Pomyślał o ego Osborne'a, zdjęciach tych wszystkich graczy z Doliny i Waszyngtonu. Ten człowiek miał koneksje. Cóż, może w taki właśnie sposób zwrócił na siebie ich uwagę. Znano go w Waszyngtonie - kilka razy przemawiał nawet w Kongresie na temat kwot wizowych, podatków od

zysków kapitałowych i innych tego typu spraw liczących się w Dolinie Krzemowej. Może... może był w to bardziej zaangażowany, niż uważał Ben. Ben był tak arogancko pewny swoich umiejętności i przecież sam powiedział Alexowi, że uważa prawników za bandę popijających kawę baranów. Ta arogancja czyniła go ślepym na to, jak przebiegli i politycznie wyrachowani potrafią być gracze pokroju Osborne'a. Im dłużej Alex się nad tym zastanawiał, tym głębsze żywił przekonanie, że Ben popełnił błąd w stosunku do Osborne'a i w stosunku do swego dowódcy.

Kręcił się w kółko, dosłownie i w przenośni. Wystarczy. Miał zamiar stanąć z tym twarzą w twarz.

Pojechał do Sullivan, Greenwald, ale mając w pamięci ostrzeżenia Bena, zaparkował pod kompleksem biurowym po przeciwnej stronie ulicy. Przeszedł przez Page Mili, wszedł tylnym wejściem i udał się prosto do gabinetu Osborne'a. Odsunął od siebie wszystkie atakujące go myśli - wszystkie argumenty przekonujące, że zachowuje się głupio i że może się nie udać. Przełknął ślinę, ale w gardle miał sucho.

Osborne rozmawiał przez telefon. Nogi w kowbojkach trzymał oparte na biurku. Alex wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Osborne spojrzał na niego - *Nawet nie zapukasz?* - i dalej rozmawiał. Przez jedną sekundę zanosilo się na to, że wątpliwości sparaliżują Alexa. Wtedy coś w nim pękło. Podeszedł do biurka i wcisnął guzik kończący rozmowę.

Osborne zdjął nogi z biurka i postawił je na podłodze.

- Co ty sobie myślisz? - zapytał i odepchnął dłoń Alexa z telefonu. Zaczął wybierać numer. Alex wziął z biurka aparat i cisnął nim przez gabinet. Rozbił się o ścianę.

Osborne zerwał się z fotela.

- Oszalałeś? - zapytał, otwierając szeroko oczy.

Alex spojrzał na niego. Serce waliło mu jak młotem, ale myśli miał idealnie poukładane.

- Co wiesz o Obsidianie? - zapytał.

- Nic nie wiem. Obsidian był twój, pamiętasz? A twój rzucający cytatami z Biblii brat już mnie o to pytał. Trzymając mnie na muszce, nawiasem mówiąc.
- Masz szczęście, że cię nie zabił.
- Taaa, cóż, ty też masz szczęście, że żyjesz.

W tym momencie Alex był już pewien, że Osborne zabrał Bena. Nie było żadnych zdjęć. Zgoda, bał się może zdemaskowania, ale nie takiego. W przeciwnym razie nie patrzyłby na Alexa jak na irytującego robaka. Nie wróciłby tak szybko do manier dupka.

Na biurku stał przycisk do papieru. Nie namyślając się, Alex wziął go do ręki i zdzielił Osborne'a w głowę. Osborne krzyknął i przewrócił się, po drodze uderzając twarzą o biurko. Alex stanął nad nim, ściskając w dłoni przycisk, oddychając ciężko.

Osborne obracał się w prawo i lewo, trzymając się za twarz. Z nosa leciała mu krew.

- Ty gnojku - wydyszał.

Alex uśmiechnął się. Czuł wręcz upojenie. Nie wiedział, czy leci, czy spada - i miał to gdzieś.

- Zrobiłem kopię Obsidiana - powiedział, improwizując. - Wysłałem ją do grupy dyskusyjnej Usenet, dołączając szczegóły dotyczące twojego udziału i wszystko inne, co wiem. Na razie jest to zakodowane. Ale jeśli w ciągu godziny nie wstukam kodu, wszystko się odkoduje i prześle do kilku nastu innych grup. Lepiej więc mi powiedz, co wiesz.

Osborne próbował wstać.

- Leż albo znowu cię tym walnę - warknął Alex.

Osborne przestał się ruszać.

- Już po tobie, mądralo. I nie tylko w Sullivan, Greenwald. Kiedy skończę dzwonić, nie zatrudni cię żadna kancelaria w Dolinie.

Alex się roześmiał. Rozpoznał tę technikę - eskalacja negocjacji. Nigdy dotąd nie negocjował za pomocą ciężkiego przedmiotu, ale zasady pozostawały widać takie same.

- Wiesz co? - zapytał. - A może po prostu powiesz to wszystko policji w San Jose? Jest tam detektyw Gamez, zajmujący się sprawą zabójstwa Hilzoya. I pozostaje w kontakcie z policją w Arlington, badającą śmierć inspektora patentowego, którego zabili wasi ludzie. Jak myślisz, dużo muszę im powiedzieć? Zdobędą nakaz, przejrzą twoje bilingi i maile. Wystarczy raz ich nakierować, a prześwietlą cię od góry do dołu i cokolwiek byś ukrywał, znajdą to. Wy prowadzą cię stąd jako przestępcę, a ja dopilnuję, aby w pobliżu znalazły się wtedy ekipy z tutejszych gazet i telewizji, żebyś mógł się pojawić w wieczornych wiadomościach. Nie próbuj więc wciskać mi kitu o kompromitujących zdjęciach z Tajlandii. To nie było wrogie przejęcie, David. Jesteś moim wspólnikiem. Ale nie musisz mi o tym mówić. Pozwolę po prostu, aby ta wiadomość do Usenetu rozeszła się dalej, a wtedy przeczytam o wszystkim w gazetach. Taaa, fajnie będzie.

Upuścił przycisk na Osborne'a i odwrócił się, żeby odejść. Myk polegał na uwierzeniu w bluff. To było to samo co wyjście w trakcie negocjacji. Należało uciszyć tę część świadomości, która wiedziała, że to taka taktyka. Naprawdę się wtedy wychodziło. Chciało się wyjść.

Zdążył już dotrzeć do drzwi i położyć rękę na klamce, kiedy Osborne się odezwał:

- Zaczekaj.

Alex otworzył drzwi i obejrzał się.

- Zapomnij. Miałeś już szansę.

- Dobrze, już dobrze. Wygrałeś. Zamknij tylko te cholerne drzwi i mnie wysłuchaj.

Alex zamknął drzwi, ale trzymał rękę na klamce, swoją postawą dając do zrozumienia: *Masz około dziesięciu sekund na to, abym zmienił zdanie.*

- Znam pewnych ludzi w Waszyngtonie - zaczął Osborne. Wyciągnął z pudełka garść chusteczek i przyłożył je

do nosa. - W Białym Domu. Zajmują się działalnością anty-terrorystyczną. -Tak?

- Jednym z obszarów ich zainteresowania jest cyberwojna. Zabezpieczenie systemów. Kiedy więc powiedziałeś mi, co potrafi Obsidian, wykonałem telefon. Po prostu chciałem być użyteczny.

Alex się roześmiał.

- Podziwiam twój patriotyzm, David. Wiem, że nie miało to nic wspólnego z politycznym drapaniem po plecach ani robieniem sobie chodów czy przymilaniem się do ludzi, którzy twoim klientom mogą zapewnić zlecenia rządowe. Jesteś stanowczo zbyt porządny na coś takiego.

Osborne oderwał chusteczki od nosa, po czym ponownie je przyłożył.

- Myśl sobie, co chcesz.
- Więc co ci powiedzieli ci ludzie z Białego Domu?
- Że może czytałem w gazetach o pewnym programie.
- Jakim programie?
- Tego nie powiedzieli. Wykombinowałem, że chodzi o FISA, narzędzia szpiegowskie NSA. Widziałem coś na ten temat w „Wall Street Journal” i „Wired”. Była ta historia z Quan-tico w Wirginii, gdzie jakiś informator doniósł, że firmy telekomunikacyjne dają rządowi dostęp do telefonów ich klientów.
- Co jeszcze?
- Mówili, że wiele prywatnych firm współpracuje z nimi i że potrzebna im nasza pomoc do walki z terroryzmem. I to także prawda. Dlatego właśnie firmy telekomunikacyjne im pomagają, aby podsłuchiwać Al-Kaidę...
- Wystarczy. Mam gdzieś politykę i twoje usprawiedliwienia. Co ci powiedzieli na temat Obsidiana?
- Że mógłby pomóc w tym programie.

Alex nie bardzo to rozumiał. Z tego co wiedział, Obsidiana można było wykorzystać do sabotażu, może wymusze-



nia, ale nie tych innych rzeczy. Żałował, że nie ma tu Sarah. Wiedziała znacznie więcej od niego o poczynaniach rządu.

- Że mógłby im pomóc w szpiegowaniu? - zapytał.
- Tak to rozumiałem.

Alex intensywnie myślał. To całkiem możliwe, że Obsidian miał inne zastosowania. Domyślił się tego w hotelu, kiedy w końcu rozgryzł notatki Hilzoya. A fakt, że rząd próbował nie dopuścić, aby Obsidian nie trafił w ręce innych graczy, nie oznaczał, że nie jest jednocześnie sam zainteresowany jego potencjałem. Dobry Boże, a Ben pojechał na to spotkanie, w ogóle o tym nie wiedząc. Gdzie on był? I dlaczego jeszcze nie zadzwonił?

- Co jeszcze? - zapytał Alex. - Co z Hilzoyem i Hankiem Shiffmanem, tym inspektorem patentowym?
- Nic o tym nie wiedziałem. To znaczy, powiedzieli mi, że są pewne osoby, które chcą przepytac, ale...

Alex się zaśmiał.

- „Przepytać”? Zamordowali dwóch ludzi, i wiedziałeś o tym. Spodziewasz się, że uwierzę ci, że sądziłeś, że mnie też chcą tylko „przepytać”? David, gdybyś nie był taki żalony, mógłbym cię uznać za przezabawnego.

Osborne nic nie powiedział.

- Co ci dali? Co by cię skłoniło... - I wtedy go olśniło. Te zdjęcia. Ten nowy klient z branży telekomunikacyjnej. - Interesy? - zapytał. - Zrobiłeś to wszystko... żeby podesłali ci klientów?

Osborne nie patrzył mu w oczy.

- Próbowałem tylko pomóc.
- Powiedz to gliniarzom. Alex otworzył drzwi i wyszedł.
- Zaczekaj! - zawołał za nim Osborne. - Alex!

Alex miał świadomość tego, że sekretarki podnoszą głowy znad swych biur, gdy przechodził. Oczy miary szeroko otwarte i ze wszystkich sił wycęwały słuch. Miał to gdzieś. Szedł dalej.

Osborne dogonił go i chwycił za ramię.

- Posłuchaj mnie - syknął. - Uczynię cię współnikiem. Przyprawiam tyłu klientów, że zarząd zrobi to, co mu każe. Na pewno jeszcze w tym roku.

Alex zatrzymał się i spojrzał na rękę Osborne'a. Ten po chwili ją zabrał.

- Wiesz - rzekł Alex - jeszcze nie tak dawno bym ci uwierzył.

Osborne pokiwał energicznie głową.

- Uwierz mi. To prawda.

- Ale nie w tym rzecz - kontynuował Alex. - Rzecz w tym, że mam to gdzieś.

Ruszył dalej korytarzem, aż do schodów słysząc za sobą błagania Osborne'a.

## Po prostu negocjacje

W samochodzie Alex ponownie spróbował dodzwonić się do Sarah i Alexa. Nic z tego. Zatelefonował do sekretarki Sarah. Dowiedział się, że nie zjawiała się w pracy ani się nie kontaktowała. Zaczynał się poważnie martwić.

Nie wiedział, co zrobić. Może mógłby rozpracować inne aplikacje Obsidiana, te, z których tak bardzo chciał korzystać rząd? Ale nie miał na to czasu.

A jeśli dorwali Bena? Widział, że jego brat gotów był zaufać swemu dowódcy, że chciał mu zaufać. Alex znał to spojrzenie. Widział je setki razy w oczach klientów, którzy tak bardzo pragnęli podpisać umowę, że ustępowali w kwestii niekorzystnych warunków, wmawiając sobie, że te warunki nie mają znaczenia, ponieważ wszystko będzie iść gładko, wszyscy będą zarabiać tyle pieniędzy, że nie będzie ani czasu, ani powodu, aby wzajemnie się oskarżać czy żałować. Prawdopodobnie takie samo spojrzenie ma bogaty mężczyzna tuż przed stanięciem po raz drugi przed ołtarzem. *A co tam, niepotrzebna nam intercyza. Kochamy się.*

Cholera, co on miał teraz zrobić?

Zadzwoił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz i przekonał się, że to Ben. Dzięki Bogu.

Chwycił telefon, wcisnął zielony przycisk i przycisnął aparat do ucha.

- Ben? Gdzie byłeś? Martwiłem się.
- Z Benem wszystko w porządku - odpowiedział niski baryton z południowym akcentem. - Ty musisz być Alex.

Strach chwycił Alexa za gardło. Przypomniały mu się przerażające słowa matki - *O, nie. Błagam, Boże, nie* - i tak bardzo zaczął się trząść, że musiał zatrzymać się na poboczu.

- Kto mówi? - udało mu się wykrztusić.

- Jestem osobą, która dobrze zna twojego brata i nie chce, aby stała mu się jakakolwiek krzywda. A ty możesz w tym pomóc.

-Jak?

- Oddaj Obsidiana, synu. To jedyne, czego chcemy. Wtedy wszyscy będą mogli odejść. Ben, Sarah, wszyscy.

Jezu Chryste, Sarah też mieli? Przycisnęła wierzch trzymającej telefon dłoni do ust, a drugą objął się w pasie, kołysząc się na fotelu w przód i w tył, walcząc ze łzami. Był martwy. Wszyscy byli martwi. Skoro ci ludzie przechytrzyli Bena, z całym jego przeszkoleniem i doświadczeniem, jaką, u diabła, mógł mieć szansę Alex?

*Przestań. Myśl. Użyj szarych komórek.*

No dobrze. Nadal miał Obsidiana, prawda? A jeśli miał coś, co oni chcieli, mógł negocjować.

Ujęcie tego w ten sposób nieco go uspokoiło. Znalazł się na bardziej znajomym gruncie.

Wziął głęboki oddech, a potem drugi. Następnie z powrotem przyłożył telefon do ucha.

- Nie wydaje mi się, abyśmy mieli problem - oświadczył. - Wy chcecie Obsidiana, a ja chcę Bena i Sarah.

- Zgadza się - odparł mężczyzna. - Nie trzeba dodatkowo tego komplikować. Wystarczająco się wszystko skomplikowało.

*Widzisz? To po prostu negocjacje. Poradzisz sobie.*

Alex ponownie głęboko odetchnął.

- Co proponujesz?

- Jest taki parking piętrowy na Bryant Street w Palo Alto, pomiędzy University a Lytton. Spotkajmy się za godzinę na poziomie czwartym.

- Daj mi porozmawiać z Benem.
- Przykro mi, synu, nie mogę ryzykować. Nie chcę, abyście przekazali sobie jakąś wiadomość.

Dobry negocjator wie, że nie należy mylić środków z celem. Celem było upewnienie się, że Benowi nic nie jest. Rozmowa z nim była jedynie jednym ze sposobów.

- Zapytaj go, jak się wabił nasz pies - rzucił do telefonu Alex.
- Słucham?
- Chcę mieć pewność, że nic mu nie jest. Rozumiem, że nie chcesz, abym z nim rozmawiał, ale prawdopodobnie nie masz nic przeciwko temu, żebym jakoś inaczej zweryfikował, że wszystko z nim okej?

Po chwili głos odparł:

- Nie mam nic przeciwko. - A po kolejnej chwili: -Ario.
  - Zgadza się, dobrze. A teraz... - urwał. Nie przychodziło mu do głowy nic osobistego, o co mógłby zapytać Sarah. Zastanawiał się nad: *Co zrobiłaś z koszulką Bena?*, ale na szczęście wymyślił coś lepszego.
  - Zapytaj Sarah, jakiej marki stroje nosi na siłowni.
- Tym razem dłużej czekał na odpowiedź. Wydawało mu się, że słyszy coś w tle... krztuszenie się? Nie był pewny.
- Under Armour - odezwał się głos.

W porządku. Oboje byli żywi.

- Spotkam się z wami - powiedział Alex. - Ale jest coś, co musicie zrozumieć. - A potem zablefował tak samo jak w przypadku Osborne'a. Obsidian jest zakodowany i nakierowany na umieszczenie go w kilkunastu grupach Usenetu. Jeśli któremukolwiek z nich coś się stanie, Obsidian i wszystko inne zostaną podane do wiadomości publicznej.
- Jesteś ostrożny - rzekł głos. - Rozumiem to. I szanuję. Przywieziesz mi to, czego chcę, a obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Połączenie zostało przerwane.

Alex skrzyżował ręce na piersiach i kołysał się w przód i w tył, walcząc z narastającą paniką.

*Mysł. Mysł. Mysł.*

Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Gdyby tylko mieli jeszcze jedną kopię kodu źródłowego, to mogliby go po prostu opublikować.

Chwileczkę. Musiała istnieć jeszcze jedna kopia. Hilzoy nie przekazałaby do Urzędu Patentowego kodu źródłowego z ukrytymi funkcjami. Istniały co najmniej dwie wersje programu, co znaczyło, że musiały być dwie wersje kodu. Hilzoy zawsze pilnował tworzenia kopii zapasowych programu. Drugą wersję kodu źródłowego też z pewnością gdzieś umieścił.

Ale gdzie? W notatkach Hilzoya nie było nic więcej, a nawet jeśli, Alex nie miał czasu, aby tego szukać. Na dysku także nie było nic więcej. Sprawdzał go wiele razy i jedyny dodatek stanowiła ta piosenka. Jaki był jej tytuł? Sarah ją rozpoznała. *Dirge*, zgadza się. Chryste, Hilzoy nie mógł wybrać bardziej odpowiedniego tytułu.

Ale w pliku MP3 nic nie było. Sprawdził go. To była tylko...

I wtedy wpadł na pomysł. Bardzo ryzykowny. Ale nie miał nic innego i w swoim stanie bliskim przerażenia i rozpaczycy chwycił się go obiema rękami.

Spojrzał na zegarek. Miał czas. To mogło się udać. Potrzebował jedynie połączenia z Internetem.

I cholernie dużo szczęścia.

# Pośmiertny alarm

Ben słuchał Horta, siedząc z tyłu vana, i wzbierały w nim frustracja i gniew. Alex nie wiedział, co robi. Zmierzał do Horta niczym mucha do pyska cholernej muchołówki.

Znajdowali się w siedmioosobowym vanie. Sarah i Ben w środkowym rzędzie, ona po stronie kierowcy, on po stronie pasażera, a ręce mieli skute za plecami. Prowadził Azjata, a Hort siedział obok niego. Z tyłu siedziało dwóch mężczyzn, którzy go otoczyli przed Coupa Cafe.

Kiedy Hort zapytał go o imię ich psa, Ben od razu zrozumiał, co robi Alex. Taktycznie to było sprytne. Strategicznie - katastrofa. Jaki pożytek byłby z potwierdzenia, że Ben i Sarah żyją, skoro to potwierdzenie każe Alexowi zrobić coś, przez co za pół godziny wszyscy będą martwi?

Ben podał jednak imię Ario. Mógł próbować im się postawić, ale nic by to nie dało. Zabiliby go, a Alexa i tak pojмали. Musiał się nad tym wszystkim zastanowić.

Kiedy Hort zapytał Sarah o markę jej sportowych ubrań, odpowiedziała: „SourceForge”. Ben rozpoznał nazwę strony internetowej, o której rozmawiali w hotelu. Próbowała powiedzieć Alexowi: „Pieprzyć to, po prostu roześlij Obsidian, lepsze to niż nic”. Odruch miała dobry, ale Hort tego nie kupił. Skinął głową do jednego z siedzących za Benem mężczyzn, a ten chwycił go od tyłu za szyję i zaczął dusić. Sarah po niecałych dwóch sekundach podała poprawną odpowiedź.

Taaa, odruch miała dobry. I nie tylko taktykę, ale i cel. Dlatego że nic ich nie uratuje, jeżeli Hort nadal będzie mieć

szansę na odzyskanie Obsidiana. Chryste, gdyby tylko w hotelu zdawali sobie sprawę z tego, co się rzeczywiście dzieje. Alex i Sarah mogliby zrobić swoje i operacja Horta dobiegłaby wtedy końca.

Spojrzał na Sarah. Odpowiedziała mu bladym, smutnym uśmiechem, który nie mógł jednak pokryć jej śmiertelnego przerażenia. Nie odezwała się ani słowem, odkąd go rozbrojono i zapakowano do vana tuż obok niej. Była bystra. Prawdopodobnie wiedziała, że wszyscy mieli zginąć. Prawdopodobnie miała rację.

Teraz jechali w kierunku południowo-wschodnim drogą ekspresową Foothill Expressway. Ben nie wiedział dlaczego - Hort kazał Alexowi przyjechać do Palo Alto, ten się zgodził, a teraz jechali w przeciwną stronę.

Miał trochę czasu na zastanowienie się i zrozumiał przynajmniej część wydarzeń. Hort musiał go wydać Rosjanom. Ale dlaczego? Zamierzał się tego dowiedzieć, nawet jeśli miał umrzeć.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytał. - Wiedziałeś, że to mój brat, ale jak to wszystko poskładałeś do kupy?

Przez chwilę panowała cisza, na tyle długa, że pomyślał, iż Hort nie odpowie. Wtedy jednak mężczyzna odwrócił się i rzekł:

- Chciałem trzymać cię z dala od tego, dla dobra wszystkich, łącznie z tobą. Ale wtedy ty zamówiłeś sobie w San Francisco broń, po tym jak ci kazałem zostać w Ankarze. Zaniepokoiło nas to. Z ostrożności sprawdziliśmy Alexa. Dzwonił na infolinię wojskową i do centrum kadr, a potem dotarliśmy do jego skrzynki mailowej i już wiedzieliśmy, że się z tobą kontaktował. Zresztą po cóż miałbyś się tu zjawiać, jeśli nie z pomocą?
- Raczej nie miałem wyboru.
- No właśnie. Nie mogłeś zachować się inaczej. Rodzina to rodzina. Ale ja też nie miałem wyboru. Byłem odpo-



wiedzialny za misję. I choć nie zamierzałeś nam szkodzić, a twoje działania były zrozumiałe, stałeś się zagrożeniem dla tej misji. To był najtrudniejszy telefon, jaki dane mi było wykonać.

- Więc wydałeś mnie Rosjanom?

- A co za różnica, w jaki sposób postanowiłem to załatwić? Owszem, ci co zawsze naciskali na mnie za to, że zabiłeś w Stambule tamtego cholernego Rosjanina. Niektórzy mieli ochotę od razu cię powiesić.

- Zrobiłeś więc to za nich.

- Jak już mówiłem: jaką to robi różnicę?

Ben wyobraził sobie, jak Hort kontaktuje się z ze swoim rosyjskim odpowiednikiem, i mówi mu: *Hej, znaleźliśmy tego drania, który zabił waszego człowieka w Stambule. To nie było zaaprobowane. Jest wasz, jeśli go chcecie. I zaraz powiem, jak możecie go znaleźć.*

W nieco poplątany sposób to nawet miało sens. Ugłaskuje się Rosjan, uspokaja gryzipiórków, eliminuje ochronę Alexa i odwraca uwagę od tego, co naprawdę się dzieje w tej operacji, która zaczęła wymykać się spod kontroli.

- Pewnie masz rację - powiedział Ben, dusząc w sobie gorycz graniczącą niebezpiecznie z rozpaczą. - Ale powinienem był to przewidzieć. Wiesz, czemu tak się nie stało? Sądziłem, że jesteś wobec mnie tak lojalny jak ja wobec ciebie.

Hort spuścił na chwilę wzrok, po czym ponownie spojrział Benowi w oczy.

- Jestem wobec ciebie lojalny, synu. Jestem lojalny wobec wszystkich moich ludzi. Ale na pierwszym miejscu jest dla mnie zawsze misja. Wiesz o tym.

- Cóż, teraz wiem.

- Szkoda, że tak to się musiało potoczyć, Ben. Naprawdę szkoda.

Dojechali do San Antonio Road w Los Altos. Jeden z siedzących z tyłu mężczyzn rzekł:

- Tutaj skreć.

Skręcili w lewo. Co oni robili w Los Altos? I wtedy go olśniło.

Śledzili sygnał z komórki Alexa. Z tyłu musieli mieć sprzęt. *Alex, cholera jasna, mówilem ci, że można cię w taki sposób namierzyć.*

- To tutaj - powiedział mężczyzna za nim. - Ostatnie miejsce, nim sygnał się urwał.

- Pojeżdż po okolicy - polecił Hort. - Może zobaczymy jego samochód.

Ben wypuścił długo powstrzymywane powietrze. Dzięki Bogu, Alex pomyślał, żeby wyłączyć to cholerstwo, kiedy dotarło do niego, co się dzieje.

Ale to znaczyło, że Hort nie będzie w stanie go tu zaskoczyć. Przypuszczalnie Alex i tak miał się zjawić na parkingu.

Jechali ulicami Los Altos, wjeżdżając i wyjeżdżając z parkingów. Za każdym razem kiedy zwalniali przed ciemnym M3, żołądek Bena kurczył się ze strachu, ale za każdym razem okazywało się, że to nie auto Alexa.

Po dwudziestu minutach facet za nim rzekł:

- Chwileczkę, znowu jest sygnał. W... Mountain View. Jedź dalej San Antonio i dostań się na El Camino.

Co on, do diaska, robił? Już raz wyłączył telefon, dlaczego włącza go z powrotem?

- Chwila, on się porusza - odezwał się ponownie mężczyzna z tyłu. - Zostań na San Antonio. Jedź do drogi 101.

- Gdzie się kieruje? - zapytał Hort.

- Myślę, że do Palo Alto. Parking. Wygląda na to, że kieruje się w stronę drogi 101.

Zadzwoił telefon Bena. Odebrał Hort.

- Halo. - A po chwili: - Dobrze, my też już jedziemy. Dzięki za zameldowanie się. Za pół godziny będzie po sprawie i wszyscy będziecie wolni.

Rozłączył się. Alex musiał się wystraszyć, że nie są w kontakcie, i włączył jednak telefon, żeby się upewnić, że wszystko gra.

- Nie, zaczekaj, skręca w Alma - powiedział mężczyzna. - Nadal jedzie w stronę Palo Alto.

Dotarli do zjazdu z San Antonio.

Co się, do cholery, działo? Dlaczego Alex znowu nie wyłączył telefonu?

*Ponieważ jechał samochodem.* Jezu Chryste, uznał, że w czasie jazdy nie da się go namierzyć? Ben próbował stłumić w sobie gniew. Nie powinien oczekiwać, że Alex będzie wiedzieć coś takiego. To nie jego świat. Ale do cholery, zamierzali wziąć go z zaskoczenia, zmusić, aby zjechał na pobocze, wciągnąć do vana... Jeśli rzeczywiście planował na parkingu coś taktycznego, nie będzie miał ku temu okazji.

Jechali Almą na zachód, dwa pasy ruchu w każdą stronę. Natężenie ruchu nie było duże, jednak wystarczające, aby zamaskować śledzenie nawet kogoś, kto na coś takiego uważał. A Alex zdecydowanie nie należał do grupy takich osób.

- To on? - zapytał kierowca.

Ben pochylił się w lewą stronę i zerknął przez przednią szybę. Serce waliło mu jak młotem. Wyglądało na to, że to samochód Alexa, nie miał jednak pewności.

- Podjedź trochę bliżej - polecił Hort. - Tylko trochę.

W zasięgu wzroku pojawiła się tablica rejestracyjna.

Ben rozpoznał numery w chwili, gdy Hort powiedział:

- To on. Teraz się wycofaj. Wpuść między was kilka samochodów.

Walenie w klatkę piersiową Bena przybrało na sile. W jego żyłach buzowała adrenalina. Napiął mięśnie ud, łydek, palców u nóg. Zerknął w lewo, prawo, przed siebie, mierząc odległość, wyliczając szanse. Chciał się odwrócić,

powstrzymał się jednak. Wolał nie pokazywać po sobie, że czuje coś innego niż rezygnację.

Jedyna nadzieja to pokrzyżowanie im planów, kiedy będą próbować pojmać Alexa. Jeśli Alex zobaczy, że nie interesuje ich wymiana, może zrozumie, że jego jedyna nadzieja to rozpowszechnienie Obsidiana. Gdyby udało mu się uciec, gdyby go rozpowszechnił... *Jezu Chryste* - pomyślał. Jeszcze nigdy nie musiał układać planu opierającego się wyłącznie na przypuszczeniach.

Udali się za Alexem na Addison, sielankową ulicę z idealnie zadbanymi bungalowami. Alex zwolnił na rondzie w Bryant. Hort rzucił:

- Bierz go.

Kierowca wjechał na rondo pod prąd i dodał gazu, jadąc pasem równoległym do tego, po którym z przeciwnej strony nadjeżdżał Alex. Skręcił kierownicą w prawo i uderzył w auto Alexa. Jęknął metal i Alexa wyrzuciło na chodnik i prosto na drzewo. Kierowca zahamował i zatrzymali się z piskiem opon tuż przez samochodem Alexa.

Kierowca wcisnął przycisk i drzwi od strony pasażera otworzyły się. Mężczyzna siedzący za Benem minął go i przygotował się, aby wyskoczyć. Jednym płynnym ruchem Ben odwrócił się, zaparł głową i szyją o bok przedniego fotela, podniósł kolana do twarzy i z całych sił uderzył piętami w dolną część pleców mężczyzny. Ten krzyknął i wyleciał przez drzwi, po drodze uderzając twarzą w górną ościeżnicę.

Impet uderzenia pomógł Benowi błyskawicznie wstać. Zanurkował przez otwarte drzwi, uderzył o ziemię ramieniem i przeturlał się na bok. Uniósł kolana, a ręce pchnął w dół, przeciskając kajdanki przez tyłek. Wyprostował nogi i pchnął jeszcze niżej, przeciągając kajdanki przez tylną część kolan, łydki...

Z vana dobiegły krzyki. Usłyszał, że otwierają się drzwi. *No dalej, dalej...*

Kajdanki zahaczyły się o pięty. Gorączkowo kręcił stopami i z całej siły pchał. Metal boleśnie wbijał się w nadgarstki i już myślał, że mu się nie uda, kiedy kajdanki przeszły przez buty.

Zaczął wstawać i wtedy ktoś chwycił go za włosy. W porę wyczuł zbliżające się kolano i odwrócił głowę, zasłaniając ją dłońmi. Cios nadszedł, ale nie aż tak straszny. Ben próbował się wyprostować, ale jego przeciwnik trzymał go za włosy i obracał, pchając głowę w dół. Widział jedynie ziemię i nogi. Jedna z nóg cofnęła się, szykując się na kolejnego kopniaka. *Pieprzyć to*. Ben zamachnął się obiema rękami i uderzył pięściami w jądra mężczyzny.

Ten jęknął, a siła, z jaką trzymał włosy Bena, nieco zmaleła. Ben obrócił głowę i się uwolnił. To był ten drugi facet z tylnego siedzenia. Próbował się zbliżyć i Ben uraczył go podwójnym prostym. Zamierzał trafić go łańcuchem w szyję, uderzył jednak w zęby.

Sarah stała przed vanem. Ręce nadal miała skute kajdankami. Spojrzała na Bena.

- Biegnij! - zawołał.

Mężczyzna odepchnął ręce Bena i ponownie chwycił go za włosy i obrócił. Ben w porę uniósł pięści, powstrzymując chwyt duszący.

- Biegnij! - zawołał ponownie.

Sarah wystartowała niczym jeleń. Sekundę później mężczyzna za nim wrzasnął i poluzował uścisk. Ben odwrócił się i zobaczył, dlaczego: Sarah podbiegła do niego z tyłu i ugryzła w ramię. Była zażarta jak terier. Mężczyzna cofnął ramię, aby ją złapać. Ben skrzyżował ręce i przelożył dłonie za jego głowę, umieszczając szyję napastnika w trójkącie uformowanym przez nadgarstki i kajdanki. Wypchnął nadgarstki do tyłu, a łokcie do przodu. Oczy i język mężczyzny wyszły na wierzch. Ben czuł kruszące się chrząstki i zacisnął mocno. Łańcuch wbijał mu się w nadgarstki.

Rozbłysło białe światło i nagle patrzył w niebo, nie będąc w stanie pojąć, co się stało. Dusił tego mężczyznę, zabił go, a potem...

Czuł pulsowanie w głowie. Ktoś... ktoś musiał walnąć go od tyłu pistoletem. Spojrzał na vana. Azjata wpychał właśnie Sarah do środka. A Hort... Hort trzymał Alexa za włosy, przykładając mu do skroni broń.

Me - pomyślał, ale słowo to nie wydostało się z jego ust. Me.

Alex trzymał laptop. Jezu Chryste, przywiózł ze sobą Obsidiana? No to po zabawie.

- Wsiadaj do vana, Ben - powiedział Hort. - Albo będziesz miał na sobie mózg swego brata.

Ben wstał i zrobił niepewny krok w stronę samochodu. Miał wrażenie, jakby ktoś umieścił mu w czaszce wibrujące dłuto.

- Wszystko w porządku - odezwał się Alex. - Przywiózłem im to, co chcieli.

- Alex - zaczął Ben, po czym urwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Wszyscy byli już martwi.

Tym razem przykuli go do Sarah. Krwawiły mu nadgarstki.

- Świetnie sobie poradziłaś - rzekł do niej, dlatego że chciał, aby poczuła się dobrze choćby przez ten krótki czas, jaki im pozostał. - Jak na prawnika.

Możliwe jednak, że tego nie usłyszała. Chciał powiedzieć coś także Alexowi, ale co? Alex dostarczył im Obsidiana na tacy. Gra skończona.

Odjechali. Mężczyzna, którego Ben kopnął w plecy, jęczał, jakby ktoś włożył mu kciuki w narzędzie do ich miażdżenia, a ten, którego próbował udusić, kaszłał tak bardzo, jakby miał zaraz wypluć płuca. Miał nadzieję, że już na zawsze im to zostanie.

Hort odwrócił się i wycelował w Bena.

- No dobrze, synu - powiedział do Alexa. - Załatwmy to szybko. Chcę, żebyś wyłączył ten pośmiertny alarm, który zainstalowałeś.

Pośmiertny alarm. Co Alex zrobił, zainstalował jakiś program rozsyłający, który tylko on mógł zatrzymać? Chryste, to gwarancja, że przed śmiercią będzie poddany torturom.

- Potrzebne mi połączenie z Internetem - odparł Alex.
  - Alex, nie rób tego - odezwał się Ben. - Zabiją nas w chwili, gdy ty...
  - Zabiję was wszystkich, jeśli tego nie zrobi - powiedział spokojnie Hort. - Jak już mówiłem, Ben, nie chciałem, żeby do tego doszło. Ale misja jest najważniejsza.
  - Jedźcie do Mountain View - powiedział Alex. - Google w całym miasteczku zainstalowało Wi-Fi.
- Ben skrzywił się.
- Do cholery, Alex...
  - Ben, wiem, co robię.
  - Koniec rozmów - oświadczył Hort.

Ben zamknął oczy. W głowie nadal czuł pulsowanie, bolały go nadgarstki, a ich szanse były w tej chwili równe zero.

Jechali w milczeniu. Ben próbował się skupić na bólu, dlatego że to, co odczuwał fizycznie, było nieskończenie prostsze od tego, co działo się w jego głowie. Ależ się okazał głupcem. Wszystko, w co wierzył w temacie braku zasad... ale teraz brak zasad miał pomóc zwyciężyć drugiej stronie. Cóż, tak to działało. Hort był jedynie bardziej bezwzględny. I dlatego to on trzymał pistolet, a Ben był skuty kajdankami. Dlatego Hort odejdzie, a ich troje zostanie wrzuconych do jakiegoś płytkiego grobu. Zawsze uważał siebie za realistę, dumny był z tego. A teraz, w ostatnich minutach swego życia, został obnażony, zmuszony do stanięcia twarzą w twarz z prawdą. Był tylko głupim naiwnia-

kiem, gdy tymczasem prawdziwi realiści skuli go i zaraz mieli zgarnąć wszystko.

Kiedy dojechali do Shoreline Road w Mountain View, Alex otworzył laptop.

- Okej - powiedział. - Mam już połączenie.

Kierowca zatrzymał się na poboczu.

- Zrób to - polecił Hort. - I pokaż mi, że jest zrobione.

- Już jest - odparł Alex.

Hort zmarszczył brwi.

- Jak już? Powiedziałeś mi, że musisz to odkodować, wpisać hasło, aby powstrzymać rozsyłkę.

- Powiedziałem tak, bo się bałem, że zrobisz krzywdę Benowi czy Sarah, zanim będę mógł pokazać, co naprawdę zrobiłem.

Twarz Horta wyglądała niczym maska.

- Zrobiłeś coś innego, prawda?

Alex kiwnął głową. Przez jedną szaloną sekundę wyglądał jak ten mały mądrała z czasów szkolnych. Ben poczuł absurdalny przypływ nadziei.

Hort wycelował z pistoletu w twarz Alexa. Ben wstrzymał oddech.

- Co? - zapytał Hort. - Co zrobiłeś? Alex przesunął laptop.

- Tutaj. Sam możesz zobaczyć.

Hort go zignorował. Pistolet nie drgnął. Patrzył na Alexa wzrokiem maszyny i Ben był tak pewny, że zaraz strzeli, że nie mógł oddychać.

Wtedy Hort opuścił broń. Wziął laptop i przez chwilę patrzył w milczeniu na ekran.

- Co to jest? - zapytał. - StatCounter? Nie rozumiem.

- Och, to tylko strona internetowa, która śledzi

ściąga nie danych i ruch w sieci - odparł Alex. Nachylił się i pokazał na ekran. - Zobacz, tu widać, ilu ludzi ściągnęło program



z SourceForge. A tutaj masz Slashdot. O rany, sto pobrań w pół godziny, nieźle. Wysłałem go także do McAfee i Norton.

Dudnienie w głowie Bena było tak głośne, że czuł je aż w brzuchu. Nie wiedział, czy śmiać się, płakać czy rzygać. Może wszystko naraz.

Hort tak mocno zaciskał szczękę, że mięśnie policzków miał niczym wyciosane w marmurze.

- Och, ty biedny, głupi skurczybyku - powiedział, kręcąc głową, ze wzrokiem utkwionym w ekran. - Nie masz pojęcia, co narobiłeś.
- Wiem, co zrobiłem.
- Zapoczątkowałeś anarchię, synu. Ameryka to kraj o największej siatce internetowej. To coś będzie krążyć jak wirus i nikt nie jest na niego bardziej podatny niż my.
- Nie, ty tego nie rozumiesz. Nie wysłałem samego programu. Wysłałem także kod źródłowy.
- My mieliśmy wszystkie...
- Wcale nie. Hilzoy ukrył jeszcze jedną kopię. Na widoku, w kopii ulubionej piosenki na publicznym forum wymiany plików. Trochę potrwało, nim znalazłem właściwy plik, był tylko ciut większy od pozostałych. Ale był. Odkodo-wałem go za pomocą Obsidiana i teraz wszyscy mają własną kopię.
- No to jesteśmy udupieni. Udupiłeś nasz cały kraj.
- Nie twierdzę, że nie będzie żadnego zamętu. Ale wiesz co? W tej właśnie chwili, w tysiącach piwnic i garaży, więcej przyszczatych hakerów i hobbistów niż jesteś w stanie zliczyć, rozkłada ten program na czynniki pierwsze. Niektórzy będą próbować się dowiedzieć, jak go wykorzystać, zgoda. Inni znajdą sposób na ochronę przed nim. Sieć jest jak organizm. Ludzie to jego komórki T. Nie da się powstrzymać czegoś takiego, bez względu na to ilu ludzi zabijecie. To bity. To informacje. A...

- A informacje chcą być wolne - wtrąciła Sarah.
- Tak czy inaczej anarchia to tylko część tego wszystkiego - kontynuował Alex. - A może w ogóle obejdziesz się bez niej.

Hort przyglądał mu się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Od waszej wtyczki, Osborne'a, wiem, że NSC nie interesowała się Obsidianem dlatego, że mógł wprowadzić chaos w sieci. Chcieli go wykorzystać jako program szpiegowski.

- Osborne tak ci powiedział?

- Sam go spytaj.

Hort przez chwilę milczał. Minę miał ponurą.

- Tak właśnie zrobię - oświadczył.
- Wykorzystali cię, Hort - odezwał się Ben. - Nabrali cię. Jak ci się podoba to uczucie? - To nie było racjonalne, ale ciut lepiej poczuł się, widząc, że ktoś wrobił Horta tak, jak on wrobił jego.

Hort ponownie spojrzał na ekran. Pokręcił powoli głową.

- Spójrz tylko - powiedział Alex. - Kolejnych dwadzieścia ściągnięć przez ten czas, który rozmawiamy. Zaczyna wrzeć. Tempo wzrasta.
- Dżin uwolnił się z butelki - rzekł Ben. - Wracaj do Waszyngtonu i powiedz im, że nie da się go ponownie zamknąć. Powiedz im, że zrobiłeś to wszystko na nic, gnojku.

Hort wypuścił powstrzymywane powietrze. Zamknął laptop i spojrzał na Alexa, następnie na Bena i Sarah.

- Operacja zakończona - powiedział. - Misja zakończyła się niepowodzeniem. Nawaliłem. - Zerknął na jedno go z siedzących z tyłu mężczyzn. - Rozkuj ich. I wypuść.

-Ale...

- Zrób to.

Mężczyzna zawahał się, po czym nachylił się i rozkuł kajdanki.

- To jeszcze nie koniec, dupku - wyrzeźił do ucha Bena.

- Może mnie nie słyszałeś - powiedział Hort i wewnątrz vana zadrgało od jego barytonu. - Ta. Misja. Jest. Zakończona.

Ben rozluźnił ręce. Były zdrętwiałe. A nadgarstki śliskie od krwi, z poszarpaną skórą.

Wysiedli we troje z vana. Hort opuścił szybę i spojrział na nich.

- Może dzin wy dostał się z butelki - powiedział. - Ale niektórzy mogą nadal sądzić, że po tym, co się stało, pewni ludzie stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Zamierzam powiedzieć im, że wy nie. Uważam, że jestem wam to winien. Nie próbujcie robić czegoś, przez co wyjdę na głupka. Mocno wtedy pożałujecie. - Spojrział na Bena.  
- To była misja, Ben. I tym tylko powinna od samego początku być. Teraz musisz się zastanowić, czy to standard, do którego chcesz dążyć. Nie będę próbował podejmować tej decyzji za ciebie.

Ben potarł nadgarstki i kiwnął głową. Prawda była taka, że nie wiedział, co zamierza zrobić. Zaledwie przed chwilą oddałby wszystko, żeby oddać ostatni strzał, celując w Hortę. Teraz nie był już tego taki pewny.

- Idźcie - powiedział Hort i van ruszył.

Ben odwrócił się do Sarah.

- Wszystko w porządku?

- Muszę iść - odparła, kręcąc głową.

- Cóż, jasne, moglibyśmy po prostu...

Uniosła ręce i zrobiła krok w tył.

- Nie. Ja muszę... chcę być sama.

- Sarah, zaczekaj.

Pokręciła głową.

- Jak sam powiedziałeś, to była pomyłka.

- Sarah, nie odchodź - odezwał się Alex. - Musimy...

- Nie ma mowy - powiedziała, po czym odwróciła się i zaczęła biec, w ogóle się na nich nie oglądając.

Caltrain znajdowało się tylko kilka przecznic stąd. Ben podejrzewał, że pobiegła do domu.

- Puść ją - powiedział.

- Myślisz, że da sobie radę sama?

- Myślę, że gdyby Hort próbował coś zrobić, zrobiłby to teraz, kiedy miał całą naszą trójkę.

- Nie martwi się, że się na nim zemścisz?

Ben pokręcił głową, próbując to rozgryźć, czując lekką niepewność.

- Możliwe, ale... nie, nie puściłby nas wtedy. Wiedząc, że możemy chcieć się zemścić. To było coś w rodzaju prze prosin.

Alex się skrzywił.

- Trudno to nazwać przeprosinami.

- Taaa, cóż, lepsze to od posunięć, jakich się spodziewałem. Wiesz, powiedział mi, że nie chciał wcale podejmować się tej misji. Myślę... może częściowo poczuł ulgę, że ma powód, aby odpuścić.

- Tego akurat nie wiesz. Jak możesz ufać takiemu człowiekowi?

Ben przez chwilę się zastanawiał. Wszystkie odpowiedzi wydawały się oklepane i bezużyteczne.

- Nie mogę - odparł i razem z tymi słowami pojawiła się nowa fala bólu i mdłości. - Nie mogę.

Przez chwilę milczeli.

- Powiedz mi, co zrobiłeś - odezwał się Ben. - Opublikowałeś Obsidiana?

- Tak. Ale tylko na stronach branżowych. Nie skontaktowałem się z blogami politycznymi, o których mówiła nam Sarah. Nie było czasu.

- Lepiej, że tego nie zrobiłeś. Wysłanie Obsidiana zneutralizowało operację Horta. Upolitycznienie tego sprawiło-

by, że poczułby się zagrożony. A lepiej, żeby ktoś taki jak Hort nie uważał cię za zagrożenie. No ale jak ci się udało znaleźć kod źródłowy? Nie bardzo kumam. Alex się uśmiechnął.

- Piwo dobrze by mi zrobiło. Chcesz gdzieś iść? Ben myślał przez chwilę. Piwo... z Alexem?

- Może do twojego samochodu?

- Pewnie został już odholowany. Powiem, że go skradziono.

- No to dobrze. Piwo.

Zaczęli iść.

- A po piwie - odezwał się Ben - jeśli chcesz, to może my... iść na cmentarz.

Alex zerknął na niego, po czym odwrócił wzrok.

- Nie musisz.

- Chcę. Chcę iść tam z tobą.

Szli, pozwalając, by popołudniowe słońce grzało im twarze.

- Wiedziałem, że to pułapka - rzekł Alex.

Bez zaśmiał się.

-Pułapka? Jakie ty filmy oglądasz?

- Cóż, wiedziałem tylko, że pragniesz zaufać temu czło-  
wiekowi, a nie powinieś. Musiałem znaleźć jakiś sposób,  
żeby to zakończyć.

Nie zastanawiając się, Ben objął ramieniem brata.

- Dobrze sobie poradziłeś.

Alex nie odpowiedział. Ben dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że jego młodszego brata zatkało. Dopiero po chwili Alex rzekł:

- Dzięki.

Ben uściśnął jego ramię i nic nie powiedział. Możliwe, że on też poczuł ściskanie w gardle.

# Odmiana

Sarah zjawiła się w Ritual Coffee o szóstej trzydzieści, krótko po wschodzie słońca. Nie była tu od czasu tej całej afery z Obsidianem i powinna była się cieszyć, że wróciła do codzienności. Zamiast jednak czuć spokój, miała wrażenie, że coś tu jest... zwietrzałe.

Powrót do kancelarii okazał się co najmniej dziwny. Osborne zniknął. Aż huczało od plotek. Zajrzała do gabinetu Alexa i zapytała, co według niego się dzieje.

- Myślę, że to kara dla Osborne'a i ostrzeżenie dla nas
- odparł.
- Nie uważasz, że powinniśmy coś powiedzieć?
- Uważam, że byłoby to z naszej strony szalone.
- Co twierdzi twój brat?
- To samo.

Pomyślała, że powinna się bać, ale zamiast tego czuła przygnębienie. Chciała mu powiedzieć, że jest jej przykro z powodu tego, co wydarzyło się z Benem. Po tym wszystkim to się powinno wydawać pozbawione znaczenia, tak jednak nie było. Ale może przywołanie tego doda ich kontaktom jeszcze większej niezręczności. Kiwnęła więc głową i wyszła z gabinetu Alexa, a od tamtej pory jakoś udało im się unikać siebie nawzajem.

Weszła do kafejki i za barem zobaczyła Gabe'a, tak jak co rano.

- Hej, Sarah - odezwał się na jej widok. - Brakowało nam ciebie przez kilka ostatnich dni.

- Taaa, musiałam załatwić parę spraw.
- Mam nadzieję, że już wszystko w porządku.
- Chyba tak.
- Fajnie. To co zawsze?  
Westchnęła.
- To co zawsze.
- Razy dwa - odezwał się głos za nią.  
Odwróciła się, wiedząc już, kogo ujrzy.
- Co tu robisz? - zapytała.
- Chciałem cię zobaczyć - odparł Ben.
- W porządku. Zobaczyłeś mnie. Teraz możesz odejść.  
Ben podał Gabe'owi pieniądze.
- Mogę zapłacić za własną kawę - powiedziała.
- Możesz postawić następną.

Pokręciła głową. Chciała czuć gniew. I czuła - ale bardziej wkurzała się na siebie za to, że na jego widok czuje takie podniecenie.

- Możemy porozmawiać? - zapytał. - Czekałem pół godziny, odmrażając sobie tyłek. Kawa dobrze mi robi. A tak w ogóle to co właśnie zamówiłem?
- Limo.
- Brzmi groźnie. Co to takiego?
- Filiżanka kawy z dwiema porcjami espresso.
- Kurde, codziennie pijesz coś takiego? Raz w tygodniu by wystarczyło.
- Ależ jest czarujący* - pomyślała. - *Do diabła z nim.*
- Przesunęli się na koniec baru, aby czekać na kawę.
- Nie miałem okazji podziękować ci za to, co wtedy zrobiłaś. Powinnaś być uciec. Wykazałaś się naprawdę wielką odwagą.
- W ogóle wtedy nie myślałam.
- Cóż, to było oczywiste.  
Nie odpowiedziała.
- O co chodzi? - zapytał.

Sarah odwróciła wzrok. Po chwili rzekła:

- Powinnam coś zrobić.

-Co?

- Upublicznić to. Skontaktować się z blogami. Powiedzieć im, co wiem.

- A co wiesz?

- Daj spokój. Wiem dużo. I ty o tym wiesz.

Uśmiechnął się łagodnie, zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy chciał ją zdenerwować.

- Taaa, wiesz różne rzeczy. Ale nie myślisz, że mój oddział nie miał już do czynienia z czymś takim? Jasne, to duża sprawa, ale inne też takie były. I mogę cię zapewnić, że właśnie teraz, gdy pijemy nasze lima... raporty są niszczone, nazwiska zmieniane, alibi ustalane... To praktycznie codzienność. Ci ludzie wiedzą, jak się chronić, Sarah. Są w tym dobrzy. To więksi gracze, niż sądziliśmy, i jak na razie nic ich nie ruszyło.

- I czujesz z tego powodu radość?

- Nie czuję radości ani niczego innego. Tak już jest. Może informacje chcą być wolne, ale wolność... wolność potrzebuje oddziału takiego jak mój.

- Chcesz w to wierzyć.

Pokręcił głową i przez chwilę miała wrażenie, że w jego oczach widzi niewyobrażalny smutek.

- Posłuchaj - rzekł. - Na chwilę obecna mamy zachowaną delikatną równowagę. Myślę, że Hort mówił poważnie, kiedy twierdził, że odpuszcza.

- A co z Osborne'em?

- Wiesz, co się z nim stało.

- I coś takiego może stać się ze mną, tak?

- Jeśli dasz Hortowi powód, to owszem.

- Grozisz mi?

Jego twarz znowu przeciął smutek.

- Nie. Nie chcę, żebyś się mnie bała. To ostatnie, czego pragnę.



Odwróciła wzrok. Wiedziała, że Ben ma rację. Wiedziała, że rządowi może ująć to na sucho - do diabła, tak było od wielu lat. Musiała przyznać, że w upublicznieniu tej sprawy bardziej chodziło jej o własną godność niż jakąkolwiek rzeczywistą zmianę.

Istniał jeszcze jeden powód jej niechęci. Nie chciała zranić Bena. Ten powód ją zawstydzał, a wstyd napawał gniewem.

- Cóż, w ciekawy sposób to okazujesz - powiedziała.

- Zakradając się w hotelu do mojego pokoju, a teraz tu taj.

Znowu odwróciła wzrok. Po chwili zerknęła na Bena. Wyglądał tak, jakby próbował się nie uśmiechać. Może przez tę aluzję do hotelowego pokoju. Musiała przyznać, że ma problem z wyrzuceniem tego z pamięci.

- Ty naprawdę chcesz, żebym się płaszczył, no nie?

- zapytał.

Przez chwilę się zastanawiała.

- A nie sądzisz, że powinieneś?

Ben spowaźniał.

- Posłuchaj - rzekł. - To, co się wydarzyło tamtej nocy... to się stało w najgorszym dla mnie czasie. I było najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała.

-I tyle?

- Nie wiem. Nie jestem przyzwyczajony do płaszczenia się.

Teraz to ona próbowała się nie uśmiechnąć.

- Uważam, że powinieneś potrenować.

- Okej, no to może tak: chcę się znowu z tobą spotkać.

Pokręciła głową.

- Niby jak miałyby się to udać? Nie znoszę wszystkiego, za czym ty się opowiadasz.

Odwrócił wzrok i także pokręcił głową. Sarah spodziewała się opryskliwej odpowiedzi, tak dla niego charakte-

rystycznej, i to, że nic nie powiedział, nagle ją zafascynowało.

- No bo nie wiem nawet gdzie mieszkasz - kontynuowała. - A gdzie mieszkasz? Mieszkasz gdzieś?

- Dużo podróżuję. Ale... pomyślałem, aby na jakiś czas zostać w San Francisco. Blżej domu.

-Tak? Na jak długo?

- Nie wiem. A jak długo mogłabyś mnie znieść?

- Nie jestem pewna.

- Niekoniecznie stałoby się to od razu. Najpierw chciałem udać się do Manili. Upewnić się, że moja córka wie, że ma ojca. Ale potem. Gdybyś chciała.

Nie odpowiedziała. Nie miała pewności, co się dzieje.

Wydawało jej się, że nie nadąża.

Pojawiła się ich kawa. Do swojej wlała mleko i wsypała cukier. Ben pociągnął łyk.

- O rany - powiedział. - To dzięki niej udaje ci się pracować do późna?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, jak to robię.

Spojrzał na nią.

- To nie jesteś prawdziwa ty, no nie?

- Nie wiem.

- Co chcesz zrobić zamiast tego?

Napiła się kawy.

- Pracuję nad tym.

Wzruszył ramionami.

- Zrób sobie trochę wolnego. Pojeźdź po świecie. Przemyśl wszystko.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

- Bo takie jest.

- Czyżby? - zapytała. - Dlatego właśnie wybierasz się do Manili?

- Mam kilka spraw do przemyślenia, owszem.

- Na przykład?

Zmrużył oczy i Sarah zastanawiała się, czy przypadkiem zbyt mocno na niego nie naciska. Ale nie zamierzała pozwolić, by mówił do niej z taką wyższością.

- Na przykład co się, do cholery, wydarzyło w tym tygodniu - odparł szorstko. - Na przykład czy jestem jednym z pozytywnych bohaterów, jak zawsze myślałem.

Spojrzała na niego.

- No to dlaczego po prostu się do tego nie przyznasz, zamiast się zachowywać, jakby ta rada dotyczyła wyłącznie mnie?

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Nie jestem przyzwyczajony do przyznawania się do czegokolwiek. To tak jak z płaszczaniem się. Ale chętnie się nauczę.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Przez chwilę milczeli.

- Miałaś rację - odezwała się. - Kiedy już się skończyło, to wszystko wydawało się snem. Reszta też.

Kiwnął głową.

- Tak to właśnie działa.

- A potem ty się tu pojawiłeś. Czy ja nadal śnię?

- Nie śnisz.

- Możesz to udowodnić?

- Cóż, mogę cię uszczypnąć.

Spojrzała na niego.

- Dwie przecznice stąd jest moje mieszkanie. Może tam mnie uszczypniesz?

Szli szybko. Sarah wiedziała, że to zły pomysł, ale miała to gdzieś. I może już nigdy więcej go nie zobaczy, ale tym też się nie przejmowała. Później się nad tym wszystkim zastanowi. Tak właśnie robi. Miała co do tego pewność.

# Podziękowania

Po raz kolejny napisałem książkę, która stała się znacznie lepsza dzięki współudziałowi rodziny i przyjaciół. Podziękowania niechaj zechcą przyjąć:

Moi agenci, Dan Conaway i Simon Lipskar z Writers House, oraz wydawca, Mark Tavani z Ballantine - za dostrzeżenie w tej historii obiecującej powieści, kiedy była jeszcze zaledwie pomysłem, i za pomoc w jej opublikowaniu.

Detektyw James Randol i porucznik J. R. Gamez z policji w San Jose - za to, że odpowiedzieli na wszystkie moje pytania, podsunęli kilka fantastycznych pomysłów i oprowadzili po swojej komendzie - i przede wszystkim za niesamowicie ważną pracę, którą wykonują.

Ernie Tibaldi - za dalsze wykorzystywanie trzydziesto-jednoletniego doświadczenia pracy w FBI przy kwestiach dotyczących porządku publicznego w moich książkach i za cenne komentarze w odniesieniu do rękopisu.

Warren Wolfeld z Haynes Beffel & Wolfeld LLP - za doskonale konsultacje dotyczące wewnętrznego funkcjonowania amerykańskiego Urzędu Patentowego i całego procesu zgłaszania patentu, a także za cenne komentarze w odniesieniu do rękopisu.

Ashraf Hosseini - za podzielenie się ze mną historią swojej rodziny i odpowiedzenie na wszystkie moje pytania dotyczące życia irańskiego imigranta w Ameryce - oraz za stylowe okulary ze swojego wspaniałego sklepu w Palo Alto, A Site for Sore Eyes.

Hank Shiffman - za to, że odpowiedział na wszystkie moje pytania natury technicznej oraz za podrzucenie przy okazji kilku rewelacyjnych pomysłów; za sprawne moderowanie panelu dyskusyjnego na mojej stronie internetowej; i za cenne komentarze w odniesieniu do rękopisu. Przejdź na stronę ciemności, Hank...

Dennis Volpano i Dave McAllister - za pomocne informacje dotyczące bezpieczeństwa w sieci i wirusów komputerowych oraz Adam Young i Moti Yung za swoją fantastyczną książkę pt. *Malicious Cryptography: Exposing Cryptovirology*.

Wyjątkowo eklektyczna grupa „łakomczuchów z problemem z przemocą”, którzy zaglądają na stronę Marca „Animal” MacYounga i Dianny Gordon [www.nononsense-selfdefense.com](http://www.nononsense-selfdefense.com), za dobry humor, serdeczność i mnóstwo spostrzeżeń. Specjalne podziękowania dla Marca za nieustanne uwagi dotyczące przemocy, sposobu myślenia i zachowania sprawców oraz tego, co kieruje ludźmi, a także za cenne komentarze dotyczące rękopisu.

Vivian Brown, Alan Eisler, Judith Eisler, Montie Guthrie, Tom Hayes, Mikę Killman, Lori Kupfer, pisarz J. A. Konrath, Naomi Andrews i Dan Levin, Doug Patteson, Matt Powers, Owen Rennert, Ted Schlein i Człowiek Zwany Slugg - za cenne komentarze odnoszące się do rękopisu i wiele pomocnych sugestii i spostrzeżeń.

Przede wszystkim moja żona, Laura, za swój wkład w tę historię i świetne uwagi do rękopisu, ale jeszcze bardziej za reagowanie na moje sporadyczne natręstwa („Sporadyczne?” - mogłaby tu wtrącić) z miłością i dobrą wolą.

# Uwagi autora

Wiele wydarzeń opisywanych w tej książce naprawdę miało miejsce. Poniżej znajduje się częściowa bibliografia.

Ucieczka irańskiego generała Ali Rezy Asgari:

<http://www.time.com/time/world/article/0,8599,1601814,00.html>

Ocena wywiadu w kwestii irańskich prób jądrowych:

[http://www.dni.gov/press\\_releases/20071203\\_release.pd/](http://www.dni.gov/press_releases/20071203_release.pd/).

Zamach na Wiktora Litwinienkę - otrucie polonem:

[http://www.timesonline.co.uk/tol/sport/football/european\\_football/article756950.ece](http://www.timesonline.co.uk/tol/sport/football/european_football/article756950.ece)

Uprowadzenie Abu Omara z Mediolanu:

[http://www.lrb.co.uk/v29/n15/foot02\\_.html](http://www.lrb.co.uk/v29/n15/foot02_.html).

Hobbisci lotnictwa ujawniają zwiadowcze loty CIA:

<http://www.militaryphotos.net/forums/showthread.php?t=65446>

Operacje specjalne MLE:

<http://www.nytimes.com/2006/03/08/international/americas/o8forces.html?pagewanted=print;>

<http://www.specwarnet.net/americas/isa.htm>

Rosja rządzona przez *siloviki*, byłych członków KGB i

byłych wojskowych: [http://monitor.upeace.org/archive.cfm?](http://monitor.upeace.org/archive.cfm?id_article=107)

[id\\_article=107](http://monitor.upeace.org/archive.cfm?id_article=107)

Chińskie próby antysatelitarne:

<http://www.globalsecurity.org/space/world/china/asat.htm>

Rosyjskie próby w kwestii cyberwojny:

<http://it.slashdot.org/it/07/05/17/1248215.shtml>

Ósma Jednostka Sił Powietrznych Cyberprzestrzeni:

<http://af.mil/news/story.asp?id=123030505>

CIA: hakerzy ponoszą odpowiedzialność za przerwy w dostawie prądu:

<http://www.cnn.com/2007/us/09/26/power.at.risk/index.html>

Bezprawne zaskarżenie irańsko-amerykańskiego biznesmena Alexa Latifi:

<http://harpers.org/archive/2008/02/hbc-90002484>

Kontakty na linii CIA - mafia:

[http://upi.com/Security\\_Terrorism/Briefing/2007/06/26/family\\_](http://upi.com/Security_Terrorism/Briefing/2007/06/26/family_)

[jewels\\_detail\\_castro\\_mafia\\_plot/6711](http://www.edwardjayeinstein.com/archived/castro.htm)

<http://www.edwardjayeinstein.com/archived/castro.htm>

Zarządzenie zakazujące zamachów:

<http://www.washingtonpost.com/ac2/wp-dyn/A63203-2001Oct27?lan>

[guage=printer](http://www.washingtonpost.com/ac2/wp-dyn/A63203-2001Oct27?lan)

Mroczny Mściciel i polimorfizm:

[http://en.wikipedia.org/wiki/Dark\\_Avenger](http://en.wikipedia.org/wiki/Dark_Avenger)

Adam Young, Moti Yung i kryptowirusologia:

<http://www.cryptovirology.com>

Chińskie inicjatywy związane z cyberwojną:

[http://www.economist.com/world/international/displaystory.cfm?story\\_id=976319&CFID=11752607&CFTOKEN=ccdd4740076c5dc1-43B10757-B27C-BB00-012901C5EA08C4BB](http://www.economist.com/world/international/displaystory.cfm?story_id=976319&CFID=11752607&CFTOKEN=ccdd4740076c5dc1-43B10757-B27C-BB00-012901C5EA08C4BB)

Nadużywanie listów bezpieczeństwa narodowego (NSL):

<http://www.salon.com/opinion/greenwald/2008/03/06/nsls/index.html>

Program szpiegowania wewnętrznego Agencji  
Bezpieczeństwa Narodowego:

[http://wsj.com/public/article\\_print/SB120511973377523845.html?mod=djm\\_HAWSJSB\\_Welcome](http://wsj.com/public/article_print/SB120511973377523845.html?mod=djm_HAWSJSB_Welcome)

FISA i zakładanie podsłuchów bez nakazu:

[http://www.salon.com/opinion/greenwald/2008/02/14/fisa\\_101](http://www.salon.com/opinion/greenwald/2008/02/14/fisa_101)

Quantico Circuit i zakładanie podsłuchów bez nakazu:

<http://blog.wired.com/27bstroke6/2008/03/whistleblower-f.html>

Miejsca w Zatoce i Stambule, które pojawiają się w książce,  
opisałem, jak zawsze, zgodnie z tym, co sam widziałem.